

ELIETTE ABÉCASSIS

QUMRAN



ELIETTE ABÉCASSIS

Qumran

ABÉCASSIS ELIETTE

z francuskiego przełożyła WIKTORIA MELECH

Jeśli ktoś kiedykolwiek odważy się dowieść:

Co jest powyżej? Co jest poniżej? Co było przed powstaniem świata?

Co będzie potem? To lepiej dla niego byłoby,

gdyby się nigdy nie narodził.

Talmud babiloński, Haguigah, 11b

PROLOG

1

W dniu, kiedy Mesjasz oddał ducha, niebo nie było ani więcej, ani mniej ponure niż w inne dni. Nie pojawił się na nim żaden świetlisty cudowny znak. Słońce przesłaniała gęsta mgła, lecz jego promienie przenikały przez grubą powłokę. Chmury zapowiadały niewielki deszcz, może nawet z gradem, który i tak nigdy nie przynosił ulgi piaszczystemu pejzażowi.

Był to dzień jak wszystkie inne, ani smutny, ani wesoły, ani ciemny, ani jasny. Nie nadzwyczajny, ale i nie taki zwykły. A może ta normalność była zapowiedzią niespełnienia się wróżby? Nie wiem.

Jego agonia była powolna, trudna. Oddech przeszedł w długi jęk bezgranicznej rozpacz, a siwe włosy i broda nie były oznakami mądrości, jaką emanował, niosąc uzdrowienie. Jego spojrzenie nie miało już tego płomienia, który zawsze w nim gorzał, gdy namiętnie głosił dobre słowo i prorokował, gdy zapowiadał nadejście nowego świata. Jego wyniszczone, udreńczone ciało wyrażało tylko cierpienie. Sterczące kości wyglądały strasznie. Zwiotczała skóra, przywodząca na myśl poszarpane na strzępy ubranie, była niczym rozwinięty, a potem sprofanowany stary pergamin, zapisany krwawymi literami. Na nogach przebitych gwoździami widniały sińce. Z poranionych, skurczonych z bólu dłoni ciekła krew. Wyszłe usta niezdolne już były do słów miłości, wyrażały niemy lęk, przerażenie kaźnią. Jego pierś, niby jagnię schwyte podstępnie przez wilka, nagle się wyprężyła, jakby serce chciało wyskoczyć z tego nagiego, umęczonego ciała.

Potem znieruchomiał, upojony własną krwią jak winem, z nieprzytomnymi oczami, półotwartymi ustami. Czy odchodził do Ducha Świętego? Ale przecież Duch Święty

go opuścił, nawet wtedy, gdy w przeblysku ostatniej nadziei Mesjasz zwrócił się do niego, wymawiając Jego imię. Żaden znak nie został dany jemu, rabbiemu, cudotwórcy, odkupicielowi, pocieszycielowi ubogich, uzdrowicielowi chorych, obłąkanych i sparaliżowanych. Nikt nie mógł go ocalić, nikt, nawet on sam.

Dano mu trochę wody. Zwilżono usta gąbką. Niektórzy opowiadali, że w oddali na niebie pojawiła się błyskawica, innym wydało się, że usłyszeli, jak zawołał do Ojca silnym głosem, rozbrzmiewającym długim echem. W końcu skonał.

Miał już swoje lata, ale nie był schorowany. Członkowie wspólnoty przypuszczali, że jest nieśmiertelny, czekali na to wydarzenie – jego śmierć, ponowne pojawienie się, zmartwychwstanie – a jednocześnie oczekiwali, iż będzie żył wiecznie. Tak więc niezależnie od tego, czy umarłby, czy żył, oni i tak uznaliby to za cud.

Stało się to pewnego kwietniowego popołudnia. Według licznych towarzyszących mu lekarzy śpiączkę, w którą zapadł dzień wcześniej, spowodowała niewydolność serca. Reanimację przerwano między trzecią a trzecią trzydzieści po południu. Jego ciało przewieziono karetką ze szpitala, gdzie umarł, do jego domu. Następnie, zgodnie z tradycją, ułożono go na podłodze i nakryto prześcieradłem. Potem otworzono drzwi do gabinetu, gdzie rabbi modlił się, studiował i czytał, gdzie wierni uczniowie odmawiali święte formuły. Ci, którzy kochali mistrza, a było ich wielu, przybyli, by oddać mu ostatni hołd. Miał bowiem na całym świecie tysiące uczniów, którzy mu ufali, którzy wierzyli, że był Królem-Mesjaszem, apostołem nowych czasów, zwiastunem drugiego królestwa, wyczekiwanego od tak dawna, od zarania dziejów.

Ludzie przychodzili aż do wieczora. Potem złożono ciało w trumnie, wykonanej z desek pochodzących z dębowego biurka, przy którym rabbi spędził tyle godzin na studiowaniu i modlitwach. Policjant pełniący służbę przy domu żałoby z trudem powstrzymywał kłębiący się tłum. Zablokowany został ruch uliczny. Żaden samochód nie mógł precyzyjnie się przez tę zbitą masę ubranych na czarno mężczyzn, zapłakanych kobiet i małych dzieci, których setki tysięcy zgromadziły się, by opłakiwać rabiego. Niektórzy, przygnębieni, łapali się za głowy. Inni wyrażali swój żal głośnym szlochem'. Jeszcze inni to tu, to tam tańczyli w rytm nostalgicznych chasydzkich melodii lub śpiewali *Nasz mistrz, nasz rabbi, Król-Mesjasz, będzie żył*. Nie szykowali się na pogrzeb. Czekali na rezurekcję, na czas, gdy nastąpi koniec wygnania, a potem nastanie pora wyzwolenia. Wtedy będą mogli uznać, że znaleźli się na ziemi Izraela i nazwać ten kraj swoją ojczyzną. Czy nie zapowiadał tego poprzez aluzje i alegorie? Zrozumiano go. Trzeba było tylu cierpień i tylu lat rozproszenia, tak wielkiej udręki i męki. Wreszcie straciło znaczenie pojęcie „później”. To on był tym, na którego czekano od tak dawna.

Pogrzeb przeniesiono na następny dzień, aby wszyscy mogli nań przybyć. Lotnisko Ben-Guriona wypełniali chasydzi z wielu krajów, którzy przylecieli tu w wielkim

pośpiechu z Nowego Jorku, Paryża, Londynu.

Gdy uczniowie wyszli z domu żałoby, zostali otoczeni przez pragnących po raz ostatni zbliżyć się do rabiego. Ruszyli na cmentarz, otwierając procesję pogrążonego w smutnej zadumie, ubranego na czarno tłumy, przypominającego orszak szlochających wdów w czarnych kapeluszach i woalkach. Potem orszak zaczął piąć się ku jerozolimskiemu cmentarzowi, położonemu na Górze Oliwnej.

Powoli, w ciszy, zanesiono go aż do kamienia wyznaczającego miejsce, gdzie spoczywali od trzystu lat poprzedni rabini z tej samej linii. Tu pochowano jego ciało owinięte w całun. Trzej sekretarze rabiego odmówili *kadisz*. Odmówiono też inne zwyczajowe modlitwy.

Potem jeden z uczniów, ten, którego rabbi najbardziej miłował, tak przemówił:

–Bracia i siostry! Dziś upadła Jerozolima, przystań ludów, jej mury zostały zburzone, jej wieże rozbite i oto teraz podobna jest do wysuszonego kamienia. Nie ma już z nami rabiego,

naszego nauczyciela. Jesteśmy na tej ziemi sierotami, nasze domy są opustoszałe, nasze dusze złamane, oczy nasze są opuchłe od łez, które służą nam za pożywienie, a nasze gardła wyschnięte z pragnienia. Lecz lud, który kroczy w ciemnościach, wkrótce ujrzy wielkie światło. Rozejrzyjcie się! Boskie hufce, liczące dwadzieścia tysięcy, powiększane są o kolejne tysiące. Wszędzie trwają przygotowania, każdy gotuje się na swój sposób, zgodnie ze swoją wiarą, ale wszyscy zbroją się i jednoczą w wielkie gromady w oczekiwaniu na nowe czasy.

Świat wokół nas ginie, pogrążony w rozprężeniu. Nasze dzielnice są zbroją, chroniąc nas przed niezliczonymi bezceństwami rozrastających się miast ze stali i plastiku – istna Sodom i Gomora. Zamykamy oczy, by nie widzieć deprawacji, rozpusty i zbytku, wyklętych, wyniszczonych ludzi, przypominających wychudłe bestie, wyjące do księżycy, błakające się po pustych ulicach z oczyma wytrzeszczonymi ze strachu, z długimi włosami klejącymi się do zwiotczałych karków, polujące na łatwą zdobycz – bezbronne dzieci i samotne kobiety. Za murami naszych domów choroba ta rozprzestrzenia się na wszystkie kontynenty. Niczym pojawiający się na nowo trąd, odgradza jednych ludzi od drugich, każe zamykać chorych w szpitalach, gdzie wbrew idei odkupienia i zmartwychwstania nie ważne jest leczenie, lecz oczekiwanie na koniec, który ubrani na białe księża zapowiadają jako nieuchronny. Wszędzie, niczym śmietnik wydzielający mdlący odór, ziemia potępiona, zniszczona przez technikę i jej odpadki, wysuszona, spalona słońcem, zamieniająca się w pustynię, pozbawiona wody, dręczona konwulsjami wymiotuje i wypluwa pogrzebane kości, świeżą krew z ostatniej wojny, krew ofiar masakr, ludobójstwa. Czy nie widzicie, jak unosi się dym, więdną kwiaty, wysycha trawa? Wkrótce na tej ziemi żyć będą tylko sowy i jeże, puchacze i kruki. Bracia moi, to już

jest koniec świata.

Dzień przemawia do dnia, noc szepcze rodzącemu się brzaskowi, krople rosy, drżąc na wietrze, przynoszą nowinę. Bo oto budzi się ze swego stuletniego snu rabbi, Mesjasz, który ożywi zmarłych, by ocalić świat. Zbliża już się do nas, by nas osądzić. Oto nadchodzi dzień, kiedy wszyscy pyszni i ci, co postępują niegodziwie, będą jak słoma, trawiona przez niegasnące płomienie. A nad tymi wszystkimi, którzy lękają się jego imienia, wstanie słońce sprawiedliwości i ich oczy ujrzą go, by mogli głosić chwałę Wiekuistego.

Następnie uczniowie rabiego opuścili cmentarz, robiąc miejsce tysiącom wiernych, czekających przed bramą tej nocy, czarnej jak wszystkie inne noce. Może rabbi wyszedł z grobu, by udać się do nieba, ale nikt go nie zauważył? Może ci, którzy tam byli, nic nie powiedzieli? Może noc po jego pogrzebie była równie zwyczajna jak poprzedni dzień, a na niebie nie ukazały się żadne cudowne znaki? Księżyc, ukryty za gęstą mgłą, nie był w pełni, nie był też czerwony. Szarawe obłoki, ledwie widoczne w mroku nocy, zapowiadały niewielki deszcz, może nawet z gradem, który nigdy nie zdołał ożywić tego kamienistego pejzażu. Niebiosa nie rozplynęły się jak dym i nie zwinęły jak pergamin. Ziemia nie rozpękła się na kawałki, nie zatoczyła się jak pijany, nie została ruszona z posad. Morze nie było wzburzone, na jego spokojnych falach nie bielila się piana. Góry nie zawały się i nie roztopiły w ogniu. Szaron nie opustoszał jak Araba; Baszan i Karmel nie zostały wcale ogołoczone. Nie pojawiło się ani nowe niebo, ani nowa ziemia, nie powstało żadne nowe królestwo – nic się nie zmieniło. Kto

zamknął się, uwięziony w grotach, kto przebywał pod ziemią, by odczytać tam opieczętowany dokument? Dzban nie został

rozbity na tysiące kawałków i nie było resztek, które mogłyby posłużyć do palenia w palenisku lub do czerpania wody z kałuży. Dzban był pełen. Zawierał mnóstwo boskich skarbów i poszukiwania dawały obfity plon.

Nie nastąpiła powszechna żałoba, winnica nie zmarniała, jagnięta nie beczwały głośniej niż zazwyczaj. Nie ustał radosny rytm bębenków, w domach nadal rozbrzmiewał słodki dźwięk harfy. Jerozolima nie była już przystanią ludów, nie była miastem pokoju z murami z szafiru, z blankami z rubinu i rozstawionymi namiotami. Nie odbudowano Świątyni, wykorzystując do tego drewno cyprysu, wiązu i bukszpanu. Wszędzie panował spokój, nie słychać było żadnego hałasu ani gwaru miasta, ani szmerów ze Świątyni, ani głosu Wiekuistego, który, by odpłacić swoim wrogom, powinien srogo ich ukarać.

A jednak można było dostrzec pewien znak, świadczący o tym, że nie wszystko jest takie, jak być powinno. Ktoś mógłby to rozgłosić. Albowiem lekarze się pomylili. Był wprawdzie stary, ale silny i energiczny, czemu dawał wyraz w swych naukach

głoszonych na cały świat, w licznych audiencjach, w radach udzielanych przez telefon lub u siebie w domu, prywatnie czy też publicznie, w słowie pisanym i mówionym, w bezpośrednim kontakcie lub za pośrednictwem swoich uczniów. Był ostatnim z rodu i nie miał syna. Wydawało się, że chce żyć jak najdłużej. A jego uczniowie od dawna z lękiem czekali na ten moment; przewidzieli go i nagięli rzeczywistość do własnych pragnień i wróżbiarskiej wiedzy. Przecież on sam zapowiadał swoją bliską śmierć i zmartwychwstanie.

Jednakże nie umarł ze starości; umarł z powodu silnego, brutalnego uderzenia w głowę, po którym zapadł w letarg. Nikt tego nie wiedział. Nikt oprócz mnie, choć nie jestem wszechwiedzący.

Bo rabbi nie umarł śmiercią naturalną. Został zabity. A ja byłem tym, który go zamordował.

Przeto jak słomę pożera język ognisty, a siano znika w płomieniu, tak korzeń będzie zgnilizną, a kiełek ich jak pył porwany się wzniesie, bo odrzucili Prawo Pana Zastępów i wzgardzili tym, co mówił Święty Izraela*1.

Urodziłem się w 1967 roku ery chrześcijańskiej, ale pamięć moja ma pięć tysięcy lat. Pamiętam przeszłe wieki, jakbym sam je przeżył, ponieważ moja przeszłość przenoszona była nieprzerwanie przez cały czas w słowach, pismach i egzegezach, systematycznie gromadzonych i uzupełnianych albo zaginionych na zawsze. Lecz to, co z nich pozostało, jest obecne we mnie i tworzy drogę widoczną w czynach rodzin i generacji, bezustannie przedłużającą się w kierunku potomnych. Nie mam na myśli orszaku postaci wyrzeźbionych w wosku i na kamieniach nagrobnych, przechowywanych w muzeach, ani też faktów odnotowanych na zimnych kartach ksiąg historycznych. Mam na myśli pamięć, która wyłania

¹ *Księga Izajasza, 5, 24. Wszystkie cytaty pochodzą z Biblii Tysiąclecia, Pisma Świętego Starego i Nowego Testamentu, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań-Warszawa 1990

się z żywych wspomnień i sądów niepoddających się chronologicznemu porządkowi, albowiem chronologia czasu nie uznaje ani metody, ani wydarzeń, ani upartych uprzedzeń wiedzy, ale kieruje się biegiem dziejów, a więc wynika z samej egzystencji. W obecnych czasach poprzez introspekcję oraz drobiazgową analizę pamięć odnajduje swoją istotę, która odsłania nieobecność i nierzeczywistość własnego bytu, bo czas obecny nie istnieje, będąc tylko bezpośrednim wyrazicielem rzeczy, które mijają, a mijając, stają się już przeszłością, tak więc to, co się stało, należy już do przeszłości.

W języku, którym się posługuję, nie ma czasu teraźniejszego dla czasownika „być”. Żeby powiedzieć „Jestem”, trzeba użyć czasu przeszłego lub przyszłego. W mojej historii, opowiedzianej w waszym języku, powinienem użyć czasu przeszłego absolutnego, nie tego zwykłego czasu przeszłego niedokonanego, który zdradziecko miesza pojęcia czasu obecnego i czasu przeszłego. Wolę czas przeszły dokonany, prosty w swej jedności, piękny w swym brzmieniu. To prawdziwy czas przeszły dla minionych czasów. W Biblii nie ma czasu teraźniejszego, a czas przyszły i przeszły są prawie identyczne w znaczeniu. Czas przeszły w pewnym sensie wyraża się poprzez czas przyszły. Dla utworzenia czasu przeszłego dorzuca się do formy czasu przyszłego literę *vav*. Nazywa się ją „*vav* odwrócone”. Jednak litera ta ma także znaczenie „i”. Dlatego kiedy czyta się na przykład słowo „zrobił”, może to również znaczyć „i zrobi”. Zawsze wybierałem tę drugą wersję. Uważam, że dla Biblii najlepszy jest czas przyszły, gdyż nie opowiada ona o wydarzeniach, które już miały miejsce, ale o takich, które wydarzą się w najbliższej przyszłości. Bo nie ma czasu teraźniejszego, a przeszłość jest przyszłością.

Dwa tysiące lat temu zaczęła się historia, która zmieniła oblicze świata po raz pierwszy, a po raz drugi stało się to pięćdziesiąt lat temu, gdy archeologia dokonała

zaskakującego odkrycia. Gdy używam słowa „zaskakującego”, nie mam na myśli ludzi, wśród których żyję – oni wiedzieli to od samego początku, od pierwszych lat ery chrześcijańskiej – lecz wszystkich pozostałych. Ze względu na nich używam słowa „archeologia”, ponieważ dla mnie nie jest to wiedza z przeszłości. W pewnym sensie to ja i moi współtowarzysze tworzymy ją i jesteśmy jej przedmiotem, co wyjaśnię nieco później.

To, o czym wam opowiadam, to historia chrześcijaństwa, która stanowi część ogólnej historii, ale nie jest moją historią. Nie jestem chrześcijaninem. Należę do wspólnoty religijnych Żydów, żyjących poza współczesnym społeczeństwem, nazywanych chasydami. Będąc Żydami z wieloletnią tradycją, oddajemy się zapisywaniu ważnych słów i faktów, by przetrwała o nich pamięć. Dlatego też zamierzam wypełnić moją powinność, opisując tę historię zgodnie z prawdą, nie pomijając żadnych szczegółów.

Na początku muszę wyjaśnić, że chasydzi nie starają się ani przekonywać ludzi, ani ich nawracać. Nie piszę więc po to, aby być czytany. Piszę, aby zachować prawdę o faktach i zapewnić długowieczność pamięci. Piszę to dla niej i dla potomności. Wiem bowiem od moich ojców i od ojców ich ojców, że należy w tym niewielkim zakątku świata dochować tajemnicy o rzeczach i ideach nie przez wzgląd na to, co dzieje się teraz, ani na współczesnych czytelników, bo mamy powołanie zakonne i żyjemy z dala od wszystkich, ale dla czytelników przyszłych, dla generacji, które nadejdą, które potrafią odkryć nasze tajemnice i zrozumieć nasz język. Nie

piszę dla siebie, albowiem słowo pisane nie może być bezbożnym, pogańskim opisaniem faktów. Dla mnie i moich współwyznawców słowo pisane jest świętością, rytuałem, któremu poddaję się niemal wbrew sobie, z poczuciem obowiązku. To mój sposób modlenia się, szukania przebaczenia, uświęcenia.

Muszę jednak wyznać, że nie jestem drobiazgowym skrybą. Nie lubię detali. Zawsze zmierzam śmiało w konkretnym kierunku niczym biegacz przeskakujący przez płotki. Nie przywiązuję szczególnej wagi do estetyki ani do poglądów. Nie upajam się pisaniem. Robię to przede wszystkim z pobożności. Chciałbym przekazać jedynie tendencje, bo w nich zawierają się czyny i słowa, ale nie zamierzam ich opisywać. Chciałbym odsłonić ich istotę, wewnętrzny charakter. Ale czy można tego dokonać, nie zważając na formę? Forma nie powinna być nigdy piękną zasłoną, za którą nie kryje się nic prócz pustego splendoru. Talmud uczy, że w trakcie studiowania ksiąg, nie należy podziwiać pejzaży, pięknych roślin ani wspaniałych drzew. *Kto studiując, zatrzymuje się na drodze, by powiedzieć, „jakie to drzewo jest piękne, jak śliczny jest ten krzew”, zasługuje na karę śmierci.* Sądzę, że w głębi duszy zawsze tego przestrzegalem. Jestem krótkowidzem i do pisania zdejmuję okulary. Kiedy więc podnoszę wzrok, mam przed oczyma zamglony świat, nie dostrzegam szczegółów. To, co mam przed sobą, raczej odgaduję, niż widzę. Może się mylę. Czy udało mi się wyrazić to, co czuję? Chciałbym przynajmniej wprawić w ruch litery, słowami wyrazić

nie to, kim byłem, ale kim mam być, kim będę. Kto potrafi mnie czytać, odkryje przyszłość poprzez przeszłość, syntezę poprzez analizę, zarys poprzez egzegezę. Odsłaniam się za pośrednictwem moich interpretacji i można mnie zrozumieć, czytając mój tekst. *Każda litera jest światem, każde słowo wszechświatem.* Każdy odpowiada za słowa, które pisze, przed tymi, którzy go czytają.

Podobnie jak moi przodkowie, piszę na miękkiej skórze, na której, zanim zacząłem pisać, ostrym narzędziem zaznaczyłem linie, aby pióro nie zbaczało ze swojej drogi ani w górę, ani w dół, nie błędziło między literami. Skóra musi być wystarczająco mocna, by, nie dziurawiąc jej, dało się na niej zrobić wyraźne nacięcia, pociągnięte później czarnym tuszem. Nacięcia robi się bardzo delikatnie, ponieważ niektóre pergaminy są niezwykle kruche. Nie wszystkie skóry garbowano w jednakowy sposób. Tak więc, aby ustrzec się przed przedziurawieniem pergaminu, należy umieć odróżnić ten, który ma odcień kości słoniowej, od tego bardziej łamliwego o barwie cytryny.

Wykonuję moją pracę powoli. Kiedy dochodzę do końca zwoju, zszywam go z następnym. Piszę jednym ciągiem, bo nie mogę zetrzeć tekstu, ani w nieskończoność zaczynać od nowa. Zawsze zaczynam od zebrania myśli, ponieważ nie mam prawa się pomylić. Jeśli jednak moje pióro mnie zawodzi, a ręka się ześlizguje, mogę poprawić błąd, wstawiając właściwą literkę powyżej lub poniżej wiersza. Dlatego też, żeby właściwie zrozumieć mój tekst, nie wolno zapominać o czytaniu tego, co znajduje się między liniami.

Historia, którą opisuję, nie jest piękna. Opowiada o okrucieństwie, a także o miłości. Przekazuję ją, ponieważ nie mogę uchylać się przed prawem nakazującym odnotowywać ważne fakty, a to, co zamierzam opisać, jest tak niezwykle, że jeśli natychmiast nie przeleję tego na papier, to w przyszłości albo się o tym zapomni, albo celowo będzie się temu zaprzeczać. Dla mnie jako skryby jest to najlepszy sposób wychwalania Wiekuistego, moja modlitwa. I dla mnie, chasyda, nie ma niczego ważniejszego od nakazów boskiego prawa. Chciałbym, żeby mieszkańcy tej ziemi radowali się, otaczając tron Boga, śpiewali na chwałę Bożą, ale mogę

opowiadać tylko o nieszczęściach. Czekamy już od tysiącleci na to, że dokona się odnowa naszego kultu w Nowej Jerozolimie. W tym bolesnym oczekiwaniu żyjemy bez Świątyni, bez Miasta, w ciemnościach, zamiast złożyć ofiarę z naszego życia, wypowiadamy tylko pochwalne słowa.

I tak, zgodnie ze szczegółowym kalendarzem dni zwykłych i świątecznych, upływa życie naszej wspólnoty z dala od wszystkich, przez tysiące lat, podczas których ukrywaliśmy nasze istnienie, mieszkając w niedostępnych siedzibach. Mamy jednak świadomość czasu, który mija, i wiemy, że nasi żydowscy bracia zagubili się pośród narodów, podczas gdy my pozostawaliśmy strażnikami zwojów. Żyliśmy w ten sposób, aż wydarzyło się coś, co zburzyło naszą egzystencję: kiedy w 1948 roku

Żydzi wywalczyli dla siebie swój kraj, część naszej wspólnoty wróciła do ziemi przodków, druga zaś część pozostała w diasporze, uważając, że tak będzie lepiej czekać na Mesjasza.

Ale wybiegam nieco w przód, bo właśnie w tym momencie zaczyna się pierwszy zwój mojej opowieści.

Przez wzgląd na Syjon nie umilknę, przez wzgląd na Jerozolimę nie spocznię, dopóki jej sprawiedliwość nie błysnie jak zorza i zbawienie jej nie zapłonie jak pochodnia^{2*}.

Księga Izajasza, 62, 1.

ZWÓJ PIERWSZY

Zwój manuskryptów

Zapowiedź narodzin Izaaka

Po tych wydarzeniach Bóg pokazał się Abrahamowi we śnie i oto, co mu powiedział: „Minęło dziesięć lat, odkąd opuściłeś Charan. Tutaj spędziłeś dwa lata, siedem w Egipcie, a od twojego powrotu minął rok. Spójrz na twoje bogactwa, jak bardzo się powiększyły. Masz ich teraz dwa razy więcej niż przedtem. Ale nie obawiaj się, bo Ja jestem z tobą i będę dla ciebie opoką i tarczą. Aura wokół ciebie będzie cię osłaniać od nieszczęścia, a twój majątek powiększy się jeszcze bardziej”.

Ale Abraham odpowiedział mu na to: „Panie, wiem, jak wielkie są moje bogactwa. Ale na co mi one? W dniu śmierci będę nagi, bo nie mam potomka, moim spadkobiercą zostanie mój służący Eliezer”. I Bóg odrzekł: „Twoim spadkobiercą nie będzie Eliezer, ale spłodzony przez ciebie syn”.

Zwoje z Qumran Apokryf Księgi Rodzaju

Zacząło się to, jeśli można tak powiedzieć, pewnego kwietniowego poranka 1947 roku.

Prawdę mówiąc, początek miał miejsce dwa tysiące lat temu. VII wieku przed narodzeniem Jezusa powstała sekta pobożnych Żydów, którzy dawali własną interpretację Pięcioksięgu Mojżesza, praw i nakazów. Surowo krytykowali religijne władze żydowskie Jerozolimy i oskarżali kapłanów Świątyni o zepsucie moralne oraz korupcję. Zapragnęli żyć z dala od innych i dlatego zamieszkali na pustyni w takim miejscu, w którym ich wspólnota mogła być odizolowana od reszty świata, w Qumran, nad brzegami Morza Martwego. Wszyscy oddali swoje majątki na rzecz wspólnoty.

Ta niewielka klasztorna wspólnota miała swoich kapłanów i swoje sakramenty, uważano bowiem, że te z Jerozolimy nie są prawomocne, że Świątynia nie została zbudowana ściśle według reguł określających, co jest czyste, a co nieczyste. Żyli w Qumran do czasu, gdy Rzymianie zniszczyli ich siedzibę w trzecim roku wojny z Żydami. Nazywano ich „esseńczykami”.

Być może geneza tego wszystkiego sięga pięciu tysięcy lat wstecz, gdy Bóg stworzył świat, gdy oddzielił ziemię od nieba, aby mogli na niej żyć pierwszy mężczyzna i pierwsza kobieta, Adam i Ewa. A potem był potop, jeszcze potem czas patriarchów, ucieczka do Egiptu, oswobodzenie z niewoli dzięki Mojżeszowi i w końcu powrót Izraela do ziemi Kanaan.

Chyba że wszystko powstało jeszcze wcześniej, z chaosu. Gdy ziemia była pustynią, otoczoną bezmiarem wód, nad którymi unosił się Duch, a wszystko pogrążone było w ciemnościach. Wtedy to Bóg po raz pierwszy wpadł na pomysł, by stworzyć świat, pomysł bez wątpienia szalony, ponieważ do dziś nie wiemy, jak tego dokonał.

*Pokolenie przychodzi i pokolenie odchodzi, a ziemia trwa po wszystkie czasy, a słońce wschodzi i zachodzi i na miejsce swoje spieszy z powrotem, i znowu tam wschodzi^{*3}.*

Jednak powiedzmy wprost, że wszystko zaczęło się pewnego kwietniowego poranka 1947 roku po narodzeniu Jezusa, że wszystko się zaczyna lub wszystko się powtarza, bo nic nie jest skończone przed nadejściem Mesjasza, ani nie dzieje się nic nowego, gdyż słońce nie świeci wiecznym światłem.

Tego właśnie dnia odnalezione zostały manuskrypty esseńczyków, owinięte w płótno, zamknięte przez wieki w wysokich dzbanach. Zwoje te zostały napisane w epoce, gdy sekta miała jeszcze swoją siedzibę w Qumran. Kiedy esseńczycy

zrozumieli, że nie zdołają oprzeć się Rzymianom, że wkrótce zostaną rozbici, ukryli swoje święte księgi w niedostępnych grotach w pobliskich skałach, aby uratować je przed niewiernymi zdobywcami. Owinęli je w płótno tak starannie i tak dobrze zamknęli w dzbanach, że manuskrypty przeleżały nietknięte aż do tego tragicznego dnia w 1947 roku, gdy zostały odkryte przez ludzi, którzy odkopali także ruiny obozu esseńczyków – resztki ich domostw i budowli sakralnych.

Spenetrowali inne groty, w których również znajdowały się manuskrypty, i przywłaszczyli je sobie, by potem nimi handlować.

Księga Koheleta (Eklezjastes), 1,4-5.

Żył wówczas w Izraelu Żyd, David Cohen. Był synem Noama, który był synem Hawilia, który był synem Micheasza, który był synem Aarona, który był synem Eilona, który był synem Hagajasza, który był synem Tala, który był synem Roniego, który był synem Janajasza, który był synem Amrama, który był synem Cafiego, który był synem Samuela, który był synem Rafaela, który był synem Szloma, który był synem Gada, który był synem Jorama, który był synem Johanana, który był synem Noama, syna Baraka, syna Tohua, który był synem Saula, który był synem Adriela, który był synem Barzijasza, który był synem Uriela, który był synem Emmanuela, który był synem Aszera, który był synem Rubena, który był synem Era, który był synem Issakara, który był synem Nemuela, który był synem Simeona, który był synem Eliawa, który był synem Eleazara, który był synem Jamina, który był synem Lota, który był synem Elihua, który był synem Jessego, który był synem Itra, który był synem Zimriego, który był synem Efraima, który był synem Mikaela, który był synem Uriela, który był synem Józefa, który był synem Amrama, który był synem Manassego, który był ' synem Oziasza, który był synem Jonatana, który był synem Reuwena, który był synem Natana, który był synem Ozego, który był synem Izaaka, który był synem Zimriego, który był synem Jozjasza, który był synem Boaza, który był synem Jorama, który był synem Gamliela, który był synem Natanaela, który był synem Eliakima, który był synem Dawida, który był synem Achaza, który był synem Aarona, który był synem Yehudy, który był synem Jakuba, który był synem Jossefa, który był synem Józefa, który był synem Jakuba, który był synem Matana, który był synem Eleazara, który był synem Eliuda, który był synem Akhima, który był synem Sadoka, który był synem Eliakima, który był synem Abiuda, który był synem Zorobabela, który był synem Salatiela, który był synem Jechoniasza, który był synem Jozjasza, który był synem Amona, który był synem Manassego, który był synem Ezechiasza, który był synem Achaza, który był synem Jonatana, który był synem Ozjasza, który był synem Jorama, który był synem Jozafata, który był synem Azy, który był synem Abjasza, który był synem Roboama, syna Eleazara, syna Aarona, syna Amrama, syna Kehata, syna Faresa, syna Naassona, syna Jopeda, syna Itamara, syna Kehata, syna Lewiego, syna Jakuba, syna Izaaka, syna Abrahama.

I tym człowiekiem był mój ojciec, uczony cieszący się wielką renomą w całym kraju,

ponieważ znał historię Izraela, a przede wszystkim jego początki. Kierował w Izraelu wykopaliskami i poszukiwaniami, mającymi na celu ożywienie jego starożytnej przeszłości. Pasją i pracą mego ojca była archeologia. Miał ogromną wiedzę o dawnych czasach i pragnął odnaleźć ich ślady. Napisał wiele książek o swoich odkryciach, które, podobnie jak jego wykłady, były bardzo cenione, ponieważ opowiadał w nich o przeszłości tak, jakby sam w niej żył. Nie przedstawiał dawnych dziejów jako epoki minionej, nigdy nie dawał wyrazu żalowi za tym, co było kiedyś. Wzbogacał teraźniejszość przeszłością, ożywiał przeszłość teraźniejszością. „Przypomnij sobie” – mówił do mnie, zaczynając swoją opowieść, jakbym mógł pamiętać wydarzenia sprzed dwóch tysięcy lub stu dwudziestu tysięcy lat. Miał wszystko w pamięci tak, jakby sam to przeżył.

Nie był już młody, ale jego włosy były tak gęste jak u Ab-saloma. Miał muskularne ciało wojownika, był silny i walczył dzielnie jak król Dawid. Czarne oczy w promiennej twarzy

świeciły żywym blaskiem. Dla mnie zawsze był młody. Nigdy nie bałem się, że się zestarzeje. Kiedy na niego patrzyłem, przypominałem sobie, co lubił powtarzać mój rabbi: „Nie wolno być starym”. Za sprawą boskiego ducha, którego miał w sobie, i dzięki pamięci w nim odżywiającej, robił wrażenie ponadczasowego. Dzięki sile swego ducha pokonywał wszystkie przeszkody, albowiem widział przed sobą większe, potężniejsze zamierzenia.

Powinienem wyjaśnić, że gdy mieszkałem z ojcem, nie przyłączyłem się jeszcze do chasydów, nie odnalazłem drogi do podobnych mi ludzi. Przed tym drugim narodzeniem nie miałem pojęcia, czym mogło być dla mnie spotkanie z nimi. Do tej pory żyłem jak każdy Izraelczyk we współczesnym świecie. Po odbyciu służby wojskowej podjąłem studia. W ten sposób poznałem w jeshiwie Torę i Talmud. Uczęszczałem tam już trzy lata przed służbą wojskową. Takie odosobnione kontemplacyjne życie podobało mi się bardzo, choć nie zdawałem sobie sprawy dlaczego.

Miałem kolegę, Yehudę, z którym najczęściej się uczyłem. Był synem chasydzkiego rabina i znał cały Talmud na pamięć. Na początku, w porównaniu z nim, byłem bardzo opóźniony w nauce, ponieważ nie otrzymałem religijnego wychowania i nie znałem świętych tekstów. Moja matka, rosyjska Żydówka, była zdeklarowaną ateistką, bardzo antyreligijną, co wraz z charakterystycznym akcentem przywiozła ze Związku Radzieckiego. W domu nigdy nie obchodziliśmy szabatu. Dla ojca najważniejsza była archeologia, to ona stanowiła jego Talmud, sposób na przeżywanie żydowskiej historii. Ulegając matce, a także własnej naturze naukowca, idąc w ślady swoich kolegów i przyjaciół, nie modlił się i nie czytał tekstów sporządzonych na pergaminach, kamieniach lub papirusie. Jego specjalnością była paleografia. Kiedy się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że nie przez przypadek poświęcił życie studiom nad starożytnymi rodzajami pisma.

Paleografia nie jest wiedzą ścisłą. Nie może być tak precyzyjna jak chemia, nie posługuje się tak dokładną klasyfikacją jak botanika czy zoologia. Posunę się nawet do stwierdzenia, iż paleografia nie jest w ogóle nauką, choć potrafi określić daty z naprawdę dużą dokładnością. Nie było również dziełem przypadku i to, że podobnie jak ojciec Yehudy przekazywał mu wiedzę swoich ojców, ręka mojego ojca prowadziła moją po liniijkach drogocennych manuskryptów, które były dla mnie pierwszymi lekturami i pierwszymi modlitwami.

Nauczył mnie sprawdzać drobiazgowo materiał, na którym skryba kreślił litery, jak również formę zastosowanego przez niego pisma, albowiem są to wskazówki pozwalające określić pochodzenie manuskryptu. I tak, kiedy inskrypcje ryto w kamieniu lub glinie, na których trudniej kreślić krzywoliniowe znaki, ich forma w sposób naturalny adaptowała się do materiału i była „kwadratowa”. Takie jest starożytne pismo Persji, Asyrii i w pewnym okresie Babilonii. Jeśli zaś skryba używał papirusu albo pergaminu, znaki są „okrągłe”. Takie pismo jest bardziej płynne, charakterystyczne dla innych regionów świata. Ojciec nauczył mnie, że pierwszą rzeczą, jaką bierze pod uwagę paleograf, jest ciągła zmiana form alfabetu, używanego w Starym i Nowym Testamencie. Pokazał, jak rozpoznawać przejście jednego alfabetu w drugi, co jest dość trudnym zadaniem, bo na paleografa czyhają liczne pułapki. Zdarza się, że stary alfabet jest jeszcze długo używany po tym, jak przyjęto nowy, z jakichś konkretnych powodów lub z nostalgicznego nastawienia piszącego. Epoki, które zawsze uważa się za odrębne, bo do tego

stopnia linearna jest nasza wizja świata, mogą więc na jakimś pergaminie zostać tak pomyłone, iż nie da się tego rozwikłać. Tekst, którego data, jak się wydawało, została już definitywnie określona, może pochodzić z jednego lub drugiego wieku, ponieważ cechy tych okresów nakładają się na siebie.

Na szczęście paleograf dysponuje innymi wskazówkami. Są to łączniki i punkty łączące dwie litery lub położenie liter w stosunku do linii. Czasami pismo trzyma się na jednej linii o jednolitej podstawie, kiedy indziej litery przesuwają się wyżej w stosunku do podstawy. Ojciec mawiał, że człowiek uformowany jest przez swoje środowisko, podobnie jak kształt samogłosek i spółgłosek zależy od tego, na czym się pisze. Moim zdaniem on sam podobny był do pergaminu czy zwoju ze skóry pokrytego okrągłymi, połączonymi ze sobą literami. Nigdy nie opowiadał o swojej przeszłości ani o rodzinie. Przypuszczałem, że zginęła w czasach Holocaustu. Mimo dystansu i niechęci do swojej przeszłości, niemal wbrew własnej woli przekazał mi znajomość drobnego, ścisłego, czarnego pisma, trudnego do zinterpretowania. Była ona we mnie, wryta w moim sercu, ale odczytywać to pismo nauczyłem się znacznie później, wskutek całego szeregu tragicznych wydarzeń.

W moich oczach ojciec był, podobnie jak starożytny język hebrajski, trudny do rozszyfrowania. W piśmie hebrajskim nie ma samogłosek i niekiedy ich rolę pełnią niektóre spółgłoski. Niestety, użycie danej spółgłoski może dawać różne znaczenia.

Nie jest jasne, o jakie słowo chodzi, chyba że

czytelnik znał je już przedtem. Święte teksty zawsze były czytane na głos, a czasami przekazywano je z ust do ust. Wtedy rola tekstu pisanego polegała na tym, by przypomnieć czytelnikowi to, co dobrze znał. Przez wiele wieków nie było z tym żadnych problemów, dopóki korzystający z oryginalnych dokumentów wiedzieli, co znaczą napisane słowa. Kiedy jednak dwa tysiące lat potem archeolodzy wydobyli na światło dzienne starożytne dokumenty, paleografowie mieli ogromne trudności ze zrozumieniem słów składających się z samych spółgłosek. Otwarto drogę do błędów, pomyłek i wątpliwości, do różnych interpretacji i tworzenia nowych słów. Jeden z naszych rabinów mawiał, że aby dopasować samogłoski do spółgłosek, trzeba długo czekać i naprawdę tego chcieć, jak wtedy, gdy chce się przystąpić do micwy^{*4}. I tak jak nie można dopełnić tego aktu bez szczerych chęci, tak samo słowo materializuje się poprzez samogłoski, które są owocem pragnienia. Jednak zrozumiałem to znacznie później, gdy poznałem, czym jest pożądanie cielesne.

Ojciec pokazał mi, na czym polega krytyczna lektura tekstów, i nauczył surowych reguł obowiązujących przy ich studiowaniu. Od niego dowiedziałem się, że pismo pojawiło się na Bliskim Wschodzie na początku trzeciego tysiąclecia przed naszą erą, że nie używali go kapłani i nie stosowano go w świętych księgach, lecz posługiwali się nim przedstawiciele władz. Do-piero około 2000 roku przed naszą erą zaczęto zapisywać utwory znane dotąd w formie ustnej – dzieła epickie i poematy. Nigdy nie zapomnę, jak bardzo byłem wstrząśnięty, gdy dowiedziałem się od niego, że Mojżesz nigdy nie napisał własnoręcznie tekstu Tory. Miałem wówczas trzynaście lat i niedawno odbyła się ceremonia mojej bar micwy. Wtedy po raz pierwszy postanowiłem, że wrócę do tradycji, do *teszuwa* - skruchy, że wrócę do Boga.

⁴ * Wszystkie słowa pochodzenia hebrajskiego lub w jidysz są objaśnione w słowniku na końcu książki

–Ale to Mojżesz zredagował te księgi pod boskie dyktando – powiedziałem. – A Księga

Powtórzonego Prawa podaje nawet, że pisał je Bóg własną ręką.

–To absolutnie niemożliwe. Tora napisana jest różnymi stylami i nie może pochodzić od jednego autora. Mówi się, że było trzech głównych: kapłan, elohista i jahwista.

–Jeśli te teksty zostały napisane ludzką ręką, to nie są objawione.

–Są objawione, gdyż wywodzą się z tradycji sztuki ustnych przekazów. Z początku pismo nie było przeznaczone do niezależnego czytania, służyło tylko jako konspekt tego, co mówiono. Dopiero wiele wieków później, gdy powstawały wielkie biblioteki

epoki hellenistycznej, pismo zaczęło uwalniać się od języka mówionego. A w końcu, kiedy wynaleziono druk, zostały spełnione wszelkie warunki, aby pismo uzyskało całkowitą autonomię. Pierwszy zapisany przez skrybów tekst Biblii był bardzo podobny do języka mówionego. Niestety nie posiadamy żadnego zwoju z epoki Mojżesza ani z wyjścia z Egiptu, ani nawet z czasu Ezdrasza, wiodącego wygnańców powracających z Babilonu. Posiadane przez nas zwoje są zazwyczaj zapisane pismem paleohebrajskim, które było używane przez Żydów od ich pobytu w ziemi Kanaan. Po podbojach Aleksandra Wielkiego, w trzysta trzydziestym trzecim roku przed Jezusem, narodziło się pismo hebrajskie kwadratowe lub asyryjskie, które nadal istnieje. Te dwa pisma – paleohebrajskie i hebrajskie, stare i nowe, konkurowały ze sobą aż do ery chrześcijańskiej. Stare pismo, używane przez kapłanów, symbolizowało niezależność narodu i uwieczniało jego historię. Nowego używali faryzeusze, którzy zajmowali ważną pozycję w życiu społecznym i politycznym. Zresztą do tego czasu jedynie skrybowie i kapłani umieli czytać i pisać. Prawa boskiego uczono w inny sposób – kapłani czytali je ludowi, a ojcowie rodzin powtarzali swoim dzieciom to, co zapamiętali. Nowy okres zaczął się wówczas, gdy studiowanie prawa boskiego zalecano całemu ludowi. Powszechne nauczanie, propagowane przez faryzeuszy, stało się prawdziwą rewolucją. W krótkim czasie Żydzi opanowali nowy alfabet i wówczas nastąpił koniec tradycji ustnej.

–Wiedz – dodał ojciec – że zwoje Tory, które znasz, nie były czytane w synagodze od początku drugiego wieku przed Chrystusem. Dopiero po zburzeniu Świątyni i zakazie odprawiania świętych obrzędów zwoje Tory przybrały postać niezmiennej Księgi, w której utrwalono święty tekst, jego język i pismo, i nie wolno było z niej niczego usunąć.

Ojciec, który nauczył mnie czytać, nie chciał, bym korzystał ze słowa pisanego. Wolał, żebym nauczył się wszystkiego na pamięć i nie musiał zaglądać do książek. Przekonywał, że lepiej jest mieć tekst w głowie niż nosić zeszyty. Żeby zrozumieć, trzeba wiedzieć. Czyż nie był to pogląd talmudysty, choć sam uważał się za paleografa? Podobnie jak Yehuda i jego ojciec, znał wszystkie antyczne zwoje na pamięć. Właśnie dzięki tej metodzie poczyniłem błyskawiczne postępy, gdy zabrałem się do studiowania Talmudu, pracując razem z Yehudą, najlepszym studentem w jesziwie.

W 1999 roku ery nowożytnej, to znaczy w 5759 roku naszej ery, dokonano tak zaskakującej i przerażającej zbrodni, że do szukania sprawcy włączono wojsko. Czegoś takiego nie widziano w Izraelu od dwóch tysięcy lat. Wydawało się, że niespodzianie wróciła przeszłość i z bladym złowieszczym uśmiechem zadrwiła z ludzi. W prawosławnym kościele na Starym Mieście w Jerozolimie znaleziono mężczyznę ukrzyżowanego na wielkim drewnianym krzyżu.

I stało się tak, że mój ojciec został poproszony przez dowódcę armii Izraela, Shimona Delama, aby niezwłocznie się u niego stawił. Ci dwaj mężczyźni, choć obrali różne drogi życiowe – jeden był człowiekiem czynu, politykiem i strategiem, drugi oddał się kontemplacji i nauce – byli kolegami z wojska, zawsze gotowymi sobie pomóc. Shimon był żołnierzem, a zarazem agentem wywiadu. Ten krępy mężczyzna nie wahał się podczas misji w Libanie, przebrany za kobietę, wejść do grupy terrorystów. Ja zaś służyłem w tej samej jednostce z jego synem, odważnym i zapalczywym jak ojciec. Walka i przeciwności losu stworzyły między nami podobnie silną więź.

Kiedy spotkali się w głównej kwaterze armii, Shimon wyglądał na tak zatroskanego i zaniepokojonego jak nigdy dotąd.

–Potrzebuję twojej pomocy w pewnej szczególnej sprawie – powiedział. – Nasi ludzie raczej się tym nie zajmują. To delikatna kwestia, dotyczy religii. Potrzebny mi uczony, ktoś rozważny i mądry, a jednocześnie przyjaciel, któremu mogę ufać.

–O co chodzi? – zapytał zaintrygowany ojciec.

–To sprawa niebezpieczna... tak niebezpieczna, jak problem palestyński i wojna przeciw Libanowi, i tak ważna, jak stosunki z Europą i Stanami Zjednoczonymi. To delikatne zadanie, które chcę powierzyć tobie, ponieważ potrzebny jest do tego człowiek z wiedzą uniwersytecką i doświadczeniem wojskowym. W grę wchodzi ogromne pieniądze, a niektórzy, szukając pieniędzy, nie szanują cudzego życia. Pozwól jednak, że najpierw coś ci pokażę.

Wsiedli do samochodu i ruszyli w kierunku Morza Martwego. Jechali drogą z Tel Awiwu do Jerycha, która biegnie poniżej poziomu morza i zagłębiając się w gorące jak w piecu powietrze, wije się przez wiele kilometrów śnieżnobiałą pustynią, między wydmami Jordanu i brzegami Morza Martwego. Popołudnie przechodziło w szarawy zmierzch, zerwał się wiatr, który roznosił po pustyni zapach siarki.

*Ku południowi ciągnąc i ku północy wracając, kolistą drogą wieje wiatr i znowu wraca na drogę swojego krążenia. Wszystkie rzeki płyną do morza, a morze wcale nie wzbiera; do miejsca, do którego rzeki płyną, zdążają one bezustannie^{*5}.*

*Księga

Cisza wręcz dzwoniła falami odbitymi od wnętrza pustyni. Słońce wciąż bezlitośnie paliło wszystkie stworzenia i rośliny. Jechali pod obojętnym niebem wzdłuż błotnistych plaż, potem zjechali w kierunku tarasu, który odcinał się na tle łańcucha stromych nadmorskich skał. W oddali posępnie połyskiwało w słońcu Morze Martwe. Na prawo od niego widoczna była zielona plama-oaza Ain Feshka, ziemia Zabulona i Neftalego, która niczym lampa wskazuje drogę do Galilei Narodów.

Qumran ciągnie się od Morza Martwego do szczytu stromego nabrzeża z trzema tarasami, przeciętymi wąskim strumieniem Wadi Qumran. Na marglowym tarasie wznoszą się ruiny Qumran, a od niedawna znajduje się tam niewielki kibuc. Dominujące nad nimi i plażą stoki są strome, a twarde wapienne skały osuwają się z gór, niszcząc stopniowo miękki margiel.

Nieco niżej znajduje się stary szlak i nowa droga z Sodomy do Jerycha. Tutaj teren jest bardziej dostępny, drogi nieźle utrzymane, a skały nie tak trudne do wspinaczki. Ci, którzy nie chcą się zbyt zmęczyć, nie zapuszczają się dalej. Zatrzymują się tutaj, aby podziwiać brązowozłocisty pejzaż.

Drugi taras wiąże się już z pewnym fragmentem historii. Świadczy o tym, że dawniej poziom Morza Martwego był znacznie wyższy niż dziś. Taras jest na tyle płaski, że można się było na nim osiedlić. To tu stoją ruiny Qumran oraz zabudowania kibucu, którego członkowie strzegą tego miejsca i hodują gaje palmowe wokół źródeł. Dalsza droga jest stroma i uciążliwa, ale można nią iść dzięki znakom pozostawionym przez ludzi, którzy kiedyś wytyczyli ścieżki i wyłożyli je kamieniami.

W ten sposób bardziej sprawni docierają na trzeci poziom – wapienny taras, dominujący dość wysoko nad poprzednim. Tu historia ustępuje prehistorii. Liczne szczeliny świadczą o tym, iż sphywała tędy woda. Dostać się tu można tylko za cenę ogromnego wysiłku, trzeba bowiem iść pod górę po twardej skale, w palącym słońcu, podejmować ryzyko przy przeskakowaniu nad parowami, wspinać się mimo zawrotu głowy, nie bać się, że się zabłądzi. A kiedy się wreszcie tam dotrze, to wśród prawie pionowych bloków skalnych, splukiwanych niekiedy gwałtownymi deszczami, można odnaleźć tylko część grot, gdyż niektóre z nich są tak ukryte, tak niedostępne, że nikt nawet nie podejrzewa ich istnienia. Wygląda na to, że ścieżka biegnie dalej, lecz nie da się nią iść. Ci, którzy chcieli sprawdzić, co jest na szczycie, zabrali ten sekret do grobu.

Qumran z pewnością nie jest rajskim ogrodem. Leży w samym środku pustyni, na zupełnym pustkowiu. Jednak temperatura jest tu niższa, powietrze nie tak gorące jak na brzegach Morza Martwego. Dopływ słodkiej wody, nieregularny, lecz obfity, pozwala utrzymywać na drugim tarasie stale pełny zbiornik, stanowiący wystarczającą rezerwę dla ludzi. Źródła słonawej wody nawadniają gaje palmowe.

Głębokie parowy tworzą naturalną osłonę, która niemal całkowicie izoluje cypel, na którym znajduje się osada. I dlatego mimo wszystko daje się tu żyć.

Esseńczycy wybrali na osiedlenie się to miejsce, przypominające o początku świata, jakby sądzili, iż tu właśnie uda im się doczekać jego końca. Z tego samego powodu zbudowali niedaleko stąd swoje sanktuarium, w Chirbet Qumran, w jednym z najbardziej bezludnych i jałowych regionów tej planety, pozbawionym roślinności i wyjątkowo niegościnnym dla ludzi, na stromym wapiennym urwisku, poprzecinanym parowami i grotami, wśród białych ostrych

kamieni, pozostałości po podziemnych wstrząsach i bezlitosnej erozji, w miejscu stworzonym na kryjówkę dla bandytów, buntowników lub świętych.

Właśnie tam, do ruin klasztoru, zawiózł Shimon mego ojca. Podniósł z ziemi mały patyczek i zaczął go żuć. Dopiero po chwili zdecydował się mówić.

–Znasz to miejsce. Wiesz, że ponad pięćdziesiąt lat temu znaleziono tu manuskrypty z klasztoru esseńczyków, tak zwane zwoje znad Morza Martwego. Wygląda na to, że pochodzą one z czasów Jezusa i zawierają informacje o sprawach trudnych do przyjęcia dla wielu religii. Wiesz, że część manuskryptów zaginęła, a raczej została skradziona. Te, które są w naszym posiadaniu, zdobyliśmy podstępem lub siłą.

Naturalnie ojciec znał to miejsce, gdyż prowadził tam liczne badania. Wiedział też wszystko o losach zwojów. 23 listopada 1947 roku do Eliakima Ferenkza, profesora archeologii na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie, zadzwonił jego ormiański przyjaciel, antykwariusz, mieszkający w starej części Jerozolimy. Powiedział, że chce jak najszybciej się z nim zobaczyć. Sprawa była poważna i zbyt delikatna, żeby rozmawiać o niej przez telefon.

W tym czasie kraj był w stanie wojny. Panowała atmosfera taka jak na pustyni tuż przed burzą piaskową – wszędzie dokoła spokój, ale słyhać już szum wiatru, zapowiadającego huragan. Jerozolimy strzegły rozstawione wokół miasta posterunki brytyjskie, które śledziły ruchy wroga i pilnowały przejść z jednej strony na drugą. Ani profesor Ferenkz, ani jego ormiański przyjaciel, nie mogli otrzymać przepustek. Uzgodnili więc, że spotkają się nazajutrz przy zaporze z drutu kolczastego.

–Dlaczego zależało ci na tak szybkim spotkaniu? – zapytał profesor.

–Odwiedził mnie Arab z Betlejem, antykwariusz tak jak i ja – odrzekł Ormianin. – Przyniósł mi kawałki skóry pokryte starym pismem. Przypuszczam, że są to dokumenty o dużym znaczeniu.

–Co to za człowiek? – Ferenkz był nieufny, ponieważ już kilkakrotnie próbowano mu sprzedać stare przedmioty, które okazywały się falsyfikatami.

–Sam kupił je od Beduinów. Powiedzieli mu, że są to fragmenty skórzanych zwojów znalezionych w grocie w pobliżu Morza Martwego. Według nich znajdują się tam setki takich kawałków jak ten. Prosil go, aby ocenił ich wartość. Z tego powodu chciałem się z tobą zobaczyć.

–Pokaż. Jeśli rzeczywiście ma to jakąś wartość, zajmę się tym osobiście.

Ormianin wyjął z kieszeni skrawek pergaminu i przyłożył do drucianej siatki, aby profesor mógł go obejrzeć. To, co Ferenkz zobaczył, przypominało mu zwoje znalezione w różnych jaskiniach, a zwłaszcza inskrypcje grobowe z I wieku, które sam odkrył w okolicach Jerozolimy. Nigdy jednak nie widział tego rodzaju inskrypcji na skórze, która w przeciwieństwie do twardego kamienia, była materiałem raczej nietrwałym. Do tej pory zajmował się badaniem starych resztek konstrukcji, domostw, fortyfikacji, instalacji wodnych, świątyń i ołtarzy, znalezionych

w takich miejscach przedmiotów, narzędzi i sprzętów domowych. Nie badał nigdy tekstów pisanych, a tym bardziej pergaminów.

Mimo to, nie bardzo wiedząc dlaczego, Ferenkz tego właśnie dnia i o tej godzinie uznał, iż pokazany mu kawałek skóry nie jest fałszywy.

–Wracaj do Betlejem i zdobądź pozostałe fragmenty. W tym czasie ja postaram się załatwić sobie przepustkę, żeby przyjść do twojego sklepu – powiedział do Ormianina.

Ormianin zadzwonił w następnym tygodniu. Zdobył kolejne kawałki skóry. Profesor Ferenkz czym prędzej udał się do jego sklepu. Zbadał uważnie dostarczone fragmenty. Oglądał je przez wiele godzin, posługując się lupą, odczytał i doszedł do wniosku, że były naprawdę autentyczne. Chętnie udałby się do Betlejem, żeby kupić cały zwój, lecz w powietrzu wisiała wojna, w kraju panowało napięcie. Nie było mowy o tym, żeby Żyd mógł arabskim autobusem pojechać z Jerozolimy do Betlejem.

Nazajutrz wciąż rozmyślał o manuskryptach, które wymykały mu się z rąk. Tego wieczoru ogłoszono, że decyzja Organizacji Narodów Zjednoczonych w sprawie podziału kraju zostanie poddana pod głosowanie następnej nocy. Wtedy profesor przypomniał sobie, co mówił mu jego syn. Był on dowódcą operacyjnym Haganah, żydowskiej wojskowej organizacji podziemnej, i miał pseudonim Matti. Powiedział on ojcu, że w momencie gdy Organizacja Narodów Zjednoczonych ogłosi swą decyzję, rozpoczną się arabskie ataki. Ferenkz pomyślał, że ma jeszcze jeden dzień na uratowanie manuskryptów. O świcie wyszedł z domu i udał się do swojego ormiańskiego przyjaciela. Obaj pojechali do arabskiego kupca, który przekazał im to, czego dowiedział się od Beduinów.

–Są to Beduini z plemienia Taamireh, mieszkającego na wybrzeżu Morza Martwego.

Któregoś dnia zgubiła się owca z ich stada. Pobiegli jej szukać i dotarli do groty, gdzie się schowała. Weszli do środka i znaleźli gliniane dzbany, zawierające kawałki skóry pokryte drobnym pismem hebrajskim.

Handlarz pokazał im dwa dzbany. Ferenkz otworzył je i wyjął pergaminy, które, jak się wydawało, lada chwila mogły się rozsypać. Jednakże one, wydobyte na światło dzienne po dwóch tysiącach lat zamknięcia, gotowe były do nowego życia. Ferenkz ostrożnie rozwinął zwoje, stulone ciasno niby pączki kwiatów na wiosnę, skręcone jak kokony bezpośrednio przed wykluciem się poczwarki. Rozpoznał pismo takie jak w Biblii, jakby zostało napisane przez Żydów tysiące, setki lat wcześniej albo zaledwie wczoraj. Ferenkz pomyślał, że chyba nikt ich nie czytał od ponad dwóch tysięcy lat. Ze skarbem ukrytym na sercu wrócił do Jerozolimy przez Bramę Jaffa. Właśnie te pergaminy wkrótce miały stać się znane na całym świecie pod nazwą „zwoje znad Morza Martwego”.

W domu usłyszał nowinę: została przyjęta rezolucja w sprawie podziału Palestyny.

Nazajutrz, mimo groźby arabskich ataków, Ferenkz pojechał i kupił kolejne zwoje: *Księgę proroka Izajasza, Wojnę Synów Światła z Synami Ciemności* oraz *Zwój hymnów*.

Niedługo potem dowiedział się, że istnieje jeszcze czwarty manuskrypt. Pod koniec stycznia 1948 roku otrzymał list od niejakiego Kaira Benyaira, który chciał się z nim zobaczyć w sprawie pergaminu. Człowiek ten, żyd nawrócony na chrześcijaństwo, należący do syryjskiej ortodoksyjnej wspólnoty, był wysłannikiem biskupa Oze, przeora syryjskiego klasztoru Świętego Marka, znajdującego się w starej części Jerozolimy. Po skomplikowanej wymianie listów Ferenkz i Kair Benyair spotkali się w końcu w dzielnicy arabskiej. Wysłannik biskupa Oze pokazał Ferenkzowi stary manuskrypt, wyjaśniając, iż kupił go od plemienia Taamireh. Zapytał profesora, czy chciałby go nabyć. Profesor zorientował się natychmiast, że ten pergamin, choć podobny do poprzednich, musi mieć więcej niż dwa tysiące lat. 6 lutego 1948 roku Ferenkz i Kair Benyair umówili się na spotkanie z zamiarem dokonania transakcji, jednak wysłannik biskupa, choć obiecano mu znaczną sumę pieniędzy, zmienił zdanie i zamierzał odejść ze zwojem. Ferenkz usiłował go przekonać, ale udało mu się tylko umówić na jeszcze jedno spotkanie w następnym tygodniu. Benyair oczywiście się nie pojawił, a Ferenkz nie zobaczył już nigdy więcej tego pergaminu.

W rzeczywistości biskup wysłał swojego człowieka nie po to, żeby sprzedać manuskrypt, ale by dowiedzieć się, ile jest wart. Oze nabył manuskrypt w taki sam sposób jak Ferenkz. Po pokazaniu go kilku specjalistom zdecydował się nie kierować ich negatywną opinią, według której manuskrypt nie miał żadnej wartości.

Oze wierzył, że manuskrypt jest bardzo stary.

–Czy nie uważa pan, iż może pochodzić sprzed tysięcy lat? – zapytał jednego z ekspertów.

Ekspert odpowiedział, że jest to wykluczone. A gdy Oze nie wydawał się przekonany, dodał:

–Niech pan zrobi eksperyment. Proszę napełnić dzban rękopisami na papierze, schować

gdzieś, może pod ziemią, na dwa tysiące lat, a sam pan zobaczy rezultat.

Oze, rozczarowany, zaniósł manuskrypt swojemu przełożonemu, który doradził mu, aby przestał się tym przejmować i zapomniał o całej historii. Jednak biskup nie posłuchał tej rady. Intuicyjnie przekonany o wartości zwoju, chciał uzyskać jednoznaczną opinię eksperta.

Wysłał więc swoich ludzi do grot po inne zwoje. Przynieśli mu wiele zwojów, z których część była bardzo zniszczona. Nawiązał kontakt z pewnym handlarzem, a ten stwierdził, iż można za nie dostać znacznie więcej pieniędzy w Stanach Zjednoczonych, i zaproponował, aby oddać manuskrypt do wyceny do amerykańskiej Szkoły Badań Orientu w Jerozolimie. Potem Oze powinien opuścić kraj, ponieważ gdy tylko skończy się mandat brytyjski, Izrael najprawdopodobniej stanie w ogniu.

W tym czasie Szkoła Badań Orientu przyjęła dwóch stażystów, którzy potem stali się znani dzięki swoim pracom na temat Qumran. Pierwszym był Phillip Jonson, wykładowca z Yale Divinity School, przybyły tu z zamiarem prowadzenia badań w Ziemi Świętej, żarliwy katolik, który po niedługim czasie wstąpił do zakonu. Drugim był ojciec Pierre Michel, Francuz, specjalizujący się w archeologii Bliskiego Wschodu.

Phillip Jonson był szczupłym mężczyzną o jasnej cerze i włosach rudych jak u Ezawa i Dawida. Choć niekiedy bywał porywczy, nie miał dzikiego usposobienia Ezawa; chociaż ambitny i uparty, nie był tak wojowniczy i gwałtowny jak Dawid. Był opanowany i metodyczny jak Jakub, co czyniło z niego dobrego archeologa, pobożny jak Abraham, Izaak i Jakub, czasami

żarliwy jak Izajasz, niekiedy okazywał pesymizm i rozczarowanie jak Jeremiasz, ale przede wszystkim był bezwzględny i bezkompromisowy jak prorok Eliasz.

Pierre Michel był raczej niskiego wzrostu, okrągły, z początkami łysiny. Spontaniczny z natury, był za bardzo uparty i nerwowy, żeby umieć ukrywać swoje emocje i tajemnice. Szukał równowagi między sprawiedliwością i miłością, między wiarą i rozumem, między nadzieją i rozpaczą. Pragnął odpowiedzi, ale nigdy nie był z nich zadowolony. Był wrażliwy, ale z pewnością nie był głupi ani ulegający wpływom jak Samson. Jego dusza przypominała morze spokojne na powierzchni, lecz

wzburzone na głębokościach przez gwałtowne i niszczycielskie siły, przeciwstawne prądy, które czasami zderzały się i rozbiły o ostre podwodne skały.

Ponieważ profesor archeologii akurat był nieobecny, to właśnie Phillip Jonson przyjął biskupa Oze, którego wysiłki nareszcie zostały nagrodzone. Młody student teologii, zdążywszy już przestudiować wiele książek na temat archeologii, natychmiast stwierdził, że zwój jest rzeczywiście bardzo stary. Pierre Michel podzielał ten pogląd. Razem zabrali się do studiowania dokumentu, wykonując jego liczne zdjęcia po uzyskaniu na to zgody biskupa. Potem jako pierwsi zidentyfikowali pozostałe fragmenty przywiezione z grot, takie jak *Zwój Księgi Izajasza*, *Podręcznik dyscypliny* oraz *Księga Habakuka*. Pojęli wówczas, że to, co mają w rękach, jest największym odkryciem archeologicznym czasów nowożytnych.

Zaraz po ogłoszeniu niepodległości Arabowie wypowiedzieli wojnę państwu Izrael. Na oblężoną ze wszystkich stron, umierającą z głodu i pragnienia Jerozolimę, spadały pociski. Dzielnica żydowska w starej części miasta spaliła się. Ofiarami śmiercionośnej kanonady padły trzy święte miejsca: Bazylika Grobu Świętego, Ściana Płaczu i Kopuła na Skale. Można powiedzieć, że w czasie tej wojny Judea przeżyła apokalipsę. W tej sytuacji Phillip Jonson i Pierre Michel uznali, iż powinni wyjechać do Stanów Zjednoczonych. Przed wyjazdem przekonali biskupa Oze, aby podpisał dokument, który gwarantował im wyłączność na publikację, w zamian za to obiecali mu, że znajdą szybko kupca na zwoje. 11 kwietnia 1948 roku biskup osobiście udał się do Stanów Zjednoczonych i w ten sposób cały świat dowiedział się o istnieniu zwojów znad Morza Martwego.

Kiedy wiadomość o tym dotarła do profesora Ferenkza, wpadł on w straszliwy gniew. Wysłał wiele listów, w których udawał, że zwoje są własnością młodego państwa Izrael, ale nic to nie dało. Było już za późno. Oze opuścił Jerozolimę, wywożąc zwój, zdecydowany sprzedać go temu, kto zapłaci najwięcej.

W Nowym Jorku spotkał się z Phillipem Jonsonem i Pierre'em Michelem. Po zawarciu umowy przez dwa lata towarzyszyli oni biskupowi Oze w promowaniu zwojów w bibliotece Kongresu, na uniwersytecie w Chicago i w galeriach sztuki wielkich miast. W 1950 roku pojawiły się pierwsze ilustrowane fotografiami publikacje *Zwoju Księgi Izajasza*. W następnym roku wydano w całości *Podręcznik dyscypliny* oraz *Księgę Habakuka*.

Ferenkz natomiast przygotował w tym czasie wydanie trzech zakupionych przez siebie zwojów. Jednocześnie pracował nad dokonaną w pośpiechu transkrypcją zwoju, który dał mu

do badania Oze. Uważając, że ten cenny dokument jest własnością Izraela, udał się do Stanów Zjednoczonych, aby spotkać się z Phillipem Jonsonem. Rozmowa zaczęła się spokojnie, ale kiedy Jonson stwierdził z dumą, że to on odkrył zwoje, Ferenkz nie

zdołał powstrzymać irytacji.

–Sądzę, że pan wie, gdzie znajduje się ostatni zwój, który Oze chciał mi sprzedać, zanim się rozmyślił.

–Nie wiem, o czym pan mówi – odrzekł Jonson. – Wszystkie zwoje, które posiadamy, są już opublikowane.

–Pan kłamie – stwierdził Ferenkz. – Powinniście zwrócić ten zwój. Nie należy do was i nie macie żadnego prawa podejmować decyzji w tej sprawie.

–To żydzi nie mają tu nic do gadania – odparł na to katolicki ksiądz.

Wojna została wypowiedziana, ale Ferenkz nie zdołał doprowadzić jej do końca. Umarł w 1953 roku przekonany, że „jego” zwój, który miał w ręku tak krótko, przepadł na zawsze. Nie przypuszczał, że rok później zostanie odnaleziony przez jego syna.

Matti został zwolniony ze stanowiska szefa sztabu armii izraelskiej, żeby mógł kontynuować badania ojca. Zajął się opublikowaniem książki, którą ojciec napisał na temat trzech odkrytych przez siebie manuskryptów, sporządził też komentarz do jednego z nich, *Wojny Synów Światła z Synami Ciemności*. A potem, kiedy przyjechał do Stanów Zjednoczonych, by wygłosić odczyt, otrzymał list, w którym zaproponowano mu kupno manuskryptu znad Morza Martwego.

Natychmiast pomyślał, że może chodzić o słynny zwój, którego nie udało się kupić jego ojcu od Kaira Benyaira. I nie mylił się. Oze żądał zbyt wygórowanej ceny i wciąż szukał nabywcy. Rozpoczęły się więc ożywione pertraktacje, które kontynuowano w Izraelu. Po wielu perypetiach Matti w końcu zdobył manuskrypt.

Niestety nie zdążył go przeczytać. 5 czerwca 1967 roku znowu wybuchła wojna, Izrael został zaatakowany przez sąsiadów. Mattiego zmobilizowano i powierzono mu funkcję doradcy strategicznego. 7 czerwca stoczono bitwę o Jerozolimę. Tysiące fragmentów zwojów znad Morza Martwego, zamkniętych w drewnianych pudełkach, znajdowało się wówczas sześćdziesiąt kilometrów od Ammanu, w pracowni konserwacji pergaminów, w podziemiach Muzeum Archeologicznego Jerozolimy, która należała jeszcze do Jordanii. Izraelscy spadochroniarze dostali się do Starego Miasta i weszli kamiennymi stopniami na ulicę Tiferet. Po tysiącu lat nieobecności znowu ujrzeli Ścianę Płaczu, która chroniła Świątynię przed zburzeniem. Z czołami opartymi o mur, ze wzniesionymi do góry rękoma, modlili się i skrapiali łzami miejsce, gdzie niegdyś znajdował się Przybytek. Dominowało nad nim wzgórze, na którym Abraham, gdyby nie przeszkodził mu w tym Bóg, złożyłby w ofierze swego syna Izaaka.

Potem, po zaciętej walce z jordańskimi oddziałami, zajęli muzeum, w którym znajdowały się zwoje z Qumran. Wojsko wroga zostało odepchnięte aż za Jerycho,

na północ od Morza Martwego. Dzięki temu nie tylko muzeum z setkami manuskryptów, ale także osada Chirbet

Qumran przeszły pod kontrolę izraelską. Rankiem 7 czerwca, jeszcze w trakcie bitwy o Jerozolimę, Matti z dwoma żołnierzami wszedł z bijącym sercem do pracowni konserwacji pergaminów w Muzeum Archeologicznym. Jednak długie stoły, zazwyczaj pełne kawałków pergaminów, były puste. Drogocenne manuskrypty znaleźli w piwnicach muzeum, zapakowane w pośpiechu do drewnianych pudeł i złożone tam jeszcze przed bitwą.

Matti postanowił wtedy dołączyć do nich manuskrypty, które posiadał, aby zbiór był kompletny. Znajdował się wśród nich również ów słynny manuskrypt, z takim trudem przez niego zdobyty. Władze izraelskie nie chciały otwartej wojny z poprzednimi posiadaczami tych zwojów. Zawarto porozumienie, na mocy którego profesor Jonsón zebrał ekipę uczonych, mających zbadać manuskrypty. Ta grupa, złożona z pięciu starannie dobranych naukowców, miała za zadanie odczytać wszystkie fragmenty i opublikować rezultaty.

Któregoś dnia, już po wojnie, Matti przyszedł do muzeum, chcąc przestudiować słynny manuskrypt. Jednak, choć szukał go wszędzie, w salach muzealnych i piwnicach, nigdzie go nie znalazł. Po kilku dniach intensywnych poszukiwań i bezskutecznego śledztwa musiał pogodzić się z faktem, że zwój zniknął bez śladu.

–Kto tak naprawdę wiedział o istnieniu tego manuskryptu? – zapytał mój ojciec, gdy Shimon skończył swoją opowieść.

–Trudno powiedzieć. O ile odkrycie pierwszych zwojów pozostawało tajemnicą, wieść o tym, że Oze przekazał jeden z ważnych manuskryptów znad Morza Martwego, rozeszła się bardzo szybko w środowiskach uniwersyteckich, które przystąpiły do studiowania pisma z Qumran. Zainteresowanie uczonych tymi manuskryptami znacznie wzrosło po odkryciu w Qumran czwartej groty, we wrześniu 1952 roku. Członkowie plemienia Taamireh, ci, którzy parę lat wcześniej odkryli groty w Chirbet

Qumran, udali się znów w to miejsce w nadziei, że znajdą kolejne manuskrypty, których sprzedaż okazała się tak dochodowa. Drążyli w skale, kopali w ziemi, aż pod warstwą pyłu znaleźli kolejne tysiące fragmentów.

–To prawda. Prasa światowa nie pisała o niczym innym. Jednak nikt nie zdawał sobie

jeszcze sprawy z wagi tego odkrycia. Lektura zwojów była powolna i żmudna. Tylko wytrawni

badacze potrafili zrozumieć ich znaczenie, pojąć, że stanie się to punktem wyjścia dla nowych

poszukiwań historycznych, że nareszcie poznają prawdę o powstaniu judaizmu rabinicznego i

początkach chrześcijaństwa. Do tej pory zadowalano się zbieraniem rozproszonych informacji

o życiu Jezusa i narodzinach chrześcijaństwa, rozpowszechnianych z pokolenia na pokolenie w

różnych dziełach literackich, takich jak: Miszna, Talmud, Nowy Testament, dzieła Józefa

Flawiusza i dzieła apokryficzne, na przykład *Księga jubileuszów*, w których przez setki lat

wprowadzano poprawki, coś zmieniano lub usuwano pod wpływem cenzury. Ponadto księgi

religijne były przez długi czas przepisywane ręcznie, słowo po słowie, werset po wersecie,

przez skrybów żydowskich i chrześcijańskich, i dlatego ich wiarygodność historyczna stawała

się coraz bardziej wątpliwa. Przeredagowywano je, kiedy uznawano je za heretyckie, a w okresach prześladowań religijnych palono na stosie. Zakazywano ich czytania, niekiedy przepisywano na nowo tak, aby były zgodne z aktualnymi trendami. W tym wypadku mamy do czynienia nie z kilkoma rozproszonymi fragmentami, ale z materiałem, który z dnia na dzień nabiera większego znaczenia. Wśród zwojów są duże kawałki i bardzo małe, zwinięte i wytarte, lepiej lub gorzej zachowane, końcówki tekstu, fragmenty bez żadnych imion, a mimo to wyłania się z nich historia... Rozumieją to dobrze tylko uczeni.

–I dlatego zwróciłem się do ciebie. Niewykluczone, że sprawcą kradzieży manuskryptu

był jeden z członków międzynarodowej grupy Phillipa Jonsona, jego nieodłączny towarzysz,

francuski ksiądz Pierre Michel. Bo tylko oni mieli dostęp do zwojów. Czy znasz pozostałych

członków tej ekipy?

–Wiem, kim są. Jest wśród nich Thomas Almond, Anglik, agnostyk, orientalista, któremu

nadano przydomek „Anioł Ciemności” z powodu jego dziwnych manier i obszernej czarnej

peleryny, którą nosi. Drugi to polski ksiądz Andrzej Lirnow, człowiek o melancholijnym

usposobieniu. Ostatni z nich to dominikanin Jacques Millet, Francuz, raczej ekstrawertyk, łatwo

rozpoznawalny z powodu białej rozczochranej brody i grubych okularów w okrągłych

oprawkach. Oni wszyscy mieli bezpośredni dostęp do zwojów i nie dopuszczali do nich nikogo.

Ponadto grupa ta bardzo rzadko publikowała coś oficjalnie, a większość

fragmentów z czwartej

groty była omawiana na seminariach w ścisłym gronie, zamkniętych dla szerszej publiczności.

Jednak w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym roku wydarzyło się coś ciekawego. Pierre Michel, zaproszony do Harvardu, podczas wygłaszanego tam odczytu ujawnił kilka elementów ze zwoju, nad którym pracował. To, co powiedział, dziwnie przypominało zwój, który Matti miał w ręku, zanim został mu ukradziony. Znajdowały się w nim dwie kolumny w języku aramejskim, w których prorok Daniel objaśniał sen pewnego króla. Najciekawsza zaś część fragmentu, datowanego przez Pierre'a Michela na pierwszy wiek przed naszą erą, była interpretacją snu, zapowiadającego pojawienie się „Syna Bożego” lub „Syna Najwyższego”.

– Takich samych tytułów użył archanioł Gabriel w Zwiastowaniu, opisanym w Ewangelii Świętego Łukasza – dodał mój ojciec.

– Pierre Michel odmówił publikacji dokumentu. Poza kilkoma luźnymi informacjami rzuconymi na tej konferencji i odczytaniem przetłumaczonego przez niego małego fragmentu zawartość zwojów pozostała tajemnicą.

Shimon przystanął na moment, wyjął z kieszeni kawałek papieru i podał go mojemu ojcu.

Nazwą go „Najwyższy” Nazwą go „Syn Boży”.

– Znam ten fragment – powiedział ojciec. – Ale nikt nie widział końca tego tekstu, nie da się więc stwierdzić z całą pewnością, czy mowa jest o nadejściu Mesjasza wysłanego przez Boga.

– Fakt jest faktem, że od konferencji w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym roku nigdy już nie wspomniano ani słowem o tym zwoju. Mijały lata i nie pojawiała się żadna nowa publikacja. Wyglądało na to, że wydano nakaz przerwania badań.

Członkowie

międzynarodowej grupy rozjechali się w różne strony. Jonson objął niezłe stanowisko na uniwersytecie Yale, Almond wrócił do rodzinnej Anglii, Millet dzielił czas między Jerozolimę, gdzie nadal kierował wykopaliskami, i Paryżem, gdzie pracował jako wykładowca. Natomiast Pierre Michel wrócił do Paryża, porzucił stan duchowny i obecnie pracuje w CNRS^{*6}

– A Andrzej Lirnow – uzupełnił ojciec – popełnił samobójstwo nie wiadomo z jakiego powodu.

– Tak... Pewnie zastanawiasz się – powiedział po chwili wahania Shimon – dlaczego

zająłem się tą sprawą, choć nigdy nie interesowałem się archeologią. Tak się składa, że rząd izraelski poszukuje obecnie tego zaginionego manuskryptu nie z powodów teologicznych, z pewnością bardzo skomplikowanych, ale dlatego że prawnie należy on do nas i zawiera istotne elementy dotyczące historii narodu żydowskiego.

–Sądziś, że jest to zwój, którego fragment Pierre Michel odczytał na swoim wykładzie?

–Wiele na to wskazuje.

–Czy domyślacie się, co zawiera cały zwój?

–Nie wiadomo. Prawdopodobnie mówi o Jezusie.

–Czy jest niebezpieczny dla chrześcijaństwa?

–Byłoby lepiej, gdyby znalazł się w piwnicach Watykanu z innymi zakazanymi tekstami – stwierdził spokojnie Shimon.

–Czy masz jakiś pomysł, co się z nim stało?

–Nie wiem. Z pewnością nie zniknął przypadkiem. Mamy na ten temat pewne hipotezy. Pozostałe manuskrypty należały do sekty z Qumran, do esseńczyków. Ich obecność datuje się mniej więcej na czasy Jezusa, jednak żaden ze znalezionych dokumentów o nim nie wspomina. Bardzo więc możliwe, że zaginiony zwój zawiera jakieś ważne tajemnice dotyczące chrześcijaństwa.

–Tak, rozumiem, co masz na myśli. Ale nie mogę podjąć się tego zadania, Shimonie. To nie jest robota dla mnie. Nie jestem już żołnierzem i nigdy nie byłem szpiegiem. Zostałem naukowcem, archeologiem. Nie mam ochoty jeździć po całym świecie w poszukiwaniu tego manuskryptu. Może już przepadł, może został spalony?

Shimon milczał przez chwilę, zastanawiając się nad czymś. Ojciec dobrze go znał i wiedział, że nie jest człowiekiem, który łatwo rezygnuje. Znał jego szczególny sposób patrzenia na rozmówcę, poważny i zarazem ironiczny. Choć usiłował to ukryć, wszystko zdradzało w nim szpiega. Jego powolny, pewny siebie chód, badawcze taksujące spojrzenie brązowych oczu, wolny sposób mówienia i reagowania na słowa innych, jakby gromadził informacje. Ojciec domyślał się, że Shimon szuka argumentów, żeby go przekonać, znaleźć jakiś punkt zaczepienia.

–Chodzi o to, że potrzebny mi uczony, paleograf, a nie żołnierz... – odezwał się w końcu. – Wiem, że interesujesz się manuskryptami.

–Słuchaj, kiedy w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku, ponad pięćdziesiąt lat temu, odkryto manuskrypty z Qumran, sytuacja była zdecydowanie

inna. Wtedy miejsce to

6*CNRS – Centre Nationale de la Recherches Scientifique, Krajowy Ośrodek Badań Naukowych.

stanowiło część Palestyny pod rządami brytyjskimi. Na wschodzie znajdowało się królestwo Transjordanii. Nie było wówczas drogi biegnącej wzdłuż Morza Martwego, urywała się ona na północno-zachodnim brzegu. Ta droga, wyboista i zarośnięta, pokrywająca się ze starożytnym szlakiem rzymskim, przez długi czas nie była naprawiana. Żyli tam tylko Beduini. Dziś jest już nowoczesna, prowadzi się tam wykopaliska, a ty mi mówisz o międzynarodowych zagrywkach. Oddaliśmy Palestyńczykom gaje oliwne w okolicach Jerycha, mówi się nawet o tym, żeby dla utrzymania pokoju dać im część Pustyni Judejskiej, łącznie z Qumran. To wszystko jest dla mnie zbyt skomplikowane. Ja się na tym nie znam, to przekracza moje możliwości, rozumiesz? Znam odnalezione manuskrypty. Wiem już, że esseńczycy, którzy mieszkali tam w epoce Jezusa, ci gorliwi skrybowie, dla których jedynym sensem życia, wręcz celem egzystencji, było zapisywanie tego, co widzieli, nie wspominają o Jezusie. Chcecie odnaleźć ostatni z tych manuskryptów, żeby dowiedzieć się, czy zawiera jakieś informacje o Jezusie? Co o nim mówi? Czy Jezus był esseńczykiem? A jeśli tak, to czy znaczyłoby to, że chrześcijaństwo jest odłamem essenizmu? Załóżmy, że ten zwój nic o tym nie mówi. Czy oznaczałoby to wówczas, że Jezus działał później niż esseńczycy? A jeśli w zwoju nie ma wzmianek o Jezusie, czy miałoby to oznaczać, że był postacią fikcyjną? Czy Jezus naprawdę żył? Właśnie dlatego ta sprawa jest niebezpieczna. Trzeba unikać rewolucji. Nie wiemy nic o tym manuskrypcie i niech tak pozostanie. Lepiej nie ryzykować pogorszenia sprawy. Izraelowi nie jest to potrzebne. To zbyt potężna broń. To bomba, która może wybuchnąć przed nosami tych, którzy ją posiadają.

–Słuchaj – odrzekł Shimon – nie proszę cię o analizowanie zawartości zwoju. Jeśli nie

chcesz tego robić, zajmą się tym inni. Jeśli nie powinna być ona opublikowana, to nie będzie,

zaufaj mi. Ty masz tylko odnaleźć ten manuskrypt, gdziekolwiek on się znajduje, u chrześcijan,

żydów, Beduinów czy Arabów, i przekazać go mnie.

–A jeśli on już jest w posiadaniu chrześcijan, Watykanu?

–Wykluczone.

–Dlaczego?

Znowu zapadła cisza. Przez kilka minut Shimon żuł patyczek, jakby ważył w myślach

argumenty za i przeciw, oceniał wartość informacji, którą zmierzał ujawnić, kalkulował ryzyko i koszty.

–Ponieważ Watykan gorączkowo go teraz szuka – odpowiedział wreszcie.

–Skąd wiesz?

–Czy słyszałeś o Papieskiej Komisji Biblijnej?

–Tak, trochę.

–To instytucja powołana na początku tego wieku przez papieża Leona Trzynastego, aby przeciwdziałać tak zwanemu ruchowi modernistycznemu w kościele. Do jej zadań należy czuwanie nad katolickim piśmiennictwem. Początkowo składała się z dwunastu kardynałów, mianowanych przez papieża, oraz pewnej liczby konsultantów, ekspertów w różnych dziedzinach. Oficjalnie komisja śledziła wszelkiego rodzaju odstępstwa w wydawanych świętych tekstach. W szczególności jej obowiązkiem było kontrolowanie, czy na uniwersytetach nie podważa się autorytetu Starego i Nowego Testamentu oraz promowanie ich oficjalnej katolickiej interpretacji. Można by przypuszczać, że po upływie półwiecza sytuacja się zmieniła, zwłaszcza po Soborze Watykańskim Drugim. W rzeczywistości tak się nie stało. Dziś Instytut Studiów Biblijnych w Jerozolimie, z którym współpracuje większość

członków międzynarodowej ekipy, jest tak samo bliska Papieskiej Komisji Biblijnej jak w przeszłości. Większość absolwentów tej uczelni komisja umieszcza w charakterze wykładowców w seminariach i innych instytucjach katolickich. Tak więc to konsultanci komisji decydują, co opinia publiczna ma wiedzieć o zwojach znad Morza Martwego. Kiedy w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym roku *Zwój Miedziany* został odczytany w Manchesterze przez zespół pod kierownictwem Thomasa Almonda, Watykan zwołał nadzwyczajne posiedzenie komisji, żeby zapobiec rozpowszechnianiu zawartych w nim rewelacji. Komisja ta jest wyjątkowo konserwatywna. Wydała książki sugerujące, że Mojżesz był autorem Pięcioksięgu, oraz takie, które stwierdzają ścisłą zgodność historyczną trzech pierwszych rozdziałów Księgi Rodzaju. Całkiem niedawno ta sama komisja wydała zarządzenie dotyczące studiów biblijnych, zgodnie z którym ten, kto chce interpretować ewangelie, musi to robić w duchu posłuszeństwa wobec władz Kościoła katolickiego.

–I co z tego wynika? Czy sądzisz, że ten zwój jest dla nich tak ważny? Jak daleko mogą się posunąć, żeby go zdobyć?

–Myślę, że bardzo daleko. Papieskiej Komisji Biblijnej podlega jeszcze inna instytucja – Kongregacja Nauki Wiary, która jest przede wszystkim trybunałem i ma swoich własnych sędziów. Zajmują się oni wszystkim, co mogłoby zagrozić jedności Kościoła. Podobnie jak w średniowieczu, dochodzenia prowadzone są w najgłębszej

tajemnicy. Do tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku uważano, że Papieska Komisja Biblijna i Kongregacja Nauki Wiary są oddzielnymi organizacjami. Obecnie zrezygnowano z pozorów i te dwie instytucje, choć nieco się od siebie różnią, mają swoje biura pod tym samym adresem w Rzymie. Zasady obu tych urzędów są proste: bez względu na to, do jakich wniosków prowadziłyby lektura zwojów, nie wolno dopuścić, aby podważony został autorytet Kościoła. Powiem ci jeszcze więcej. Kongregacja Nauki Wiary ma historię sięgającą trzynastego wieku. Od tysiąc pięćset czterdziestego drugiego roku stała się ona znana pod nazwą Świętego Oficjum lub... Świętej Inkwizycji. Ze wszystkich organizacji kurii papieskiej Kongregacja Nauki Wiary jest najpotężniejsza. W opinii jej członków nowe prądy teologiczne zdemoralizują Kościół, co pociągnie za sobą jego upadek. Tylko usuwanie wszelkich odstępstw doktrynalnych może zapewnić odnowę w ujednoczonej wierze i dogmacie. Uważają oni, że ci, którzy nie podzielają ich poglądów, są ślepcami, albo jeszcze gorzej – złoczyńcami. Tak się składa, iż dawny stażysta, Phillip Jonson, który jako jeden z pierwszych pracował znad zwojami, jest obecnie jedną z osób odgrywających kierowniczą rolę w Kongregacji Nauki Wiary. Wiemy, że miał ten zwój w ręku, z pewnością go przeczytał, gdy jeszcze był w Instytucie Studiów Biblijnych w Jerozolimie. Jednak teraz już go nie ma. Phillip Jonson jest gotów na wszystko, by odnaleźć ten zwój. Śledziliśmy trasy, którymi od wielu miesięcy on i jego wysłannicy jeździli do różnych krajów.

–Co to za ludzie?

–Członkowie międzynarodowej grupy na czele z jego najwierniejszym towarzyszem, ojcem

Pierre'em Michelem. Jest tam także ojciec Millet.

–To znaczy...

–Że są to wybitni inkwizytorzy Kościoła katolickiego.

Shimon chciał za wszelką cenę przekonać mojego ojca, namówić do współpracy. Wiedział, że nie zrażają go trudności, ale zdawał sobie sprawę, że bardzo trudno będzie wciągnąć tego racjonalnie myślącego człowieka w taką historię.

–Kto na początku miał ten zwój? – zapytał po namyśle ojciec.

–Oze, prawosławny biskup, od którego zwój kupił Matti. Przypuszczamy, że Phillip Jonson zręcznie go oszukał i przekazał zwój Pierre'owi Michelowi, aby go przestudiował.

–A Oze? Czy zna treść manuskryptu? Shimon odpowiedział po chwili wahania:

–On nie żyje, Davidzie. Został zamordowany w ubiegłym tygodniu, gdy wracał do

Jerozolimy. Zniknęły pieniądze, jakie miał przy sobie, oraz zwój. Być może złodzieje będą chcieli go odsprzedać. Nie wolno tego przegapić, jak to się przydarzyło Mattiemu, nie wolno dopuścić, by poszedł w świat.

–Przecież Matti był oficerem wysokiej rangi, miał ludzi do pomocy. Nie mogę sam prowadzić poszukiwań. Będę musiał spotykać się z uczonymi, a także, być może, z oszustami i mordercami. Nie – pokręcił głową ojciec – to naprawdę zadanie nie dla mnie... Nie podejmuję się tego i nie warto już więcej o tym dyskutować.

–To twoje ostatnie słowo?

–Ostatnie.

Ojciec uśmiechnął się. Zbyt dobrze znał Shimona i wiedział, że tak szybko nie rezygnuje. Zaraz rzucił na stół kartę atutową.

Shimon spuścił wzrok, wpatrując się w ziemię. Po chwili zaczął:

–Skoro tak, to muszę powiedzieć ci wszystko. Chciałem to ukryć do chwili, kiedy się zgodzisz, ale ponieważ odmawiasz... Może mógłbyś dostarczyć mi pewnych informacji. Nie chodzi tylko o Watykan. Owszem, chrześcijanie szukają tego zwoju, ale jest to także sprawa kryminalna. To, co ci teraz powiem, musi pozostać między nami.

–Oczywiście.

–Powiedziałem ci, że biskup Oze został zamordowany, ale pominąłem pewien szczegół. Policja zdecydowała się zatuszować sprawę, by nie wywołać paniki i móc spokojnie prowadzić śledztwo.

Ojciec był zaskoczony, że Shimon mówi z takim zakłopotaniem.

–O co chodzi? – zapytał.

–Nie uwierzysz... On został ukrzyżowany.

–Ukrzyżowany?

–Ukrzyżowany jak Jezus. Przybito do krzyża. Z tym że krzyż był nieco inny, miał dwie poziome poprzeczki, dłuższą i krótszą.

–Krzyż lotaryński?

–Tak, ale z uciętym szczytem. Ręce nieszczęśnika przybito do poziomego ramienia, a nogi do pionowego. Skonał dość szybko wskutek uduszenia. Początkowo sądzono, że uczynił to jakiś szaleniec, maniak. I tu pojawia się problem, z którym do ciebie

przychodzę. Istnieje podejrzenie, że ta zbrodnia ma coś wspólnego z manuskryptami.

–Naprawdę?

–Tak. Oze wrócił ze Stanów Zjednoczonych nagle, bez zapowiedzi. Wyglądało na to, że przed czymś uciekał... Widzisz, ten krzyż przypomina egzekucję... Davidzie, nie wiem, o co tu chodzi, ale zrobił to szalenie, który może powtórzyć swój czyn w każdej chwili.

–Rzeczywiście...

Shimon, widząc niezdecydowanie ojca, dodał:

–Będziesz potrzebował kogoś do pomocy, żołnierza, człowieka młodego, zdolnego cię

obronić. A przy tym wykształconego.

–Bez wątpienia – mruknął ojciec, już w połowie przekonany.

–Znam kogoś, kto odpowiada temu opisowi. I ty także go znasz.

–Kto to taki?

–To twój syn, Ary, który studiuje obecnie w jesziwie. Czytałem jego opinię z wojska. Wiem, że ocalił życie mojemu synowi. To odważny człowiek, który byłby doskonałym żołnierzem, ale wolał wybrać drogę bardziej... kontemplacyjną.

–Nic nie jest u ciebie dziełem przypadku, prawda? – skrzywił się ojciec. – Wszystko z góry przewidziałeś. Nie pozostaje mi nic innego, tylko ruszać w drogę...

ZWÓJ DRUGI

Zwój świętych

Gdy byłem młody, szukałem mądrości.

Ukazała mi się w swojej wspaniałości

I poznałem ja.

Kwiat winorośli daje winogrono,

a z winogrona powstaje wino, które rozwesela serca.

Szedłem po jej płaskich drogach,

bo poznałem ją, będąc młodym.

Usłyszałem ją,

Pojałem ją do głębi

i to ona mnie napoiła.

Dlatego składam jej hołd.

Podziwiałem ją.

I czyniłem dobro.

I zapragnąłem jej.

I nie odwróciłem twarzy.

Pożądałem jej

z całą jej wzniosłością. '

Otworzyłem drzwi,

które pozwalają odsłonić tajemnicę.

Oczyściłem się,

aby poznać ją w czystości.

Miałem mądrość w sercu

i nie opuściłem jej. (...)

O, wy, Liczni, słuchajcie moich słów,

a otrzymacie złoto i srebro.

Zwoje z Qumran

Psalmy pseudodawidowe

1

Po dokonaniu dzieła stworzenia Bóg przypatrzył się uważnie wszystkiemu, co stworzył: światłu, niebu, gwiazdom, słońcu i księżycowi, ziemi i morzu, planetom i zwierzętom, i uznał, że jest dobre.

Czasami jego zadowolenie mnie dziwiło. Czy dobra tego świata dają się ocenić tak, jak dobra świata przyszłego? Po co więc obrałem drogę ascezy, dzięki której miałem łatwiej osiągnąć dobra przyszłego świata, skoro dozwolone są także te pierwsze? ***Powiedziałem sobie: „Nuże! Doświadczę radości i zażyję szczęścia! ”. Lecz i to jest marność. O śmiechu powiedziałem: „Szaleństwo!”, a o radości: „Cóż to ona daje?”*.***⁷

Nie byłem synem marnotrawnym. Byłem dzieckiem godnym Davida Cohena, mimo iż w tym momencie nie doceniałem złożonej mi propozycji. Shimona zdziwiłby mój wygląd chasyda, gdyż widział mnie przedtem w zielonym mundurze podoficera piechoty. Byłem wysoki, brodaty, z niebieskimi oczami po matce Rosjance, nosiłem małe okrągłe okulary. Moja broda nie była tak bujna jak u starych mędrców, powiedziałbym nawet, że dość rzadka. Sylwetkę miałem taką jak ojciec: szczupłą, umięśnioną, co sprawiło, iż dobrze radziłem sobie w walce, gdy służyłem w wojsku, ale odkąd dołączyłem do chasydów, nie dbałem już tak o swoje ciało.

Podobnie jak wszyscy moi bracia nosiłem tradycyjne, długie, kręcone pejsy, które czasami wiązałem na głowie pod kapeluszem. Ani w dzień, ani w nocy nie zdejmowałem z głowy czarnej aksamitnej kipy, nawet wtedy, gdy zakładałem kapelusz. Na nogach miałem czarne skarpetki i czarne płaskie pantofle bez sznurowadeł. Także moje spodnie, zgodnie z tradycją, były czarne. Pod długim ciemnym kaftanem nosiłem białą koszulę, a pod nią modlitewny szal

–*talit* – z wąskiego prostokątnego kawałka płótna w kremowym kolorze, z otworem na głowę, tak iż tworzył coś w rodzaju kamizelki zakrywającej mi piersi i plecy, z rytualnymi frędzlami, wplecionymi na pamiątkę Przymierza z Panem. Nie nosiłem krawata, gdyż jest on elementem stroju wyraźnie nieżydowskiego. W pasie przewiązywałem się długim sznurem uplecionym z czarnego jedwabiu, zwanym *gartł*,

który ma oddzielać górną część ciała – serce

–od bardziej prozaicznej – genitaliów. W szabat i święta zakładałem czarny płaszcz z jedwabnej błyszczącej satyny.

Studiowałem archeologię pod kierunkiem ojca i pomagałem mu w jego pracach i badaniach, ale było to w czasie, kiedy jeszcze nie ucześnie do jesziwy, wykluczającej wszelką inną działalność, zazdrosnej niczym Bóg Izraela. Kiedy byłem mały, ojciec zabierał mnie na tereny wykopalisk. Byłem jego jedynym dzieckiem. Jednak byłem też bardzo pobożny i praktykujący. Żydzi określają takiego człowieka mianem „ortodoks”.

W przeciwieństwie do ojca, który nie przestrzegał szabatni ani nie jadł koszernej jedzenia, każdego rana przywiązywałem do ramienia filakterie, inaczej *tefilin*. W czasie szabatni, gdy ojciec z matką wybierali się samochodem na wycieczkę po kraju, nakładałem duży, biały szal

*Księga Koheleta (Eklezjastes), 2, 1-2.

modlitewny – *kitel* - aby pobłogosławić wszystkich moich kolegów z jesziwy, ponieważ byłem synem Cohena, potomkiem wielkich kapłanów z tego rodu, do których należał obowiązek błogosławienia ludu Izraela. Całe moje życie toczyło się zgodnie z Prawem. Każdego ranka odmawiałem poranną modlitwę. Przed posiłkiem zawsze błogosławiłem jedzenie. Nie kładłem się spać bez odmówienia modlitwy wieczornej. I nie było dnia, bym nie oddawał się studiom. Poprzez Prawo czas łączył się z przestrzenią: świadczyła o tym mezuzah we framudze drzwi, świeczniki ustawiane na stole w szabatni i w oknach na święto Chanuka. Poprzez Prawo słowo stawało się ciałem: jadałem mięso tylko tych zwierząt, których mięso pozwalała jeść Tora, a więc przeżuujących i mających rozwidłone kopyta, a także ryby z łuskami i płetwami. Poprzez Prawo ciało było radością.

Wieczorem w piątek i przez całą sobotę odpoczywaliśmy w jesziwie bez zapalania światła, nie biorąc do ręki ani ołówka, ani papieru, ani innych narzędzi pracy, ale śpiewaliśmy i tańczyliśmy całe noce zgodnie z chasydzkim rytuałem, bo, jak powiadał jeden z naszych znamienitych rabinów, „śpiewamy nie dlatego, że jesteśmy szczęśliwi, ale jesteśmy szczęśliwi, bo śpiewamy”. Nie żyliśmy w ascezie ani w umartwieniu, żyliśmy razem we wspólnocie, młodzi i starzy, kobiety i dzieci, i wszyscy byli szczęśliwi, że w szabatni są zjednoczeni, żeby jeść wspólnie przygotowane posiłki i złociste haloty, słuchać słów naszych nauczycieli i śmiać się z ich żartów. Gdy nad Jerozolimę zapadał zmierzch, zapowiadając czas odpoczynku, dzielnicah Meah Shea-rim zapadała w letarg. Młodzi ludzie biegli na jej obrzeża, by ustawić na ulicach beczki, mające powstrzymać wszelki ruch, podczas gdy inni napychali kieszenie kamieniami, gotowi rzucać nimi w pierwszy samochód, który próbowałby tędy przejechać. Dźwięki syren mieszane z trąbieniem szofarów

zapowiadały nadejście królowej Szabat, a beztroski tłum, odświętnie ubrany w najpiękniejsze stroje, wypełniał ulice, zmierzając do licznych synagog, które niekiedy mają rozmiary niewielkiego domu. Niektórzy spośród rabinów, stojąc przed swoimi drzwiami w czarnych i białych strojach modlitewnych, wzywali przechodniów, szukając ostatniego sprawiedliwego do utworzenia *minjan* - zgromadzenia dziesięciu wiernych, koniecznego do

odprawienia nabożeństwa. Z otwartych okien dochodziły tony przejmujących melodii, psalmów oraz modlitw przerywanych głośnymi okrzykami, a w tym samym czasie młodzi studenci Jesziwy intonowali radosne pieśni. (...) *żyjący wiedzą, że umrą, a zmarli niczego zgoła nie wiedzą, zapłaty też więcej już żadnej nie mają, bo pamięć o nich idzie w zapomnienie. Tak samo ich miłość, jak również ich nienawiść, jak też ich zazdrość - już dawno zanikły, i już nigdy więcej udziału nie mają żadnego we wszystkim, cokolwiek się dzieje pod słońcem. Nuże więc! W weselu chleb twój spożywaj i w radości pij swoje wino! Bo już ma upodobanie Bóg w twoich*

*czynach**.⁸

Żyłem w Jerozolimie w szczególnym miejscu, zamkniętym dla większości ludzi. Jeśli istnieje na tym świecie zakątek zbliżony do ideału, to jest nim Mea Shearim, położona między Starym Miastem i nową dzielnicą żydowską. Wygląda, jakby została zbudowana przez samych Żydów, by odizolować się od innych Żydów, jakby nie mogli zaspokoić swej potrzeby odróżniania się.

Księga Koheleta (Eklezjastes), 9, 5-7.

Bez wątplenia jest to anachronizm, odbiegający od realnego życia w Izraelu. Bez wątplenia stanowimy pozostałość po czymś dawnym i być może znikniemy zupełnie z upływem czasu. Jednak jest możliwe, że przyszłość będzie należeć do nas i że mimo wszystko przetrwamy dzięki wierze i przyrostowi naturalnemu, bo nasze rodziny były liczne jak gwiazdy na niebie, jak piasek na morskiej plaży, bo żyły w wierze i mnożyły się, jak przykazał nasz Pan, nasz Bóg.

Mea Shearim to dzielnica wąskich uliczek z niskimi domami o niedużych balkonach, z niekończącymi się podwórkami w amfiladzie. Przed wejściem do dzielnicy widnieje napis w języku angielskim, żydowskim i hebrajskim:

Córko żydowska, Tora nakazuje ci ubierać się skromnie. Spódnice powinny sięgać za kolana, mężatki powinny mieć nakryte głowy. Prosimy zwiedzających, aby nie urażali naszych uczuć religijnych, spacerując po naszej dzielnicy w nieodpowiednich strojach.

Mea Shearim zajmuje kilka kilometrów kwadratowych, a jej nazwa oznacza „sto bram”. Sto bram, a może i więcej, otwiera się na kolejne bramy, które otwierają się

na podwórza, prowadzące do sekretnych miejsc, znanych tylko wtajemniczonym.

Gdy wszedłem tu po raz pierwszy, miałem siedemnaście lat. Moi rodzice nigdy tu nie byli. To nie była dzielnica dla nich. Na początku zaskoczony patrzyłem na ten świat wąskich uliczek, przywodzący na myśl wieczność. Starzy rabini, stojąc na chodnikach, dyskutowali całymi godzinami nad jakimś jednym werselem z Talmudu. Wkrótce potem zostałem wezwany, by do nich dołączyć, powiększyć szeregi uczniów tych niezwykłych szkół, niedających dyplomów, niemających konkretnego celu, poza trochę dokładniejszym spenetrowaniem wszechświata boskiej wspólnoty.

W tamtym czasie sądziłem, że wszyscy mieszkańcy tej dzielnicy poświęcają się studiom i sławieniu żydowskiej tradycji. Nie zastanawiałem się nad problemami ekonomicznymi. Wszystko tu wydawało mi się otoczone magiczną nieprzeniknioną aurą. Potem przekonałem się, że rzeczywiście połowa mieszkańców poświęcała swój czas i umiejętności studiowaniu, a drugą stanowili skrybowie, stróże rytualnych łaźni, sprzedawcy peruk i mezuz, rzemieślnicy produkujący metalowe świeczniki na świąteczne dni. Żyli z subwencji wspólnot zagranicznych z Williamsburga, dzielnicy chasydów w Nowym Jorku. I dzięki temu mogli oddawać się nauce. A było to jedyne zajęcie, jakie potrafili wykonywać. Od piątego roku życia uczyli się na pamięć Tory. W wieku dwunastu lat znali już Talmud, potem poznawali kabałę, ale dopiero koło czterdziestego roku życia wolno im było czytać *Zohar*, czyli *Księgę blasku*. Zazdrościłem tym, którzy od najwcześniejszego dzieciństwa mieli szczęście poznać tradycję. Czułem, że brakuje mi wykształcenia i że będę musiał się zmienić, zacząć wszystko od początku. Nie zdawałem sobie jeszcze wówczas sprawy, do jakiego stopnia byłem podatny na to, by wtopić się w świat, w którym żyli starzy rabini w sztrajmelach na głowach, z długimi brodami, w kapotach, matki i wszystkie ich dzieci, bracia i siostry – ten święty lud, poruszający się spieszonym krokiem, ludzie o podobnych bladych twarzach, okolonych długimi pejsami. Świat przechodzących jedno w drugie podwórek, gdzie krzątały się dziewczęta w chustach i kobiety w perukach i kapeluszach, z ramionami okrytymi szalami, z nogami schowanymi pod długimi spódnicami. Za nimi został czas pogromów, nienawiści wysysanej z mlekiem matki, nadchodzącej z wolna, lecz nieuchronnie straszliwej katastrofy następnych wieków. I dlatego jedynym miejscem, gdzie

znenawidzony Żyd i jego biedna odrzucona rodzina mogli czuć się u siebie, gdzie mogli podjąć jednoczące ich studia, była ta dzielnica między stoma bramami, ta wspólnota gotowa bronić się przed wszelkimi atakami z zewnątrz. Widząc przed sobą święte księgi, każdy mógł czuć się panem swego losu i przeznaczenia, być spadkobiercą bogatej, liczącej tysiące lat kultury. Wspólnota żyjąca za stoma bramami była niczym twierdza, gdzie każdy był królem i zarazem wolnym obywatelem, nie było tu niewolnictwa ani męczeństwa.

Tworząc getto w samym sercu Izraela, ludzie ci otworzyli się na mistyczne tchnienie kabały. Zaczęli żyć prawdziwym życiem, kierując swe myśli ku twórczej intencji Boga.

Skazując się na takie wygnanie, zdawali sobie sprawę, że aby jakiś czyn uznano za słuszny, nie wystarczy jego racjonalność. Czyn taki powinien zachować głębię zamysłu, widoczną już w chwili jego narodzin. Tak więc, aby osłonić się przed światem rzeczywistym, wymyślili świat przyszły i określili go słowem „uniesienie”.

Poznałem uniesienie, zanim jeszcze zetknąłem się z chasydyzmem. Zawsze łatwo ulegałem egzaltacji. Zdarzało się, że wpadałem w trans, czułem, jak bierze mnie w swe posiadanie jakaś odwieczna siła. Mógłbym wtedy pokonać każdą przeszkodę. Ożywiony taką wiarą, podjąłem studia religijne wbrew protestom moich rodziców. Wiedziony tym samym zapalem, zszedłem na drogę chasydyzmu, bo wiedziałem, że tylko chasydzi potrafią zrozumieć nawiedzonych. Czy umiem to wyznać? Czy umiem to opisać? Niekiedy byłem bliski osiągnięcia *devekut*, stanu najwyższego, pełnego szczęścia.

W jesziwie nauczono mnie pierwszych kroków prowadzących do ekstazy. Poznałem techniki modlitewne sprzyjające koncentracji, nauczyłem się patrzeć na litery w książkach w taki sposób, aby dostrzec wewnętrzne światło hebrajskich znaków, które daje życie słowu i rzeczy. Dowiedziałem się, czym jest kontemplacja i długi post. Nauczyłem się wyczuwać najdrobniejsze oznaki magii. Czasami wystarczy, że powieje wiatr, by objawiła się tajemnica.

Czułem się tak, jakbym pozbywał się mojego jestestwa, dochodziło do tego, że ztracałem się, niemal o sobie zapominałem, nie miałem nad sobą władzy. Uwolniony od wszystkich egoistycznych więzi, zamykających mnie w samym sobie, otwierałem się na nieprzenikniony, cudowny blask. Miałem wrażenie, że moje ciało ulatuje, przechodzi w stan lewitacji, jakbym znalazł się nad sobą martwym i abstrakcyjnym, próbując zabrać to, co było mną, ku niebiańskiemu światu. W tym unicestwianiu siebie czułem, że unoszę się ponad przestrzenią i czasem, aby dojść do tego, co najistotniejsze. Dzięki osiągnięciu odwiecznego spokoju ducha docierałem do Absolutu, odnajdywałem niezwykle prawdy tworzenia. Oddawałem się wzniosłym myślom. Pisałem książki, czytałem Torę. Byłem Mojżeszem i Eliaszem, byłem królem i zarazem prorokiem. Myśli moje unosiły mnie poza ziemskie życie ku przyszłemu światu, którego nadejście zależało ode mnie, albowiem byłem Mesjaszem.

Wieczorami, trzymając się za ręce, tańczyliśmy do utraty tchu wokół ogniska. Tańczyliśmy tak całą noc aż do świtu. Nasze kapelusze, stykając się ze sobą rondami, tworzyły czarne, falujące bez końca, wzburzone morze. Czasami jeden pośród nas odrywał się od grupy i tańczył sam w środku kręgu, tuż przy ogniu. Gdy zbliżał się do płomienia, był już tylko wyginającym się cieniem, prawie niewidocznym, a na jego zaczerwienionej od żaru twarzy malowała się ekstaza.

Czasami zbieraliśmy się na podwórzu, gdzie przy akompaniamencie orkiestry odbywały się magiczne tańce. Niektórzy wirtuozi przybierali przedziwne pozy, wykręcając głowy do tyłu. Przy wykonywaniu jednej z tych figur pierwszy tancerz

subtelnyymi ruchami starał się rozbudzić tego, który udawał martwego, aż w końcu tańczyli razem w takt wściekłego rytmu.

Bóg stworzył człowieka, koncentrując swą nieskończoną wolę w ograniczonym bycie. Przez tę koncentrację, to skurczenie się w sobie samym, dał miejsce stworzeniu. *Cimcum*. Sprowadzam moje ja do nicości, aby dojrzeć mądrość początku z wszelkimi nieustającymi zmianami i ewolucjami. W ten sposób odkrywam to, czego istnienia nawet nie podejrzewałem w stanie świadomości. Ustępuję miejsca komuś innemu, temu, który tkwi we mnie, a którego nigdy nie widziałem. Jestem demiurgiem tworzącym poprzez niewypowiedziany gest. Odkrywam boski świat – całkowitą odmienność, absolutną transcendentalność.

Jednak do osiągnięcia tego konieczna jest długa asceza, odrzucenie pokus tego świata, trzeba przestać zajmować się samym sobą, pozbyć się miłości własnej, dumy, jak również smutku, albowiem łązy powodują, iż zapominamy o Bogu. Trzeba stworzyć w sobie pustkę, aby móc poznać to wszystko, co się tam już znajduje w stanie utajonym, choć o tym nie wiemy, w myślach, słowach, pragnieniach i wspomnieniach. Należy uwolnić wolę zdolną oddać mu całą swoją siłę.

Tylko wówczas można dojść do prawdziwego poznania rzeczy. W przeciwieństwie do rozumu, który ogranicza się do postrzeganych przedmiotów, przez tautologiczne powtarzanie tego samego, *devekut* czyni ze mnie abstrakcję.

To właśnie *devekut* pełnił u nas rolę rozumu, z niego czerpaliśmy zasady naszej etyki. Był ośrodkiem naszego życia, jądrem Odkupienia. Bo dzięki niemu poznaje się Mesjasza. Podobnie jak Bóg i on nie ujawni się w całej swej postaci, lecz w swej emanacji. A gdy to się stanie, połączy od nowa w każdej myśli, każdym słowie i każdym czynie iskry boże, które są w nas rozproszone.

***Rano siej swoje ziarno i do wieczora nie pozwól spocząć swej ręce, bo nie wiesz, czy wszędzie jedno czy drugie, czy też są jednakowo dobre*^{*9}. Kiedy byłem chasydem, wstawałem wcześniej rano, przechodziłem przez dzielnicę arabską, by z Mea Shearim dostać się do centrum Starego Miasta, którego białe mury lśniły w świetle brzasku. Wiedziałem wtedy, dokąd podążam i dlatego szedłem różnym krokiem. Serce biło mi mocno i wydawało mi się, że miasto patrzy na mnie niczym oblubienica. Przepęłniał mnie przedziwny spokój. Niekiedy nogi niosły mnie w tajemnicze zakątki, do zakazanych dzielnic, jednak zawsze odnajdowałem drogę wiodącą do Ściany Płaczu. By do niej dotrzeć, trzeba było przejść wąskimi, często ciemnymi i krętymi uliczkami. Zawsze, gdy wychodziłem z jakiegoś zaułka, byłem zaskoczony, widząc, jak wyłania się przede mną ogromna, nieruchoma, sprawująca straż nad miastem niby najlepszy z**

Księga Koheleta (Eklezjastes), 11, 6.

wartowników Tsahalu. Teraz nie była to już dawna Ściana Płaczu. Był to Zachodni Mur, zbudowany przez Heroda wokół Świątyni, by ją chronił. Obecnie, jak na ironię, chronił tylko siebie samego. Całowałem go, a potem, dotykając ręką, odmawiałem poranną modlitwę. Przez szacunek dla zburzonej Świątyni, gdy kończyłem się modlić, jak każdy pobożny Żyd wycofywałem się tyłem, by nie odwracać się do niej plecami.

Następnie udawałem się do którejś z wielu jesziw w tej dzielnicy, aby kontynuować studia talmudyczne. Spędzałem tam cały dzień, dyskutując nad stronicami grubych tomów Talmudu, szukając ostatecznego argumentu, choć wiedziałem, iż żaden argument nigdy nie jest ostateczny. Często po takiej bezowocnej dyskusji nieuchronnie dochodziliśmy do tradycyjnej formuły *teku*, która głosi, że z nadejściem Mesjasza wszystkie pytania i wszystkie problemy znajdą swoje rozwiązanie.

Tam po raz pierwszy ujrzałem rabbiego. Siedział w kącie pokoju i nie zwracając uwagi na młodych hałaśliwych talmudystów, głaszcząc brodę, kiwał się nad otwartą książką. Śpiewnym głosem kończył zawsze modlitwę zagadkowymi słowami: *Izrael jest jak róża z kolcami. Co oznacza róża? Wspólnota Izraela jest jak biała lub czerwona róża i czasami doznaje surowości, a czasami łagodności.*

Zapytałem jednego z kolegów, kim jest ten człowiek.

–Jak to, nie wiesz? – zdziwił się. – Przecież to rabbi.

–Jaki rabbi?

–No, rabbi – powtórzył kolega, jakby nie było innego rabbiego.

Potem, kiedy studiowałem pod jego okiem i kiedy wiele się od niego nauczyłem, przekonałem się, jakim był niezwykłym człowiekiem. Mawiał: „Nie jest twoim obowiązkiem wypełniać to zadanie, ale to nie znaczy, że możesz tego nie robić”. Mówił także, że Żydzi mieli zamiłowanie do studiów już wiele tysięcy lat temu, gdy byli na pół koczowniczym ludem i wędrowali z miejsca na miejsce w krainie Kanaan. Nauczył mnie, iż najważniejsze jest rozwijanie własnej inteligencji. Jeśli nie koncentrowaliśmy się na studiowaniu Talmudu, wpadał w gniew. Twierdził bowiem, że łatwo jest stracić wątek przedstawianych argumentów, a wówczas rezultat okaże się pusty i beztreściowy. Należało śledzić rozumowanie krok po kroku, jakby chodziło o policyjne dochodzenie, zmierzające do wykrycia intrygi. Staraliśmy się pojąć ukryty sens Prawa, który odsłaniał się tylko za cenę ogromnego wysiłku. Rabbi nie chciał, jak inni nauczyciele, aby jego uczniowie pochłaniali wiedzę niczym zwykłe informacje, ponieważ uważał, że powinni nauczyć się samodzielnego myślenia. Między nauczycielem i jego uczniami nie było żadnej zawiści.

Najczęściej zaczynaliśmy od tego, że rabbi prosił jednego z nas o przeczytanie którejś strony Talmudu. Temat dyskusji nie miał specjalnego znaczenia. Mogło chodzić o unoszącą się w powietrzu wieżę, o mysz, która przynosiła okruchy chleba do jakiegoś domu w święto Pesach, o

plód przetransplantowany z jednej macicy do drugiej, o robota uczestniczącego w *minjan*. Dyskusja nad sześcioma, siedmioma linijkami tekstu mogła trwać nawet dwie godziny. Jeśli opuściło się jeden dzień, jedną godzinę, niemożliwe stawało się śledzenie rozumowania, tak było skomplikowane.

Czasami zadawałem sobie pytanie, co się dzieje w umyśle osiemnastoletniego młodzieńca, który pragnie poświęcić dziesięć lat swego życia na studiowanie tekstów Talmudu w jeszi-wie, skoro mógłby robić tysiące innych rzeczy? Co może skłaniać go do wejścia na tę ukrytą drogę? Większość moich kolegów nie była *baal teszuwa* jak ja, który dobrowolnie powróciłem do tradycji religijnej. Znaleźli się tutaj z woli swoich rodziców, aby stać się mędrkami. Ja ujrzałem dalekie światło i pragnąłem podążać w jego stronę.

Studiowanie nie satysfakcjonowało mnie tak, jak czysta, zwykła kontemplacja. Wiedza nie była dla mnie najwyższym dobrem. Jak większość chasydów, a w przeciwieństwie do racjonalistycznej żydowskiej tradycji, uważałem, iż szczegółowa analiza tekstu, drobiazgowa egzegeza, pokrętne wywody, które tworzą talmudyczną metodę *pilpul*, są podporządkowane głównemu celowi, żebyśmy przywiązali się mocno do Boga i nigdy od niego nie oddalali.

Nie było to łatwe. Nie mogliśmy wychodzić z jesziwy, chyba że tego wymagała absolutna konieczność. Zabronione było posiadanie pism, gazet, a nawet odbiorników radiowych. Rabbi powtarzał, że jesziwa nie jest szkołą podobną do innych. Wymaga głębi, czystości, świętości i dlatego nie nadaje się dla wszystkich.

Nie wolno nam było interesować się tym, co dzieje się poza szkołą. Jesziwa była miejscem chroniącym nas przed światem, zamykała drzwi, nie pozwalając wejść intruzom, a jej członkom wyjść.

Nie wolno nam było spotykać się z dziewczętami. Rabbi pouczał, że chłopak może chodzić z dziewczyną tylko w roku poprzedzającym ich ślub.

–Skąd mamy wiedzieć, że to właśnie jest ten rok przed ślubem? – zapytałem kiedyś rabiego. – Przecież trzeba przedtem poznać tę dziewczynę.

–Kiedy masz osiemnaście lat i zaczynasz studia na uniwersytecie, to najprawdopodobniej ożenisz się dopiero po czterech latach. Co się dzieje, jeśli w wieku osiemnastu lat poznasz dziewczynę, która jest ci przeznaczona? Chodzić z ukochaną i tylko z nią rozmawiać nie jest łatwo. I dlatego lepiej unikać takiej sytuacji.

–Chłopcy chcą spotykać się z dziewczętami, bo inaczej nigdy nie nauczą się, jak się wobec nich zachowywać.

–Spotykając się z dziewczętami, wiele się o nich nie dowiesz. Zresztą ci, którzy zaczynają późno, i ci, którzy zaczynają wcześniej, są tak samo szczęśliwi w małżeństwie.

Nie mogliśmy przygotowywać sobie jedzenia, ponieważ rozpraszałoby to naszą koncentrację. Nie mogliśmy chodzić do kina, by nie zrodziła się w nas pokusa czynienia zła. Obowiązywał nas zakaz słuchania muzyki z kaset. Niektórzy pożyczali magnetofony od nauczycieli, mówiąc, że potrzebne im są do nauki, ale słuchali Simona i Garfunkela. Twierdzili, że ich piosenki przypominają im melodie żydowskie.

Przedtem bardzo lubiłem chodzić do kina, kiedy jednak uczyłem się w jesziwie, nawet gdyby mi pozwolono, tobym nie chodził. Co by sobie ludzie pomyśleli, widząc mnie w kinie w

***sztrajmelu*, z pejsami? Staralem się nie interesować kobietami. Nie spoglądałem na nie na ulicy, a gdy z nimi rozmawiałem, spuszczałem wzrok, by nie napotkać ich spojrzenia. Rabbi**

ostrzegał, że latem, kiedy skąpo się ubierają, trzeba być jeszcze bardziej ostrożnym.

Gdy się żyje w miejscu tak innym, tak odizolowanym od reszty świata, pozostaje tylko lektura i nauka. Szkoła miała nas zahartować i uczynić silnymi, abyśmy mogli w razie potrzeby walczyć z siłami zła niszczącymi świat. Nie przestawaliśmy szykować się do tej wojny, gotowi na każdą okoliczność. Byliśmy armią nowych czasów.

***Mądrość czyni mądrego silniejszym niżli dziesięciu mocarzy, którzy są w mieście*^{*10}.**

Nie czułem do rabbiego nienawiści. Nie okazywałem mu też bezgranicznej czci jak inni, ale widziałem w nim proroka, człowieka wybitnego. Dlatego nie miałem do niego pretensji, gdy mój najlepszy przyjaciel, Yehuda, musiał zgodzić się na zaaranżowane małżeństwo z jego córką, choć wcale go to nie cieszyło. Był młodszy ode mnie, miał dwadzieścia cztery lata, i nie słyszałem, żeby robił jakieś plany małżeńskie. Jednak nie oburzał się, kiedy mu je narzucano, chociaż wcale tego nie pragnął i nawet nie znał tej, którą mu wyznaczono. W taki sposób zawierano większość małżeństw.

Wszystko zaczęło się od jego siostry, która była w wieku odpowiednim do zamążpójścia. Ich ojciec udał się do swata, aby znalazł jej męża. Ten znał pewne rodzeństwo, brata i siostrę, którzy byli wolni, a ponieważ wiedział także, że Yehuda jeszcze nie ma żony, zaproponował podwójną transakcję – aby siostra Yehudy poślubiła tamtego młodzieńca, a Yehuda jego siostrę. Ojciec Yehudy najpierw odmówił, uważał bowiem, że syn może jeszcze poczekać. Ale czas mijał, swat wracał kilka razy do sprawy, rozmawiał z matką Yehudy, której zdanie w takiej sprawie liczyło się bardziej. Kiedy usłyszała nazwisko rodziny, do której miałby wejść jej syn i córka, nie mogła się nie zgodzić, chodziło bowiem o dzieci rabbiego. Omówiono więc sprawy finansowe. Potem Yehuda został przyjęty przez rabbiego. Ponieważ należało zachować odpowiedni dystans, bo sprawa nie była jeszcze zakończona, spotkali się w jesziwie. W czasie tego spotkania miały być poddane ocenie zdolności talmudyczne młodzieńca. Yehuda dobrze się przygotował i doskonale zdał ten egzamin. Co jakiś czas rabbi przerywał mu, by zapytać o jakiś punkt lub prosić o dokładniejsze wyjaśnienia. Po dziesięciu minutach rozmowy rabbi pokiwał głową na znak zadowolenia. Dziewczyna przeznaczona Yehudzie nazywała się Rachel i miała dziewiętnaście lat. Umiała prowadzić dom, gotować, pragnęła zostać krawcową.

–To wielki zaszczyt – powiedział później do mnie Yehuda – poślubić córkę rabbiego. Czy zdajesz sobie z tego sprawę? Moi rodzice szaleją z radości.

–A co myślisz o tym twoja przyszła żona? – zapytałem.

–Widziałem ją tylko raz, więc nie wiem. Ale dzięki niej wejdę do tej rodziny!

Rabbi i Yehuda spotkali się ostatni raz przed samym ślubem. Przechadzali się razem ulicami Mea Shearim, rozmawiając o jesziwie, o różnych rzeczach. Kiedy się rozstawali, rabbi uśmiechnął się do niego i powiedział: *Gute Nacht*.

Księga Koheleta (Eklezjastes), 7, 19.

Kilka tygodni potem rozbito szklanekę na pamiątkę zburzonej Świątyni. Mnóstwo chasydów z całego świata przybyło na tę ceremonię. Był to wspaniały ślub, podczas którego młoda żona zgodnie ze zwyczajem siedem razy obeszła wkoło swego męża.

To prawda, że Yehuda jako zięć rabbiego miał do niego ułatwiony dostęp, mógł

ciągle śledzić jego słowa, jego gesty i czyny. Dla chasyda była to trudna do przecenienia szansa.

Znałem doskonale ten zwyczaj aranżowanych małżeństw, ale mimo to ogarnął mnie smutek. Czuję bowiem, że dla Yehudy zaczyna się inne życie. A i ja powinienem szykować się do małżeństwa. Oczywiście miałem już wiele propozycji. Moi rodzice byli niewierzący, nie stanowiłem więc najlepszej partii, ale zacząłem praktykować, szybko się uczyłem, byłem jednym z najlepszych studentów w jesziwie i miałem dobrą opinię. *Lepsze jest dobre imię niż wonne olejki, a dzień śmierci niż dzień urodzenia*^{*11}. Wielu ojców i matek przychodziło zachwalać przede mną zalety swych córek, ja jednak nie zbliżałem się do nich nigdy, bo rozmowa z nimi oznaczałaby zawarcie umowy. Co mogłem na to poradzić, skoro nie nadszedł jeszcze mój czas?

Myślałem nawet, żeby zdać się na przypadek i pójść do swata, jednak ślub Yehudy przyspieszył nieco bieg wypadków. W Talmudzie napisano, że źle jest, gdy mężczyzna żyje sam.

Odchodząc do jesziwy, umarłem dla moich rodziców. Nie mogłem już jadać z nimi posiłków, choć na początku zgadzałem się jeszcze na wypicie herbaty i zjedzenie ciastka. Potem stopniowo przestałem ich odwiedzać. Jak miałbym wejść do domu, w którym na framudze drzwi nie było zgodnej z przepisami mezuzy, do kuchni, gdzie wszystko było trefne, gdzie w tym samym garnku gotowano mleko i mięso, gdzie jadało się skorupiaki i inne zakazane zwierzęta, nawet, niech im Bóg wybaczy, wieprzowinę? Jak siadać do stołu z tymi, którzy przed posiłkiem nie myją rąk, nie modlą się, a po najedzeniu się nie wypowiadają słów podziękowania? Jak mógłbym mieszkać z tymi, którzy gotowali, zapalali światło i jeździli samochodem w dzień szabatu? Jak mógłbym patrzeć na kobietę zamężną, która nie nakrywa głowy? Moi rodzice byli bezbożnikami, wiarołomna matka nie pojmowała, dlaczego jej syn został chasydem. Jej zdaniem było to cofnięcie się o kilka wieków wstecz, do więzienia, do getta. Czyż nie przyjechała do Izraela po to, żeby uwolnić się od tych wszystkich więzów? Uważała, że byłem za młody, by żyć jak asceta według starych, nieaktualnych już zasad, że nie powinienem wierzyć w te wszystkie przesady, które przeszkadzają cieszyć się życiem.

Nie traktowałem tych zakazów jak restrykcji, gdyż wskazywały mi drogę postępowania. Ubrany w lisiurę i czarny płaszcz wiedziałem, że mam na zawsze pozostać młodym. Mój strój był zbroją przeciw starości, chronił mnie przed blichtrzem społecznym, hipokryzją, rozpustą, małostkowością, pogonią za pieniędzmi, a więc przed tym wszystkim, co szpeci świat i z młodych ludzi czyni smutnych, rozczarowanych starców. Rabbi mawiał, że młodość nie zdaje

Księga Koheleta (Eklezjastes), 11,9.

sobie sprawy, iż sama w sobie jest szczęściem i gubi się w dążeniu do niego. *Ciesz*

się młodzieńcze, w młodości swojej, a serce twoje niech się rozwesela za dni młodości twojej. I chodź drogami serca swego i za tym, co oczy twe pociąga; lecz wiedz, że z tego wszystkiego będzie cię sądził Bóg^{*12}.

Odbyłem służbę wojskową, w odróżnieniu od większości moich kolegów z jesziwy, którzy sprzeciwiali się jej z powodów religijnych, jak również ideologicznych, nie byli bowiem syjonistami. Rodzice pragnęli, bym poszedł do wojska, i postąpiłem zgodnie z ich wolą... Ten kraj dał nam wiele i przynajmniej tyle należało dla niego zrobić, broniąc przez trzy lata jego bezpieczeństwa, to znaczy bezpieczeństwa nas wszystkich, a więc także chasydów. Byłem w Libanie. Przekonałem się, co to znaczy obywać się bez snu całe dni, tygodnie, czuwając w czołgu, śledząc wroga. Poznałem, co to strach, towarzysz niedoli, z którym nauczyliśmy się żyć. Nie było tygodnia, żebym nie uczestniczył w wojskowym pogrzebie i nie słyszał skierowanej w niebo armatniej salwy, wyrażającej cierpienie i bezsilność, że oto zginął w walce kolejny młody człowiek w tym samym wieku co ja. Wojna nie była dla mnie zabawą, ale czymś całkowicie realnym, dzięki czemu pojąłem, do jakiego stopnia trudny jest nasz czas, jak bardzo niepewna i zagrożona jest nasza egzystencja na tej ziemi, że nasze życie to ciągła, okrutna walka. Tak było, gdy Dawid walczył z Goliatem, gdy Jerycho zostało zdobyte, a potem utracone, gdy wzgórze Golan zajęli czterej Mezopotamczycy, wypędzeni później przez Abrahama, gdy trwało oblężenie Masady, symbolu tego kraju, niewielkiego kawałka ziemi w otoczonym ze wszystkich stron kraju, zmuszonym wciąż bronić swych granic, odpierać wroga zastawiającego pułapki. I cały czas z tą samą nadzieją nadal toczy się walka o te same miasta.

Byłem żołnierzem w zielonym mundurze, z pistoletem maszynowym w ręku, i jak umiałem kontynuowałem tę walkę, by móc stanąć pod Ścianą Płaczu, oprzeć głowę o szorstki mur i modlić się gorąco o to, żeby ta wojna była już ostatnią, żeby straszliwa tułaczka i powrót nie okazały się daremne, abyśmy mogli nadal używać naszego odrodzonego języka, użyźniać pustynię, w letnie wieczory podziwiać nasze miasto, zalane delikatnym miedzianozłotym blaskiem słońca. *Aszkelon, widząc to, z bojaźni zadrży, podobnie Gaza pogrąży się w trwodze i Ekron zawiedzie się w nadziei^{*.13}*

Podczas trzech lat służby wojskowej poznałem młodzież z całego świata, narkotyki, alkohol, różne rozrywki. Ale wszystko to nie pociągało mnie na tyle, bym tego pragnął. Spotykałem się z kilkoma dziewczynami, zakosztowałem tego sztucznego raj, opartego na chemii lub fałszywych sentymentach. Patrzyłem na to z dystansu, nie znajdując żadnej w tym przyjemności, nigdy nie wracając do tego, co minęło. Koledzy mówili o mnie „dziwak”, widzieli, że choć nimi nie gardzę ani ich nie lekceważę, po prostu bardzo się od nich różnię. Mówili, że jestem z innej epoki, z innego świata, że nie pasuję do naszego czasu. I mieli rację. Byłem jak eksponat, żywy antyk. Przedmiot do studiowania, stary, dobrze zakonserwowany pergamin, wciąż jednak świeży mimo swego wieku, gotowy beztrząsco odsłonić prawdy swojej młodości i minionych wieków.

* Księga Koheleeta (Eklezjastcs), 7, 1. Księga Zachariasza, 9, 5.

Ojciec nie podzielał poglądu matki, że było to szaleństwo i krok do tyłu. Nigdy nie wygłaszał żadnych komentarzy na ten temat. Powody jego milczenia zrozumiałem znacznie później.

Nie wiedziałem, że w młodości był człowiekiem bardzo pobożnym, nie rozumiałem, jak Cohen mógł być tak „zasymilowany”, sądziłem, że nie pojmował, dlaczego nawet w skwarne dni lata ubierałem się na czarno jak polscy Żydzi w getcie.

Ale on wiedział z pewnością lepiej ode mnie, dlaczego to robię. Nie zdawałem sobie sprawy, do jakiego stopnia przeszłość jest jego religią, a jego zawód poszukiwaniem przeszłości. Archeologia to nasza wspólna pasja. Kiedy pracowaliśmy razem przy wykopaliskach, kiedy wspólnie badaliśmy stare dokumenty, byliśmy naprawdę jak ojciec i syn, a syn nie był uważany za marnotrawnego.

Tak więc, gdyby nie interwencja Shimona, gdyby nie to, że wezwał mnie ojciec, pewnie bym się ożenił i prowadził spokojne życie, bowiem w księgach jest powiedziane, że należy studiować, by móc dalej studiować. Ale musiało się coś wydarzyć, a ja, wprawdzie nieświadomie, nie przestawałem na to czekać. Nawet jeśli w głębi ducha uważałem, że studia same w sobie są nagrodą, miałem niejasne przeczucie, w przeciwieństwie do wielu moich kolegów, że nie był to ostateczny cel mego życia, że coś się szykuje i ja sam do tego się przygotowuję. *Powiedziałem sobie: I stałem się większym i możniejszym niż wszyscy, co byli przede mną w Jeruzalem; w dodatku mądrość moja mi została*^{*14}.

Rysunek lepiej niż długa opowieść wyjaśni, jaki jestem. Mógłbym zostać przedstawiony na akwareli za pomocą niewyraźnych kresek i pastelowych kolorów. W tamtym czasie, choć widziałem zło, byłem niewinny, bo nigdy w nim nie uczestniczyłem. Byłem czysty jak nowo narodzone dziecko. I nie działo się tak dlatego, że nigdy nie zbłądziłem, ponieważ grzeszyłem jak każdy człowiek, ale miałem w sobie prawość, której życie nie zniszczyło. Sam decydowałem o tym, co wybierałem w moich snach i pragnieniach. Nic nie mogło mnie zatrzymać ani przestraszyć. Ponieważ, prawdę mówiąc, właściwie nie żyłem. Teraz żałuję czasu, gdy jeszcze nie doznałem ran, gdyż wówczas wszystko było możliwe. Przedtem omijały mnie nieszczęścia, teraz muszę się zmuszać do życia ze wspomnieniami, które mnie paraliżują. Już za późno, by mieć nadzieję. Ale nadal idę ku ciemności, chociaż chciałbym jedynie odnowić wspomnienia.

Gdy ojciec powiedział mi o manuskryptach, nie byłem zdziwiony. Znałem tajemniczą historię ich odkrycia i było coś, co ciągnęło mnie do Qumran, do tego miejsca, gdzie, jak przeczuwałem, miałem spędzić część mego życia. *Mówienie jest wysiłkiem: nie zdoła człowiek wyrazić wszystkiego słowami. Nie nasyci się oko patrzeniem ani ucho napełni słuchaniem. To, co*

Księga Koheleta (Eklezjastes), 2, 9.

było, jest tym, co będzie, a to, co się stało, jest tym, co znowu się stanie: więc nic zgoła nowego nie ma pod słońcem. Jeśli jest coś, o czym by się rzekło: „Patrz, to coś nowego” - to już było w czasach, które były przed nami. Nie ma pamięci o tych, co dawniej żyli, ani też o tych, co będą kiedyś żyli, nie będzie wspomnienia o tych, co będą potem^{*15}.

–Pamiętam, że kierowałeś wykopaliskami w tamtym miejscu – powiedziałem do ojca.
– W pobliżu Wadi Qumran znajdowały się ruiny Chirbet Qumran. Niedaleko znaleziono cmentarz z wieloma grobami. Skierowane były na północ, więc nie mogły należeć do muzułmanów. Nie było też na nich znanych symboli.

–Tak, były to groby esseńczyków.

–Nie wiedziałem, że jeden manuskrypt został skradziony. Rozumiem, że komuś zależy na jego odnalezieniu, ale dlaczego zainteresował się tą sprawą Shimon? Co to ma wspólnego z wojskiem?

–Z tymi manuskryptami wiążą się ważne sprawy polityczne.

–O co chodzi?

–Rząd szuka tego zwoju i chce ubiec Watykan.

–Czy w tym manuskrypcie jest coś niebezpiecznego dla chrześcijaństwa?

–Nie wiadomo, co w nim jest. Nie wiadomo także, kto go ma.

–Dlaczego zwrócono się do ciebie? I dlaczego chcą, żebym ci towarzyszył?

–Pewnie dlatego, że jesteśmy osobami postronnymi i znamy się na takich poszukiwaniach.

–A co ja miałbym robić?

–Masz mi towarzyszyć, być może będę potrzebował ochrony.

–A więc to zadanie jest na tyle niebezpieczne, że potrzebujesz ochroniarza?

–Niewykluczone – przyznał ojciec.

–Kiedy mamy wyruszyć?

–Teraz, jutro. O ile to możliwe, jak najszybciej.

–Aleja nie mogę. Jestem teraz w jesziwie, a wiesz, że nie wolno przerywać studiów.

–Kto mówi, że masz przerywać studia? – odrzekł ojciec niejasno. A po chwili namysłu dodał: – Jeśli odnajdziemy manuskrypt, wspólnie go przebadamy. Może odkryjemy coś ważnego... Może będziemy musieli go ukryć, może nie oddamy go Shimonowi... W każdym razie nie mów o tym twojemu rabbiemu. – Pochylił się nade mną i szepnął: – Bez mojej zgody nie mów o tym nikomu, rozumiesz?

Skinąłem głową. Pierwszy raz prosił mnie o coś takiego: musiałem wybierać między posłuszeństwem i należnym mu szacunkiem a ślepym zaufaniem, jakim darzyłem rabiego.

A przecież już wcześniej podjąłem decyzją, opuściłem go. Jednak nigdy nie doszło

między nami do bezpośredniej konfrontacji. I choć nie poruszaliśmy tego tematu, czułem jego obecność, była jak pytanie bez odpowiedzi. Wiedziałem, że za prośbą ojca kryje się coś bardzo poważnego i że zgodnie z jego wolą nie mogę mówić o tym rabbiemu, że powinienem być

***Księga Koheleta (Eklezjastes), 1, 8-11.**

posłuszny piątemu przykazaniu, któremu sprzeniewierzyłem się w imię Tory, tej samej, która nakazuje szanować ojca swego i matkę swoją.

Nie powiedział mi o okrutnym morderstwie, dokonanym w związku z manuskryptem. Bez wątpienia chciał mnie w ten sposób ochronić. Dowiedziałem się o tym znacznie później, kiedy popełniono kolejne okrutne zabójstwa. Nie sądzę, żeby wywołały we mnie mniejszy szok, gdybym był na nie przygotowany. Tak więc o niczym nie wiedziałem, ale pragnąłem odnaleźć manuskrypt z ciekawości, wiedziony jakąś nieokreśloną siłą, jakimś nieodpartym wspomnieniem.

Udaliśmy się do doliny Jordanu, ponieważ ojciec chciał pokazać mi Qumran, tak jak wcześniej zrobił to dla niego Shimon. Miejsce, do którego mnie zawiózł, niedaleko grot, górowało nad okolicą. Na lewo, od północy, wiała się srebrzyście wśród zarośli rzeka Jordan; z tyłu za nami, od zachodu, Pustynia Judejska ukazywała ciemne stoki żółtych wydm, a w oddali widniała zielona oaza, gaje palmowe Jerycha. Przed nami szare wody Morza Martwego tworzyły jezioro, otoczone z obu stron urwistymi niebieskawymi górami, odbijającymi się w jego migoczącej powierzchni. Ojciec utkwiał wzrok w zachodnim brzegu, gdzie wznosiło się inne majestatyczne urwisko, przylądek Ras Feshka, nad jaskrawozielonymi wodami strumienia Ain Feshka. Wiedział, że w tym rejonie, bardzo blisko źródła, nieco na północ, znajduje się marglowy taras, graniczący z urwiskiem, które lekko wznosiło się nad nadbrzeżną równiną i rui nami Chirbet Qumran. Z miejsca, w którym staliśmy, nie sposób było go dojrzeć.

Byłem tu kilkakrotnie z rodzicami i z przyjaciółmi. W tym zakątku, zagubionym pośród pustyni, spotykało się tylko nielicznych mieszkających tu Beduinów.

Znacznie później zrozumiałem, że Chirbet Qumran, o którym starożytni badacze Palestyny zaledwie wspominali, było jednym z najbardziej znanych, najbardziej czczonych miejsc na Ziemi. Tylko tutaj, nad Morzem Martwym, w dzikiej krainie bez śladów człowieka ani zwierzęcia, mógł zrodzić się monoteizm. Ta ziemia mogła wydać tylko Boga jedyneho, bez imienia, bez twarzy i ciała, czystą abstrakcją. Na tutejszych wydmach, nad wodami tego morza, nie było miejsca ani dla nimf, ani dla syren.

Doszliśmy aż do dawnego klasztoru esseńczyków w Chirbet Qumran, zbudowanego z wielkich bloków szarego kamienia w pobliżu morza. Za nim wznosiły się wzgórza z

widocznymi tu i ówdzie czarnymi dziurami – naturalnymi grotami, gdzie zostały ukryte zwoje. Między Morzem Martwym a klasztorem rozciągała się nekropolia, szeroki pas ziemi pokryty kamykami. Od strony północno-zachodniej stała dwupoziomowa wieża mająca bronić osady.

W klasztorze była kuchnia z piecem i refektarzem. Sala, w której zbierali się wszyscy esseńczycy, przylegała do skryptorium o ścianach z cegły. Znalezione tu trzy kałamarze z brązu i dwa z czerwonej gliny, w których były jeszcze zaschnięte resztki atramentu. Deszcze spływające z gór zasilają wodą sześć wielkich cystern. W pobliżu odkopano duży basen, mykwę, który służył członkom wspólnoty do rytualnych kąpiei.

–Zanim zaczęły się wykopaliska – powiedział ojciec – były tu tylko kamienie i jedna cysterna wypełniona wodą.

–Czy wiadomo, jak żyli mieszkańcy Qumran?

–Ich głównym zajęciem było pisanie i studiowanie. Wspólnota posiadała olbrzymią bibliotekę z wieloma setkami woluminów. Część z nich stanowiły dzieła biblijne, a część była to literatura sekty. Na tych księgach, czytanych z wielką żarliwością, kształciła się cała wspólnota. Literatura odzwierciedlała poglądy sekty. W tamtym czasie książki nie miały autorów. Jeśli skryba, przepisując jakiś tekst, dochodził do wniosku, że należy go poprawić lub ulepszyć jakimiś dopiskami, pominięciami czy modyfikacjami, robił to według własnego uznania. Jeszcze do niedawna kopiści mieli zwyczaj demonstrować swoje talenty, przekształcając teksty, nad którymi pracowali.

–Nawet teksty święte?

–Takie teksty starano się przepisywać bez zmian. Przypomnij sobie legendę o Septuagincie. Król Egiptu Ptolemeusz Drugi wezwał z Jerozolimy siedemdziesięciu dwóch skrybów, po sześciu z każdego plemienia. Rozkazał, by każdy z nich w ciągu siedemdziesięciu dwóch dni przetłumaczył z hebrajskiego na grecki Tablice Praw Mojżesza. Jak głosi legenda, zamknięci w swoich celach na jednej z wysp na Morzu Śródziemnym, wykonali tę pracę, będąc pod wpływem boskiego natchnienia. Po siedemdziesięciu dwóch dniach okazało się, że wszystkie tłumaczenia były identyczne.

–Do czego służyło to pomieszczenie? – zapytałm, wskazując resztki murów, które, jak się wydawało, mogły stanowić jedną z głównych sal.

–Zbierali się tutaj członkowie wspólnoty. Zgodnie z rytuałem esseńczycy zasiadali tu wszyscy razem, by uczestniczyć w uroczystym posiłku, któremu przewodniczył Mesjasz. Nikomu nie wolno było tknąć chleba ani wina, zanim kapłan nie pobłogosławił każdego według hierarchicznego porządku. Ceremonia ta stanowiła

zapowiedź tego, co będzie dziać się w raju. Jeśli nie było Mesjasza, czynność tę w jego imieniu wykonywał kapłan.

–Czy nie przypomina to Jezusa i Ostatniej Wieczerzy?

–Masz rację, od tamtej pory Jezus jest identyfikowany z Mesjaszem.

–Czy twoim zdaniem istnieje jakiś związek między Jezusem i Nauczycielem Sprawiedliwości, o którym wspominają zwoje z Qumran?

–Przy obecnym stanie naszej wiedzy mogę tylko powiedzieć, że istnieje przedziwne podobieństwo. Wiesz, że zwój z *Komentarzem do Księgi Habakuka*, niestety bardzo zniszczony, podaje zamiennie cytaty z *Księgi Habakuka* i opisy późniejszych wydarzeń, które były spełnieniem się proroctw? Tam, gdzie w starych księgach mówi się o „Sprawiedliwym” lub „Złym”, komentarz wymienia sektę i jej Nauczyciela Sprawiedliwości, kapłana, który odszedł ze Świątyni. Był za to ścigany i w końcu zabity przez „bezbożnego kapłana”. Wydaje się, że ów Nauczyciel Sprawiedliwości był czczony jako męczennik tej wspólnoty. Esseńczycy uważali, iż miał objawienie od samego Boga i był prześladowany przez kapłanów Świątyni. Wierzyli także, że ich Nauczyciel Sprawiedliwości pojawi się na nowo, gdy nastąpi koniec świata, po „wojnie Synów Światła z Synami Ciemności”. Zgodnie z ich eschatologicznymi przepowiedniami Nauczyciel Sprawiedliwości ma zabić bezbożnego kapłana, przejąć władzę i wprowadzić świat

w mesjanistyczną erę. Są więc przedziwne podobieństwa między tym esseńczykiem i Jezusem chrześcijan. Jezus, podobnie jak Nauczyciel Sprawiedliwości, głosi żal za grzechy, ubóstwo, pokorę, miłość bliźniego i czystość. I tak jak tamten nakazuje szacunek dla praw Mojżesza. Jest także wybranym, danym od Boga Mesjaszem, odkupicielem świata. Podobnie jak on spotkał się z wrogością kapłanów, zwłaszcza saduceuszy. W podobny sposób został skazany i wtrącony do więzienia. On również będzie najwyższym sędzią, gdy nastąpi koniec świata. I on także zbudował Kościół, którego wyznawcy oczekują jego powrotu. Kościół chrześcijański oraz wspólnota esseńczyków mają w swoim rytuale święty posiłek, któremu przewodniczy kapłan. Tak więc istnieje wiele wspólnych punktów, ale na razie brak oficjalnych dowodów.

Ojciec mówił ze wzruszeniem, które odczuwał zawsze, gdy w miejscach badań archeologicznych powoływał do życia przeszłość. Lubiałem słuchać jego głosu, który czasami wiązał mu w gardle. Wypowiadane przez niego słowa brzmiały chrapliwie, szorstko, niczym złożeń surowych proroków.

Nieco dalej krzątali się jacyś ludzie. Robili wykop. Pracą kierował mężczyzna średniego wzrostu, dość korpulentny, z brodą i siwymi kręconymi włosami, w okularach o grubych szklach w szylkretowej oprawie. Czerwone policzki świadczyły o tym, że nie żałuje sobie wina, a pokaźny brzuch, widoczny mimo długiej sutanny

dominikanina, wskazywał, że lubi też dobrze podjąć.

Był to ojciec Millet, jeden z francuskich członków międzynarodowej ekipy. Ojciec rozpoznał go natychmiast, gdyż spotykał go przy różnych wykopaliskach i podczas konferencji naukowych. Był gadatliwy, sympatyczny, bez trudu więc nawiązaliśmy z nim rozmowę.

–Jak wam idzie? – zapytał ojciec.

–Odsłoniliśmy duży fragment zabudowań, ciągnący się na długości osiemdziesięciu metrów ze wschodu na zachód i stu metrów z północy na południe – odrzekł dominikanin, pokazując ojcu pomazany plan, który trzymał w ręku. – Oględziny murów, podłoża, jak również znalezionych przedmiotów z ceramiki oraz monet pozwoliły określić kilka różnych okresów, w których to miejsce było zamieszkiwane przez ludzi. Pierwsze ślady bytności człowieka w Chirbet Qumran sięgają epoki izraelskiej – najniższe mury fundamentów zagłębiają się w podkład pełen popiołu, zawierającego dużo skorup z drugiego okresu epoki żelaza. Znajdują się one zwłaszcza w kącie między sektorem siedemdziesiątym trzecim i osiemdziesiątym, w północnej części osady, przy samych fundamentach, które łączą się ze starszymi murami. Jedna z grup w kwadracie sześćdziesiątym ósmym znalazła ucho od dzbanka z inskrypcją *Lammelech*, „dla króla”, który należy do dobrze znanej serii naczyń, oraz kawałek skorupy ceramicznej z kilkoma literami w języku paleohebrajskim. Na podstawie położenia skorup oraz układu fundamentów zdołałem odtworzyć plan prostokątnego budynku z dużym podwórzem i dwoma pomieszczeniami przylegającymi do ściany wschodniej oraz duży występ w kącie północno-wschodnim. Odsłonięto także inny długi mur, po wschodniej stronie cysterny sto siedemnastej, ale nie wiem, czego jest fragmentem.

–Prawdopodobnie było to ogrodzenie budynku od strony zachodniej – powiedział ojciec,

rzucając szybkie spojrzenie na plan.

–Ale przed nim jest jakby jeszcze inne ogrodzenie...

–Otwierające się na północ?

–Tak.

–Tędy zapewne spływały wody deszczowe do wielkiego okrągłego zbiornika, najgłębszego

w Chirbet Qumran. Czy ustaliliście datę całości?

–Tak – odrzekł Millet, zaskoczony wiedzą ojca. – Na podstawie skorup naczyń.

Wszystko to zostało zbudowane pod koniec siódmego wieku przed Chrystusem. Tę datę potwierdza pieczęć *Lammelech*, a więc byłby to koniec okresu monarchii, natomiast skorupa z napisem paleohebrajskim pochodzi z okresu tuż przed wygnaniem. Budowla ta nie przetrwała upadku królestwa Judy, a spopielone skorupy wskazują na to, że została zniszczona przez ogień. Potem przybyła tu nowa grupa ludzi, aby osiedlić się w Chirbet Qumran.

–Ma pan na myśli zbuntowanych kapłanów, którzy odeszli ze Świątyni?

–Jest wiele hipotez na ten temat. W każdym razie, kimkolwiek byli, to oni stali się założycielami essenizmu. Niech pan spojrzy, to, co właśnie znaleźliśmy, z pewnością należało do nich.

Pokazał nam malutką fiolkę, która, jego zdaniem, pochodziła z czasu Heroda lub jego bezpośrednich następców. Prawdopodobnie została umyślnie schowana w ruinach, ponieważ owinięto ją starannie w papier z palmowego włókna.

–Popatrzcie – powiedział, przechylając lekko buteleczkę – zawiera bardzo gęstą czerwoną oliwę, całkiem inną niż używane obecnie. Według mnie jest to olejek balsamiczny,

którym namaszczano królów Izraela. Takich drzew oliwnych nie ma już od półtora tysiąca lat.

–Czy mogę ją obejrzeć? – zapytałem, a dominikanin natychmiast podał mi fiolkę.

–Czy widział ojciec *Zwój z Brązu*? - zapytał mój ojciec.

–Tak, czytałem transkrypcję Thomasa Almonda, niedawno opublikowaną. *Zwój* ten opisuje niezwykle cenny skarb, na który składają się złoto, srebro, cenne balsamy, święte szaty i naczynia, jak również wymienia sześćdziesiąt cztery miejsca wokół Jerozolimy i w całej Judei, gdzie został on ukryty jeszcze w starożytności. Zawiera także szczegółową mapę tych miejsc, z oznaczeniem basenów, grobowców i tuneli. Ilość tych drogocennych przedmiotów jest tak ogromna, że powstaje pytanie, jak udało się zebrać taki skarb.

–A czy nie jest możliwe, wzięwszy pod uwagę liczne rytualne naczynia wspomniane w *Zwoju Miedzianym*, że istniał jakiś związek między wspólnotą z Qumran i kapłanami ze Świątyni w Jerozolimie? – zapytał ojciec.

–Naprawdę sądzi pan, że wspólnota z Qumran została założona przez kapłanów, odstępców ze Świątyni? – zapytał Millet bez przekonania.

–Proszę sobie wyobrazić, że wspólnota z Qumran została założona przez dawnych

kapłanów, rywalizujących z saduceuszami. Zbliżyłoby to bardziej osobę Jezusa do essenizmu. Pamiętajmy, że występował on przeciw kapłanom ze Świątyni. Więcej, mogli potem się zemścić, skazując go na śmierć. Ponieważ Jezus, jeśli był, jak uważali esseńczycy, Nauczycielem Sprawiedliwości, stanowił dla nich poważne zagrożenie polityczne.

–Oczywiście, jeśli przyjąć, że Jezus był esseńczykiem, ale jest to tylko hipoteza, niczym nie poparta – odrzekł ojciec Millet.

–Mówił o tym Pierre Michel w swoim słynnym odczycie – odpowiedział mój ojciec.

–Tak, wiem o tym... Ale nigdy nie zostało to opublikowane i nikt nie miał dostępu do tekstu, na podstawie którego wyciągnął takie wnioski.

–Ten tekst zaginął.

–Jak wiele innych tekstów z Qumran... Ale dlaczego panowie tak bardzo się tym interesują? – zapytał nagle zaniepokojony Millet.

–Jako profesor paleografii na Uniwersytecie Jerozolimskim zajmuję się badaniami zwojów znad Morza Martwego. A ojciec od kiedy pracuje nad tymi zwojami?

–Prawdę mówiąc – odrzekł Millet, trochę uspokojony – właściwie nic mnie nie predestynowało do tego rodzaju zajęcia. Pochodzę z południa Francji, studiowałem teologię i łacinę w seminarium blisko Lyonu. Któregoś dnia trafiłem w bibliotece seminaryjnej na książki po hebrajsku i postanowiłem nauczyć się tego antycznego języka. Za zgodą mojego biskupa pojechałem do Paryża, gdzie chodziłem na wykłady sławnego orientalisty André Dupont-Sommerera. Potem zaprzyjaźniłem się z Phillipem Jonsonem, który został kierownikiem międzynarodowej grupy. Powierzył mi część najważniejszych tekstów aramejskich ze zwojów znad Morza Martwego. W końcu znalazłem się w Instytucie Studiów Biblijnych w Jerozolimie. Przez ponad dwadzieścia lat, od momentu gdy zacząłem studia archeologiczne, pracowałem nad tymi zwojami.

Millet opowiadał o swoim zamiłowaniu do archeologii i razem z ojcem rozprawiali niemal godzinę o wykopaliskach, pergaminach i historii starożytnej.

Ja zaś w czasie tej ożywionej dyskusji próbowałem rozszyfrować rysy jego twarzy. Okazało się to dość łatwe. Podobnie jak Józef, miał regularne rysy i jego twarz budziła sympatię. Obserwując go z bliska, zauważyłem biegnące przez czoło od skroni do skroni dwie poprzeczne żyłki, które nabrzmiwały i pulsowały, gdy mówił. Na końcu jednej z nich dwie małe żyłeczki przecinały trzecią pionową. Można powiedzieć, że tworzyły dwie hebrajskie litery: *vav* i *tav*. Z tych dwóch liter mogło powstać słowo: *tav*, które oznacza „nuta”. Pomyślałem, że ten człowiek miał w sobie wewnętrzną harmonię, która emanowała na zewnątrz. W pewnym momencie mój

ojciec zapytał go:

–Czy nie uważa ojciec, że to dziwne, iż w waszej międzynarodowej grupie nie ma ani jednego Żyda? Jakiś specjalista od historii Żydów mógłby być dla was cennym pomocnikiem.

–Tak, wiem. To trudny do usprawiedliwienia objaw rasizmu w środowisku uniwersyteckim.

–A co by się stało, gdyby któryś z naukowców z grupy Jonsona chciał skontaktować się z żydowski ekspertami?

–Sądzę, że zrobiłby się z tego problem na skalę międzynarodową, ponieważ do tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku groty w Qumran znajdowały się na terenie Jordanii i armia jordańska nie pozwoliłaby żadnemu Żydowi przekroczyć granicy.

–Czy ojciec nie sądzi, że uczeni izraelscy, dzięki znajomości żydowskich praw i literatury rabinicznej, mogliby wnieść wiele do interpretacji tych tekstów?

–Nie przypominam sobie, żeby któryś z członków ekipy wykazywał zainteresowanie literaturą rabiniczną przy tłumaczeniu tekstów z Qumran. Stosunek do żydowskich uczonych był jasny: nie można z nimi pracować, a więc nie warto tracić czasu na dyskusje na ten temat. Rozumiem, że wydaje się to dziwne, ale tak właśnie było. Archeolodzy są ofiarami również swoich własnych założeń. Wie pan – dodał po chwili wahania – kiedyś wierzyłem, że analiza archeologiczna dokładnie odtwarza rzeczywistość historyczną, że dobrze prowadzone wykopaliska pozwalają uzyskać obiektywny obraz danego miejsca. Teraz już wiem, że każdy archeolog zakłada z góry, co chce, a czego nie chce znaleźć. Nie sposób poradzić sobie z kupą kamieni, śmieci, pyłu, kawałków potłuczonych naczyń, jeśli nie ma się jakiejś idei przewodniej.

–Czy to znaczy, że członkowie międzynarodowej ekipy celowo nie dostrzegali pewnych elementów? – Ojciec zaczynał się domyślać, co w ten zakamuflowany sposób sugerował zakonnik.

–Nie... Nie chodzi o to, że celowo ukrywano dowody. Ekipa starała się, jak umiała najlepiej, precyzyjnie wyodrębnić poziomy stratygraficzne, odsłonić położenie wszystkich naczyń, garnków, monet oraz innych wyrobów rzemieślniczych, żeby w końcu narysować szczegółowy plan tej osady. Oczywiście dziś nikt już nie podaje w wątpliwość, że była ona zamieszkiwana przez jakąś wspólnotę. Trzeba jednak mieć dużo fantazji, żeby wydedukować z podobnych ruin, jak wyglądało umeblowanie pomieszczeń, czy też gdzie odbywały się ich zgromadzenia, gdzie był refektarz.

–Z jakimi założeniami przystąpił Jonson do wykopalisk?

–Według Jonsona historia Qumran związana jest z grupą religijnych dysydentów, którzy około sto dwudziestego piątego roku przed Chrystusem porzucili swoje domy i rodziny, żeby osiedlić się w ruinach twierdzy, niezamieszkannej od epoki brązu. Z jakimi zasobami finansowymi przybyli? Jonson nie rozstrzygnął jednoznacznie tej kwestii. Przypuszczał, że to oni zbudowali tu klasztor z wysoką wieżą, z obszernymi pomieszczeniami dla członków wspólnoty i warsztatami, z doskonałym systemem kanalizacji, ze zbiornikami i basenami do rytualnych kąpiei. Ta dysydencka sekta rozrosła się za panowania króla Aleksandra Janneusza. Jego zdaniem osada nie została zniszczona wskutek wojny domowej, która pustoszyła kraj przez trzydzieści pięć lat, ani też z powodu najazdu rzymskiego, ani nawet podczas panowania Heroda. Jonson uważał, że osada w Qumran obróciła się w ruinę w wyniku trzęsienia ziemi, które nawiedziło ten region w trzydziestym pierwszym roku przed Chrystusem.

–A to wszystko, co przeczy jego interpretacji...

–To znaczy?

–Wszystkie znalezione tu narzędzia, każda moneta, inskrypcja, dowodzące w sposób ewidentny, że osada nie zniknęła w trzydziestym pierwszym roku przed Chrystusem, ale długo potem, tak iż ta dysydencka sekta esseńczyków mogła mieć kontakty z pierwszymi wspólnotami chrześcijańskimi...

–Niewykluczone, że te dowody, jak je pan nazywa, w ogóle nie istniały.

Ojciec Millet, jakby czując, że powiedział za dużo, pospiesznie się z nami pożegnał. Odchodził już szybkim krokiem, kiedy zorientowałem się, że nadal trzymam w ręce fiolkę z czerwonym olejkim. Pobiegnęłam za nim, żeby mu ją oddać. Wziął ją do ręki, po czym niespodziewanie, jakby pod wpływem impulsu, podał mi ją.

–Niech pan to przechowa – powiedział.

–Ale dlaczego? – zapytałem zaskoczony.

–Nie wiem... I proszę jej dobrze pilnować.

W jego wzroku wyczytałem smutek, prawie prośbę. Przyjąłem więc ten dziwny podarek. Przynajmniej ten dowód nie zniknie, pomyślałem.

Kilka dni potem spotkaliśmy się z Shimonem, który wręczył nam bilety lotnicze do Stanów Zjednoczonych i Anglii. Mieliśmy się tam udać, by porozmawiać z dwoma innymi członkami międzynarodowej grupy – Phillipem Jonsonem i Thomasem Almondem. Zamierzaliśmy także spotkać się z Mattim, który pojechał do Nowego Jorku na jakąś konferencję.

–Powodzenia – powiedział Shimon przed rozstaniem. – Przede wszystkim

pamiętajcie,

że macie być ostrożni... Och, Ary, byłbym zapomniał.

Wręczył mi niewielką skórzaną kaburę z pistoletem. Widząc moją zdziwioną minę, rzekł:

–Uważaj, jest naładowany. Umiesz się nim posługiwać, prawda? Mam nadzieję, że nie

będziesz musiał go użyć, ale nigdy nie wiadomo.

Zanim zdążyłem zareagować, odebrał mi pistolet i powiedział:

–Prześle go pocztą do waszego hotelu. Nie można mieć broni w samolocie.

Po tych słowach pożegnał się i odszedł. Widząc, jak się oddala, obaj poczuliśmy dziwny niepokój.

W przeddzień naszego wyjazdu udaliśmy się do prawosławnego klasztoru w Jerozolimie, żeby zobaczyć się z Kairem Benyairem. To on w imieniu biskupa Oze pośredniczył w transakcjach z Mattim w sprawie zwojów z Qumran. Musieliśmy się spotkać z człowiekiem, który widział manuskrypty i który być może wiedział, kto zabił biskupa Oze.

Klasztor stał na końcu wąskiej uliczki w dzielnicy ormiańskiej. Zatrzymaliśmy się przed ciężkimi, zwieńczonymi współczesną mozaiką, średniowiecznymi drzwiami. Gdy zadzwoniliśmy, otworzyły się powoli, i ukazał się w nich diakon z podejrzliwą miną. Niewielu turystów zwiedzało kościół, bogatą bibliotekę, a nawet znajdującą się w podziemiach salę, gdzie według tradycji syryjskiej dwa tysiące lat temu odbyła się Ostatnia Wieczerza. Goście bywali tu tak rzadko, że za każdym razem budzili niepokój gospodarzy.

Diakon pokazał nam tę część klasztoru, w której mieszkali księża, oraz rezydencję biskupa Oze, znajdującą się na ostatnim piętrze jednego z budynków. Po drodze przeszliśmy przez kościół. Nad ołtarzem z syryjskimi inskrypcjami wisiały poślacane ikony, podświetlone świecami. W kamiennej krypcie rozbrzmiewały uroczyste modły. Od wielu już dni oplakiwano zmarłego kapłana.

Przed apartamentem biskupa przyjęła nas chłodno jakaś kobieta. Widząc mnie ubranego w *sztrajmel* i czarny płaszcz, najwyraźniej zdziwiła się, czego pobożny szuka w tej dzielnicy. Kiedy ojciec wyjaśnił jej cel naszej wizyty, powiedziała, że Kair Benyair jest teraz we Francji, dokąd udał się zaraz po śmierci biskupa. Był poszukiwany, jednak nie zostawił adresu.

Podczas gdy ojciec rozmawiał z kobietą, jaukradkiem poszedłem na górę do apartamentu biskupa. Drzwi były otwarte. Kiedy tam wszedłem, zobaczyłem trzy duże, piękne pokoje ze sklepieniami kamiennymi sufitami, ozdobione antykami, bibelotami inkrustowanymi drogimi kamieniami, starymi instrumentami muzycznymi i antycznymi wyrobami ze złota.

Miał tyle skarbów i tak skończył, pomyślałem. *Nagromadziłem też sobie srebra i złota, i skarby królów i krain. Nabyłem śpiewaków i śpiewaczki oraz rozkosze synów ludzkich: kobiet wiele*^{*16}.

Podszedłem do biurka, na którym leżało mnóstwo pudełek, syryjskich ksiąg i przeróżnych dokumentów. Moją uwagę przyciągnął leżący na środku kawałek rozwiniętego pergaminu. Wziąłem go do ręki i stwierdziłem, że to fragment zwoju. Schowałem go do torby i szybko zszedłem na dół.

Kobieta, która nie zauważyła mojej nieobecności, nie chciała wpuścić ojca do apartamentu biskupa. Tajemnica jego śmierci nie została jeszcze wyjaśniona, nie wiadomo więc było, na kogo padną podejrzenia. W tej sytuacji obcy nie byli tu mile widziani. Z obawy przed skandalem czcigodna budowla wołała zamknąć wrota, nie chcąc dopuścić, by ujawniony został wstydlivy rodzinny sekret.

Kiedy tylko pospiesznie oddaliliśmy się od klasztoru, obejrzelśmy ukradziony przeze mnie manuskrypt. Ojciec natychmiast stwierdził, że jest to fragment zwoju z Qumran. Był w dobrym stanie, więc jego odczytanie nie zabrało wiele czasu.

1. W twierdzy, która jest

w dolinie Aszer, trzeba przejść czterdzieści kroków na wschód.

2. W grobowcu,

w trzecim rzędzie - sztaby ze złota.

3. W wielkim zbiorniku, który znajduje się

na dziedzińcu perystylu,

w gipsowej podłodze,

schowane w dziurze naprzeciw wyższego otworu - dziewięćset monet.

4. Tam, gdzie jest rytualny zbiornik,

w dolnej części rury doprowadzającej wodę, sześć kroków na północ w kierunku basenu - naczynia świątynne.

5. Nad schodami do komory, po lewej stronie - czterdzieści sztabek srebra.

6. W domu o dwóch basenach jest zbiornik, a w nim - naczynia świątynne i srebro.

–To fragment *Zwoju Miedzianego* - stwierdził ojciec. – Ten, który Thomas Almond przetłumaczył tylko częściowo. Opisuje lokalizację skarbu, ukrytego gdzieś w podziemiach.

–O jaki skarb chodzi?

–Kto wie? Może o bajeczne skarby króla Salomona? Przecież wiesz, że Świątynia była bardzo bogata, z podwójnymi wrotami ze złota, z posadzką wykładaną drewnem palmowym, ze złożonymi sufitami, złotymi świecznikami, instrumentami muzycznymi z drogiego drewna, z ołtarzem ozdobionym złotem. A w miejscu gdzie znajdowało się Święte Świętych, cherubiny z drewna oliwnego strzegły najświętszej rzeczy – Arki Przymierza.

***Księga Koheleta (Eklezjastes), 2, 8.**

drewna, z ołtarzem ozdobionym złotem. A w miejscu gdzie znajdowało się Święte Świętych, cherubiny z drewna oliwnego strzegły najświętszej rzeczy – Arki Przymierza.

–Świątynia Salomona została zburzona przez wojska Nabuchodonozora w szóstym wieku przed Chrystusem!

–Tak, ale jej bogactwa zniknęły. Na ten temat powstawały różne legendy, przekazywane z pokolenia na pokolenie. Z Ksiąg Machabejskich wynika, że jednym ze strażników skarbu był prorok Jeremiasz. Po upadku Jerozolimy prorok miał nakazać tabernakulum, aby za nim podążyło, a kiedy dotarł na górę Nebo, ukrył tabernakulum, ołtarz i kadzidło w grocie. Inna legenda opowiada, że skarb został zabrany przez Żydów, gdy udawali się na wygnanie do Mezopotamii. Ukryli skarb pod ziemią, na miejscu świątyni, a siedmioramienne kandelabry i siedemdziesiąt złotych stołów umieszczono wraz z innymi przedmiotami w wieży w Bagdadzie. Niektórzy twierdzą, że jakiś skryba odnalazł klejnoty, złoto i srebro i pokazał je aniołowi, aten je schował. Jeszcze inni głoszą, że skarb znajduje się pod kamienną płytą grobu Daniela i że ci, którzy go dotykali, natychmiast umarli. Tak właśnie stało się z pewnym archeologiem. Według tego tekstu skarb został ukryty w górskich dolinach, pociętych na trzy części przez strome wąwozy. Wszystkie te miejsca są widoczne z Masady. Pamiętasz, co widzieliśmy w Chirbet Qumran?

–Oczywiście! Nie sądzisz, że tekst wspomina o wielkiej podwójnej cysternie na dole? *W domu o dwóch basenach jest zbiornik, a w nim - naczynia świątynne i srebro.*

–Z całą pewnością. A to w każdym razie oznacza, że Oze rzeczywiście poszukiwał tego skarbu. Może dlatego został zamordowany.

–Ale dlaczego go szukał? Czy nie dostał dość pieniędzy za manuskrypty?

–Przypomnij sobie, co mówi Eklezjastes... *Kto kocha się w pieniądzach, pieniądzem się nie nasyci; a kto kocha się w zasobach, nie ma z nich pożytku. To również jest marność*^{*17}.

Postanowiliśmy, że w drodze powrotnej zatrzymamy się we Francji, by odszukać Kaira Benyaira, choć nie mieliśmy najmniejszego pojęcia, jak tego dokonać.

Wieczorem poszedłem zobaczyć się z rabbim i powiadomić go, że wyjeżdżam, ale nie wyjaśniając mu dlaczego.

–Czy to coś niegodnego, że nie możesz mi powiedzieć? – zapytał z podejrzliwą miną.

–Nie, cel jest uczciwy. Jadę z moim ojcem.

–Z ojcem? – zdziwił się.

Wiedział, że mój ojciec jest niewierzący. Zastanawiałem się, jak musiał go w duchu określać. Wszystko w jego tonie świadczyło, iż było to słowo *apikoros* - „heretyk”. Epikurejczyk, odszczepieniec, człowiek nieuznający Prawa.

–Nie zapominaj o Prawie. Tam, daleko stąd, jest wiele pokus. Grozi ci, że nie będziesz

zbawiony, gdy nadejdzie Mesjasz, a nastanie to już wkrótce. Strzeż się. Kiedy tam będziesz, nie

***Księga Koheleta (Eklezjastes), 5, 9.**

zapominaj o nadejściu Mesjasza. Z każdą chwilą słyhać coraz głośniejsze jego kroki, jest coraz bliżej Izraela i jego ludu.

Zadrzałem. Od tak dawna czekaliśmy na jego przybycie. A więc zbliża się chwila, gdy Bóg spełni pokładane w nim od niepamiętnych czasów nadzieje. Będziemy ostatnim pokoleniem wygnańców, pierwszym pokoleniem wyzwolonym. Tak, jakby wszystko na tym świecie było już przygotowane, aby przyjąć to objawienie. Oto rabbi, niczym prorok, powiedział: „Mesjasz przybywa”. Podczas wojny sześciodniowej uspokajał nas, abyśmy się nie bali; gdy upadł komunizm i w trakcie wojny w Zatoce Perskiej mówił, że Izrael jest najbezpieczniejszym miejscem na świecie, że nie nadszedł jeszcze czas zagłady. I nie pomylił się. Wielu uważało, że kierowało nim boskie natchnienie. Niektórzy sądzili nawet, że on sam jest tym wyczekiwany Mesjaszem. Jeszcze inni twierdzili, że przybycie Mesjasza to sprawa naszej religii, a nie współczesnej rzeczywistości historycznej. *Bo też i nie zna*

***człowiek swego czasu, jak ryby, które się łowi w sieć zdradliwą, i jak ptaki w sidła schwytane*^{*18}.**

–Nie zapominaj – dodał jeszcze, zanim odszedłem, jakby miało to być ostateczne polecenie, albo raczej pierwsze przykazanie – że studiowanie Tory oraz modlitwy służą temu, żeby Mesjasz przybył jak najszybciej. Módl się nieustannie, aby narodziny ducha Mesjasza odbyły się bez bólu i bez opóźnienia. Będziesz jak lud Izraela, który na wygnaniu w Egipcie wołał do Boga o wyzwolenie. Dlatego przez cały czas powinieneś myśleć o sobie jako o kimś w połowie zasługującym na wyróżnienie i w połowie winnym. Dopełniając choćby tylko micwy, przybliżasz wszystkim ludziom wolność i ostateczne wyzwolenie.

***Księga Koheleta (Eklezjastes), 9, 12.**

Niektórzy uważali, że rabbi ma wszelkie atrybuty Mesjasza i że należy, tak jak w czasach starożytnych czynił to lud Izraela, okazać oddanie przyszłemu królowi Dawidowi, powtarzając, że jesteśmy z jego kości i z jego ciała. Pragnęli głosić wszem wobec, że rabbi to Mesjasz ich generacji.

Jednak ja, chociaż byłem mu tak oddany, że posłuchałbym każdej jego rady, chociaż najmniejsze drgnienie jego głosu skłaniało mnie do głębokiej zadumy, wciąż miałem wątpliwości. Jakkolwiek moja wiara była ogromna, a kult Tory bezgraniczny, nie wkładałem takiego żaru w oczekiwanie, stanowiące dla niektórych zasadniczy element praktyk religijnych. Szczerze wierzyłem w naszych rabinów i darzyłem ogromnym szacunkiem tego, którego uważałem za najznakomitszego pośród wszystkich, ale nie łączyłem tej wiary z oczekiwaniem na przyjście Mesjasza, które wydawało mi się jeszcze odległe. Wiodłem na ten temat długie dyskusje z moimi kolegami z jesziwy, często czując się zupełnie bezradny.

–Jeśli jest Mesjaszem, niech to udowodni – mówiłem.

–Przecież już to udowodnił wszystkimi swoimi przepowiedniami.

–No to niech nas uwolni, jeśli naprawdę jest Mesjaszem – naciskałem.

–Na to teraz czekamy. Dlatego modlimy się w dzień i w nocy – odpowiadali.

Bąłem się, że w końcu uznają mnie za ateistę, niedowiarka, choć żyłem tylko religią. Nie lubili mojej dociekliwości, mimo że wcale nie byłem nastawiony buntowniczo. Gdy żegnałem się z moimi kolegami z jesziwy, powiedzieli tylko:

–Żegnaj. Mamy nadzieję, że znajdziesz się wśród nas, zanim nadejdzie wyzwolenie.

Wyjechałem z postanowieniem, że będę szukał Mesjasza tak samo, jakbym pozostał i studiował razem z nimi święte teksty.

Czy to takie pewne, że był pomiędzy nimi? Pragnąłem przekonać się osobiście, czy nie jest to ktoś inny, czy nie przebywa gdzie indziej, gdzieś w dalekim świecie. *Ja, Kohelet, byłem królem nad Izraelem w Jeruzalem. I skierowałem umysł swój ku temu, by zastanawiać się i badać, ile mądrości jest we wszystkim, co się dzieje pod niebem. To przykre zajęcie dał Bóg synom ludzkim, by się nim trudzili. Widziałem wszelkie sprawy, jakie się dzieją pod słońcem. A oto: wszystko to marność i pogoń za wiatrem. To, co krzywe, nie da się wyprostować, a czego nie ma, tego nie można liczyć. Tak powiedziałem sobie w sercu: „Oto nagromadziłem i przysporzyłem mądrości więcej niż wszyscy, co władali przede mną Jeruzalem”, a serce me doświadczyło wiele mądrości i wiedzy. I postanowiłem sobie poznać mądrość i wiedzę, szaleństwo i głupotę. Poznałem, że również i to jest pogonią za wiatrem, bo w wielkiej mądrości - wiele utrapienia, a kto przysporzy wiedzy - przysparza i cierpień^{*19}.*

W przeddzień wyjazdu miałem przedziwny sen, z którego obudziłem się z nagłym przestrawem. Prześladował mnie przez długie dni, źle się czułem. W końcu prawie o nim

***Księga Koheleta (Eklezjastes), 1, 12-18.**

zapomniałem. Przypomniałem go sobie dopiero po jakimś czasie, po pewnych wydarzeniach, i wtedy zrozumiałem jego sens...

Znajdowałem się w jakimś samochodzie z moim kolegą Yehudą, siedział za kierownicą. Nie było to w Jerozolimie, lecz w jakimś innym mieście, które, nie wiem dlaczego, kojarzyłem z Europą. Mieliśmy przejechać przez jakąś rzekę, ale nigdzie nie było widać mostu. Yehuda zaproponował, abyśmy pokonali ją w bród. W ostatnim momencie wydało mi się, że jest to zbyt niebezpieczne. Krzyknąłem, by skręcił w lewo, jednak on nie zdążył zareagować i wjechaliśmy do wody. Ku mojemu zdumieniu, zamiast utonąć w czarnej wodzie, pofrunęliśmy do nieba, między chmury. Przed nami tą samą trasą jechał autobus. Czekałem, że ktoś nam pomoże, sprowadzi na powrót na ziemię, ale samochód wciąż unosił się do góry. Wówczas Yehuda spojrzał na mnie z rozpaczą, jakby chciał powiedzieć, że nie zrobił tego umyślnie. Krzyknąłem: „Nie teraz!”. I po tych słowach się obudziłem.

ZWÓJ TRZECI *Zwój wojny*

Pierwsza wojna Synów Światła

Pierwszy atak Synowie Światłości winni rozpocząć

Przeciw obozowi Synów Ciemności,

Przeciw wojsku Beliala, przeciw zgrai Edomu,

Moabu, Amonitów i Filystynów

Oraz przeciw hordom Kittim Asur

I przekraczającym Przymierze,

Którzy ich wspierają.

Synowie Lewiego, synowie Judy i synowie Beniamina,

Wygnańcy pustyni, będą walczyć przeciw nim,

Wszystkim hordom, wtedy gdy wygnanie Synów Światłości

Wróci z pustyni ludów,

Aby rozbić obóz na pustyni jerozolimskiej (...).

Ustanie panowanie Kittim,

A bezbożność będzie upokorzona bez reszty,

I nie będzie ratunku dla wszystkich Synów Ciemności.

Twoja jest wojna i u Ciebie potęga.

Nie my, nie siła nasza,

Ni moc naszych rąk

Dała nam dzielność,

Gdyż w sile Twojej i mocy

Jest Twoja wielka waleczność

Tak jak Ty ogłosiłeś nam niegdyś,

Mówiąc: „Wyszła gwiazda z Jakuba,

Powstało berło z Izraela; Rozbije krańce Moabu,

Rozbije i rozerwie wszystkich synów Seta,

Zstąpi z Jakuba i wytraci tych, Którzy ocaleli w mieście.

Nieprzyjaciel stanie się zdobyczą,

A Izrael okaże swe męstwo.

Zwoje z Qumran

***Wojna Synów Światła z Synami Ciemności*^{*20}**

***M* *Witold Tyloch, *Rękopisy z Qumran nad Morzem Martwym, Reguła wojny*, PWN, Warszawa 1963.**

Rozpoczęliśmy długą wędrówkę przez tysiące kilometrów, przez tysiące lat.

Prawdę mówiąc, weszliśmy na ścieżkę wojenną, ale nie myśleliśmy o tym, ponieważ początkowo nie czuliśmy strachu. Nie poznaliśmy jeszcze okrucieństwa i bestialstwa, jakie zdolny jest popełnić człowiek działający z pobudek swej wiary. Albowiem człowiek popełnia zło bardziej ze słabości niż z siły i złego charakteru. Popełnia zło, by upewnić się w swej egzystencji, gdy czuje, że wkracza na ruchome piaski przypadkowości. Wówczas, oddalając się od nieskończonego Dobra, szuka innej nieskończoności, na której mógłby oprzeć swoją egzystencję, i w ten sposób dochodzi do Zła. Wspiera się na nim i wdycha je tak, jak się pragnie Dobra. Nie mówię o złym uczynku popełnionym mimochodem, bezmyślnie, niemającym konsekwencji ani celu. To, o czym mówię, jest to Zło absolutne. Zło przemyślane i długo dojrzewające. Zło dokonane z premedytacją i świadomie, które znajduje ofiary w prostych i dobrych ludziach, sprawiedliwych i mądrych. Nikt nie wie, za co mści się ono z takim wyrafinowaniem i perwersyjnością, nikt nie wie, dlaczego godzi tylko w niewinnych, dlaczego wciąż i zawsze powraca. Albowiem Zło ma zło w duszy, inaczej nie czyniłoby Zła.

Zło absolutne, o którym mówię, rozkoszuje się niszczeniem Dobra i nigdy nie ma dość, albowiem Dobro jest w takim samym stopniu nieskończone, jak Zło jest niegodziwe. Absolutne Zło jest z samej swojej istoty złem nieusatisfakcjonowanym.

Po stworzeniu świata Bóg stworzył człowieka na swój obraz i podobieństwo, żeby podporządkował sobie ryby w morzu, ptaki na niebie, zwierzęta, całą ziemię i wszystkie małe stworzenia żyjące pod ziemią. I oceniając to, co zrobił, był zadowolony i osądził, że było to dobre.

Ale nie wiedział, jaka straszna rzecz kryje się za jego nowym dziełem. Albowiem stworzony przez Boga człowiek nie był jego lustrzanym odbiciem. Powołując do życia człowieka, Bóg stworzył Zło.

Nasza Biblia mówi, że Mesjasz przybędzie na koniec straszliwej wojny Dobra ze Złem. Wojnę tę zwoje nazywają *Wojną Synów Światła z Synami Ciemności*.

Wyruszyliśmy. Pierwszy raz w życiu leciałem samolotem i miałem wrażenie, że oddalam się od mojej rodzinnej ziemi na całą wieczność. Wydawało mi się, że szybkość, z jaką pokonywaliśmy odległość, pożera czas. Gdy dolecieliśmy do Nowego Jorku, czułem się tak, jakbym się postarzał.

Nasz hotel znajdował się w Williamsburgu, chasydzkiej dzielnicy Brooklynu, i z pewnością nie mogłem się w nim czuć obco. Miejsce to bardzo przypominało Mea Shearim. Ci, których mijalem na ulicy, byli tacy jak ja, z brodami, pejsami, w *sztraj-*

melach. Tylko ubrania na nich były trochę inne, z bardzo subtelnymi różnicami. Niektórzy zamiast surduta nosili *hołot*- rodzaj ciemnego płaszcza z zaokrąglonymi krótkimi klapami, oraz pasek przyczepiony do marynarki węzłami i guzikami. Bogatsi mieli na głowach *sztrajmele* z ogonów soboli. Inni,

mniej zamożni, nosili duże filcowe kapelusze z szerokim rondem, ozdobione wstążką z matowego jedwabiu. Z ich ubioru można było wywnioskować, do jakiej grupy należą, kto pochodzi z Węgier, kto z Galicji, kto jest sympatykiem antysyjonistycznego ruchu Żydów z Satmar, kto popiera Chabad, misyjny i mesjanistyczny ruch chasydzki, rozprzestrzeniony po całym świecie, kto Gurów, oddanych studiom Tory, kto chasydów z Wiśnicza Nowego, a kto chasydów z Bełżca. Wszyscy chodzili charakterystycznym dla chasydów szybkim krokiem. Wszędzie widać było grupy studentów jesziwy, dyskutujących z ożywieniem nad jakimś trudnym fragmentem. Czasami spotykało się całe, bardzo liczne rodziny, za starszymi dziećmi szły młodsze z niemowlętami na rękach. *Rozwijajcie się i pomnażajcie.*

W wieczór naszego przyjazdu przypadał szabat. Setki chasydów spieszyły do synagogi. Postanowiłem też tam pójść i się pomodlić. Udało mi się przekonać ojca, by poszedł ze mną. Wmieszany w odświętnie ubrany tłum, bez kapelusza, bez *sztrajmela* i czarnej kapoty, czułem się całkiem niezłe. Inni pytali mnie, co ja tu z nim robię, czy to mój ojciec, czy przyjaciel, a może nowo nawrócony, *haal teszuwa*, których było wielu.

Zostaliśmy zaproszeni przez chasydów na wieczerzę, ponieważ tradycja wymaga, aby w dzień szabat mieć gości. Wierni pili i tańczyli, jakby byli w transie.

Pierwsze miejsce przy stole bogato zastawionym z okazji szabat ujmował rabbi, przywódca wspólnoty. Ojciec był zaskoczony widokiem wielu młodych ludzi, siedzących u boku rabbi, wpatrzonych w niego i nieodzywających się ani słowem.

–Patrzeć na rabbi, jak je i pije, jest wielką łaską dla chasyda – wyjaśniłem mu. – Należy bardzo uważnie śledzić wszystkie jego gesty, bo może się w nich zawierać jakiś istotny znak, nowa wskazówka na życie. Niech tylko rabbi podniesie palec, a zadrży cały świat.

–A jeśli rabbi jest starcem niezdolnym do niczego? Spójrz, ledwie coś wypił i już zasypia.

–W ich oczach ten starzec reprezentuje więź między niebem i ziemią, to on bierze na swoje barki cierpienie świata. Jest być może ostatnim ze sprawiedliwych, tym, którego cnoty ocalą całą wspólnotę. Wino, które pobłogosławił, śledź, którego dotykał palcami, są czymś świętym, co poucza nas, że jedzenie jest aktem wiary,

służy oczyszczeniu organizmu człowieka poprzez ukrytą w pożywieniu boską życiodajną siłę. To mistyczny akt połączenia z Bogiem, podobnie jak *devekut*.

Rabbi wstał od stołu. A wówczas jeden z siedzących obok niego chasydów natychmiast chwycił jego talerz, by zjeść pozostawione resztki jedzenia. Ojciec spojrzał na mnie pytająco.

–Spożyć resztki jedzenia z talerza rabbiego, dotknąć wargami ostatnich kropel wina z jego kieliszka to zapewnić sobie wieczne błogosławieństwo – wyjaśniłem.

–Ale ty w to nie wierzysz, prawda? – zapytał ojciec z niemal błagalną miną.

–Wierzę w moc rabbich. Sądzę, że temu człowiekowi należy się najwyższy szacunek. Wydaje mi się także – dodałem nieśmiało – że powinniśmy mu powiedzieć o manuskryptach. Jestem pewien, że mógłby nam pomóc.

–Pomóc? Przecież on nic nie wie na ten temat! Chyba nie uważasz go za wszechwiedzącego!

–Nigdy nie wiadomo...

Następnego wieczoru mieliśmy spotkanie z Mattim, synem profesora Ferenkza, który przyczynił się w dużym stopniu do odkrycia zwojów. Matti przyjechał do Nowego Jorku na konferencję. Musieliśmy się z nim zobaczyć, by dowiedzieć się, jak doszło do kradzieży zwoju. Może Matti zdążył zapoznać się z jego treścią, gdy przez krótki czas miał go w ręku?

Ten znakomity naukowiec, dzielny żołnierz, należał do legendarnych bohaterów Izraela, którzy od pierwszej godziny walczyli o wyzwolenie kraju, dzięki którym zaistniała możliwość utworzenia państwa Izrael. Po wojnie o niepodległość, kiedy był szefem sztabu armii, poszedł w ślady ojca. Kierował licznymi pracami wykopaliskowymi, stał się znany w całym kraju.

Podobnie jak mój ojciec, chociaż pasjonował się archeologią i badaniami biblijnymi, był zdeklarowanym ateistą.

Spotkaliśmy się w barze restauracyjnym jego hotelu. Był to mężczyzna o krótkich gęstych włosach, czarnych oczach i słusznej posturze. Tak w dzieciństwie wyobrażałem sobie Mojżesza. Żadnych oznak starości. Emanowała z niego siła i mądrość. Szczególną uwagę zwracała jego skóra. Nie była zwiotczała, pomarszczona, zbrązowiała jak u osób starszych wiekiem, lecz jędrna i gruba. Ciemną karnację twarzy podkreślały wydatne kości policzkowe, zaskakująco pełne usta, błyszczące antracytową czernią oczy. Jego skóra, spalona słońcem, wychłostana piaskiem, była odzwierciedleniem pustynnego pejzażu Judei, w której tak często bywał, której ślady przyłgnęły do niego jak piasek do skamieliny,

skamielina do kamienia, kamień do skały.

–Tak, Davidzie, rozumiem – przerwał wyjaśnienia ojca. – Sam szukałem tego zwoju wiele lat temu, a kiedy go znalazłem, wymknął mi się z rąk...

–Co się stało? – zapytał ojciec.

–Został skradziony z Muzeum Starożytności w Jerozolimie.

–Czy zdążyłeś go przejrzeć?

–Niestety nie.

–Czy wiesz, kto go ukradł?

–Trudno powiedzieć... Opowiem ci wszystko, co wiem. Pewnego dnia, gdy byłem w Nowym Jorku, otrzymałem anonimowy list od osoby, która chciała sprzedać mi manuskrypt. W liście tym przytoczono opublikowane w prasie oświadczenie Thomasa Almonda, angielskiego uczonego z międzynarodowej ekipy, zwanego „Aniołem Ciemności”, w którym informował on o zniknięciu zwoju. Nadawca listu twierdził, że może dostarczyć ten manuskrypt i na dowód dołączył zdjęcie jego fragmentu. Miałem wszelkie powody sądzić, że chodzi o ten znany zwój, który mój ojciec oglądał, ale nie zdołał go kupić. Mój korespondent żądał stu tysięcy dolarów. Była to ogromna kwota, ale jaka jest cena rzeczy bezcennych? Licząc na gwarancje rządu Izraela, wyraziłem zgodę w liście, który wysłałem na poste restante do wskazanego urzędu pocztowego. Po kilku tygodniach otrzymałem odpowiedź takiej mniej więcej treści: „Jestem zmuszony powiadomić pana, że premier królestwa Jordanii, zanim został zamordowany, zaoferował sumę trzystu tysięcy dolarów. Proponuję więc dalsze negocjacje”. List został podpisany własnoręcznie przez Oze, arcybiskupa syryjskiego Kościoła prawosławnego. Spotkałem się już z nim podczas jednej z moich podróży do Stanów Zjednoczonych, podjęliśmy wtedy rokowania, z których on wkrótce zrezygnował. A teraz znowu chciał się ze mną licytować. Opanowałem złość, ponieważ pragnąłem zdobyć zwój za wszelką cenę. Nawiązała się między nami korespondencja. Oze, który często podróżował do krajów arabskich na Bliskim

Wschodzie, gdzie zakazane były wszelkie stosunki z Izraelem, telegrafował do mnie lub pisał za pośrednictwem jednego ze swych przyjaciół w Stanach Zjednoczonych, niejakiego Kaira Benyaira. Próbowałem wydedukować z tych listów, co naprawdę wynikało z jego kontaktów w Jordanii. Wyglądało na to, że jest w trakcie rozmów z przedstawicielami rządu i królewskiego dworu, którzy dawali mu do zrozumienia, że mają na sprzedaż liczne manuskrypty, łącznie z tymi z Muzeum Starożytności w Jordanii. Właśnie dlatego liczba zwojów, które mi oferował, stale się zmieniała. Jednak ja interesowałem się przede wszystkim tym zwojem, którego fragment

widziałem na zdjęciu. W jednym z listów poinformowałem go, że jestem gotów omówić jego żądania z moimi przyjaciółmi i jeśli warunki będą rozsądne, dogadamy się.

Kilka dni potem udałem się do Londynu, gdzie o wiele łatwiej było się skomunikować. Oze przysłał mi wówczas mały fragment zwoju, abym określił jego wiek. Szybko go przebadalem, zrobiłem zdjęcie i, zgodnie z obietnicą, oddałem biskupowi, wyjaśniając, że moim zdaniem jest to fragment któregoś ze zwojów znad Morza Martwego, napisanego po hebrajsku, przez dobrego skrybę. Jednak fragment był za mały, żeby ocenić, czy to apokryf, czy dokument sporządzony przez esseńczyków. Potem napisałem do Phillipa Jonsona, kierownika międzynarodowej grupy naukowców, który był w tym czasie w Stanach Zjednoczonych. Pracowałem z nim wcześniej i wiedziałem, że w przeszłości załatwiał jakieś sprawy z biskupem Oze. Zaproponowałem, by został moim pośrednikiem i spróbował przekonać biskupa do sprzedania mi tego zwoju. Nie zapominając o ostrożności, nie kryłem jednak przed nim swego entuzjazmu i wspominałem o małym fragmencie, który przesał mi Oze. Napisałem nawet, że być może chodzi o jeden z tych manuskryptów, które są najważniejszym odkryciem epoki, że środowisko uniwersyteckie powinno odkupić go od biskupa i przekazać narodowi żydowskiemu, Izraelowi, bo tam jest jego historyczne miejsce. List zakończyłem prośbą do Jonsona, żeby zrobił wszystko, co w jego mocy, by uratować zwój, zanim zostanie stracony na zawsze.

Po ośmiu dniach Jonson poinformował mnie, że Oze, powołując się na ważne wydatki oraz na inne proponowane mu oferty, ustalił cenę na siedemset tysięcy dolarów. Sto pięćdziesiąt tysięcy należało zapłacić natychmiast, a resztę przy przekazywaniu zwoju. Byłem wściekły i odpowiedziałem listownie, że nie wyrażam na to zgody. Po jakimś czasie ponownie przyjechałem z wykładami do Nowego Jorku. Tu otrzymałem list od biskupa w zupełnie innym tonie niż poprzedni. Pytał, ile mogę zapłacić za zwoje. Podałem cenę – sto dziesięć tysięcy dolarów! W końcu zawarliśmy ugodę. Chcąc ustrzec się przed ewentualnym oszustwem, prowadziłem negocjacje za pośrednictwem adwokatów. Szczegółową umowę, adresowaną także do Jonsona, podpisał Oze i Kair Benyair, mający być jego pełnomocnikiem przy wymianie. Liczne klauzule potwierdzały autentyczność pergaminu, który miałem otrzymać po dziesięciu dniach od daty podpisania kontraktu. Kair Benyair zobowiązał się osobiście przekazać w moje ręce znany mi fragment, a kiedy otrzymam cały zwój, nie będzie już mógł rościć sobie do niego żadnych praw.

Minęło dziesięć dni. Kair Benyair, wróciwszy z Jordanii, ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu oświadczył, że manuskrypt nadal jest w posiadaniu biskupa Oze, który podważył prawomocność naszej umowy i zażądał więcej pieniędzy, jakoby dlatego, że i Beduini podnieśli cenę. Ci szaleńcy spodziewali się dostać pół miliona dolarów! W liście wysłanym do Jonsona Oze wyrażał żal, że nie może jeszcze przekazać zwoju, ponieważ z powodu konfliktu między

Libanem i Jordanią utrudniony jest przejazd z jednego kraju do drugiego. Wyjaśniał, że musiał przekupić pewne osoby, że podejmuje ogromne ryzyko i że trzeba omówić podniesienie pierwotnej ceny.

Przez cały ten czas uważnie śledziłem wszystkie publikacje w pismach naukowych na temat Qumran, chcąc się upewnić, że zwój nie został sprzedany komuś innemu. Nie napotkałem żadnej wzmianki o nim. Najwyraźniej o jego istnieniu wiedzieli tylko Oze, Kair Benyair, Jonson i ja.

Był początek czerwca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku. Wybuchła wojna sześciodniowa. Wezwano mnie do Izraela, gdzie powierzono mi obowiązki koordynatora rozmów między premierem, ministrem obrony i szefem sztabu armii. Wydarzenia wojenne odsunęły sprawę zwojów na dalszy plan. Przez kilka następnych tygodni Egipt podejmował szereg akcji przeciwko Izraelowi, z których najpoważniejsza była blokada Zatoki Ej lackiej, stanowiąca ogromne zagrożenie dla rozwoju rejonu pustyni Negew i handlu morskiego z krajami Afryki Wschodniej. Jordania, Egipt i Syria utworzyły wspólny front przeciw Izraelowi. Po dwóch dniach walk armia izraelska pokonała Legion Arabski i zajęła Jerozolimę.

W nocy siódmego czerwca poszedłem do domu, żeby się trochę przespać. Obudził mnie

telefon od szefa sztabu armii. Powiadomił mnie on, że podpułkownik Yanai ze służb wywia

dowczych zamierza mi pomóc w odnalezieniu zwoju. Rankiem ósmego czerwca Yanai udał się

do domu Kaira Benyaira, którego adres zdobył wcześniej. Kair Benyair był u siebie. Nie należał

do zbyt odważnych, wystarczyło więc kilka gróźb, by wydobył ze skrytki pod podłogą pudełko

na buty, w którym znajdował się zwój oraz pudełko na cygara, a w nim oderwane fragmenty.

Tego samego dnia po południu w sztabie generalnym wziąłem udział w ważnej konferencji

Ministerstwa Obrony na temat sytuacji z Syrią. Sekretarz przekazał mi wiadomość, że w

korytarzu czeka na mnie Yanai. Wyszedłem w samym środku narady. Yanai podszedł do mnie i

podając mi jakieś pudełko, powiedział: „Mam nadzieję, że szukał pan właśnie tego”.
– Matti

urwał na moment. Wyjął z kieszeni paczkę papierosów, zaproponował nam, po czym sam

zapalił, wydmuchując smużkę dymu. – Wszedłem do pierwszego pustego pokoju i ostrożnie

otworzyłem pudełko na buty. Ujrzałem zawinięty w celofan i szmatkę zwój oraz w osobnej

kopercie jego fragmenty. Chociaż w sali obok rozstrzygano kwestie życia i śmierci tysięcy ludzi,

nie mogłem się powstrzymać, żeby nie obejrzeć tego skarbu. To, co zobaczyłem, było bardzo

ciekawe, ale jednocześnie poczułem się rozczarowany. Najbardziej interesujące było to, że

wbrew zasadom języka hebrajskiego tekst został napisany z lewej na prawą i można było go

odczytać tylko przy użyciu lustra. Ponieważ od wojny sześciodniowej pod naszą kontrolą było

Muzeum Archeologiczne, postanowiłem właśnie w nim zdeponować pergamin.

Międzynarodowa ekipa, zgodnie z życzeniem władz izraelskich, kontynuowała tam prace badawcze nad zwojami, pamiętając o należnym im szacunku.

Któregoś rana, gdy wszedłem do pracowni, zobaczyłem, że stół, na którym zazwyczaj leżał zwój, jest pusty. Dostęp do tego miejsca mieli tylko badacze i trudno było uwierzyć, że to oni dopuścili się kradzieży. Przez wiele dni przeszukiwaliśmy muzeum od strychu po piwnice, na próżno. Powoli zacząłem przyzwyczajać się do myśli, że manuskrypt zniknął na zawsze, że za sprawą jakiejś klątwy miał pozostać dla nas niedostępny. Minęło dwadzieścia lat. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym roku brałem udział w ważnej konferencji międzynarodowej, na którą przybyła większość specjalistów od zwojów z Qumran. Możecie sobie

wyobrazić moje zdumienie, gdy Pierre Michel w swoim wystąpieniu wspomniał o jakimś dotąd niepublikowanym zwoju, którego styl i treść dziwnie przypominały zaginiony pergamin...

–Czy sądzisz, że to on ukradł ten zwój? – zapytał ojciec.

–Niewykluczone. Może nie chciał go publikować, ponieważ bał się, że go zidentyfikują. Chyba że kradzieży dokonał ktoś inny, od kogo potem Pierre Michel odkupił lub dostał zwój.

–W czasie gdy zaginął zwój, w Muzeum Archeologicznym pracowało pięciu członków międzynarodowej ekipy naukowców?

–Tak. Księża Pierre Michel i Phillip Jonson, do którego miałem absolutne zaufanie, pracowali tam niemal bez przerwy. Pozostali trzej – ojciec Millet, polski uczoney Andrzej Lirnow i zdecydowanie nietuzinkowy Thomas Almond uczestniczyli w badaniach raczej sporadycznie.

–Czy Pierre Michel potrafił odczytać ten pergamin w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym roku? – zapytałem.

–Z pewnością tak. Żmudna praca wstępna została już wykonana. Pozostawało więc tylko przyłożyć lustro i odczytać odbity w nim tekst.

–Jeśli Pierre Michel jest złodziejem, to jak wytłumaczyć, że zaryzykował, iż zostanie zdemaskowany, ujawniając treść zwoju, który trzymał w tajemnicy przez dwadzieścia lat? – zapytał ojciec.

–To rzeczywiście zastanawiające. Mając za sobą lata pracy w wojsku, mogę jednak stwierdzić, że z największymi tajemnicami bardzo często tak się dzieje. Posiadacz sekretu ma potrzebę, by się nim z kimś podzielić. To silniejsze od niego. Któregoś dnia zaczyna mówić, a potem jest już za późno i musi za to płacić.

–Może ma pan fotografię fragmentu, który pan odczytał? – zapytałem.

–Nie, nie mam. Jest w Izraelu. Ale prześlę wam kopię za tydzień, gdy tylko wrócę do kraju. Zresztą to bardzo krótki tekst i mogę go zacytować z pamięci:

Na początku było słowo,

i słowo zmieniło się w Boga,

i słowo było Bogiem.

Wszystko stało się przez niego

i nic, co było,

nie stało się bez niego.

I ono było życiem,

i życie było światłem ludzi.

I światło świeci w ciemnościach,

i ciemności wcale go nie rozumiały.

I był człowiek, zesłany przez Boga;

Imię jego było Jan.

Przybył jako świadek,

by dać świadectwo światłu,

żeby wszyscy uwierzyli przez niego.

Ale jego słowa zostały zniekształcone,

i były zmienione.

I słowo stało się kłamstwem,

by lepiej ukryć prawdę,

prawdziwą historię Mesjasza.

I jemu właśnie,

przez sakrament kapłanów z Qumran, dany będzie skarb.

Milczeliśmy przez chwilę, zadumani.

–Czy domyślasz się, co mógł zawierać cały zwój? – odezwał się w końcu ojciec.

–Niestety nie. Nie udało mi się przeczytać go w całości. Jednak na podstawie tego, co widziałem, nie wątpię, że nie jest to apokryf, ale oryginalny tekst z Qumran. Od czasu odczytu, jaki na tej konferencji wygłosił Pierre Michel, sądzę, że zwój przynosi dodatkowe informacje o esseńczykach, którzy domagali się, aby uznawano ich za prawdziwych następców kapłanów sadokitów. *Dokument Damasceński*, jeden z pierwszych odkrytych, opowiada o ewolucji tej grupy. Z ruchu, który, opierając się na szczególnej interpretacji Prawa, początkowo był protestem wobec kapłanów, powstała radykalna sekta, skoncentrowana na teologicznej koncepcji objawienia, ucieleśnionej w postaci Nauczyciela Sprawiedliwości. Według sekty z Qumran tylko boska inspiracja dawała klucz do zrozumienia głębokiego sensu Pisma Świętego.

Wiedziecie, że zgodnie z tradycją idei apokaliptycznej ten, kto ma klucz do tajemnic i ukrytych praw, jest emisariuszem Boga. Esseńczycy uważali się za przywódców sił światła, inaczej mówiąc, za „Synów Światła”. W wydarzeniach każdego dnia widzieli realizację boskiego planu dziejów. W tym czasie prokuratorem prowincji Judei był Poncjusz Piłat. Rzymianie pragnęli przywłaszczyć sobie bogactwa Świątyni, ograbić kapłanów z ich dóbr. Dla kapłanów, a zwłaszcza tych z Qumran, było to świętokradztwo. Piłat zhańbił Świątynię, składając ofiary przed posągiem Tyberiusza. Przypuszczam, że *Kittim*, czyli „Synowie Ciemności”, o których mówią teksty z Qumran, to Rzymianie oddający cześć boginiom zwycięstwa i pomyślności. Właśnie Rzymian esseńczycy nienawidzili ponad wszystko.

–Czy nie można więc uznać Qumran za jeden z głównych ośrodków opozycji politycznej przeciw imperialnym zapędom Rzymian, jak również przeciw arystokracji żydowskiej, która współpracowała z okupantem, by pomnożyć swoje majątki?

–Nie wiadomo, czy esseńczykami kierowały motywy polityczne, czy teologiczne. W momencie gdy wpływ tej sekty był w Judei największy, jej emisariusze jeździli po wszystkich krajach basenu Morza Śródziemnego, z dala od waśni politycznych w Jerozolimie, mając za bagaż tylko jeden zwój, rodzaj ewangelii, głosząc skromność, czystość i ubóstwo.

–Ale dla tych, którzy w Judei walczyli o zachowanie praw i zasad czystości nakazywanych w starożytnych tekstach, walczyli przeciw dominacji ekonomicznej Rzymian i arystokracji żydowskiej, głoszenie nowej ewangelii, zachęcającej do porzucenia Prawa Mojżeszowego, musiało mieć zabarwienie polityczne. To był właśnie problem Jezusa.

–Wiem, do czego zmierzasz. Zastanawiasz się, czy ten zwój mówi o Jezusie, a jeśli tak, to w jakim sensie. Na podstawie tego małego fragmentu, który przeczytałem, mogę jedynie powiedzieć, że nie ma w nim na ten temat żadnej wzmianki. I dlatego kontynuując badania, nie szukajcie tylko kogoś o imieniu Jezus. Historycznym Jezusem mógł być także Arthronges, domniemany Mesjasz, o którym pisze Józef Flawiusz, najpierw wiązany ze światem helleńskim, później zromanizowany w okresie tak zwanego *pax Romana* i przez dużą część arystokracji

Imperium Rzymskiego uznany za wysłannika Boga. Nie ma pewności, że istniał taki Jezus, jakiego opisują ewangelie. Na obecnym etapie wiedzy nie mamy niezbitych dowodów na istnienie innych osób poza dwiema wspomnianymi w żywocie Jezusa. A są nimi Poncjusz Piłat, prokurator Judei, którego imię włoscy archeolodzy znaleźli w łacińskiej inskrypcji wyłowionej w starożytnym porcie Cezarea w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym roku, oraz wielki kapłan Kajfasz. Jego grobowiec rodzinny odkryła ekipa izraelska w południowej części Jerozolimy w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku. Wszystkie wzmianki o życiu Jezusa pochodzą z literatury chrześcijańskiej, której pierwsze teksty zostały napisane około

sześćdziesiątego roku naszej ery.

–Przypomnij sobie trzy najważniejsze postacie z tekstów z Qumran: „Nauczyciel Sprawiedliwości”, „niegodziwy kapłan” i „sofer” lub „kłamca” – wtrącił się ojciec. – Niektórzy uważają, że ten ostatni to Paweł, wspomniany z głęboką pogardą w *Księdze Habakuka*, w której jest też polemika między „kłamcą” i „Nauczycielem Sprawiedliwości” na temat ścisłego przestrzegania zasad czystości i kultu Świątyni.

–Pozwól, że odgadnę twoją myśl... Paweł stworzył podwaliny zupełnie nowej wiary, opartej nie na Prawie Mojżeszowym, lecz na wierze w Jezusa. Przez niego duch litery pokonał samą literę. Propagował nowy kult w świecie śródziemnomorskim, w Efezie, Koryncie. Jego kazania sprawiły, że chrześcijanie uznali Żydów za naród czczący okrutnego, straszliwego Boga. To za jego sprawą uniwersalna idea chrześcijaństwa doprowadziła do nawrócenia wszystkich pogan... Za jego sprawą chrześcijanie uznali siebie za nowy Izrael i stopniowo przyciągnęli Rzymian do swojej wiary. Tak skutecznie, że w niecałe trzysta lat Imperium Rzymskie było już chrześcijańskie... I właśnie po to, aby zataić, że tak radykalnej zmiany dokonał Paweł, a nie Jezus, ukryto manuskrypty... Moim zdaniem – Matti uśmiechnął się chytrze – jesteście na dobrej drodze. Jednak koniecznie musicie zobaczyć się z Phillipem Jonsonem.

–Czy ma pan z nim jakiś kontakt? – zapytałem.

–Prawdę mówiąc, nie. Pracowałem z nim dość długo i wiem, że to człowiek o wielkich możliwościach intelektualnych. Ale od pewnego wydarzenia postanowiłem więcej się z nim nie spotykać...

–Co takiego się stało?

–Było to na krótko przed odnalezieniem zwojów, podczas przyjęcia urządzonego w muzeum. Jonson trochę za dużo wypił. „Proponuję wznieść toast – powiedział do mnie, podnosząc kieliszek. – Pragnę wypić za najznakomitszego człowieka drugiej połowy dwudziestego wieku, za Kurta Waldheima”. Omal nie spadłem z krzesła. Prasa izraelska pisała o Jonsonie różne rzeczy, ale do tamtej pory w to nie wierzyłem. Teraz pomyślałem, że nie jest on kryształowo czysty.

–I nie widział go pan od tamtego dnia?

–Oczywiście widziałem, ale tylko z daleka. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym roku zebrała się rada uczonych, wyznaczonych do kontrolowania procesu publikacji zwojów. Był wśród nich Barthélémy Donnars, naczelny redaktor „Biblijnego Przeglądu Archeologicznego”. Często uczestniczył w kongresach archeologów i jest znany od San Francisco po Jerozolimę. Siedzi zawsze w pierwszym rzędzie i robi notatki w żółtym notesie. To wichrzyciel i idealista, nieuznający żadnych kompromisów... Za uśmiechniętą twarzą i

gładkimi słowami kryje się twardy charakter. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym w rękach Milleta, Michela, Almonda i Jon-sona pozostawało jeszcze kilkadziesiąt nieopublikowanych dokumentów, stanowiących bogaty materiał. Donnars chciał, aby przekazano je ekipie izraelskiej. Naciskał na Jonsona, by podał dokładny kalendarz planowanych publikacji. Jonson, zmęczony tym naleganiem, zapowiedział, że w najbliższym czasie zostanie wydana monografia *Odkrycia na Pustyni Judej-kiej*, potem, w ciągu trzech kolejnych lat, ukaże się dziesięć tomów tekstów z Qumran, a dziesięć następnych do tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku. Było to oczywiście całkowicie nierealne. W osiemdziesiątym dziewiątym roku Barthélémy Donnars napisał artykuł *One nigdy się nie ukażą*, co było jawnym wypowiedzeniem wojny międzynarodowej grupie. Stwierdził w nim, że ekipa nie opublikowała niczego od trzydziestu lat i nigdy nie opublikuje. Że tej zmowie milczenia jest współwinny izraelski Departament Starożytności. Że najlepszym sposobem, by położyć temu kres, byłoby udostępnienie zwojów z Qumran wszystkim do tego predestynowanym ośrodkom uniwersyteckim. Jego głos został w końcu usłyszany. Ale najważniejszy zwój zaginął w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym roku i nic już nie można było poradzić.

Rozmawialiśmy jeszcze jakąś chwilę z Mattim, po czym, pożegnawszy się z nim, wyszliśmy późną nocą, zadowoleni z uzyskanych od niego informacji, przekonani, że jesteśmy na dobrej drodze. Nie podejrzewaliśmy, że już nigdy nie zobaczymy go żywego.

Po wyjściu z hotelu w centrum Manhattanu ruszyliśmy pieszo przez miasto. Musieliśmy przemyśleć to, co powiedział nam Matti. Była już druga nad ranem, latarnie rzucały słabsze niż w środku nocy, ulotne światło.

Dzięki geometrycznemu układowi ulic nie było mowy o błędzeniu. Patrząc z oddali na koniec którejs z alei, w dzień można było dostrzec daleki lazur morza, ale w nocy za bliźniaczymi wieżami World Trade Center nie widać było nawet horyzontu. Ramię w ramię przemierzaliśmy ulice, onieśmieleni gigantycznymi wieżami Babel o gładkich ścianach ze szkła i metalu. Podnosząc oczy, ryzykując utratę równowagi, usiłowaliśmy wyobrazić sobie, co czuje na samym szczycie któregoś z drapaczy chmur jakiś właściciel swojego przysłowiowego imperium lub zwykły yuppie, gdy ogląda stamtąd miasto i jego wieże – zigguraty z betonu i szkła, które, odbijając się od siebie jak w lustrze, tworzą wizerunek tego miasta; co czuje, patrząc z wysoka na miasto i jego tętniące życiem i pośpiechem centrum, miasto, które samo w sobie jest zwiastunem przyszłości; co czuje, obserwując ludzi, którymi kieruje ten sam instynkt przeżycia co u zwierząt. Dochodzi do tego jeszcze pieniądz, a gwałtowne zmiany jego kursu powodują ogólnoświatowe burze. To z pewnością upajające uczucie być tak wysoko i mieć u stóp kłębiący się w szaleństwie i rozpaczony świat.

Pomyślałem, że ludzie zbudowali te wieże nie po to, by zbliżyć się do Boga, dosięgnąć ręką jego Świętego Majestatu. Nie zależało im na tym, żeby patrzeć do

góry. Chcieli lepiej widzieć wszystko to, co znajduje się w dole, objąć to spojrzeniem i narzucić swój punkt widzenia. Niczym Bóg spoglądać na małe, śmieszne figurki ludzi, ubranych na żółto lub czarno, przypominających insekty, które bywają w każdym domu w mieście, biednym i luksusowym, czystym i brudnym, przeludnionym i pustym; te w jasnych, błyszczących pancerzach, małe,

płochliwe, szybko uciekające stworzenia, i te odrażające, apatyczne, ciężko dyszące. Czy my także jesteśmy tacy żałośni, obrzydliwi i odpychający?

Opuściliśmy ulice oświetlone neonami i zagłęбилиśmy się w mrok. Marcowe powietrze było jeszcze chłodne, nad chodnikami unosiła się para. Nigdzie nie znaleźliśmy ciszy. Wszędzie gdzie szliśmy, towarzyszyły nam wycia syren karetek pogotowia, straży pożarnej lub policji, jakby każdy nasz krok wywoływał nową katastrofę. Zatrzymaliśmy taksówkę, która zawiozła nas w pobliże East Village, do Alphabet City.

Było to przedpiekle. Żebracy w łachmanach, na pół pijani, na pół zaspani, skuleni na krawężnikach, robili wrażenie ekshumowanych nieboszczyków z szarofioletową, pokrytą brudem skórą i bijącym od nich straszliwym smrodem. Z zadymionych, zatłoczonych barów wylewała się pstra mieszanina przedziwnych istot w strojach ze sztucznego tworzywa, z farbowanymi na różne kolory, zmierzwionymi włosami, z twarzami i ciałami pokrytymi tatuażami, pokłutymi kolczykami. Niektórzy, siedząc na ziemi, wbijali igły strzykawek w ręce poznaczone bliznami, inni wymiotowali, tuż przy śmietnikach i bezdomnych, ktoś wyrzaskiwał przekleństwa na samym środku jezdni, choć nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. W głębi jakiejś uliczki osobnicy odziani w skóry i łańcuchy wszczęli brutalną bójkę tuż obok swoich motorów.

Było to siedlisko demonów, pojących ludzi winem swej furii. Była to Babilonia, władczyni wszystkich królestw, która rozplatała warkocze, podnosiła spódnicę, pokazywała bezwstydnie pośladki, odsłaniając swoją nagość. Patrząc na dziwaczne postacie wychodzące z barów, pomyślałem, że to bestie o dziesięciu rogach i siedmiu łbach, z diademem na rogach i bluźnierczym tatuażem na głowach. Niektórzy przypominali lamparty, których skóry włożyli na siebie, inni mieli na twarzach ślady krwi^{*21}. Przed wejściem do jednego z nocnych lokali mężczyzna w fantastycznym stroju pół konia, pół lwa połykał ogień, by przyciągnąć uwagę przechodniów. Wszystkim, którzy chcieli wejść do jego jaskini, odciskał na prawej ręce lub czole pieczęć, którą była cyfra „666”, zgodna z nazwą migającą nad jego głową. Kiedy przechodziliśmy obok niego, ojciec aż się wzdrygnął i odciągnął mnie na drugą stronę ulicy.

–Chodźmy stąd jak najszybciej – szepnął – żeby nie przeszły na nas ich grzechy i przeznaczone im plagi.

Nazajutrz wsiedliśmy do pociągu, by udać się na Uniwersytet Yale, który znajduje się pół godziny drogi od Nowego Jorku.

Spotkaliśmy tam wielu archeologów, z którymi ojciec wszczął dyskusje na różne aktualne tematy. Niektórzy z jego kolegów dziwili się, widząc obok niego mnie, ubranego na czarno, z pejsami opadającymi spod dużego czarnego kapelusza z szerokim rondem, z miną nieśmiałą,

*Apokalipsa św. Jana, 13, 1-2.

wręcz przestraszoną. Nie pojmowali, jak syn może tak różnić się od ojca. Nie domyślali się nawet, jak bardzo byłem do niego podobny, choć wyglądałem zupełnie inaczej. Z moim kapeluszem i zbiorem psalmów, który zawsze nosiłem przy sobie, wypełniałem to wszystko, czego w nim brakowało. Byłem jego doskonałym uzupełnieniem: jego ubiorem, który kiedyś zdjął, a może nim samym, a on tylko nosił ubiór, ale nie miał własnego ciała. Jako syn byłem jego przeszłością i jednocześnie przyszłością. Ojciec nie miał ani brody, ani kapelusza, nosił zwykłe spodnie i koszulę w kratę. Jednak nie czuł się skrępowany, przedstawiając mnie, swego syna, chasyda, ortodoksa. Profesorowie zapewne zastanawiali się w duchu, kto tu kogo osłania i z pewnością uważali nas za dziwną parę.

W końcu zostaliśmy przyjęci przez Phillipa Jonsona. Uczony ten, znany ze swej ogromnej wiedzy na temat Ojców Kościoła i teologii średniowiecznej, był niewysokim mężczyzną, dobrze się trzymającym jak na swoje siedemdziesiąt lat. Pomiędzy rudymi, ze śladami siwizny włosami, połyskiwały jaśniejsze i ciemniejsze pasemka. Zielone oczy, które zachowały blask młodości, przydawały jego twarzy ciepła. Kontrastowały z bladą pomarszczoną skórą, pokrytymi trądzikiem policzkami, z czerwonymi krostkami z obu stron nosa, na którym widoczna była pajęczyna żyłek. Przymrużyłem oczy, by lepiej dostrzec ich rysunek. Rozpoznałem trzy hebrajskie litery: p, *"| , j"[, z których można było utworzyć słowo *qarat* -

„ciąć”.

Jego biurko zarzucone było pismami, księgami historycznymi i biblijnymi. Niewielki czytnik mikrofilmów, ustawiony na rogu biurka, służył mu do oglądania zdjęć antycznych zwojów.

Ojciec poprosił go, aby powiedział nam coś o międzynarodowej grupie naukowców.

–Zorganizowałem ją ja i Pierre Michel – powiedział. – Zacząłem pracę trochę wcześniej niż on, latem tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku. Na początku tylko czyściłem, przygotowywałem i identyfikowałem odkryte w grotach

zwoje. Było ich około piętnastu. Otwierałem pudełko, wyjmowałem z niego fragment zwoju, wkładałem do naczynia, by go nawilżyć, potem umieszczałem między dwiema szklanymi płytkami, aby go rozprostować. Czasami zwoje wymagały czyszczenia, gdyż były pokryte odchodami kóz, które zabłykały się do grot. Najbrudniejsze fragmenty czyściłem tłuszczem bobrowym. Jednak mimo ostrożności popełniłem fatalny błąd – do łączenia kawałków użyliśmy przezroczystej taśmy klejącej.

–A teraz badacze tracą całe godziny na odrywanie z nich lepkich i stwardniałych resztek – wtrącił ojciec.

–Wtedy nie zdawaliśmy sobie sprawy, że popełniamy błąd, znacznie mniej wiedzieliśmy o technikach restauracji. Dla mnie przez pierwsze trzy lata najważniejsze było rozpoznanie i identyfikacja zwojów. Dość szybko zacząłem pracować z Pierre'em Michele. Miał nieprawdopodobny talent do odczytywania tego, co wydawało się nieczytelne. Znał rzadkie słowa z języka hebrajskiego i aramejskiego. Miał całkowite zaufanie do analizy paleograficznej, stosowanej w badaniu starożytnych manuskryptów. Będąc przekonany, że pismo ewoluowało z upływem wieków, starał się ustalić chronologiczną sekwencję zwojów. Udało mu się wyróżnić w zwojach z Qumran trzy różne pisma, występujące kolejno po sobie: archaiczne z lat dwieście – sto pięćdziesiąt przed Chrystusem, hasmonejskie z lat sto pięć-

dziesiąt – trzydzieści przed Chrystusem, i herodiańskie z lat trzydzieści – siedemdziesiąt po Chrystusie. Pokrywały się całkowicie z okresami w dziejach Judei, od podboju przez Seleucydów aż do zburzenia Jerozolimy przez Rzymian. Dzięki temu mogliśmy stwierdzić, że zwoje należały do esseńskiej sekty, opisanej przez Filona, Józefa Flawiusza i Pliniusza Starszego. To wszystko z pewnością doskonale pan wie. Proszę powiedzieć, jakich dokładnie informacji pan potrzebuje.

–Chcielibyśmy wiedzieć, w jaki sposób zdobył pan manuskrypt, o którym Pierre Michel

wspomniał na konferencji w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym roku.

Jonson, nieco zdziwiony, odrzekł:

–Za pośrednictwem biskupa Oze. Był naszym stałym dostawcą zwojów, oprócz tych, które sami odnaleźliśmy w grotach. Ale dlaczego chce pan to wiedzieć?

–Dlatego że ten manuskrypt jest własnością muzeum w Jerozolimie i chcielibyśmy go odzyskać. Nie wiedział pan, że to ten sam zwój, który zdobył Matti i oddał do muzeum, a który potem stamtąd ukradziono?

–Wtedy nie wiedziałem. Nie miałem czasu obejrzeć zwoju zdobytego przez Mattiego, któremu pomagałem w skomplikowanych pertraktacjach z biskupem Oze. Skąd

mogłem wiedzieć, że to ten sam zwój, który Oze chciał mi później sprzedać? Dowiedziałem się o tym dopiero po odczycie Pierre'a Michela, kiedy Matti poinformował mnie, że chce go odzyskać. Ale manuskrypt ulotnił się... wraz z Pierre'em Michelelem.

–Czy zna pan jego treść?

–Niestety nie. Litery były odwrócone, jakby pisane przy użyciu lustra, i trudno było je szybko przeczytać. Najpierw dałem go polskiemu uczonemu, Andrzejowi Lirnowowi. A on, zanim popełnił samobójstwo, przekazał go Pierre'owi Michelowi.

–Czy nie sądzi pan, że to samobójstwo mogło mieć jakiś związek z tym, co przeczytał w zwoju?

–Nie wiem. Chciałbym go przeczytać, tak jak i pan, bo interesuje mnie to jako naukowiec i teolog. Choć zaczynam dochodzić do wniosku, że może lepiej nie znać jego treści – dodał po chwili wahania.

–Jak to?

–Byłem bardzo zaskoczony tym, co mówił na konferencji Pierre Michel. Od jakiegoś czasu nie informował mnie o rezultatach swoich badań, chociaż przedtem robił to stale. Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie ma kłopotów ze zdrowiem... psychicznym. Nie byłoby to dziwne... wzięwszy pod uwagę te wszystkie wydarzenia...

–Jakie wydarzenia? – zapytał z naciskiem ojciec. Jonson rzucił nam ponure spojrzenie.

–Na tych zwojach ciąży jakieś przekleństwo. Od sprawy Shapiry wszyscy, którzy mieli z nimi do czynienia, ginęli gwałtowną śmiercią. Jedni popełniali samobójstwa, jak Lirnow, innych mordowano, jak biskupa Oze. Mówią, że został zasztyletowany, ale to nieprawda.

–A według pana jak zginął? – zapytałem.

–Ukrzyżowano go.

–Z czego pan to wnosi? – zainteresował się ojciec.

–Mam własne źródła informacji.

Spojrzałem pytająco na ojca, ale on odpowiedział mi spojrzeniem mrozącym krew w żyłach.

–Nie tylko nic nie wiem o tym zaginionym manuskrypcie – kontynuował Jonson – ale i nie sędzę, aby było to ważne. Dziesięć lat po pierwszych odkryciach powstała nowa dziedzina wiedzy, qumranologia, mająca na swym koncie bibliografię składającą się z dwóch tysięcy tytułów. Wszędzie na świecie wydawane są przeglądy naukowe na temat Qumran, działają instytuty badawcze, publikowane są liczne książki. Tak więc wasz manuskrypt jest kroplą w ąmrańskim morzu, o którą wcale się nie martwię. Wątpię, aby mógł dodać coś nowego do pozostałych manuskryptów, które zresztą nie przyniosły żadnych szczególnych rewelacji dotyczących chrześcijaństwa czy judaizmu w starożytności.

–Skoro tylu ludzi pasjonuje się tymi tekstami, chyba jednak zasługują one na uwagę – wtrąciłem.

–Na związek między essenizmem i chrześcijaństwem zwrócili już uwagę filozofowie w osiemnastym wieku. Twierdzili, że chrześcijaństwo było jakąś odmianą essenizmu. Król Fryderyk Drugi napisał w tysiąc siedemset siedemdziesiątym roku do d'Alemberta: *Jezus był, prawdą mówiąc, esseńczykiem*. Działo się to w epoce oświecenia. Chciano wówczas odmistyczyć, podważyć fundamenty religii. Czy chcecie tego samego?

–Chcemy iść tam, dokąd prowadzi nas prawda – odrzekł ojciec.

–Czy sądzicie, że doprowadzi was do rewolucji? – Wstał z wyrazem gniewu na twarzy. – Czego tak naprawdę chcecie? Podać w wątpliwość oryginalność chrześcijańskiego przesłania? Podważyć fundamenty dogmatu?

–Kościół nie może negować wagi informacji zawartych w zwojach – powiedział ojciec spokojnie. – Na przykład tej, że Nauczyciel Sprawiedliwości, człowiek o nieznanym imieniu, który najwyraźniej zerwał z oficjalnym judaizmem i kultem Świątyni, był prześladowany przez „bezbożnego kapłana”. Kto to taki? Czy został skazany na śmierć, a nawet ukrzyżowany, jak sugerują użyte w zwojach słowa „powieszony żywy na drzewie”? Czy miał jakiś związek z Jezusem? Czy świętokradztwem byłoby stwierdzenie, że być może Nauczyciel Sprawiedliwości i Jezus to jedna i ta sama osoba? A co sądzić o Janie Chrzcicielu? Nie ma już wątpliwości, że prorok z pustyni, który ochrzcił Chrystusa, miał co najmniej jakiejś kontakty z esseńczykami, także żyjącymi na pustyni i praktykującymi chrzest.

–Jan mógł być po prostu pustelnikiem, eremita, nienależącym do żadnej wspólnoty. I niech pan nie zapomina, że Jezus głosił dobrą nowinę, podczas gdy esseńczycy mieli doktrynę ezoteryczną. Uznałbym raczej, iż dokumenty z Qumran rzuciły światło nie na chrześcijaństwo, ale na środowisko, w którym powstało – na judaizm pierwszego wieku. Natomiast jeśli chodzi o doktrynę esseńską, nikt jej nie zna, zginęła wraz z jej ostatnimi wyznawcami po powstaniu żydowskim przeciw Rzymianom, gdy Qumran uległo zniszczeniu na skutek trzęsienia ziemi.

–Skoro esseńcyzy zdecydowali się żyć na uboczu, znaczy to, iż powodowała nimi zdecydowana wrogość wobec Świątyni. Poza tym czekali na koniec świata i żarliwie studiowali literaturę apokaliptyczną.

–Właśnie w tej atmosferze oczekiwania na Mesjasza zrodziło się chrześcijaństwo.

–Musimy dowiedzieć się więcej na ten temat i dlatego chcemy odzyskać zaginiony manuskrypt – powiedział ojciec. – To skandal, że dokumenty odkryte w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku uległy konfiskacie i nie można poznać ich treści, ponieważ nie są publikowane.

–Czego jeszcze chcecie? – Jonson był coraz bardziej rozłoszczony. – Macie manuskrypty z jedenastu grot. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym roku Amerykanie wydali trzy manuskrypty z czterech z klasztoru Świętego Marka: pierwszy *Zwój Izajasza*, *Komentarz Habakuka* oraz *Podręcznik dyscypliny*. Do tego trzeba dodać pośmiertne wydanie tekstów, nad którymi pracował Ferenkz: drugi *Zwój Izajasza*, znany pod tytułem *Wojna Synów Światła z Synami Ciemności*, i wreszcie *Hymny*. Cztery manuskrypty z klasztoru Świętego Marka, przewiezione w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku do Stanów Zjednoczonych, zostały potem odkupione przez Izrael, który wznosił dla nich coś w rodzaju świątyni książki w muzeum w Jerozolimie.

–Mówimy o tym jednym konkretnym manuskrypcie, a nie o tych, które już mamy – przypomniał sucho ojciec. Po chwili zastanowienia dodał: – Ale wy zapewne boicie się o waszą wiarę. Czy to Papieska Komisja Biblijna nakazała wam tak postępować? Mam na myśli Kongregację Nauki Wiary, dla której pan pracuje.

–Nie dam się nabrać na wasze kombinacje – odparował Jonson. – Chcecie zachwiać wielowiekową wiarą w naszego Pana. Postępujecie skandalicznie...

To mówiąc, wskazał nam drzwi gestem oznaczającym, iż rozmowa została zakończona.

Ojciec robił wrażenie przygnębionego. On, który tak czcił starożytność, przekonał się nagle, że zwoje, znalazłszy się w rękach czterech badaczy, rozproszyły się po całym świecie. Powodowały same kłopoty. Mordowano ludzi, innych ogarniało szaleństwo i popełniali samobójstwa. Chociaż ojciec był uczonym o ścisłym umyśle, ateistą i racjonalistą, wierzył w znaki nieba w sposób dla mnie zaskakujący. Zawsze zastanawiałem się, jak człowiek tak oderwany od wszelkiej religii mógł wierzyć w coś, co nazywał „porządkiem rzeczy”, a co dla mnie było porządkiem boskim.

Dziwiłem się jego zniechęceniu. Znając jego zapał do badań i odkryć, nie pojmowałem, dlaczego uznał, iż nie zdołamy odnaleźć manuskryptu, a jeśli nawet przypadkiem do niego dotrzemy, ściągnie to na nas nieszczęście. W rzeczywistości,

o czym przekonałem się później, ojciec czuł wpojony w dzieciństwie strach przed demonami, który tkwił w nim, zakłócając naukowe spojrzenie na świat. Bał się, że zwojami włada szatan.

–Moim zdaniem – powiedziałem – w przeciwieństwie do tego, co twierdzi Jonson, treść

manuskryptów jest ważna i powinniśmy ją poznać. Trzeba podążać tym śladem.

–Nie wiem nawet, od czego zacząć.

–Co to za sprawa Shapiry, o której wspomniał Jonson?

–Sprawa Shapiry... Latem tysiąc osiemset osiemdziesiątego trzeciego roku w Londynie nie

mówiono o niczym innym, tylko o znalezieniu dwóch starożytnych hebrajskich manuskryptów,

zawierających Pięcioksiąg. Chodziło o piętnaście czy szesnaście długich pasków skóry, które

Shapira przywiózł z Palestyny. Zaproponował je British Museum za milion funtów. W prasie

angielskiej przez wiele tygodni, niemal codziennie, ukazywały się artykuły poświęcone temu

wydarzeniu, a nawet publikowano tłumaczenie tych tekstów. Przed muzeum ustawiali się w

kolejce ludzie pragnący zobaczyć manuskrypty. Premier Gladstone, wielki miłośnik

starożytności, także się tam udał i spotkał z Shapirą. Mojżesz Wilhelm Shapira, polski żyd

nawrócony na chrześcijaństwo, przez długi czas zajmował się handlem antykami i

manuskryptami w Jerozolimie. Założył w Berlinie i Londynie biblioteki hebrajskich tekstów, w większości pochodzących z Jemenu. Odnalazł nawet komentarz do dzieła Majmonidesa *Midrasz*. Dziwnym zbiegiem okoliczności odkryte przez Shapirę pergaminy przypominają zwoje znad Morza Martwego. One także, jak zwoje z Qumran, były owinięte w kilka warstw bardzo starego płótna. Jednak reputacja Shapiry została nadszarpnięta, gdy sprzedał Królewskiemu Muzeum w Berlinie figurki moabickich bożków, a komisja ekspertów uznała je za falsyfikaty. Anglicy

zaprosili specjalistów do zbadania zwojów. Pierwszym, który podważył autentyczność manuskryptów, był Adolf Neubauer, ekspert berliński. Ostateczny cios zadał Clermont Ganneau, francuski archeolog, antysemita. Wkrótce potem Shapira popełnił samobójstwo w hotelu w Rotterdamie.

–Jeszcze jedna śmierć z powodu zwojów... – mruknąłem.

–Tak, i być może nie ostatnia. Najdziwniejsze jest to, że nigdy nie odnaleziono tych manuskryptów. Zniknęły wraz ze śmiercią Shapiry. Może to głupie, ale zaczynam się bać.

–Dlaczego? Czy Jonson i Kongregacja Nauki Wiary uważają, że zwoje są obciążone klątwą?

Czy sądzisz, że mają coś wspólnego z nową herezją?

–Być może. To ukrzyżowanie budzi we mnie lęk. Kto mógł to zrobić? Chrześcijanie? Nie widzę w tym sensu. Żydzi? *Komentarz Nahuma* wspomina o powieszonych żywych ludziach, czyli ukrzyżowanych. Mimo iż kara ta była zakazana w prawie żydowskim, wiadomo, że Aleksander Janneusz stosował ją na szeroką skalę. Możliwe także, że Żydzi, których ukrzyżował Antioch Czwarty Epifanes, poszli w ślady swoich prześladowców w czasie powstania Machabeuszy, ale to tylko hipoteza, która nie została potwierdzona... Najbardziej prawdopodobne jest to, że zrobili to Rzymianie...

–Przecież Rzymian już nie ma! – wykrzyknąłem. – To się działo tysiące lat temu. Dziś są inne czasy. Mógł to zrobić jakiś szaleniec... Myślę, że powinniśmy zasięgnąć rady u rabiego Williamsburga. Powie nam, czy mamy kontynuować poszukiwania, czy nie.

Nie wiem, co mnie skłoniło, żeby zaproponować to ojcu. Może powiedziałem tak, ponieważ widziałem, jak bardzo jest przybity. A może była to zwykła reakcja chasyda? Ojciec spojrzał na mnie zaskoczony.

–Tego starego rabiego, którego widzieliśmy w ostatni szabat?

Wydawał się taki zagubiony, że nie musiałem go długo przekonywać.

*Lepiej jest dwóm niż jednemu, gdyż mają dobry zysk ze swej pracy. Bo gdy upadną, jeden podniesie drugiego. Lecz samotnemu biada, gdy upadnie, a nie ma drugiego, który by go podniósł. Również gdy dwóch śpi razem, nawzajem się grzeją; jeden natomiast jakże się zagrzeje? A jeśli napadnie ich jeden, to dwóch przeciwko niemu stanie; a powróż potrójny niełatwo się zerwie^{*22}.*

Ponieważ powołałem się na mojego rabiego z Izraela, szybko uzyskaliśmy

posłuchanie, o które prosiliśmy. Weszliśmy do niewielkiego domu rabbiego. W pokoju gdzie ogłaszał swoje wyroki, uczniowie siedzieli na podłodze, z kapeluszami odrzuconymi na karki, wsłuchani w każde słowo nauczyciela. Gabaj, asystent rabbiego, wchodził i wychodził, podając mu od czasu

Księga Koheleta (Eklezjastes), 4, 9-12.

do czasu *kwtitl* - prośbę na piśmie. Rabbi udzielał rad w sprawach handlowych, leczenia czy ewentualnego małżeństwa, które, jeśli jego opinia nie była pomyślna, mogło zostać anulowane. Nigdy przedtem nie widział ludzi, którzy przyjeżdżali do niego z całego świata. Zdarzało się, że ktoś z Europy czy Izraela, kto nie mógł podróżować, przekazywał swoją prośbę przez telefon. I rabbi miał odpowiedź na wszystko.

Gabaj przyprowadził nas przed jego oblicze. Wyjaśniłem pokrótce powód naszej wizyty, nie podając szczegółów, jak poradził mi ojciec, po czym zapytałem rabbiego, czy mamy kontynuować nasze poszukiwania, czy zrezygnować. Oddalił się na moment, aby się zastanowić, po czym wrócił, szepnął coś do ucha swojemu asystentowi, a w końcu skinął głową i powiedział:

–Trzeba kontynuować poszukiwania. Chociaż jest to niebezpieczne, szukajcie nadal. Zanim wyszliśmy, pobłogosławił nas, kładąc ręce na naszych głowach.

–Bóg ci pomoże – dodał pod moim adresem.

Gdy podniosłem głowę, napotkałem jego przenikliwe spojrzenie spod gęstych brwi. Natychmiast, zawstydzony, spuściłem oczy. Wtedy on, nachyliwszy się do mojego ucha, powiedział coś, co zmroziło mi krew w żyłach:

–Uważaj na swojego ojca, grozi mu wielkie niebezpieczeństwo.

Przed wyjściem zostawiliśmy, w specjalnie do tego przygotowanym pudełku, *pidjon*, opłatę za radę.

Za nami rozległy się żarliwe śpiewy, bowiem u chasydów podjęcie każdej decyzji zawsze kończy się śpiewami i tańcami w wykonaniu uczniów, którzy wolą je od modlitw, są bowiem weselsze i dzięki nim łatwiej osiągnąć *devekut*. Obejrzałem się po raz ostatni. W miarę jak się oddalaliśmy, słyszeliśmy powtarzane coraz głośniejsze okrzyki: „ach, oj, hej, bam, ja”. Z tego radosnego śpiewu emanowała jakaś siła i solidarność nie do pokonania. Wiedziałem, że w tym momencie uczniowie rabbiego trzymają się za ramiona lub w pasie i zaczynają taniec, który wprowadzi ich w trans. Wyobrażałem sobie, co się dzieje teraz na tym chasydzkim dworze, jak tworzą się magiczne kręgi tancerzy, pierwszy łączy się z ostatnim, który nie ma początku ani końca. Ich radosne uniesienie rosło w rytm zwiększającego się tempa. Wkrótce robi im się bardzo gorąco, zrzucą więc ciężkie czarne płaszcze, zostaną w samych

koszulach, wykonując coraz bardziej skomplikowane taneczne figury. Najzręczniejsi uformują mały krąg w środku dużego, pozostali, klaszcząc, będą przyglądać im się jak zaczarowani. Rytm pieśni nie pozwoli nikomu pozostać w bezruchu, wkrótce wszyscy ulegną tej czarnej magii.

Szliśmy do hotelu, nie oglądając się za siebie. Ojciec wydawał się uspokojony radą rabiego, odzyskał chęć do realizowania powierzonego nam zadania. Jednak ja byłem zrozpaczony, ale nie mogłem mu o tym powiedzieć. Gdyby rabbi chciał, żeby ojciec się o tym dowiedział, powiedziałby to na głos. Poza tym nakazał nam kontynuować poszukiwania. Po raz pierwszy czułem ogromny, dławiący gardło, ściskający żołądek niepokój. Musiałem zdradzić jednego z nich, by nie zdradzić tego drugiego. Ojciec w końcu zauważył moją minę i zapytał:

–Co rabin szepnął ci na ucho?

–Sekret – odrzekłem – inaczej nie mówiłby tego szeptem.

Pogrążeni w myślach, nie zauważyliśmy podążającej za nami ubranej na czarno sylwetki.

W Nowym Jorku zostaliśmy jeszcze kilka dni, żeby w bibliotece uniwersyteckiej spotykać się z uczonymi i archeologami. Wciąż nam powtarzano, że takie poszukiwania niczego dobrego nie przyniosą religii, a dla nas są niebezpieczne.

Stopniowo mój niepokój się rozproszył. Mimo iż wokół manuskryptów panowała atmosfera zagrożenia, czułem się niepokonany. Byłem dumny z ojca i z siebie. Święcie wierzyłem, że sekretem potęgi i powodzenia jest sojusz między pokoleniami. I w odróżnieniu od mojego ojca, choć byłem bardziej religijny niż on, nie wierzyłem w demony. Byłem pewien, że śmierć to mit wymyślony przez człowieka, by wywoływać w nim lęk i podporządkować go biegowi wydarzeń. Człowiek to stworzenie potrzebujące pana i właśnie w śmierci znalazł władcę absolutnego.

Nie wierzyłem w śmierć, ponieważ sądziłem, że człowiek jest panem swego losu.

Późniejsze wypadki, których ogrom zła nie miał sobie równych, szybko wyprowadziły mnie z błędu i otworzyły mi oczy na ludzką podłość.

***Wszystko idzie na jedno miejsce: powstało wszystko z prochu i wszystko do prochu znów wraca*^{*23}.**

W końcu zdecydowaliśmy się na wyjazd do Londynu, by spotkać się tam z uczonym angielskim Thomasem Almondem, jednym z czterech członków ekipy, który posiadał manuskrypty, a jednocześnie, jako agnostyk, był pewnie najbardziej przystępny ze wszystkich.

W dzień naszego wyjazdu recepcjonista z hotelu przyniósł nam paczuszkę, którą dla nas zostawiono. Zawierała mały kawałek ciemnobrązowego pergaminu. Nie mieliśmy pojęcia, kto mógł go nam przysłać. Było za wcześnie, żeby Matti zdążył spełnić daną obietnicę. Ponadto przysłałby nam kopię, a nie oryginał, bo sam takowego nie posiadał. Przed udaniem się na lotnisko musieliśmy jeszcze załatwić transport rewolweru. Postanowiliśmy więc, że pergamin obejrzymy później.

Gdy samolot wystartował, ojciec wyjął z paczuszki pergamin i ostrożnie go rozwinął.

–Ciekawe – mruknął. – Nie potrafię określić, ze skóry jakiego zwierzęcia został sporządzony. Za ciemna na skórę jagnięcą lub baranią. Nigdy nie widziałem takiego pergaminu.

Pergamin był gruby, gładki, z nikłymi śladami żłobień, a przy tym wilgotny. W przeciwieństwie do pergaminu zwojów z Qumran nie był kruchy, gotów rozsypać się na tysiące kawałków. Skóra była dobrze wygarbowana, delikatna, miękka, łatwo się zwijała. Wyglądała niezwykle świeżo, jakby to zwierzę dopiero co zabito. Odcyfrowaliśmy słowa napisane w języku aramejskim. Czarny atrament, którego użyto, miejscami był wyblakły, litery podkreślono maleńkimi, czerwonymi jak krew pasemkami. Tekst, który odczytaliśmy, był nam znany:

To jest ciało moje, To jest krew moja, Krew Przymierza wylana dla wielu.

***Księga Koheleta (Eklezjastes), 3, 20.**

–Mowa o eucharystii, gdy w święto Pesach, jak opowiadają księgi ewangelii, Jezus identyfikuje się z chlebem i winem i zapowiada swoje męczeństwo – wyjaśnił ojciec.

–Ale o co tu chodzi? Kto mógł nam to przysłać? Z jakiego powodu?

–Nie wiem. Gdyby to był fragment ze zwojów z Qumran, stanowiłby kapitalny dowód na związek pomiędzy ewangeliami i zwojami. Ale ja nie daję mu więcej niż sześć miesięcy...

–Czy sądzisz, że ktoś chce z nas zakpić?

–Albo nas przestraszyć. Dać do zrozumienia, że jesteśmy śledzeni.

Zaintrygowani, jeszcze raz przyjrzelśmy się pergaminowi. Z pewnością nie był podobny do tych, które znaleźliśmy. Słowa z kształtnymi literami bez wątpienia zostały napisane przez dobrego skrybę, ale w pośpiechu, jakby piszący nie miał czasu dokładnie zaznaczyć poziomych linii. Struktura skóry, delikatniejsza od starych zwojów, była niepokojąco znajoma. Im dłużej się jej przyglądałem, tym wyraźniejsze miałem uczucie, że już gdzieś taką widziałem. Ale gdzie? W muzeum czy na jakiejś reprodukcji u ojca w Izraelu? Choć nie potrafiłem tego wyjaśnić, miałem wrażenie, że

widziałem ją całkiem niedawno. Nagle ojciec krzyknął przerażony. W jednej sekundzie na jego czole pojawiły się krople potu. Nie mógł wykrztusić słowa.

–To nie pergamin... Ary... to skóra... – wyjąkał wreszcie.

–Oczywiście, że skóra – powiedziałem, nic nie rozumiejąc. – Chciałem powiedzieć, że... to ludzka skóra.

Spojrzałem ponownie na to, co ojciec trzymał w drżących dłoniach. I wtedy zrozumiałem. Dreszcz zgrozy przeszedł mi po plecach. Rozpoznałem śniadą, charakterystyczną skórę Mat-tiego.

Po przyjeździe do Londynu zadzwoniliśmy do hotelu Mattiego. Powiedziano nam, że nie ma go od dwóch dni i że szuka go policja.

Zatrzymaliśmy się w hotelu, niedaleko od Centrum Studiów Archeologicznych, gdzie pracował Thomas Almond. Wciąż jeszcze nie otrząsnąwszy się z przerażenia, ślanialiśmy się jak po nieprzespanej nocy. Nie wiedzieliśmy, co robić. W końcu ojciec zadzwonił na policję, by dowiedzieć się czegoś więcej. Powiedziano mu, że Matti został prawdopodobnie porwany, ale na razie nie wpadli na jego ślad. My jednak nie mieliśmy żadnych wątpliwości, co mu się przydarzyło. Ale z jakiego powodu skazano go na takie cierpienie? Czy go śledzono? Czy ktoś chciał przeszkodzić mu w przekazaniu nam obiecane fragmentu? Czy Matti wiedział coś, o czym nam nie powiedział? I dlaczego przesłano nam to barbarzyńskie ostrzeżenie? Nie przestawaliśmy zadawać sobie tysięcy pytań.

Po południu udaliśmy się do Centrum Studiów Archeologicznych, bardziej po to, żeby oderwać się od strasznych myśli, niż z zamiarem kontynuowania naszego śledztwa. Ojciec,

który znał dobrze to miejsce, ponieważ był w nim wiele razy w związku z prowadzonymi przez siebie badaniami, teraz z trudem je poznawał. Archeologia się z informatyzowała. Dane, plany, informacje o wykopaliskach znajdowały się obecnie na mikrofilmach, łatwiejszych w użyciu, mniej narażonych na zniszczenie. Sekretarz poinformował nas, że Almond nie pracuje tutaj od kilku lat. Mieszka w swoim domu w Manchesterze, zajmując się tłumaczeniem manuskryptów i pisaniem książki.

Nie był to koniec naszych kłopotów. Dom Almonda znajdował się daleko od wszystkiego. Najpierw jechaliśmy pociągiem, a potem autobusem, by w końcu wysiąść na jakimś pustkowiu. Musieliśmy iść kilka dobrych kilometrów przez las. Było ponuro, w powietrzu wisiał deszcz. W drodze towarzyszyły nam niepokojące okrzyki czarnych puszczyków, które bez przerwy nad nami przelatywały. W końcu na zakręcie drogi ujrzeliśmy dom.

Był to niewielki budynek z szarej cegły, obrośnięty krzakami. Zapukaliśmy do drzwi. Otworzył nam mężczyzna około pięćdziesiątki, z czarną brodą i bardzo długimi włosami, w ciemnym ubraniu. Ojciec przedstawił się jako profesor archeologii z uniwersytetu w Jerozolimie. Wyluszczył powody naszej wizyty i streścił pokrótce przebieg rozmowy z księdzem Jonsonem. Dopiero wtedy Almond pozwolił nam wejść.

Wnętrze domu było prawdziwym sanktuarium zakurzonych, starych jak Matuzalem relikwii, rozrzuconych na podłodze, pozawieszanych na ścianach, zgromadzonych na

stołach. Almond pokazał ojcu kilka rzadkich okazów, których dotykał dłońmi w rękawiczkach, niczym ogrodnik sprawdzający delikatne kwiaty. Był to archeolog pasjonat, szalony naukowiec, bez reszty oddany swojej pracy, bez której czułby się zagubiony. Pokazał stojący w głębi pokoju stary stół, na którym leżały przekazane mu do tłumaczenia fragmenty. Ojciec i ja spojrzeliśmy na nie z pożądliwością, której nie zdołaliśmy ukryć.

Wtedy tak naprawdę ujrzałem je po raz pierwszy. Były to bardzo stare pergaminy, pokryte drobnym, czarnym, ścisłym pismem hebrajskim, bez marginesów, akapitów, znaków przestankowych, nieprzerwany ciąg liter niewzruszenie podążających swoją drogą. Niekiedy odchyłał się do góry, przedłużony literą *lamed* lub *jod*, ale potem natychmiast wracał na prostą niewidoczną linię, jakby wyznaczał linię cnoty. Był to pergamin delikatny niczym papier, łatwo mógł się rozsypać w proch, a mimo to przetrwał dwa tysiące lat. Był kruchy i zarazem trwały jak żydowska moralność, wyeksponowany, ale silny w swej słabości niby wychudzona twarz. Przypomniał mi buteleczkę olejku, zapalanego przez Machabeuszy w świątyniach zniszczonych przez greckich żołnierzy, który zamiast wypalić się po kilku godzinach, płonął przez osiem dni. Był to cud Chanuka, dzięki któremu, mimo wojny, mógł być wypełniony rytuał Świątyni. A to, co ujrzałem, wydało mi się cudem zwojów.

Nachyliliśmy się i odczytaliśmy w ciszy:

Albowiem przynależą do wspólnoty niegodziwych,

Do Zgromadzenia bezbożnych.

Przez moje grzechy i winy,

Przez przewrotność mego serca,

Należą do wspólnoty nieczystych,

Do tych, którzy idą w kierunku ciemności.

–Obejrzyjcie ten – powiedział Almond, pokazując nam lepiej zachowany manuskrypt.

–

To kopia *Zwoju Miedzianego*. Kiedy odnaleźliśmy oryginał, był tak sklejonny, że nie można go

było rozwinąć. Wpadłem na pomysł, który pozwolił podzielić go na małe fragmenty. Spójrzcie.

–Pokazał niezwykle urządzenie, złożone z piły i szyn. – Pergamin jest przecinany wzdłuż

przez igłę, potem przewożony małym wózkiem na szynach wprost pod okrągłą piłę. Tym

sposobem pergamin obraca się, a piłą pozostaje wciąż w jednej pozycji. Dmuchawa zabiera pył,

a przez lupę można kontrolować głębokość uderzeń dłuta. Aby zwój nie pękł na setki drobnych

kawałeczków w momencie, gdy dotknie go ostrze, z zewnątrz owinięty jest odpowiednią taśmą

i podgrzewany tak, aby skóra wciąż była elastyczna. W ten sposób można bardzo precyzyjnie

rozdzielić dowolną liczbę liter. A oto efekt pracy. – Z dumą pokazał nam maleńki fragment.

–Czy zna pan treść zwojów, które otrzymali pańscy koledzy z ekipy międzynarodowej? – zapytał ojciec.

–Nie, nigdy ich nie czytałem. Nie jeżdżę na konferencje poświęcone ąmranologii, zresztą moi koledzy też w nich nie uczestniczą. Znam natomiast ich zdanie, iż te teksty nie zawierają żadnych rewelacji, które mogłyby wywołać jakieś zamieszanie, zmusić do rewizji poglądów na temat pierwotnego chrześcijaństwa. Jednakże ja sam trafiłem na bardzo interesujące rzeczy. Jeden z tych tekstów opisywał uzbrojenie – tarcze, miecze, łuki i strzały, bogato zdobione złotem, srebrem i drogimi kamieniami – które miało służyć ludziom wskrzeszonym po nadejściu Mesjasza. Był tam bardzo dokładny opis armii podzielonej na wiele oddziałów, z których każdy walczyłby pod własnym sztandarem z wypisaną religijną dewizą. Cała strategia i taktyka jest z góry przewidziana. Wszystko zostało ustalone na przybycie Mesjasza. A kiedy przybędzie, pozostanie mu tylko postępować zgodnie z tym, co jest w tekstach, by rozpocząć wojnę ostateczną.

–Jaką wojnę? – zdziwiłem się.

Almond zrobił tajemniczą minę i oznajmił donośnym głosem:

–Wojnę Synów Światła przeciw Synom Ciemności! Jeden ze zwojów jest w całości poświęcony tej wojnie. Synowie ciemności to armia Beliala, mieszkańcy Równiny Filistyńskiej,

bandy *Kittim* z Assur i zdrajcy, którzy im pomagają. Ci pierwsi to synowie Lewiego, Judy i

Beniamina, wypędzeni na pustynię. Najpierw nastąpi konfrontacja między Egiptem i Syrią,

która powinna przynieść koniec panowania syryjskiego i oddać Synom Światła w posiadanie

Jerozolimę i Świątynię. Przez czterdzieści lat będzie toczyć się walka z potomkami Sema,

Chama i Jafeta, to znaczy ze wszystkimi ludami świata. Wojna przeciw każdemu z narodów

będzie trwać sześć lat i skończy się w siódmym roku, zgodnie z prawem Mojżesza. Po

czterdziestu latach wszyscy Synowie Ciemności zostaną unicestwieni.

–Niektórzy twierdzą, że manuskrypty są niebezpieczne dla wiary i że sprowadzą nieszczęście – przypomniał ojciec.

–Kto tak mówi? Synowie Ciemności? – zapytał ponuro Almond.

–No... niektórzy uczeni – odrzekł po chwili ojciec.

–Im wystarczy dogmat. Oni wciąż tkwią w mrokach średniowiecza. Ja zaś poszukuję faktów, a nie dogmatu – powiedział Almond, uderzając pięścią w stół, aż się wzdrygnęliśmy.

–Teolodzy nie są w stanie stwierdzić, gdzie i kiedy urodził się Jezus, ani nawet kim był. Nie

potrafią wyjaśnić, jakim sposobem można pogodzić wizerunek Jezusa z ewangelii

synoptycznych z tak odmiennym jego wizerunkiem z Ewangelii według świętego Jana. A

przecież wiedzą, co chrześcijaństwo zawdzięcza religii pogańskiej. Wiedzą również, że są uderzające podobieństwa między esseńczykami i pierwszymi chrześcijanami i że jest prawdopodobne, iż byli ze sobą powiązani. A teraz twierdzą, że nic ich nie niepokoi, że nic się nie dzieje. Pytam ich więc: czy religia nie domaga się prawdy? Czy czterej ewangelieści nie powiadali *prawda was wyzwoli*? Odpowiadają na to, że Nowy Testament daje spójny obraz życia Jezusa i początków Kościoła. To nieprawda! Z życia Jezusa znamy tylko fragmenty, które wcale nie tworzą spójnej całości. Co się zaś tyczy tak zwanych początków Kościoła, nie jest nawet pewne, czy Jezus stworzył, czy tylko myślał o założeniu Kościoła chrześcijańskiego.

–Właśnie – włączył się ojciec, ośmielony tokiem dyskusji – chcemy się dowiedzieć, kim był naprawdę Jezus i jaka była jego prawdziwa historia.

–Wątpię, czy uda się kiedykolwiek odtworzyć życie Jezusa. Brakuje zbyt wielu elementów. Ale powiem wam, dlaczego zwoje zaginęły lub zostały rozproszone i dlaczego nieszczęście przytrafia się tym, którzy się z nimi stykają, łącznie z wami, jeśli będziecie kontynuowali poszukiwania. – Wymierzył w nas długi, kościsty palec. – Mimo licznych sprzeczności w ewangeljach teologowie zawsze twierdzili, że przedstawiają one prawdziwą historię. I oto teraz, po raz pierwszy od wieków, dzięki odkryciu tych pergaminów mamy możliwość dowiedzieć się, czy Jezus był esseńczykiem czy faryzeuszem, czy istniał jeden Jezus czy było ich wielu. A może nikt taki w ogóle nie żył? Przez długi czas ewangelie były jedynym źródłem historycznym o życiu Jezusa i początkach Kościoła chrześcijańskiego. Jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że trzy z nich pokrywają się ze sobą do tego stopnia, iż z pewnością są kopiami, to czy naprawdę sądzicie, że jest to solidne i wiarygodne źródło? Nie! I niewykluczone, że zwoje bardzo poważnie podważają dotychczasowe przekazy.

–Jednak u Józefa Flawiusza jest krótka wzmianka o Jezusie – zauważyłem nieśmiało. – A Flawiusz to poważny i skrupulatny historyk.

–Uczeni o najlepszej reputacji odrzucili ten fragment, uważając go za podrobiony. Bez wątpienia został dodany przez jakiegoś nadgorliwego kopistę w średniowieczu. Tak samo zresztą jak i wiele innych pism. Musimy zdać sobie sprawę z oczywistego faktu, że wszystko, co wiemy, pochodzi z ewangelii. Manuskrypty dają nam więc nadzieję na oddzielenie prawdy od legendy. Ale niektóre osoby, których nazwisk nie wymienię, robią wszystko co w ich mocy, żeby nam się to nie udało.

Podeksytowany Almond ciągnął swoją myśl i nic nie mogło go powstrzymać. Zapadał mglisty zmierzch, blade światło lampy rzucało na ściany niepokojące cienie. Jednym z nich był nadnaturalnej wielkości cień Almonda, wykonującego dziwaczne gesty, perorującego surowym tonem:

–Znacie na pewno epizod o trzech magach, udających się do żłóbka z dzieciątkiem Jezus...

A czy znacie opowieść Tiridatesa z Partii o tym, że trzech magowie przynoszą dary Neronowi,

którego czcili jako boga Mitrę? Albo o magu szukającym Frawaszi, którego narodziny zostały

zapowiedziane przez gwiazdę na niebie? Czy niczego wam to nie przypomina?

–Kim był ten Frawaszi? – zapytałem.

–Pogańskim bogiem z kultu, który chętnie by pan poznał, młody człowieku – powiedział Almond, patrząc na mnie znacząco. – A zwiastowanie pasterzom albo *magnificat* i *benedictus*, czy rzeczywiście zostały ogłoszone przez Marię i Elżbietę i potwierdzone przez świadków, jak opowiada święty Łukasz? Czy może są to dostosowane do okoliczności kompozycje liturgiczne?

Uczeni dobrze wiedzą, iż powstały później niż opowieść tego ewangelisty. Pytam wszystkich – Almond rozłożył ręce i podniósł głos, jakby brał na świadków ogromne audytorium – które fragmenty ewangelii nie zostały zmienione przez ich autorów lub kopistów? Pierwsze manuskrypty, jakie znamy, powstały dopiero w czwartym wieku, tak więc Ojcowie Kościoła mieli czas na zmodyfikowanie przekazów pisemnych lub dostosowanie ich do teologicznych dogmatów. Czy wiecie, że absolutnie niemożliwe jest dowiedzenie, że Jezus urodził się w Betlejem? A jeśli w Betlejem, to w którym, w Judei czy w Galilei? Czy rzeczywiście żył „zabójca dzieci”, który pragnął zgładzić nowo narodzonego Jezusa, jak przekazują ewangelie? Kim był? Nigdzie indziej nie ma o tym żadnej pisemnej wzmianki.

–Uważa się, że był nim Herod – przypomniał ojciec.

–Ale czy o takim barbarzyństwie mógł nie wiedzieć Józef Flawiusz, który chętnie opowiadał o rozlicznych zbrodniach tego króla? A może wymyślił to święty Mateusz, chcąc w ten sposób potwierdzić prorocstwo Racheli, oplakującej swoje dzieci? I może w tym samym celu wysłał Józefa i Marię z nowo narodzonym dzieckiem do Egiptu, aby sprawdziły się słowa proroka: *Z Egiptu przyzwę mego syna?*

Almond perorował, nie dając sobie przerwać, podniecony obecnością skromnego audytorium, mojego ojca i mnie, które w jego wyobraźni urastało zapewne do tłumu tysięcy słuchaczy, żywych lub martwych.

–Co myśli wierzący? Wierzy on, że Jezus głosił ewangelię, że umarł jako Mesjasz, że zmartwychwstał i za pośrednictwem apostołów założył Kościół chrześcijański, który rozciąga się na cały świat. A jeśli nie wierzy w zmartwychwstanie, przypuszcza, że apostołowie za sprawą Jezusa utworzyli Kościół zgodnie z ewangeliami. Uznaje, przynajmniej taką mam nadzieję, że Jezus był Żydem i spadkobiercą tradycji żydowskiej. Tak samo przyznaje, że apostołowie odpowiednio interpretowali słowa Jezusa, tworząc z nich jego doktrynę, że uznali Jezusa za Zbawiciela, przywódcę ludzkości, Syna Bożego. W każdym z tych przypadków wierzy się w oryginalność chrześcijańskiej doktryny. Ludzie nie mają pojęcia o tym, co było wcześniej, czego nie ma w Biblii. Chyba że są to dokonania Mojżesza i przepowiednie dotyczące nadejścia Chrystusa. Uczony wie jednak, że w czasach Jezusa było wiele pogańskich bóstw, w imieniu których głoszono podobne doktryny. Mitra był Odkupicielem ludzkości, podobnie jak Tammuz, Adonis i Ozyrys. Wizerunek Jezusa jako Odkupiciela nie jest pomysłem żydowskim. Nie jest także znany pierwszym chrześcijanom w Palestynie. Mesjasz, na którego czekali żydzi, a wraz z nimi

chrześcijanie, nie był synem Boga, lecz wysłannikiem Boga, tym, który miał ocalić świat nie przez ofiarę ze swego ciała i krwi, lecz przez nastanie na ziemi królestwa mesjanistycznego. Żydzi, pierwsi chrześcijanie, chociaż wierzyli w nieśmiertelność, nie oczekiwali wyzwolenia, które zaprowadzi ich do raj. Wyzwolenie równało się dla nich ustanowieniu nowego porządku na ziemi. Dopiero kiedy chrześcijaństwo rozprzestrzeniło się po świecie pogańskim, narodziła się idea Jezusa jako zbawiciela. Wiecie, dlaczego te zwoje powodują takie kłopoty? Ponieważ dają pełny obraz judaizmu tamtej epoki. Jeśli Jezus żył naprawdę, musiał natknąć się na sektę esseńską, a nawet do niej należeć, choć żaden ze zwojów, o ile wiem, o nim nie wspomina. Mówią o Nauczycielu Sprawiedliwości, ale wcale z tego nie wynika, że był nim Jezus.

– Jest więc możliwe, że istniało wielu proroków i w osobie Jezusa połączono ich wszystkich? – zapytałem.

– Postać Jezusa jest rzeczywiście zainspirowana przez inne wcześniejsze postacie, na przykład Mitry – mówił Almond, najwyraźniej zadowolony, że nadążamy za tokiem jego rozumowania. – Dwudziesty piąty grudnia, wybrany przez pierwszych chrześcijan jako dzień narodzin Jezusa, u pogan czczono jako dzień Mitry, jest to data przesilenia zimowego. Podobnie szabat, dzień, w którym Bóg odpoczywał po stworzeniu świata, zastąpił dzień, w którym czczono Mitrę jako zwycięskie słońce. – Stary naukowiec odwrócił się i zdjął ze ściany obraz przedstawiający Chrystusa na krzyżu, jak sądzę oryginał autorstwa Caravaggia. Trzymając go w obu rękach, kontynuował swój wykład tonem profesora zwracającego się do studentów: – Postać Dziewicy Maryi, stojącej przy umierającym synu, była wszechobecna w świecie śródziemnomorskim w czasach ekspansji chrześcijaństwa. Początkowo, z nastaniem każdej wiosny, była czczona jako uosobienie Ziemi, Matki i Dziewicy. Syn był owocem ziemi, zrodzonym po to, by umrzeć, wrócić do ziemi, aby mógł nastąpić początek nowego cyklu. Pamiętajcie słowa: *Jeśli ziarno nie umrze...* Dramat „Boga Zbawiciela” i „Matki Bolejącej” to mit o wegetacji. Cykl pór roku jest równoległy do cyklu w raj. Jest także konstelacja Dziewicy, która wschodzi na wschodzie, gdy Syriusz, pojawiający się od tej strony, sygnalizuje odrodzenie Słońca. W pogańskim micie przejście gwiazdy Dziewicy przez linię horyzontu oznaczało, iż rodzi ona dziecko za sprawą Słońca. Czy coś wam to przypomina? A grota, w której miał narodzić się Jezus, była taka sama jak ta, w której przyszedł na świat Horus, syn Izydy i Ozyrysa, po to, by oddając życie, ocalić swój lud. A więc Izyda także była *Mater Dolorosa* - Matką Bolejącą. Tego rodzaju starożytne mity były szeroko znane wśród niższego duchowieństwa. Z tych właśnie kultów biorą początek chrześcijańskie sakramenty. – Mówiąc to, odwiesił obraz, by wziąć do ręki kilka starych książek. – Eucharystia także zapożyczona została z mitraizmu – ciągnął, przerzucając nerwowo ich kartki, jakby chciał tam znaleźć niebudzące wątpliwości dowody. – To z niego wziął się zwyczaj chrześcijańskiej świętej wieczerzy. Krew baranka także jest elementem tradycji mitraickiej. Chrześcijaństwo tak dużo zawdzięcza religiom pogańskim, że

niewiele zostaje w nim oryginalnych elementów. Ponadto mówi się o Jezusie jako o „Nauczycielu”, ale znacznie częściej jako o „Zbawicielu”, królu chrześcijan. Jezus czy Mitra to dla doktrynerów odkupienia niewielka różnica, odkąd na mocy decyzji podjętej w wyniku głosowania na soborze w Nicei w trzysta dwudziestym piątym roku naszej ery uznano, że „Chrystus był Bogiem Zbawicielem”. Podsumowując, przeciętny wierny nie wie, że chrześcijaństwo rozprzestrzeniłoby się również bez Jezusa. – Przerwał na chwilę, oceniając efekt swoich słów, po czym mówił dalej: – Jedynym ważnym elementem, którego nie znajdujemy w pogaństwie, to Jezus nauczyciel, rabin. Ale między trzecim wiekiem i renesansem, kiedy wynalazek druku umożliwił szerokie rozpropagowanie Biblii, postać nauczyciela zniknęła zupełnie z pola widzenia, zapomniana na rzecz osoby Chrystusa Zbawiciela, o którym Kościół chrześcijański nauczał ponad tysiąc lat. Z trudem rozpoznano by w nim Jezusa z Galilei. Jedynym, który próbował zrehabilitować Chrystusa Żyda, był Paweł z Tarsu, faryzeusz, człowiek przepojony kulturą helleńską, natchniony żyd, który posiadał głęboką wiedzę o pogaństwie. To on wymyślił, żeby Izrael połączyć z Atenami, wymierający kult Świątyni z obrzędami mitraickimi, Żyda esseńczyka z nieznanym Bogiem Areopagu. To był *christianos*, a nie chrześcijanin, gnostyk, który uważał, że Apollo, Mitra i Ozyrys powinni chylić czoło przed jego hebrajskim Adonai. Jednak do tego mogło dojść tylko przez utożsamienie

„Zbawicieli” z „Odkupicielami” i wtedy izraelski Mesjasz stałby się uznawanym na świecie Chrystusem.

Nagle, jakby dla podkreślenia ostatniego zdania, rozległ się donośny ogłuszający dźwięk, potem jeszcze jeden i następny. To zegar wydzwaniał godzinę siódmą. Jednak niewzruszony Almond mówił dalej, prawie krzycząc, żeby przebić się przez hałas.

–Ale mogło to mieć zupełnie inny przebieg i nadal nosiłoby miano chrześcijaństwa – skandował, oddzielając sylaby, aby być lepiej zrozumianym. – I dlatego uczony nie odczuwa niepokoju w związku z tymi manuskryptami, ponieważ wie, że historycznie chrześcijaństwo nie jest religią stworzoną przez Jezusa i rozpropagowaną przez jego uczniów. Zwykły wierzący człowiek nie chce tego wiedzieć i boi się, co przyniesie odkrycie manuskryptów.

–Co pan znalazł w tekstach, które panu powierzono? – zapytał ojciec, gdy zapadła cisza.

–Nie ufają mi i dlatego nie dano mi najbardziej interesujących manuskryptów. Mimo to sądzę, że wiem, co zawierają pozostałe, a przynajmniej przypuszczam. Jednak na razie nie mogę wam nic powiedzieć, bo to temat przygotowywanej przeze mnie książki. – Nagle zmienił ton i popatrzył na nas dziwnie. – Czy wiecie, że niektóre grzyby mogą wywołać halucynacje? Chodźcie zobaczyć.

Zaprowadził nas w drugi, tonący w ciemnościach kąć pokoju. Zapalił małą lampkę, której światło wyłoniło z mroku coś w rodzaju ołtarza i małe czerwone grzyby w białe plamki, których nikt w lesie nie zrywa. Poplamione zaschniętym błotem, miały zdecydowanie nieapetyczny wygląd.

–Zjadam każdego dnia po kilka i wdycham wydzielany przez nie zapach. W ten sposób

odkryłem to, czego wy jeszcze szukacie.

Wziął garstkę grzybów, rzucił na węgle leżące na ołtarzu, po czym podpalił je płomieniem z lampki oliwnej. Wkrótce zaczęły unosić się kłęby czarnego dymu, wydzielającego tak straszliwy smród, że z trudem dawało się oddychać. Almond stał nieporuszony w tej mdlącej chmurze i niczym arcykapłan odprawiający modły, snuł swoje mętne wywody:

–Chrześcijaństwo jest produktem halucynogennych grzybów. To temat przygotowywanej

przeze mnie książki. Zamierzam w niej udowodnić, że Jezus nigdy nie istniał, podobnie jak

religia chrześcijańska. Wszyscy jesteśmy ofiarami halucynacji wywoływanej przez grzyby,

które napotkałem tutaj, w lasach koło Manchesteru. Wypróbowałem na sobie ich właściwości.

Kiedy wdycham dym, mam chrześcijańskie wizje, widzę ukrzyżowanych ludzi i Dziewice z

Dzieciątkiem. Może podejdziecie bliżej i spróbujecie?

Człowiek marzy o tym, żeby stać się Bogiem, być wszechpotężnym, ale Bóg jest zazdrosny o swą potęgę i mądrość. Nie znosi żadnego rywala. W swej dobroci godzi się na obecność u swego boku kilku nieśmiertelnych, ale tylko na krótką chwilę, podczas której pozwala im ujrzeć piękno wszechwiedzy i wszechpotęgi. Dla takich uprzywilejowanych to niezwykle doświadczenie, gdyż kolory są bardziej żywe, dźwięki lepiej słyszalne, każde odczucie wzmocnione, każda naturalna siła zdwojona. Ludzie umierają, by ujrzeć wieczność, a ich poświęcenie spowodowało narodziny wielkich religii, takich jak judaizm i chrześcijaństwo. Jak osiągnąć taką mistyczną wizję? Jest to wiedza ezoteryczna, zdobyta przez wieki obserwacji, za cenę niebezpiecznych doświadczeń. Sekrety ziół odkryli kapłani. Zazwyczaj przekazywali swą wiedzę wtajemniczonym nie na piśmie, lecz ustnie. Kiedy jednak zmuszały ich do tego okoliczności, jak na przykład prześladowania, zapisywali nazwy roślin, sposoby

ich stosowania

oraz towarzyszące temu zaklęcia, ale w tak zakodowany sposób, że było to zrozumiałe tylko dla niewielu wspólnot. Tak właśnie się stało, kiedy po powstaniu żydowskim w siedemdziesiątym roku po Chrystusie została zdewastowana Świątynia w Jerozolimie. Chrześcijanie dowiedzieli się wówczas, jak poznać świąt Boga. Zapomniano o świętym grzybie, tajemniczym narkotyku, wywołującym ekstatyczne przeżycia, co było kluczem do wieczności. *Amonita muscaria*. - Wziął za nóżkę jeden z grzybów i pokazując go nam, perorował: – Popatrzcie na ten czerwony kapelusz z małutkimi białymi punkcikami. Kryje on w sobie potężną halucynogenną siłę. Zwróćcie uwagę na jego falliczny kształt, z powodu którego starożytni uważali, że jest wizerunkiem boga płodności. Powiadam wam, że to on jest synem Boga. Zawarty w nim narkotyk to boskie nasienie w czystej formie. To objawiony na ziemi sam Bóg we własnej osobie.

–Ale jaki jest – przerwałem mu – związek między tym grzybem a zwojami?

–Jak to? Nie widzicie tego? – ściągnął brwi. – Przecież to oczywiste! Kiedy się analizuje pismo klinowe Sumerów z Mezopotamii, widać, że rzeki niosły duże ilości szczególnie miękkiej glinki, z której modelowano elementy dekoracyjne. Najstarsze gliniane tabliczki miały formę owalną, z promieniami jak spód kapelusza grzyba!

Pomyślałem, że ten człowiek zwariował. Ale nie wszystko, co mówił, było pozbawione sensu. Ojciec, który zapewne uznał, iż profesor został opętany przez diabła, kazał mi natychmiast wyjść, podczas gdy Almond oddawał się demonicznej inhalacji.

Wtedy Wiekuisty rzekł do szatana: skąd przybywasz? A szatan, odpowiadając Wiekuistemu, rzekł: przemierzyłem ziemię wzdłuż i wszerz i tam się przechadzałem.

Obiad zjedliśmy w hotelu w smutnych nastrojach. Ojciec znowu żałował, że uległ namowom Shimona Delama i podjął się tego zadania. Kiedy całymi godzinami kopał w ziemi, by odnaleźć stare kamienie, gdy miesiącami studiował plany, by odnaleźć zaginione miasta, walczył z czasem i przestrzenią. Teraz czuł się tak, jakby walczył z całkowicie abstrakcyjną istotą, której kontury, w miarę jak się do niej zbliżał, coraz bardziej się zacierały.

Miałem dziwne wrażenie, że w tej historii to ja przejmuję stopniowo główną rolę, że zamiast przewodnika, sprzymierzeńca, nauczyciela czasami mam przed sobą wroga, który odbiera mi odwagę i gdy zbliża się do prawdy, wydaje się nią przerażony, być może tak jak ci, którzy ją ukrywali. Zrozumiałem, że ojciec się boi. Jego lęk i moje obawy, wywołane słowami rabiego, wciąż nie dawały mi spokoju.

–To już drugi kraj, do którego przylecieliśmy, a zrobiliśmy niewielkie postępy. Na

drodze

stają nam albo kamienne mury, albo szaleńcy – westchnął ojciec.

–Dopiero co zaczęliśmy. Kiedy prowadzisz wykopaliska, trwa to trzy lata, dziesięć, a nawet dłużej. To, co robimy, to w jakimś sensie badania archeologiczne.

–Nie, ponieważ odkrycia dokonano już przed wieloma laty, a my zbieramy tylko jakieś odpryski. To zajęcie dla szpiega, nie dla archeologa. Uważam, że się do tego nie nadajemy. Nie powinienem był się w to mieszać.

–Jeśli chcemy osiągnąć jakieś rezultaty, musimy ponownie zobaczyć się z Almondem. Powinniśmy pojechać tam jeszcze dziś wieczorem.

–Dziś wieczorem? Nie mówisz poważnie! Widziałeś, w jakim stanie go zostawiliśmy? Bóg jeden wie, co teraz robi...

Późno w nocy wymknąłem się z hotelu i pojechałem taksówką do Almonda. Przypuszczałem, że wie interesujące rzeczy, o których mógłby powiedzieć tylko w transie, i byłem pewny, że ojciec nigdy nie pozwoliłby mi na tę wyprawę. Dzięki doświadczeniu mistycznemu związanemu z *devekut* wiedziałem, iż są prawdy, które wychodzą na światło dzienne tylko w stanie najwyższego uniesienia, i wydawało mi się, że Almond mógłby osiągnąć podobny stan pod wpływem narkotyku. Nie umiałbym tego wszystkiego wyjaśnić ojcu, ponieważ *devekut* to tajemnica chasydów, którą zna bardzo niewielu ludzi. Niewykluczone, że Almond do nich należał.

Gdy zadzwoniłem do jego drzwi, była już północ. Otworzył mi natychmiast i wpuścił do środka, gdy powiedziałem, że przyjechałem, żeby spróbować magicznego dymu. Z palących się grzybów nadal unosił się ciężki dym o obrzydliwym zapachu, a ja nagle poczułem, że się rozpląwam, jakbym stracił kontrolę nad moimi członkami. Ale nie był to *devekut*. Nie mógł nim być, ponieważ nie zdawałem sobie sprawy, co robię.

Miałem straszliwe wizje. W jakimś ponurym domu, otoczonym bagnami, moczarami, błotem, rzekami ognia i krwi, jałowymi dolinami, niezmiernymi jeziorami z wodą tak zimną, że na jej powierzchni tworzyły się zlodowaciałe zielonkawe grudy, pustynnymi równinami i dzikimi grotami, piekielnymi jaskiniami, gdzie zawiązywały się potworne spiski, nawiedził mnie diabeł we własnej osobie.

Bez przerwy zmieniał twarz. Czasami miał rysy Almonda, czasami Jonsona albo jeszcze innych postaci, które rozpoznawałem, na przykład Belzebuba i jego demonów. Serafyny i cherubiny z anielskimi skrzydłami i dziecięcymi twarzami pracowały z zapalem nad szerzeniem konfliktów i świętokradztwami. Belberith zasiewał w umysłach szlachetnych ludzi ziarna morderstwa. Aszaroth, odpowiedzialny za lenistwo i gnuśność, rozsiewał wszędzie antagonizmy i nienawiść. Azazel, książę demonów, uczył ludzi fabrykować wojenny oręż. Niczym biały kozioł,

czysty i niewinny, a jednak splamiony, skalany zbrodniami i grzechami żydowskiego ludu, wyrzucony poza nawias społeczeństwa w bezludne regiony, żeby pokutować za wszystko, czego nie popełniłem, za świętokradztwa i wiarołomstwa, kradzieże, morderstwa i masakry, poszukiwałem mego czarnego mistrza.

Nagle usłyszałem przeraźliwy, przeszywający nocną ciszę dźwięk, który wstrząsnął całym moim jestestwem – ostry gwizd siedmiu świstunów, tajemniczych ptaków nawiedzających niebo nocą, ptaków, które według dawnych legend są ucieleśnieniem dusz Żydów, niezdolnych odnaleźć spokoju po ukrzyżowaniu Chrystusa. A potem zamiast Azazela widziałem tylko samego szatana.

Był straszny. Z jego warg ściekała krew, którą wysssał z biedaków, niewolników i niewinnych ludzi. Jego oczy płonęły ogniem, tryskającym ohydnyimi iskrami. Na jego głowie, ozdobionej wieńcami, sterczały dwa ostre jak noże rogi. Pod szatą wilgotną od krwi kryło się cherlawe, zdeformowane ciało. Palce u rąk i u stóp kończyły się brudnymi, ostrymi szponami. Między jego nogami zwisał długi ogon.

Podszedł do ołtarza, na którym paliły się grzyby, i przykrył je czarnym płótnem. Stojące dokoła pociemniałe świece wydzielały toksyczny smród smoły i żywicy. Na stole obok ołtarza leżał obraz Caravaggia, przedstawiający Chrystusa na krzyżu.

Gdy nachyliłem się, by go obejrzeć, spostrzegłem, że jest całkowicie zmieniony: na odwróconym do góry nogami krzyżu Chrystus, zupełnie nagi, naprężył z wysiłkiem szyję, żeby się podnieść, na jego twarzy widniał podstępny i bezwstydnym uśmiech, a z grubych warg zwisał długi, pokryty pianą język.

Tymczasem Zły zaintonował hymny i modlitwy. Śpiewał i recytował je w odwrotnej kolejności. Wziął czarę pełną wody i uniósł do ust, potem wylał jej zawartość na moją głowę, a wówczas woda zamieniła się w krew. Następnie dobitnie wymówił przekleństwa i oznajmił, że Dzień Sądu Ostatecznego jest bliski.

–Nauczycielu wszystkich nauczycieli, uczniu zbrodni, mistrzu grzechów i występków, Boże

słusznej racji, oto twój manuskrypt – powiedział do mnie ze złośliwym uśmieszkiem, podając

mi zwój czarnego pergaminu. – Sprzedaj go, a dostaniesz milion dolarów.

Przy tych słowach upadłem na dywan i zacząłem się czołgać. Czułem się upodlony. Mój język uderzał o podniebienie, czyniąc przy tym hałas odbijający się echem od ścian. Żrenice powiększyły się, głowa opadła na ramię. Słyszałem, jak szatan mocnym głosem bluźnierczo wyśpiewuje: „Oto ciało moje” i nakłada na rogi czarnego kozła. *Acquerre Beyty, Acquerra Goity*. A ja powiedziałem: „Pragnę tych pieniędzy! Wezmę zwoje i sprzedam je...”.

**–Czy w tym celu tu przybyliśmy? – usłyszałem znajomy głos. – Co zrobiłeś z galuf!
Czy przybyłeś tu po to, aby czcić złotego cielca i zapomnieć o twojej misji,
zamiarach, czekającym cię wyzwaniu?**

**–Nie! – odpowiedziałem w nagłym przypiływie świadomości. – Nie! Święte księgi
warte są więcej niż całe złoto świata.**

**Wówczas potężne tchnienie uniosło mnie na dach starego domu. Stojąc na dole,
szatan wyciągnął ku mnie zwój i rzekł:**

–Oto zwój, chodź tutaj i weź go.

**Z wysokości dachu widziałem manuskrypt. Wystarczył mały krok, jeden mały krok, a
byłby mój. Nie bałem się otchłani pode mną. Przeciwnie, nieodparcie mnie pociągała,
władczo przyzywała. Nagle doszedł do mnie słodki szept diabła:**

**–Skacz! Zrób ten krok! To takie proste... Wszystko, czego pragniesz, jest tutaj,
musisz tylko**

zrobić ten jeden krok.

**Ziemia przywoływała mnie do siebie niczym kochanka. Im dłużej spoglądałem w
pustkę, tym bardziej mnie fascynowała. Zamknąłem więc oczy, wysunąłem nogę...**

**I wówczas ujrzałem ojca, który spał spokojnie i na mnie czekał. Nie wolno mi było
zawieść jego zaufania, musiałem być mu wierny.**

–Nie – powiedziałem, cofając się gwałtownie. – Życie warte jest więcej niż księgi.

Wówczas szatan sprowadził mnie z powrotem na ziemię. Podał zwój i zawołał:

**–Bierz manuskrypty i przeczytaj je. Zapanujesz nad światem, jeśli przyrzekniesz, że
będziesz mnie wielbił.**

**–Nie! – krzyknąłem od razu, ponieważ pojąłem, że aby nie ulec pokusie, nie wolno
zastanawiać się nad jego propozycją. – To ty będziesz wielbił Pana, twego Boga, ty
będziesz mu służył.**

–Przeczytaj je! – odrzekł.

**Zbliżył się do mnie. Jego oczy były jak płonące pochodnie, z ust ciekła piana, z
poranionych rąk kapłała krew. Trzęsąc się z wściekłości, podał mi zwoje. Wtedy
uciekłem. Przez godzinę biegłem do utraty tchu przez puste okolice, myśląc z
przerażeniem, że szatan podąża za mną, aby mnie zniewolić. W końcu, wyczerpany,
straciłem przytomność.**

Nazajutrz ocknąłem się na skraju drogi, w odległości kilku kilometrów od domu Almonda. Przygodną ciężarówką wróciłem do hotelu, gdzie spałem aż do południa. Kiedy się obudziłem, wspomnienia z minionej nocy tłukły się po mojej głowie niczym nocne koszmary. I choć czułem się, jakbym miał kaca, postanowiłem o nich zapomnieć.

Po południu opuściliśmy Londyn i poleciliśmy do Paryża. Dopiero z okien taksówki, która wiozła nas na lotnisko, zobaczyliśmy miasto, którego nie mieliśmy czasu zwiedzić. Było klejnotem oprawionym w budowlę z minionych wieków, jakich nigdy nie widziałem, a które wydały mi się olśniewające i niezwykle. W zestawieniu z naszymi cennymi zabytkami było to miasto nowoczesne. A w porównaniu z Nowym Jorkiem, którego postmodernizm wprowadził mnie w zakłopotanie, Londyn miał za sobą całe wieki historii. W Izraelu są stare mury, sarkofagi, opuszczone osady, ruiny, resztki budowli, ale nie ma żadnych prawdziwych zabytków architektury. W Izraelu nakładają się na siebie warstwy historyczne, zburzone i zrekonstruowane miasta, które przetrwały niszczący wpływ lat, wojen, wędrówek ludzi. Natomiast w Londynie stare budowle wznoszą się dumnie, przeciwstawiając się efemerycznym ludzkim namiętnościom, narzucając czasowi swoją absolutną supremację tak skutecznie, że same stają się najbardziej oczywistą i realną inkarnacją miasta.

W okolicy Carnaby Street po ulicach wałęsały się punki. Niektórzy mieli fryzury jak Irokezi, włosy zaczesane do góry w pióropusz, ufarbowane na różowo, niebiesko i fioletowo. Do džinsów i kurtek, pod którymi widać było koszulki z agresywnymi sloganami, mieli przyczepione łańcuchy. Z ich przygasłych oczu wyzierała pustka i beznadzieja. Przyszła mi do głowy myśl, że dzielnica ta, podobna przez swą odmienną do Mea Shearim, żyjąca na marginesie, również oczekuje końca świata. Te punki na swój sposób są także żołnierzami nowego świtu, wizjonerami upadku, świętymi apostołami przyszłych czasów.

Nie mogąc uwolnić się od przerażających wizji, w samolocie do Paryża zmusiłem się do przestudiowania jednej strony Talmudu. Takie studiowanie było dla mnie niczym upajające wino, które unosiło mnie ponad Księgi Starego i Nowego Testamentu. Jak każdy chasyd trochę im nie ufałem, ponieważ Talmud jest takim rodzajem księgi, która nigdy nie została napisana do końca, wciąż jest redagowana na nowo, podważana, znowu czytana i znowu odrzucana, nie dając żadnych końcowych wniosków ani dogmatów. Przypomina powieść sensacyjną, w której każda strona zapowiada następną, tworząc atmosferę napięcia. Albo książkę filozoficzną, w której każda kartka, każda linijka, każde słowo ma swoją wagę i wymaga szczególnego skupienia, aby być zrozumianą. Jednak w przeciwieństwie do thrillera, nie ma końca. I choćby

ktoś przeczytał wszystkie traktaty, wszystkie tomy, pozostaną tysiące interpretacji tych samych stron.

Z tego powodu studiowanie Talmudu, podobnie jak czytanie powieści, oddala umysł od kontemplacji tego, co boskie. Po każdej godzinie lektury chasyd robi przerwę, żeby pomyśleć o Bogu. Ale w tych okolicznościach potrzebne mi było oderwanie się od rzeczywistości.

Ojciec zajrzał mi przez ramię i zapytał, który traktat studiuję. Kiedy podniosłem głowę, żeby mu odpowiedzieć, zobaczyłem napisany wielkimi literami tytuł w gazecie, którą czytał mój sąsiad:

UKRZYŻOWANIE W LONDYNIE

Zaniepokojony ojciec poprosił stewardesę, by przyniosła tę gazetę. Przeczytaliśmy, co następuje: *Uczony paleograf został zamordowany przez maniaka. Profesor Thomas Almond pracował nad książką o manuskryptach z Qumran. Zabójca, który nie został jeszcze zidentyfikowany, przybił go do wielkiego drewnianego krzyża. Funkcjonariusze Scotland Yardu prowadzą intensywne śledztwo.*

Przeczytaliśmy notatkę jeszcze raz, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Czuliśmy się, jakbyśmy nagle cofnęli się o dwa tysiące lat. Uświadomiliśmy sobie, że morderstwo zostało popełnione niedługo po naszej wizycie, jakby zabójca nas śledził i siał śmierć na naszej drodze.

Byłem przerażony. W artykule podano, że morderstwa dokonano poprzedniej nocy, a ja najprawdopodobniej opuściłem dom Almonda tuż przed świtem. Niczego jednak nie pamiętałem poza tym, że widziałem go żywego przed północą. Czy uczestniczyłem nieświadomie w jego egzekucji? Co spowodowało, że straciłem przytomność, żeby zrobić coś takiego?

*Krzycz na całe gardło, nie przestawaj! Podnieś głos twój jak trąba! Wytknij mojemu ludowi jego przestępstwa i domowi Jakuba jego grzechy^{*24}.*

Ojciec uspokoił się. Był teraz nieporuszony jak glaz, jakby uznał, że bezlitosne fatum związane ze zwojami musi się spełnić.

*A dalej widziałem wszystkie uciski, jakie pod słońcem się zdarzają. I oto: łzy uciśnionych, a nie ma, kto by ich pocieszył; ręka ciemiężców twarda, a nie ma pocieszyciela. Więc za szczęśliwszych uznałem umarłych, którzy dawno już zeszli, od żyjących, których życie jeszcze trwa^{*25}.*

*Księga Izajasza, 58, 1.

*Księga Koheleta (Eklezjastes), 4, 1-2.

ZWÓJ CZWARTY *Zwój kobiety*

Kobieta wypowiada puste słowa, Stale się rozprasza.

Wśród słów, które z siłą wymawia, Wybiera te, które schlebiają, I mówi je z ironią, Z bezbożnością w sercu I bezwstydnymi lędźwiami. Kto zbliża się do niej, zbliża się do Zła, Bo ona tkwi w występku.

Kto podchodzi do niej, zmierza ku buntowi, Ku najgłębszym ciemnościom. Jej strój to strój nocy, Jej klejnoty pochodzą z Otchłani, Jej łożo to grobowiec, Jej dom to

siedziba ciemności. Mieszka w głębi nocy,

***W czarnym mroku stawia swój namiot, Jej mieszkaniem jest cmentarz Wśród
rozżarzonego do białości ognia. Nie zna ani gwiazd, ani księżycą, ani słońca,
Albowiem ona jest kwintesencją Zła. Ci, którzy ją znają, popadają w nieszczęście. A
ci, którzy ją posiadają, zmierzają ku zgubie, Albowiem jej drogi wiodą do grzechu.
Jej szlaki prowadzą do grzechu,***

Jej ścieżki są ścieżkami występku,

Jej tropy są tropami zbuntowanych,

Drzwi jej domu otwierają się w stronę śmierci.

Stoi na progu,

By posłać do piekła tych, którzy wejdą.

I ci, którzy ją znają, idą ku Otchłani,

Bo ona czai się w sekretnych zakątkach domów.

Zwoje z Qumran

Pułapki kobiety

Gdy Bóg, stworzywszy mężczyznę, posłał go do Edenu, ujrzał, iż nie jest dobre, że był tam sam. Wziął więc jego żebro i zrobił z niego kobietę. Mężczyzna zaś, gdy pojął, że kobieta jest kością z jego kości, ciałem z jego ciała, przywiązał się do niej. Pokochali się i znowu stali się jednym ciałem. Wtedy pojawił się wąż i skusił kobietę, a ona nakłoniła mężczyznę do popełnienia grzechu.

Czy zło musiało wmieszać się w miłość? Grzech pierwotny nie był grzechem związku mężczyzny z kobietą. Wśliznął się weń jak rozchodząca się po ciele choroba, przeszedł z węża na kobietę, z kobiety na mężczyznę. Ale najpierw była miłość.

Jezus nauczał: *Miłujcie się wzajemnie*. Mówił także, iż nikt nie miłuje bardziej niż ten, kto wyrzeka się życia dla tych, których kocha. Dlaczego więc od zawsze jest tyle nienawiści?

Sądziłem, że odpowiedź na te pytania mógłbym znaleźć w znanej całemu światu książce, o której wiele słyszałem, najczęściej od ojca. Sam nigdy jej nie przeczytał, ale często ją cytował.

Mam na myśli Pismo Święte. W jezuiwie zabroniono nam je czytać. Nie mogliśmy też studiować innych tekstów, niewywodzących się z ortodoksyjnej kultury żydowskiej, a więc wszelkiego rodzaju traktatów naukowych i powieści.

Od przyjazdu do Francji pragnąłem tylko jednego – zrozumieć, co się wydarzyło. Rabbi, który mawiał, iż należy stawiać pytania, nie wstydząc się, i szukać odpowiedzi bez lęku, nie pochwaliby tego. Nie wolno nam było czytać Pisma Świętego, a nawet wymawiać imienia Chrystusa.

Kiedy przyjechaliśmy do Francji, kupiłem hebrajskie tłumaczenie tych zakazanych ksiąg. Gdy je otworzyłem, usłyszałem głośnie bicie serca w mojej piersi. Kiedy przewracałem kartki, drżały mi ręce. Wiedziałem, że nie powinienem tego czytać. Jednak musiałem to zrobić. Czy mogę się do tego przyznać? Ta lektura miała gorzki smak rzeczy zakazanych. Wreszcie go poznałem.

To, co odkryłem, zaskoczyło mnie bardziej, niż potrafiłem wyrazić, nie przez swą niezwykłość, ale szczególną bliskość. Spróbuję odtworzyć to, co przeczytałem, na tyle, na ile pamiętam, był to bowiem grzech, którego nigdy więcej nie popełniłem.

Narodził się w Betlejem w Judei za panowania króla Heroda: *A ty, Betlejem, ziemio Judy, nie jesteś zgola najlichsze spośród miast Judy, albowiem z ciebie wyjdzie władca, który będzie pasterzem ludu mego, Izraela*^{*26}. Był synem Józefa i Maryi, która poczęła za sprawą Ducha Świętego, jak przepowiedział prorok: *Oto Dziewica pocznie i urodzi syna, któremu da imię Emmanuel, co znaczy „Bóg jest z nami”*.

Kiedy się narodzi, przybędą ze Wschodu magowie, wiedzeni tajemnymi znakami. Po przybyciu do Jerozolimy będą pytali, gdzie jest król żydowski, który właśnie się narodził i któremu pragną złożyć hołd. *Gdy zaś Jezus narodził się w Betlejem w*

**Ewangelia według św. Mateusza, 2, 6.*

*Judei za panowania króla Heroda, oto Mędrcy ze Wschodu przybyli do Jerozolimy i pytali: „Gdzie jest nowo narodzony król żydowski? Ujrzeliśmy bowiem jego gwiazdę na Wschodzie i przybyliśmy oddać mu pokłon. Skoro to usłyszał król Herod, przeraził się, z nim cała Jerozolima. Zebrał więc wszystkich arcykapłanów i uczonych ludu i wypytywał ich, gdzie ma narodzić się Mesjasz^{*27}. Spotkali się z królem Herodem, który zwołał na naradę rabinów; ci zaś orzekli, że król żydowski narodzi się w Betlejem, tak jak przepowiedziały to święte księgi. Udali się więc do Betlejem. Prowadziła ich gwiazda na niebie i dzięki niej odnaleźli dom, gdzie przebywała Maryja, młoda położnica, matka Jezusa, i oddali im pokłon. Potem ruszyli w drogę powrotną, zostawiając kadzidło i mirrę. Gdy ujrzeli gwiazdę, bardzo się uradowali. Weszli do domu i zobaczyli Dziecię z Matką Jego, Maryją; upadli na twarz i oddali mu pokłon. I otworzywszy swe skarby, ofiarowali mu dary: złoto, kadzidło i mirrę^{*28}.*

Po jakimś czasie Józef miał sen, w którym Anioł Pański nakazał mu, aby uciekał do Egiptu, albowiem Herod zamierzał odnaleźć dziecko i je zabić. *Krzyk usłyszano w Rama, płacz i jęk wielki. Rachel oplakuje swe dzieci i nie chce utulić się w żalu, bo ich już nie ma^{*29}. Mieszkali w Egipcie aż do śmierci Heroda, potem dotarli do Galilei, gdzie zamieszkali w mieście Nazaret. Tak miało się spełnić słowo Proroków: Nazwany będzie Nazarejczykiem^{*30}.*

Był także Jan Chrzciciel, który nawoływał na Pustyni Judejskiej, aby się nawracać, albowiem zbliża się Królestwo Niebieskie. *Głos wołającego na pustyni: Przygotujcie drogę Panu, dla niego prostujcie ścieżki^{*31}. Jan miał na sobie szatę z wielbłądziej wełny, przewiazaną na biodrach pasem. Żywił się szarańczą i miodem. Przybywali do niego wszyscy, by dać się ochrzcić w rzece Jordan i wyznać swoje grzechy. Ponieważ widział wśród nich wielu faryzueszy i saduceuszy, nawoływał ich, by okazali skruchę za grzechy.*

Potem pojawił się Jezus, który przybył z Galilei aż nad rzekę Jordan, by dać się ochrzcić przez Jana. Podczas chrztu Jezus ujrział Ducha Bożego pod postacią gołębiczy. Nazywano go ptakiem pokoju Noego, a potem zobaczył moment tworzenia przez Ducha Bożego. Został zaprowadzony na pustynię, gdzie trzykrotnie kusił go diabeł. Jednak pamiętając wersety z Biblii i słowa proroków, wyszedł zwycięsko z tej próby. *Panu, Bogu swemu, będziesz oddawał pokłon i Jemu samemu służyć będziesz^{*32}.*

Dowiedziawszy się, iż Jan został wydany, Jezus wrócił do Galilei. Udał się do Kafarnaum nad brzegiem morza. *Ziemia Zabulona i ziemia Neftalego, Drogo morska, Zajordanie, Galileo pogan! Lud, który siedział w ciemności, ujrzał światło wielkie, i mieszkańcom cienistej krainy śmierci światło wzeszło*^{*33}.

*Ewangelia według św. Mateusza, 2, 6. *Ewangelia według Św. Mateusza, 2, 10-11.

*Ewangelia według św. Mateusza, 2, 18. *Ewangelia według św. Mateusza, 2, 23.

*Ewangelia według św. Mateusza, 3, 3.

*Ewangelia według św. Mateusza, 4, 10. *Ewangelia według św. Mateusza, 4, 15-16.

Przemierzając w otoczeniu uczniów Galileę, nauczał w synagogach, głosił dobrą nowinę i uzdrawiał w cudowny sposób wszystkich chorych i słabych. Ogromne rzesze przybywały, żeby go słuchać. Wszedł więc na górę i zapowiadał niebiańską szczęśliwość. *Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem do nich należy Królestwo Niebieskie. Błogosławieni, którzy się smucają, albowiem oni będą pocieszeni. Błogosławieni cisi, albowiem oni na własność posiadają ziemię*^{*34}. Nie przybył po to, żeby znieść prawo proroków, lecz żeby je wypełnić. Uleczył trędowatego, setnika, teściową Piotra, córkę znakomitego obywatela, potem dwóch ślepców i opętanego, który był niemy. *On wziął na siebie nasze słabości i nosił nasze choroby*^{*35}.

Mówił alegoriami jak w psalmach i jak w *Midraszu*, albowiem mówił o rzeczach ukrytych od powstania świata. *Słuchać będziecie, a nie zrozumiecie, patrzeć będziecie, a nie zobaczycie. Bo stwardniało serce tego ludu, ich uszy stępiały i oczy swe zamknęli, żeby oczami nie widzieli ani uszami nie słyszeli, ani swym sercem nie rozumieli: i nie nawrócili się, abym ich uzdrowił*^{*36}.

Następnie udał się do Jerozolimy. Gdy Jezus podjechał blisko do Góry Oliwnej, posłał dwóch swoich uczniów do miasta, gdzie mieli znaleźć przywiązaną do słupa oślicę i stojące obok niej oślątko. Uczniowie poszli do miasta i znaleźli wszystko tak, jak im powiedział: *Powiedzcie córce Syjońskiej: Oto Król twój przybywa do ciebie łagodny, siedzący na osiołku, żrebięciu oślicy*^{*37}. Jezus ruszył do miasta. Poprzedzały go rzesze ludzi, wołających: *Hosanna Synowi Dawida! Błogosławiony Ten, który przychodzi w imię Pańskie!*^{*38}. Gdy dotarli do Świątyni, przepędził z jej dziedzińca wszystkich kupców.

Potem rzekł do uczniów: *Wiecie, że po dwóch dniach jest Pascha i Syn Człowieczy będzie wydany na ukrzyżowanie*^{*39}. Arcykapłani i starsi z ludu zgromadzili się w pałacu arcykapłana Kajfasza. Wspólnie uznali, iż należy uwięzić Jezusa, ale nie podczas święta, żeby nie wzburzyć ludu. A miał go wydać Judasz Iskariota, jeden z jego uczniów.

W wieczór przed Paschą Jezus przeczuwał, że zostanie ujęty. Po odśpiewaniu

psalmów wraz ze swymi uczniami udał się na Górę Oliwną. *Uderzę pasterza, a rozproszą się owce stada*^{*40}. Noc spędzili w Getsemani. Potem przyszedł ten, który miał go wydać, Judasz, jeden z dwunastu, wraz grupą zbrojnych, wysłanych przez arcykapłanów. Pocałował Jezusa i to był znak. Wówczas Jezus rzekł: *Przyjacielu, po coś przyszedł?*^{*41}.

Natychmiast go aresztowano. Piotr chciał wystąpić w jego obronie, ale Jezus rzekł: *Czy myślisz, że nie mógłbym poprosić Ojca mego, a zaraz wystawiłby mi więcej niż dwanaście zastępów aniołów? Jakże więc spełnia się pismo, że tak się stać musi?*^{*42}. Potem zwrócił się do tłumu

*Ewangelia według św. Mateusza, 5, 3-5. *Ewangelia według św. Mateusza, 8, 16.

*Ewangelia według św. Mateusza, 13, 14-15.

*Ewangelia według Św. Mateusza, 21,5.

*Ewangelia według św. Mateusza, 21,9. *Ewangelia według Św. Mateusza, 26, 2.

*Ewangelia według Św. Mateusza, 26, 31.

*Ewangelia według św. Mateusza, 26, 50.

*Ewangelia według św. Mateusza, 26, 53-54.

tymi słowami: *Stało się to wszystko, żeby mogły się spełnić przepowiednie proroków*^{*43}. Wówczas uczniowie zostawili go i uciekli.

Jezus został przyprowadzony przed oblicze Piłata. Widząc Jezusa uwięzionego, Judasz poczuł wyrzuty sumienia i oddał trzydzieści srebrników arcykapłanom i starszym, mówiąc: *Zgrzeszyłem, wydawszy krew niewinną*^{*44}. Było już jednak za późno. Judasz się powiesił. Wzięli trzydzieści srebrników, zapłatę za Tego, którego oszacowali synowie Izraela. I dali je za Pole Garncarza, jak im Pan rozkazał^{*45}. Judasz oddał kapłanom srebrniki, zapłatę za swoją zdradę, ale i oni nie chcieli zatrzymać pieniędzy obciążonych zbrodnią.

Piłat zwołał zgromadzenie ludu i powiedział, że mogą ocalić życie Jezusa lub Barabasa. Lud wybrał Barabasa. Piłat umył ręce, odpowiedzialność spadła na tłum. Tak więc Jezus został ukrzyżowany w miejscu zwanym Golgotą. *Dali mu pić wino zaprawione goryczą (...). Rozdzielili między siebie Jego szaty, rzucając o nie losy (...). Ci zaś, którzy przechodzili obok, przeklinali Go i potrząsali głowami, mówiąc: (...) jeśli jesteś Synem Bożym, zejdz z krzyża! (...). Zaufał Bogu: niechże Go teraz wybawi, jeśli Go miłuje*^{*46}.

W południe nad miastem nagle zapadły ciemności i ustąpiły dopiero po trzech

godzinach. Jezus, zanim skończył, zawołał: *Eli, Eli, lema sabachthani?* Co znaczy: *Boże mój, Boże mój, czemuś Mnie opuścić?*^{*47}.

Byłem wzburzony. Rozumiałem wagę odkrycia manuskryptów: jeśli Jan Chrzciciel był esseńczykiem, jeśli Jezus był esseńczykiem, czy można interpretować jego naukę tak samo jak dotychczas? Jeśli chrześcijaństwo wyszło z tej sekty żydowskiej, czy nie powinien ulec zmianie jego obraz?

Poruszyły mnie szczególnie zdrada, żarliwa wiara i męka Jezusa. Nie rozumiałem przyczyn jego śmierci. Czy odpowiedzialność za to spada na Żydów czy na Rzymian? Ale co to byli za Żydzi? Jacy Rzymianie? Kapłani, lud, uczniowie, którzy go opuścili? Dlaczego zdradził go Judasz, jeden z jego bliskich uczniów? Czy zrobił to dla pieniędzy, a może z innego, głębszego, doktrynalnego powodu? Skoro tak żałował swojego czynu, że się powiesił, czy było do pomyślenia, żeby on, syn zeloty, tak zapomniał o moralności, że wydał Jezusa za pieniądze? Dlaczego Jezus, który wiedział, że zostanie pojmany, który przez cały czas mówił i uprzedzał o tym swoich uczniów aż do Ostatniej Wieczery, pozwolił, żeby tak się stało? Dlaczego dodawał odwagi Judaszowi, zachęcając go, by szybko wykonał swoje zadanie? Czy nie wygląda to tak, jakby tego wieczoru każdy z nich miał swoją rolę do odegrania, jakby Jezus i Judasz wszystko to z góry zaplanowali? Czy była jakaś tajna umowa między zdrajcą i ofiarą? Wydaje się, że Jezus został wystawiony na próbę. Dlaczego więc pozostali jego uczniowie najwyraźniej tego nie

*Ewangelia według św. Mateusza, 26, 56. *Ewangelia według św. Mateusza, 27, 4.

*Ewangelia według Św. Mateusza, 27, 9-10

*Ewangelia według św. Mateusza, 27, 34-35; 39-40; 43. *Ewangelia według św. Mateusza, 27, 46.

pojmwali ani się z tym nie godzili? Dlaczego opuścili go w tak strasznej chwili, kiedy ich najbardziej potrzebował?

Kręciło mi się w głowie. Odpowiedź na pytania, kto zabił Jezusa, mogła przynieść także rozwiązanie tajemnicy śmierci Almonda, Mattiego i biskupa Oze, pomóc odnaleźć klucz do sprawy zniknięcia manuskryptu.

Judasz został uznany za zdrajcę, a tym samym za moralnie winnego. Ale czy działał z własnej woli, czy też był wykonawcą woli innych? Na czym polegało porozumienie między nim i Jezusem? To Rzymianie skazali Jezusa na śmierć, oni dokonali egzekucji. Stało za nimi państwo i prawo. Jednak sprawa skomplikowała się, ponieważ pozwolili Żydom dokonać wyboru. A ci zgodzili się, by wydać go na śmierć. Ale o jakich Żydów chodzi? Przecież nie o cały lud ani o faryzeuszy, którzy w tym nie uczestniczyli. Byli tu tylko wysłannicy saduceuszy, część kapłanów ze Świątyni.

Czy to oni ponosili winę? Prawo żydowskie nie przewidywało kary śmierci przez ukrzyżowanie. Nie skazano też Jezusa na ukamienowanie. W ten sposób znowu winę dzielą Żydzi i Rzymianie, którzy nie mogli, ot tak po prostu, umyć rąk. Jakie wreszcie motywy kierowały jednymi i drugimi? Dlaczego Piłat kazał aresztować Jezusa? Czy Jezus zagrażał Rzymowi, choć tylko przemawiał do biednych i słabych, nie głosił żadnych idei politycznych ani rewolucyjnych? Czym kierował się ten fanatyczny rozhisteryzowany tłum, wrzeszczący, aby wydać go na śmierć? Czy to możliwe, że wolał złoczyńcę Barabasa, chociaż wcześniej wiwatował na cześć tego, którego przybycie zapowiedział Jan Chrzciciel?

Skąd tyle wrogości ze strony niektórych kapłanów? Czy rzeczywiście obawiali się, że on, Galilejczyk, prosty człowiek z dalekiej prowincji, może zagrozić ich wszechpotężnej władzy w Jerozolimie? Dlaczego chcieli jego śmierci, chociaż nie wysunięto przeciwko niemu żadnych poważnych zarzutów?

Czym kierował się Judasz, gdy go zdradził? Czy możliwe, iż uczynił to dla pieniędzy? Czy on, syn zeloty i z pewnością sam będący zelotą, był tak cyniczny i interesowny? I wreszcie dlaczego pozwolił, aby go wydano?

Prawdę mówiąc, Jezus został zamordowany trzy razy: przez Judasza, przez Rzymian i przez kapłanów za pośrednictwem tłumu. No i być może... *Ojcze, czemuś mnie opuścił?* - pytał Jezus przed śmiercią. To tajemnicze pytanie nie mogło ująć uwagi Rzymian, widzów ani złoczyńców wiszących na krzyżach obok. Jeśli Jezus naprawdę był synem Boga, mógł zostać uratowany przez swego Ojca lub przez siebie samego, wszak ocalił życie tylu ludziom, a potem zmartwychwstał. Może postanowił tym razem nie uciekać się do cudów? Ale w takim wypadku jego śmierć była dobrowolna. W jakimś sensie była samobójstwem. Jezus stał się współnikiem Judasza, którego ucałował jak brata i zachęcał do wykonania powinności. Wiedział, że zostanie wydany, że umrze, ale mimo to nie zrobił nic, żeby uniknąć tak straszego losu. Oto jeszcze jeden winny – sam Jezus.

Chyba że...

Wstrząsnął mną gwałtowny dreszcz. Przyszła mi do głowy straszliwa świętokradcza myśl. Jezus wiedział, że będzie wydany. Ale może miał nadzieję, że nie umrze. Może do ostatniej chwili liczył na to, że Bóg go ocali. Może do ostatniej sekundy czekał na kataklizm, cud, znak od Boga, czekał na nadejście Królestwa Niebieskiego. Jeśli nie, to dlaczego zawołał: *Boże, czemuś mnie opuścił?*

To były jego ostatnie słowa. Wyrażają sens życia i sens śmierci. Nie świadczą o ostatecznym zwycięstwie człowieka, który złożył swe życie w ofierze, by ocalić ludzkość, ani nie wyrażają też jego pragnienia, by, czując odrazę do świata doczesnego, spotkać się ze swoim Ojcem w innym, pięknym świecie. *Czemuś mnie opuścił?* W tych słowach brzmi żal, zaskoczenie, skarga, a nawet wyrzut. Może

pomyślał, że nie tak miało być? Może świadczyło to o tym, iż nie chciał opuszczać tego świata w taki sposób? Może pytał Boga, czemu oddał go w ręce zabójców, dlaczego go nie ocalił? Czyż Bóg nie był jego opoką, tarczą, twierdzą, wodą na pustyni, tym, który przewodził ludowi, który był ojcem sierot i obrońcą wdów? Czyż nie był jego ojcem, a on jego synem?

Jezus, oddając ostatnie tchnienie na krzyżu, oskarża Boga, że go zabił. Dlaczego Bóg go opuścił?

Nie mogłem się obudzić. Mój sen wypełniały koszmarne majaki, widziałem to Jezusa uwięzionego przez wrogów, to szatana, który ukazał mi się w strasznych wizjach w domu Almonda.

Udaliśmy się z ojcem na wydział teologii, aby spotkać się z Jakiem Milletem, który po przyjeździe z Qumran wrócił do swego paryskiego biura. Myśleliśmy, że może on powie nam, gdzie przebywa Pierre Michel.

Z trudem dotarliśmy do dzielnicy Saint-Germain-de-Pres, całkowicie zakorkowanej przez gigantyczny tłum, wymachujący transparentami. Samochody czekały z rezygnacją, aż demonstranci przejdą. W porannej gazecie przeczytaliśmy, że samochody, te piekielne bestie, stojąc w korkach, szczególnie trują powietrze.

Każda grupa manifestantów miała swój transparent: kolejarze, pracownicy poczty, nauczyciele, bezrobotni. Jakiś mężczyzna przemawiał do tłumu przez megafon: „Rząd nie chce nas wysłuchać, ale nas przekonuje, że dzięki temu, iż jedni są biedni, a drudzy bogaci, nie zginie cały naród. Powiadają, że walka z bezrobociem wymaga wyrzeczeń. Ale wyrzeczenia dotyczą zawsze tych samych”.

Ludzie nie okazywali gniewu. Ze spokojem domagali się prawa do emerytury. Żądali dymisji rządu. Ten wolno posuwający się tłum przypominał raczej żałobny orszak, a nie gwałtowny protest społeczny. Ci nieliczni, którzy próbowali przedrzeć się przez kordon policjantów, byli powstrzymywani gazami łzawiącymi i pałkami, a niekiedy wpychani bez pardonu do czarnych furgonetek. Przyszli mi na myśl *Kittim*. Ludzie mówili o swojej rozpacz, strachu przed biedą i dniem jutrzejszym, a żołnierze bili ich i aresztowali.

Millet przyjął nas w swoim gabinecie, w pozbawionym ozdób, zaniedbanym pokoju, pełnym książek i porozrzucanych wszędzie dokumentów. Od razu zauważyłem, że nie miał już tak uprzejmej miny jak przy pierwszym spotkaniu. Nie wydawał się tak skłonny do wynurzeń jak

podczas rozmowy w Qumran. Litery, które wówczas odczytałem w maleńkich żyłkach na jego skroniach, nadal były widoczne, ale zdecydowanie mniej wyraźne.

–Nie sądziłem, że tak szybko zobaczę panów w Paryżu – powiedział, ściskając nam

ręce

na powitanie. – Przypuszczałem jednak, że po tym wszystkim, co się stało, Izraelczycy

nawiążą ze mną kontakt.

Tym samym dał nam do zrozumienia, że po tych straszliwych zbrodniach, jest gotów odpowiadać na nasze pytania i współpracować z izraelskimi władzami. Tak jak Andrzej Lirnow powierzył swoje manuskrypty Pierre'owi Michelowi, który wkrótce potem wyrzekł się wiary, odrzucił śluby zakonne i osiadł we Francji, gdzie zajął się pracą naukową. Obecnie był w posiadaniu ogromnej liczby manuskryptów – apokryfów i pism sekty. Millet dał nam adres domowy Pierre'a Michela, uprzedzając nas przy tym, że nie chce on nikogo widywać.

Wydawał się skrępowany, mówił po hebrajsku, ważąc słowa, jakby bał się powiedzieć za dużo. Ojciec musiał dojść do tego samego wniosku, bo zapytał go wprost:

–Czy wie pan coś o treści zwoju, o którym mówił Pierre Michel na konferencji w tysiąc

dziewięćset osiemdziesiątym siódmym roku? Czy udało się panu go odczytać, gdy pracował

pan w Muzeum Archeologicznym w Jerozolimie?

–Nie, nie zdążyłem tego zrobić.

Wynikało z tego, że zwój Michela był tym, który ukradziono z muzeum. Zapadła niezręczna cisza i zaczęliśmy się zbierać do wyjścia. Wtedy niespodzianie Millet zapytał mnie:

–Mieszka pan w Mea Shearim?

–Tak.

Jego twarz rozjaśnił promienny, nostalgiczny uśmiech.

–To śliczna dzielnica, prawda?

–Tak.

–Odkąd jestem we Francji, bardzo tęsknię za Izraelem. Czułem się tam tak dobrze, bezpiecznie. To niezwykły kraj... Czy pamięta pan, że dałem panu buteleczkę z olejkim?

–Oczywiście, noszę ją stale przy sobie. Czy mam ją oddać? – Skądże znowu! To prezent. Proszę ją zachować i pilnie strzec. Słyszał pan zapewne, co mówił nasz Pan Jezus Chrystus? *Dawajcie, a będzie wam oddane z nawiązką.* - Umilkł, a potem dodał cichszym głosem: – Kiedy pracowałem w muzeum w konserwatorium manuskryptów, naciskano na mnie, abym nie zapoznawał się z treścią tego pergaminu. Nie mam pojęcia, co w nim było. Przypuszczam, że mi nie ufano.

–A Pierre Michel nie został usunięty, gdy porzucił stan zakonny?

–Owszem, próbowano tego – odpowiedział Millet, nie precyzując, kto konkretnie to robił. – Z tego powodu musiał opuścić Jerozolimę. Obecnie nie podlega już władzom kościelnym, nie musi więc, w przeciwieństwie do mnie, być im posłuszny.

–Nie zapoznał się pan choćby pobieżnie z treścią manuskryptu? – nie ustępował mój ojciec.

–Owszem, zerknąłem do niego, zanim zniknął. Kiedy wyraziłem moje przypuszczenia na jego temat, ojciec Jonson zażądał, abym nikomu pod żadnym pretekstem o tym nie wspominał. Krótko mówiąc, miałem o wszystkim zapomnieć. To samo nakazał Lirnowowi. Ale ten biedak nie mógł pogodzić się z tym, czego się dowiedział...

–O co tu chodzi? – Ojciec pokręcił głową.

–Nie mogę panu powiedzieć, przyrzekłem, że będę milczał i nie mogę złamać danego słowa. Spróbujcie jednak zobaczyć się z Pierre'em Michelem. A oto mój domowy adres. –

Podał nam wizytówkę. – Proszę się ze mną kontaktować, zrobię wszystko, żeby panom

pomóc... oczywiście w pewnych granicach.

–Czy obawia się pan czegoś? – zapytał mój ojciec. – Może moglibyśmy jakoś pomóc? Znowu zapadła cisza. Pytanie pozostało bez odpowiedzi.

–Czy sądzi pan, że Kongregacja Nauki Wiary może być zamieszana w te zbrodnie?

–Byłem członkiem tej kongregacji przez wiele lat, wiem więc, do czego są zdolni ci ludzie.

Ale o to ich nie posądzam. Nie, nie boję się ich. Zapewniam panów, że jedynym powodem

mojego milczenia jest złożona przeze mnie przysięga.

Po tych słowach ojciec Millet dał nam do zrozumienia, że rozmowę uważa za zakończoną. Gdy uścisnęliśmy sobie ręce na pożegnanie, ujrzałem w jego wzroku taki smutek, że ścisnęło mi się serce.

Niewiele dowiedzieliśmy się od tego człowieka, ale po raz pierwszy miałem wrażenie, że kurtyna się nieco uniosła.

*I zobaczyłem, że mądrość tak przewyższa głupotę, jak światło przewyższa ciemności. Mędrzec ma w głowie swojej oczy, a głupiec chodzi w ciemności. Ale poznałem tak samo, że ten sam los spotyka wszystkich. Więc powiedziałem sobie: „Jaki los głupca, taki i mój będzie. I po cóż więc nabyłem tyle mądrości? ”. Rzekłem przeto w sercu, że i to jest marność. Bo nie ma wiecznej pamięci po mędrцу, tak samo, jak i po głupcu, gdyż już w najbliższych dniach w niepamięć idzie wszystko; czyż nie umiera mędrzec tak samo jak i głupiec?*⁴⁸.*

Wieczorem tego samego dnia udaliśmy się do mieszkania Pierre'a Michela w XIII Dzielnicy. Była to chińska dzielnica, Michel mieszkał na dwunastym piętrze szarego wieżowca, wznoszącego się ponuro ku niebu. Zadzwoniliśmy, ale nikt nie odpowiadał.

Zatelefonowaliśmy więc do Milleta z pobliskiej budki telefonicznej, jednak i tym razem bez skutku. Ruszyliśmy więc przed siebie, na północ. Słońce, otoczone wiosenną mgiełką, powoli zachodziło. Łagodne światło załamywało się na pomnikach i kamiennych budowlach.

Kiedy doszliśmy do VI Dzielnicy, bez słowa skierowaliśmy kroki ku parafii ojca Milleta.

–Skoro już tu jesteśmy, może złożymy mu wizytę? – zaproponowałem.

–Teraz? Nie wydaje ci się, że to zbyt późna pora?

–Nie, sam nas zaprosił, może będzie czuł się swobodniej u siebie, z dala od uczelni. Myślę, że ma do nas zaufanie.

–Chciałeś powiedzieć, że ma zaufanie do ciebie. Ciekawe dlaczego. Zresztą... Nie wiem, czy może nam coś jeszcze powiedzieć, ale trochę się o niego niepokoję. Jestem pewien, że czegoś się boi.

–Może poczuje się lepiej, jeśli nakłonimy go do mówienia...

Ojciec wahał się przez chwilę, po czym rzekł:

–Zgoda, idziemy.

***Księga Koheleta (Eklezjastes), 2, 13-16.**

Nacisnęliśmy guzik domofonu, ale nikt się nie odezwał, tak jak u Pierre'a Michela. Weszliśmy do środka i udaliśmy się schodami do jego mieszkania. Drzwi były uchylone. Ojciec wszedł pierwszy.

To, co ujrzeliśmy, przejęło nas grozą, której nie zapomnimy do końca naszego życia. Nie ma dnia, żebym budząc się, o tym nie myślał. Długi czas modliłem się, żeby opuściły mnie straszliwe wizje, niedające spokoju ani w nocy, ani w dzień. Nigdy nie zdołam zapomnieć ogromu straszliwego okrucieństwa człowieka. Żaden diabeł ani demon nie może się równać z człowiekiem w czynieniu zła.

***Przeto znienawidziłem życie, gdyż przykre mi były wszystkie sprawy, jakie się dzieją pod słońcem*^{*49}.**

Zobaczyliśmy ojca Milleta leżącego na krzyżu, z rozłożonymi ramionami, z głową zwieszoną na lewe ramię. Był prawie nagi. Jego białe ciało straciło krągłości, było wilgotne, tłuste, jakby pozbawione szkieletu. Na twarzy malował się wyraz ogromnego cierpienia. Ze znieruchomiałych oczu wзираło, poza zrodzonym z bólu strachem i zdumieniem, oczekiwanie wyzwolenia poprzez śmierć, która miała być jedynym możliwym, upragnionym końcem męki, jedyną nadzieją, która się spełniła, pozostawiając jednak w spojrzeniu nieszczęśnika ślad uczucia zawodu. Siwe włosy przykleiły się do czaszki, zapewne od potu wywołanego wysiłkiem i cierpieniem tego starca, który szukał swojej drogi pod słońcem, a tuż przed śmiercią z przerażeniem stwierdził, że nigdy nie zdoła jej odnaleźć, pojął, że winny był temu głuchy na wszystko czas, który cierpliwie, bezlitośnie niszczył jego umysł i ciało. Z półotwartych ust ciekła żółtawa ciecz, piana wymieszana z żółcią. Na skroniach, rękach, stopach widniały skrzepy czarnej krwi, która robiła wrażenie ciepłej na jego zimnym ciele. Ostatni ślad przerwanej tragicznie życia. Bezwładnie zwieszały się jego powyginane podkurczone ręce i skrzyżowane na drzewcu nogi.

Nieszczęśnik przybity został do wielkiego drewnianego krzyża lotaryńskiego. Ręce przybito w nadgarstkach do ramienia poprzecznego, stopy do pionowego. Powykręcane, wykrzywione na wszystkie strony ciało przymocowano do krzyża tak, aby zapobiec obsunięciu się i zerwaniu mięśni. Wokół dużych gwoździ wbitych w ciało utworzyły się ropiejące rany. Następny ukrzyżowany.

Staliśmy bez słowa, nie mogąc oderwać oczu od tego makabrycznego widoku. Pochodziliśmy z rodu Cohenów i prawo nie pozwalało nam dotykać trupa, bowiem mieliśmy pozostać czysti, wolni od jakiegokolwiek kontaktu ze śmiercią.

***Bo przyszedł jako nicość i odchodzi w mroku, a imię jego mrokiem zakryte*^{*50}.**

Śmierć z wielką siłą przywołuje tych, którzy się jej przyglądają. Śmierć przyciąga do

siebie to, co żyje, gna ku zgubnej nieskończoności, aby tam zginęło. Człowiek przyglądający się śmierci podobny jest do tego, który pochyla się nad przepaścią i wie, że wystarczy tylko jeden krok, aby wszystko się skończyło. To upajająca perspektywa. Śmierć jest nieczysta, gdyż jest

*Księga Koheleta (Eklezjastes), 2, 17. *Księga Koheleta (Eklezjastcs), 6, 4.

straszliwą kusicielką, jest jak słodkie wino, upaja. Trzeba być dobrze zakotwiczonym w życiu, żeby nie dać się wciągnąć w otchłań. I nie może to być tylko i wyłącznie spowodowane siłą woli. Albowiem wola nie jest zdolna przeciwstawić się pragnieniu śmierci, która jest silna jak absolut, ponieważ śmierć jest ostatecznym kresem egzystencji. Stanowi przeczenie wieczności. Jednakże wieczność jest zaprzeczeniem życia.

Wyszliśmy z mieszkania i pogrążyliśmy się w noc, która nas oślepiła, gdyż w naszych sercach panowały nieprzeniknione ciemności.

Lepiej jest iść do domu żałoby, niż iść do domu wesela, bo w tamtym jest koniec każdego człowieka, i człowiek żyjący bierze to sobie do serca. Lepszy jest smutek niż śmiech, bo przy smutnym obliczu serce jest dobre. Serce mędrców jest w domu żałoby, a serce głupców jest w domu wesela^{*51}.

Mój ojciec czuł się odpowiedzialny za tragiczny los, jaki spotkał Milleta. Doszedł do wniosku, że prowadzone przez nas poszukiwania były kalwarią, drogą krzyżową. Wciąż powtarzał, że to misja nie dla nas. Niewykluczone, że ten człowiek zginął z naszej winy. Związek z ukrzyżowaniem Almonda i śmiercią Mattiego nie mógł być przypadkowy. Wydawało się rzeczą oczywistą, że ktoś nas śledzi i pragnie przeszkodzić nam w poszukiwaniach, niszcząc ostatnie dowody, do których moglibyśmy dotrzeć. A skoro nie wolno nam było dotykać krwi, nie powinniśmy jej również wywoływać. Shimon pomylił się, oczekując, iż może nam się udać. A może nie zdawał sobie sprawy z tragicznych skutków tej misji? Następny znak nie będzie już ostrzeżeniem. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że mieliśmy za przeciwników Rzymian, gotowych na wszystko barbarzyńców.

–Uważam, że powinniśmy wracać do Izraela – powiedział w końcu ojciec.

–Nie możemy tego tak zostawić – zaoponowałem. – Musimy iść dalej naszą drogą i za wszelką cenę rozwikłać tę zagadkę.

–Pragnienie wyjaśnienia rzeczy nie służy niczemu. Należy zostawić sekrety w ich mroku. Czasami najbardziej myląca jest oczywistość. To, co możemy odkryć, jest tak straszne, że lepiej odwrócić od tego wzrok. Wiesz przecież, że nie można spojrzeć Bogu w twarz, że samo pragnienie tego jest śmiertelnym grzechem. Bóg musi pozostać w ukryciu. Kto próbuje go zobaczyć, ściąga na siebie nieszczęście i jego

gniew.

–O czym ty mówisz? Czy wiesz coś więcej na temat tych zabójstw? O kogo tu chodzi?– pytałem przerażony. – O Boga czy o Jezusa? Dlaczego używasz tego argumentu, skoro nie wierzysz w Boga, nie uznajesz szabatu i nawet nie przestrzegasz dziesięciu przykazań? O czym ty mówisz?

–Nie wiem, czy Bóg istnieje, ale nie chcę sprzeciwiać się jego woli ani znakom, które nam zsyła.

Nawet w tak tragicznych okolicznościach nie zdołałem powstrzymać się od uśmiechu. Role się odwróciły. Uważałem się za wierzącego, a oto nagle mówiłem jak ateista i racjonalista.

***Księga Koheleta (Eklezjastes), 7, 2-4.**

Sądziłem, że mój ojciec bliski był bezbożności, a teraz odkrywałem, iż był bardziej wierzący niż ja.

–Mylisz się, twierdząc, że widzisz znaki, albo to Bóg myli się, zsyłając je tobie – powiedziałem spokojnie. – Nie wolno nam rezygnować. Musimy odnaleźć ten manuskrypt. Ktoś go ma i ukrywa. Kim jest? Nie wiem. Może to nie jeden człowiek, ale grupa, instytucja, która go skonfiskowała już wieki temu. To nieważne, trzeba działać. Nie możemy zaniechać tej misji jak Jonasz, któremu Bóg nakazał głosić żal za grzechy w Niniwie, bo zostaniemy podobnie jak on połknięci przez wieloryba.

Naprawdę uważałem, że powinniśmy szukać dalej i podjąć wyzwanie wypowiadających nam wojnę barbarzyńców. Nie bałem się. Wierzyłem, że jesteśmy nieśmiertelni, ja i ci wszyscy, których kochałem. Byliśmy życiem, byliśmy Synami Światła, a oni byli Synami Ciemności. A czy nie zostało powiedziane, że w wyniku tej wojny nadejdzie Mesjasz?

Nazajutrz znowu poszliśmy do mieszkania Pierre'a Michela. I znowu nikogo nie zastaliśmy. Wyjąłem z kieszeni wytrych, który dał mi Shimon razem z pistoletem. Nosilem ten „prezent” przy sobie, a teraz okazał się potrzebny. Otworzyłem ostrożnie drzwi. Mieszkanie było ciasne, ciemne. Okiennice zamknięte. Przeszliśmy w milczeniu wąskim korytarzem do głównego pokoju.

Tam zobaczyliśmy siedzącą przy biurku kobietę, czytającą jakieś dokumenty. Wyczuwszy naszą obecność, odwróciła się gwałtownie i zaskoczona krzyknęła po angielsku:

–Kim jesteście?!

–Proszę się uspokoić – odrzekł ojciec w tym samym języku. – Jesteśmy

naukowcami, archeologami. Chcieliśmy się zobaczyć z Pierre'em Michelem.

Kobieta uspokoiła się.

–Pierre Michel wyjechał. Jeśli szukacie manuskryptu, który znajdował się w jego posiadaniu, to nie ma go tutaj. Ja także go szukam – powiedziała.

–Kim pani jest? – zapytałem.

–Jestem dziennikarką, pracuję dla Barthelemy'ego Donnarsa, redaktora naczelnego „Biblijnego Przeglądu Archeologicznego”. Chcemy wydać wszystkie manuskrypty, łącznie z tym, który został skradziony.

–Tak, wszyscy wiedzą – odrzekłem z rezerwą – że czerpicie znaczne dochody z tych manuskryptów.

–Manuskrypty te są równie ważne dla historyka jak dla wiary. To skandal, że ukrywa się przed tymi, którzy chcieliby je opublikować – odpowiedziała zdenerwowana.

–Jak pani się tu dostała? – chciał wiedzieć ojciec.

–Drzwiami, podobnie jak panowie. I przypuszczam, że w ten sam sposób. Spodziewałam się, że nie zastanę Pierre'a Michela. Odkąd porzucił życie klasztorne, grożono mu śmiercią, jeśli nie odda manuskryptu. Myślę, że uciekł. Z trudem natrafiłam na jego ślad. A kiedy udało mi się nawiązać z nim kontakt, musiałam długo go namawiać, aby zgodził się na rozmowę. Tłumaczyłam mu, że to najlepszy sposób, aby go uratować.

–Jak to?

–Miałam na myśli... ratowanie jego życia.

–Wie pani o morderstwach? – zdziwiłem się.

–A kto nie wie? Piszą o tym w gazetach.

–Kto nastaje na jego życie? – zapytał ojciec.

–Mówił mi, że nie wie. Przypuszczał, że Jonson. Powierzył manuskrypt ojcu Michelowi, który był kiedyś jego kolegą. Nie wiedział jednak, że Michel przeżywał wątpliwość, był bliski odstąpienia od wiary. Kiedy Michel na konferencji w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym roku częściowo ujawnił treść manuskryptu, Jonson wpadł w straszliwy gniew. Potem Pierre Michel zniknął wraz ze zwojem. No i teraz – rozejrzała się rozczarowana po pokoju – nie można go odnaleźć.

Była to młoda kobieta, z długimi jasnymi włosami i bardzo bladą twarzą usianą piegami. Nazywała się Jane Rogers. Powiedziała, że jest córką pastora, że wykonuje to zadanie dla „Biblijnego Przeglądu Archeologicznego” z zamiłowania do prawdy, która znaczyła dla niej tyle samo, co miłość do Boga.

–Widzi pan – powiedziała, zwracając się do mnie z dumną miną, którą potem widywałem

u niej wiele razy – to w trosce o losy chrześcijaństwa chcę opublikować brakujący manuskrypt.

Uraziłem ją i teraz gorzko tego żałowałem. *Nie bądź pochopny w słowach, a serce twe niech nie będzie zbyt skore, by wypowiedzieć słowo przed obliczem Boga, bo Bóg jest w niebie, a ty na*

ziemi!^{*52}

–Proszę mi wybaczyć – powiedziałem. – Niesłusznie panią zaatakowałem. Jej twarz natychmiast rozjaśnił dziecięcy uśmiech.

–Nic się nie stało. Jestem przyzwyczajona.

Nagle urwała, a w jej oczach ukazał się strach. Odwróciłem się i zobaczyłem dwie groźne sylwetki. Ojciec ruszył ku nim, chcąc nas bronić. Uderzony w głowę, upadł na podłogę. Przez sekundę stałem osłupiały, niezdolny do żadnego ruchu. Ocknąłem się na krzyk ojca. Rzuciłem się na napastników. Jednego z nich z całych sił uderzyłem pięścią w brzuch, ale drugi, uzbrojony w pałkę, zadał mi cios w głowę. Zrobiło mi się czarno przed oczami. Napastnicy uciekli, zabierając mojego nieprzytomnego ojca.

Poderwałem się, by rzucić się za nimi, ale zachwiałem się od straszego bólu w głowie. Usłyszałem jeszcze, jakby z oddali, głos Jane Rogers:

–Nie, niech pan ich nie ściga, zabiją pana, jak to zrobili z Milletem, Almondem i innymi.

Straciłem przytomność.

Gdy się ocknąłem i otworzyłem oczy, zobaczyłem pochylonego nade mną anioła, który chusteczką przecierał mi czoło. Zamknąłem na moment oczy i ponownie otworzyłem, żeby przekonać się, iż nie jest to niebiańska wizja, lecz zatroskana i zaniepokojona moim stanem Jane Rogers. Czułem jej delikatne ręce, gdy nakładała kompres na moją krwawiącą ranę.

–Jak się pan czuje? Wezwać pogotowie?

***Księga Koheleeta (Eklezjastes), 5, 1.**

–Nie trzeba. Już mi lepiej. Dlaczego porwano mojego ojca? Skąd go znają? – pytałem, przypominając sobie z przerażeniem, co się wydarzyło.

–Musieli wiedzieć, że szukacie manuskryptów... Chyba że go wzięli za Pierre'a Michela... Czy jest pan chasydem, czy to tylko przebranie? – Patrzyła z zainteresowaniem, jak próbuję nałożyć na głowę aksamitną czarną kipe, którą zdjęła, by opatrzeć mi rany.

–Mieszkam w Mea Shearim.

–Rozumiem... Może ci ludzie szukali po prostu skarbu?

–O jakim skarbie pani mówi?

–Wśród Beduinów krąży legenda, że jeden z manuskryptów mówi o skarbie, składającym się z drogich kamieni i złota.

–Tak, *Zwój Miedziany*. Chodzi o skarb Świątyni. Ale skąd pani o tym wie?

–Zajmuję się tą sprawą w naszym piśmie. Dysponujemy wszystkimi najświeższymi informacjami archeologicznymi. Ale porozmawiamy o tym później. Chodźmy stąd. Nie wiadomo, co jeszcze może się wydarzyć.

Świeże powietrze dobrze mi zrobiło. Przeszliśmy kawalek razem, a potem każde z nas wróciło do swojego hotelu. Przedtem wymieniliśmy numery telefonów.

Położyłem się na łóżku, ale nie mogłem zasnąć. Czułem ostry, przenikliwy ból w czaszce i myślałem o ojcu. Nie wiedziałem, jak go odnaleźć. Jeśli spostrzegli swoją pomyłkę albo zorientowali się, że nie wie więcej od nich, mogli go zabić. Z przerażeniem wspominałem ukrzyżowanego Milleta. Przez całą noc przewracałem się z boku na bok, dręczony pytaniami. Kto mógł zabić Milleta? Fanatyczni chrześcijanie, a może przeciwnie, wrogowie chrześcijaństwa? Żydzi, muzułmanie czy chrześcijanie? Niewątpliwie okrutni szaleńcy. Ale co chcieli dać do zrozumienia, naśladowując mękę Chrystusa?

Nie potrafiłem wysnuć żadnego wniosku. Może to wysłannicy Boga, przybyli po to, aby zabrać jedynego sprawiedliwego i postawić go przed niebiańskim tronem? A może, co bardziej prawdopodobne, to słudzy szatana, którzy mieli wystawić go na próbę? W takim wypadku wrócą ze swymi diabolicznymi zamiarami.

Mogli to być również zwykli złodzieje, szukający skarbu esseńczyków i przypuszczający, że mój ojciec ma klucz do tej zagadki. Albo fanatyczni chrześcijanie, którzy obawiali się tego, co jest zawarte w manuskryptach, i to oni byli

zabójcami Almonda i Milleta.

Gdy się tak nad tym zastanawiałem, uderzyła mnie jedna myśl: wspólny punkt wszystkich tych hipotez, dotyczących motywu porwania, stanowiły, w taki czy inny sposób, manuskrypty. A więc jedynym sposobem uratowania ojca było zwrócenie uwagi na manuskrypty i tym samym zmuszenie porywaczy do ponownego przybycia.

O piątej nad ranem, rozważywszy tysiące możliwości, wybrałem numer telefonu Jane Rogers.

–Mówi Ary Cohen. Pewnie panią obudziłem, przepraszam.

–Ależ skąd! Ja również nie mogłam spać. Jak pańska rana?

–Trochę lepiej. Proszę posłuchać, przypuszczam, że powodem porwania mojego ojca były manuskrypty.

–Czy wiedział coś na ich temat?

–Nie więcej niż ja.,

–Czego konkretnie szukaliście?

–Zwoju, który był w posiadaniu Pierre'a Michela.

–Chodzi o ten słynny zwój z jego konferencji?

–Tak.

–Z tego właśnie powodu przysłano mnie tutaj. Czy jest pan pewien, że pański ojciec nie

odkrył czegoś niebezpiecznego, o czym nie powiedział, aby pana ochronić?

–Nie, nie sędzę.

–Skoro nic nie wiedział, to może go nie zabiją.

–Obawiam się, że porywacze mogą rozpląnąć się w powietrzu. Trzeba coś zrobić, żeby ściągnąć ich uwagę na nas, sprawić, aby wyglądało, iż coś wiemy, albo nawet mamy to, czego szukają.

–Co pan radzi?

–Czy pani pismo mogłoby zorganizować spotkanie dyskusyjne, o którym pisałyby wszystkie gazety?

–To już zostało zaplanowane. Za trzy tygodnie odbędzie się konferencja na temat manuskryptów z Qumran, na którą zaproszeni zostali wszyscy naukowcy zajmujący się tą kwestią.

–Musimy dać porywaczom do zrozumienia, że wpadliśmy na ślad ostatniego manuskryptu.

–Trzeba wymyślić coś, żeby nasi znakomici qumranolodzy zechcieli się ruszyć. Na ostatnim spotkaniu było ich zaledwie kilku.

–Żeby tylko nie okazało się, że jest za późno...

–Niech pan teraz o tym nie myśli. Proszę spróbować się przespać, a rano ułożymy plan batalii.

–Odnajdę go. Jeśli będzie trzeba, użyję siły. – Wyczuw-szy, iż jest zaskoczona, dodałem: – Miałem na myśli siłę argumentów.

Następnego dnia wróciłem do mieszkania Pierre'a Michela, żeby znaleźć tam jakiś ślad. Zatelefonowałem do Shimona, ale nie po to, żeby poinformować go o tym, co się stało, bałem się bowiem, że w ten sposób narażę ojca na niebezpieczeństwo. Chciałem tylko sprawdzić, czy Shimon już coś wie. Wyglądało na to, iż nie dotarły do niego żadne wieści.

Zdezorientowany, udałem się do ambasady izraelskiej. Miałem ochotę powiedzieć im wszystko. Rozmyśliłem się w ostatnim momencie.

Dzień potem wręczono mi w hotelu małą paczkę wysłaną z Nowego Jorku. Otworzyłem ją z bijącym sercem i drżącymi rękami. Znajdował się w niej drewniany, stoczony przez robaki krzyż z hebrajskim napisem, czterema literami, od których dostałem gęziej skórki – ICHR, Jezus Chrystus, król żydowski. Taki napis był na krzyżu Chrystusa. Nie ulegało wątpliwości, że

krzyż przysłali porywacze, dając mi do zrozumienia, iż znają cel naszych poszukiwań i że ojcu grozi ukrzyżowanie.

Byłem przerażony. Czego oni tak naprawdę chcą? Czy są fanatykami, którzy krzyżują ludzi prowadzących badania nad manuskryptami z Qumran? Co jest w tych zwojach, że skłania do tak straszliwych zbrodni?

Jedyna nadzieja w konferencji. Może na niej znajdziemy odpowiedzi na wszystkie te pytania. Postanowiłem pojechać z Jane Rogers do Nowego Jorku.

Wyjechaliśmy następnego dnia. Jane przekonała mnie, iż nie ma sensu zostawać dłużej w Paryżu, bo mojego ojca na pewno już tam nie ma. W Izraelu nie wiedziałbym, co robić, nie byłoby też wskazane alarmować matki ani władz, żeby nie zwiększać grożącego ojcu niebezpieczeństwa. Biorąc pod uwagę pochodzenie paczki, należało przypuszczać, że zapewne został oszołomiony narkotykami i przewieziony do Stanów Zjednoczonych, gdzie mogłem się na coś przydać, pomagając w przygotowaniach do konferencji.

W Nowym Jorku zamieszkałem w hotelu w pobliżu redakcji „Biblijnego Przeglądu Archeologicznego”.

Przez trzy tygodnie żyłem dręczony niepokojem. Nie wiedząc, czy mój ojciec żyje, czy nie, sam znajdowałem się między życiem i śmiercią. Kilkakrotnie dzwoniłem do matki, przekazując jej nieprawdziwe wiadomości i tłumacząc, iż ojciec jest tak zajęty, że nie ma czasu z nią porozmawiać. Po każdej takiej rozmowie odkładałem słuchawkę i płakałem. *Zmęczyłem się krzykiem i ochrypło mi gardło, osłabły moje oczy, gdy czekam na Boga mego*^{*53}.

Zrozumiałem, że nie jestem odporny na ciosy. Po raz pierwszy świat wokół mnie zaczął się walić. Jeden z naszych nauczycieli mawiał: „Świat jest jak wąski most i najważniejsze to nie bać się go”. Zawsze szedłem przezeń zdecydowanym krokiem, mając za przewodników Talmud i Kabałę, pewny ich wartości i wartości mego ludu, ludu wybranego, z łona którego ja, młody student jesziwy, zostałem wybrany. Wybrany spośród wybranych. A teraz nagle odkryłem pustkę, miałem przed sobą przepaść, do której, trzymając się tylko nitki, mogłem lada moment wpaść. Po raz pierwszy zrodziła się we mnie wątpliwość, straciłem pewność. *Wybaw mnie, Boże, bo woda mi sięga po szyję. Ugrzęzłem w mule topieli i nie mam nigdzie oparcia, trafiłem na wodną głębinę i nurt wody mnie porywa*^{*54}.

*Księga Psalmów, Psalm 69, 4. *Księga Psalmów, Psalm 69, 3.

To był pierwszy wyłom. Nie do naprawienia. Od dnia kiedy uświadomiłem sobie moją słabość, to uczucie już nigdy mnie nie opuszczało. Przeszedłem definitywnie z kategorii ludzi beztroskich do metafizyków, z bezrozumnych do mądrych, którzy nieustannie zadają sobie pytania o sens rzeczy i sens ich życia, którzy zastanawiają się nad jego istotą, którzy są stale, niezmiennie niezadowoleni, ponieważ wciąż pamiętają o śmierci, jakby świat był domem żałoby.

Czasami dają się uwieść życiu i wówczas pragną je pożreć z apetytem nienasyconym, wilczym jak u śmierci, byleby tylko uwolnić się od straszliwego lęku, wypełnić świat swym strachem, znaleźć spokój w sprawach zrodzonych w ich

załęknionym umyśle. Nigdy jednak nie znajdują spokoju. Wciąż szukają innych perspektyw, ponieważ ich dusza łaknie Boga, Boga życia. Ich dusza nie wspomina i nie tęskni za krajem, w którym się urodzili, ani za bratnimi duszami, które tam poznali, ale jest niczym zbuntowana muszla, żadna tego, czego nie ma i czego nigdy nie zaznała.

Ci drudzy, nierozumni, żyją w miejscach zamieszkałych przez ludzi im podobnych, jakby to było całkiem normalne, że są właśnie tu, na tej planecie zwanej „Ziemia”, gdzie wstaje słońce, rosa zwilża trawę, świt, zaranie dnia, wylania się leniwie, ziewając ukradkiem każdego ranka. I tak jest aż do końca dni, do niewiadomego końca świata. Jakby było to całkowicie naturalne, że ten świat nie ma ani początku, ani końca, że Ziemia, małe ziarenko w nieskończonym kosmosie, odbywa bez przerwy swą wirującą drogę, że jest jedna jedyna, a my jej nie znamy. Jednakże w tym nieskończonym biegu, w odwiecznym, sprawnym i dokładnym ruchu, Ziemia ironicznie przygląda się bytowi skończonemu, który jest tylko pyłkiem czasu, drobnoustrojem w kosmosie. Ale nic nie jest bardziej jasne dla nierozumných, którzy znają się na wszystkim, lecz niczego nie widzą, których nic na świecie nie jest w stanie zaskoczyć, ani noworodek, rodzący się do życia we krwi i płynach ustrojowych matki, ani dziecko, które rośnie i uczy się mówić, ani człowiek dorosły, starzejący się i umierający. Spoglądają na ziemski glob jak na kulę, przez którą trzeba przebiec, jak na przedmiot wykonany raczej przez rzemieślnika niż artystę. Nie wiedzą, co to zawrót głowy. Nie pochylają się, żeby długo patrzeć w przepaść, lecz przechodzą z jednej strony mostu na drugą. Nie umieją iść swoją drogą pewnym krokiem, prosto przed siebie. Niezdolni dostrzec marność człowieka, próżności każdego jego czynu, są szczęśliwi, zręcznie korzystają z rzeczywistości.

Tak więc moje wyjście z wieku dziecięcego przypada na ten okres, a nie na czas służby wojskowej. Dzieciństwo było czymś w rodzaju stanu nieświadomości, kiedy wydarzenia następowały jedno po drugim, bez przeszłości i bez przyszłości. Pobyt w wojsku ograniczał się do ściśle określonych faktów zewnętrznych, co pozwalało reagować niemal mechanicznie. Był to narzucony przez regulaminy bezpieczny stan. Wszystko jest takie proste, kiedy samemu nie podejmuje się decyzji.

Z drugiej strony po raz pierwszy w życiu zetknąłem się z anarchią. I bałem się jej. Nie obowiązywały już prawa ani reguły, wszystko było dozwolone, wolno było porywać i kraść, ćwiartować i krzyżować. W tym stanie nieskończoność możliwości dziwnie się zmniejszała, kiedy myślałem o jedynej perspektywie, jaką była śmierć. Kto to był? Gdzie się ukrywał? Jakie

były jego czy ich motywy? *Panie, mój Boże, za dnia wołam, nocą żalę się przed Tobą. Niech dojdzie do Ciebie moja modlitwa, nakłoń swego ucha na moje wołanie!*^{*55}

Ojciec przeczuwał niebezpieczeństwo i mówił mi o swoich obawach, chciał nawet

wszystko przerwać i wrócić do Izraela. Teraz gorzko żałowałem, że namówiłem go do kontynuowania naszych poszukiwań. Bałem się najgorszego, czasami bardziej cierpienia niż śmierci. Nie znajdowałem siły, by studiować Biblię, nie byłem w stanie się skupić. Nie miałem żadnego przyjaciela i brakowało mi Yehudy. Zawsze potrafił znaleźć rozwiązanie wszystkich problemów, o których mu mówiłem, nawet tych najbardziej skomplikowanych. Może i w tym przypadku umiałby za pomocą drobiazgowego *pilpul* wskazać mi miejsce, gdzie przebywa mój ojciec. Zaczęłyby od zreasumowania danych i ich klasyfikacji:

„Po pierwsze ty i twój ojciec szukacie manuskryptu, znalezionego w grocie w Qumran i ukradzionego przez X. Po drugie spotkaliście się w tej sprawie z trzema osobami, które potem zginęły gwałtowną śmiercią. Po trzecie twój ojciec został porwany. Wynika z tego – powiedziałyby Yehuda – że twój ojciec znajduje się w klasztorze Świętej Katarzyny w Ankarze”. „Ale dlaczego?” – zapytałbym zaskoczony. „Przecież to oczywiste” – odpowiedziałyby Yehuda, dumny z wywołanego efektu.

Potem wdałby się w długie talmudyczne wywody, powołując się jednocześnie na Biblię, porywaczy, rabinów i inne osoby, niemające nic wspólnego z tą sprawą. Takie absurdalne pomysły miewał Yehuda. Jednakże tak naprawdę wiedziałem, że na nic zda się tu *pilpul*, że żadne rozumowanie nie pomoże mi odnaleźć ojca.

Wspominałem wypadki, jakie odbywaliśmy z Yehudą na białą pustynię Negew, kiedy musieliśmy coś przemyśleć. Wędrowaliśmy przez kilka dni po odludziu. Poznawaliśmy miejsca, gdzie ziemia urywała się nagle pod nogami niczym dekoracja z kartonu. Całymi godzinami wpatrywaliśmy się w ten obraz, a potem podejmowaliśmy marsz.

Jakże mi brakowało mojego kraju, jakże czułem się słaby i samotny na obczyźnie. Ziemia rodzinna jest jak ojciec. To opoka, na której można spocząć, kiedy nie ma już się czego trzymać, kiedy wszystko wokół się chwieje. Jakże to wygnanie wydawało mi się długie i trudne do zniesienia! *Wysłuchaj, Panie, słuszności, zważ na me wołanie, przyjmij moje modły z warg nieobłudnych! Niech przed Twoim obliczem zapadnie wyrok na mnie: oczy Twoje widzą to, co prawe. Choćbyś badał me serce, nocą mnie nawiedzał i doświadczał ogniem, nie znajdziesz we mnie nieprawości. Moje usta nie zgrzeszyły ludzkim obyczajem; według słów Twoich warg wystrzegalem się ścieżek gwałtu. Moje kroki trzymały się mocno na Twoich ścieżkach, moje stopy się nie zachwiały*^{*56}.

*Księga Psalmów, Psalm 88, 2-3. *Księga Psalmów, Psalm 17, 1-5.

Czy odważę się do tego przyznać? Czy mogę o tym mówić? Wiele rozmyślałem na temat Chrystusa, chociaż takie myśli były zakazane i nie mógłbym się z nikim nimi podzielić, nawet z Yehudą. Marzyłem o Chrystusie tak, jak to się robi w cierpieniu i nieszczęściu. Któregoś dnia przechodziłem na Manhattanie przed kościołem,

stojącym pośród wieżowców. Pchnięty gwałtownym pragnieniem, wszedłem do środka. Oczywiście mieliśmy surowy zakaz wchodzenia do jakiegokolwiek kościoła, a tym bardziej do robienia tego, co zrobiłem.

Usiadłem na ławce przed niszą z figurą Jezusa. Po raz pierwszy patrzyłem na tę postać nie jako na przejaw pogańskiego bałwochwalstwa, zakazane, niemożliwe do zrealizowania przedstawienie Boga. Oddałem się prawdziwej kontemplacji, intensywnemu myśleniu o tym ukrzyżowanym sprawiedliwym człowieku. Nie myślałem o nim tak, jak się myśli o Bogu, lecz jako o postaci z Biblii. I przyniosło mi to pocieszenie. On był tu obecny duchem i ciałem, i chociaż nie bardzo chciałem wierzyć w jego istnienie, wszystko objawiało mi się w jakiś cudowny sposób: przyszły świat, sens życia, stworzenie świata i zmartwychwstanie zmarłych.

Tak, ujrzę ojca, jeśli nie na tym, to na tamtym świecie. Im większe będą jego cierpienia, im bardziej niezasłużone, tym łatwiej znajdzie spokój u boku Chrystusa. Ale w takim razie czy warto działać? Nie ma po co go szukać, bowiem będzie zbawiony przez Chrystusa. A jeśli Chrystus nie istniał, jeśli był tylko ten ukryty Bóg żydowski, abstrakcyjny, nieobecny, oddalony od świata, Bóg, który do niczego się nie wtrąca, nie interweniuje nawet w przypadku największego barbarzyństwa? Wówczas wszystko jest dozwolone. Cnoty nigdy nie będą wynagrodzone, zbrodnie pozostaną na zawsze bezkarne. Człowiekowi może przydarzyć się wszystko. Więc po co działać?

A jednak trzeba było coś zrobić, jeśli nawet nie miało to racjonalnego ani teologicznego uzasadnienia. Może dlatego, że jest to konieczne? A może dlatego, że jeszcze bardziej absurdalne byłoby nic nie robić?

Czując, że moja dusza nie może sobie z tym poradzić, pomagałem Jane w przygotowaniach do konferencji. Z wielkim oddaniem pracowała nad jej organizacją. Odbywała rozmowy telefoniczne z ludźmi z czterech stron świata, chodziła na spotkania z dziennikarzami, pisała artykuły. Chciała, aby przyjechało jak najwięcej znanych osobistości. Za jej namową redakcja pisma wybrała temat konferencji: „Czy Jezus istniał? Niezwykłe rewelacje z Qumran”.

Prasa natychmiast podchwyciła sensacje zamieszczone w „Biblijnym Przeglądzie Archeologicznym”, który za sprawą Jane ogłosił, że wszystkie manuskrypty zostaną po raz pierwszy zebrane razem i wreszcie wyjdzie na jaw cała prawda o Qumran. Oczywiście chodziło tylko o to, żeby ściągnąć zainteresowanych tym ludzi.

Niedługo po ukazaniu się artykułu, który Jane napisała dla „Timesa”, z Nowego Jorku zadzwonił Pierre Michel. Tłumaczył się, że musiał nagle opuścić Paryż, żeby uciec przed prześladowcami. Zdecydował się wreszcie ujawnić treść zwoju, który był w jego posiadaniu, bo tylko w ten sposób mógł ocalić życie. Oznajmił, że weźmie udział w konferencji.

–Miejmy nadzieję, że pomoże nam to dowiedzieć się, gdzie jest mój ojciec – powiedziałem do Jane.

–Możliwe, o ile zdobędziemy ten ostatni manuskrypt. Miałeś doskonały pomysł. Do redakcji napływa masa próśb o zaproszenia. Sprzedano w tym tygodniu tyle egzemplarzy „Przeglądu” co „Vanity Fair”. Wyobrażasz sobie? To rekord, jakiego nie pobiło żadne pismo archeologiczne.

–Dla mnie ten manuskrypt nic nie znaczy, jeśli nie miałbym już nigdy zobaczyć ojca. Nie jest wart ludzkiego życia.

–Ary, nie trać nadziei. Odnajdziemy twojego ojca, jestem tego pewna.

–I to dzięki tobie. Dlaczego to wszystko robisz? Dla mnie?

–Po pierwsze robię to także dla siebie. Dowiedziałam się wielu rzeczy, które bardzo mi się przydadzą. Zmieniłam się, Ary, bardziej, niż to sobie wyobrażasz. – Zamilkła na krótką chwilę, po czym dodała z wahaniem: – Żeby odpowiedzieć szczerze na twoje pytanie... robię to może dlatego, że zależy mi na tobie bardziej, niż powinno.

Przy tych słowach jej policzki zabarwił rumieniec, a mnie serce podskoczyło w piersi.

W wojsku spotykałem dziewczyny, ale żadna nie wzbudziła mojego zainteresowania, choć koledzy nieustannie opowiadali przeróżne historie o uroku, jaki na nie rzucałem. Mówili, że przeze mnie nie mają u nich żadnych szans, albo prosili, żebym towarzyszył im w nocnych wypadach i podrywał je dla nich. Miałem również pewien wpływ na mężczyzn, którzy chętnie słuchali, gdy do nich mówiłem i szukali mojego towarzystwa.

Przy kobietach czułem się skrępowany. Dziwnie na mnie patrzyły. Na mój widok odwracały głowy, szeptały moje imię. Koledzy uważali, że urzekał, obezwładniał je mój wzrok. Mówili ze śmiechem, że zanurzały się w nim niczym w studni miłości. To prawda, że miałem oczy niebieskie jak u matki i płonące nigdy niegasnącym blaskiem jak u ojca.

Niektórzy uważali, że kobiety przyciągała moja obojętność wobec nich, zdecydowana niechęć. Rzeczywiście, myślami byłem daleko od nich. Z Jane sprawa wyglądała inaczej. Miałem w niej towarzyszkę broni, ponieważ walczyliśmy na tym samym froncie, w tym samym czasie, łączyło nas prawdziwe porozumienie i braterstwo dusz. Nigdy nie myślałem o niej jak o kobiecie, do której mógłbym się zbliżyć. Z początku, kiedy do mnie mówiła, pamiętałem o tym, żeby nie patrzeć jej w oczy, tak jak nie patrzyłem w oczy żadnych kobiet, odkąd wstąpiłem do jesziwy. Stopniowo stała się towarzyszem w mojej pracy, rozwiązywaliśmy razem problemy, snuliśmy plany, układaliśmy scenariusze dalszego postępowania. Przy niej moja

kreatywność zdawała się jakby za sprawą magii, przychodziło mi do głowy tysiące pomysłów na rozwiązanie najbardziej skomplikowanych spraw. Była cudownym rozmówcą, umiała dobrze słuchać. Miała bujną wyobraźnię i jednocześnie była realistką, posiadającą dość fantazji, żeby wkraczać na bardzo niebezpieczne ścieżki, ale nie narażać się przy tym na niepotrzebne ryzyko.

Kiedy czasami napotykałem zdecydowane spojrzenie jej ciemnych brązowych oczu, opuszczałem szybko wzrok, zawstydzony, że spoglądam na nią jak na kobietę.

A to było zakazane. Nie dlatego, że miłość była sama w sobie zła lub zakazana przez religię, ale Jane nie była Żydówką. Była chrześcijanką, protestantką, córką pastora.

Z pewnością gdybym był inny albo gdyby nie było to dla mnie zabronione, gdyby ona była Żydówką, a ja nie pochodziłbym z rodu Cohenów ani nie był chasydem, gdybym był gojem, protestantem lub katolikiem, gdybyśmy oboje byli ateistami, albo gdybym ja był agnostykiem, a ona protestantką, gdybym nie był praktykujący, gdybym poszedł w ślady rodziców, wtedy, jak sądzę, pokochałbym ją.

Różniła się bardzo od dziewcząt, z którymi nas żeniono. Nie była nieśmiała ani powściągliwa jak one, nie była uległa ani przesadnie skromna. Nie było jej przeznaczeniem zostać pobożną strażniczką ogniska domowego i matką. Zupełnie to do niej nie pasowało. Była niezależna i aktywna. Nie bała się niczego, zwłaszcza prawdy, do której dążyła niczym dzielny rycerz. Miała w sobie tyle determinacji, że kierowała mną, gdy się wahałem, zmuszała do działania, gdy traciłem odwagę.

Prowadziliśmy długie dyskusje o Jezusie, o jej religii i o mojej. Choć nasze punkty widzenia często się różniły i nie dochodziliśmy do porozumienia, to jednak szanowaliśmy się. Im bardziej konfrontowaliśmy nasze poglądy, tym bardziej stawało się dla nas widoczne, że nie ma nic wspólnego między chrześcijaństwem i judaizmem, że dzieli nas przepaść. Nasze rozmowy opierały się na tym, czego dowiedzieliśmy się od nauczycieli i z książek, a więc na wiedzy wynikającej z wielowiekowej ignorancji, pomyłek, a nawet bzdur, chociaż powinny być wyprowadzić nas z błędu konkretne wydarzenia. Jednak my, żeby dodać sobie pewności – a być może żeby się do siebie zbliżyć – chętnie pogłębialiśmy te sprzeczności. Niekiedy po wielu, wielu godzinach sporów rozstawaliśmy się wyczerpani, zbyt zmęczeni, żeby się na siebie obrażać. Dialog bowiem zawsze łączy, nawet jeśli walka na słowa jest zażarta.

Któregoś dnia, gdy wyraziłem zdziwienie jej znajomością judaizmu, powiedziała:

–To za sprawą *szoah*. Nie rozumiałam, dlaczego tak prześladowano ten naród. Chciałam

dowiedzieć się, co było powodem tego trwającego od wieków straszliwego

okrucieństwa.

Potem pojęłam, że jest świętym obowiązkiem chrześcijanina poznać judaizm i jego żydowskich

wyznawców.

Niekiedy nasze dyskusje przerywały długie chwile milczenia, odzwierciedlające wspólnotę, która nieustannie się między nami pogłębiała. Szybko stało się dla mnie oczywiste, iż polega ona na świadomości tajemnicy. Przypominało to pustynię, gdzie w panującej tam ciszy ludzie pozbywają się wszystkich zbędnych myśli, żeby całkowicie odsłonić istotę czynu i prawdziwego słowa, istotę początku. Po raz pierwszy czułem, że słowo tkwi wewnątrz ciszy, jeśli w ten sposób rozumieć „intuicję”. Przyznaję, że stanowiło to krok w jej kierunku, a więc w kierunku chrześcijaństwa i jego szczególnego mistycyzmu. Nie dlatego, żeby coś tam było, bo na pustyni nie ma niczego. A więc po co nam język? Jaki cel mają wszystkie nasze pisma i słowa, nasze prawa i przykazania? Kto to wszystko stworzył? Czy słowa były demiurgami, twórcami świata? A może to one zostały stworzone?

–Zostały stworzone przez Boga – mówiła Jane. – To on stworzył język i ducha, zgodność

między słowami i rzeczami. Wszystko, co istnieje. Ciebie i mnie.

Oczywiście, o ile Bóg istniał. Wiedziałem, że istniał, a więc był między nami. Dzięki temu, że Bóg Jane miał imię, a mój był abstrakcyjny, czułem się niezwykle blisko niego. Jeśli idee bez intuicji są bezużyteczne, to na pewno potrzebowałem Jane i jej wiary, która zbliżała mnie do Boga, do Boga prawdy.

Jane nie była kokietką. Na bladej twarzy nie miała śladu szminki, a długie jasne włosy opadały swobodnie na jej ramiona. Ubierała się skromnie, nosiła proste wygodne stroje, najczęściej dżinsy.

A może chciałem ją taką widzieć, jak jakiegoś anioła bez oznak kobiecości, żeby samego siebie przekonać, iż nie miała wdzięku żydowskich dziewcząt, które przeznaczył mi rabbi?

Kiedy Jane zdradziła się ze swymi uczuciami wobec mnie, załamane się. Jakby chcąc się obronić, ustawić bariery między nią i mną, często odwiedzałem dzielnicę chasydów w Nowym Jorku. Jej miłość spowodowała, że się odsunąłem, jakbym dostał silny cios, zmuszający do refleksji nad życiem. Uczęszczałem regularnie do niewielkiej synagogi w Williamsburgu, gdzie szybko poznałem wszystkich wiernych.

Dlatego też zaprowadzono mnie wkrótce przed oblicze rabina, który przedtem przyjął mnie i ojca. Opowiedziałem mu o porwaniu ojca i o moim niepokoju. Nie

wspomniałem o Almondzie ani o Millecie, ani o ukrzyżowaniach.

–Uprzedzałem cię o grożącym mu niebezpieczeństwie – rzekł. – Ale nie trać nadziei, trzeba czekać i ćwiczyć *devekuf*

–*Devekuf!* Po co? – zdziwiłem się.

–Żeby dowiedzieć się, że to ona była osobą, która podążała za wami.

Nie zrozumiałem, do kogo ta aluzja. Może przeczuwał niebezpieczeństwo, widząc kogoś, kto nas śledził? Kto to był? I dlaczego *devekuf*. Byłem jednak chasydem i przywykłem respektować słowa rabinów, nie usiłując pojąć ich sensu. Tak więc wraz z kilkoma jego uczniami zmusiłem się do ćwiczeń nad *devekuf*, tak jak nakazał mi rabin.

Chciałbym umieć przedstawić tę ekstazę słowami, ale obawiam się, że to niemożliwe. Najpierw piliśmy wino, żeby się rozweselić. Potem zaczęliśmy tańczyć. Towarzyszył nam muzyk, który za pomocą potężnego syntezatora odtwarzał dźwięki bębna, klarnetu i gitary, wygrywając magiczne nuty, dzięki którym nasze dusze unosiły się do nieba.

Zanim się nawróciłem, poznałem muzykę rockową, jej rytm wprawiający ciało w drżenie, jej nieodpartą, rozgrzewającą, podniecającą dynamikę, zdolność wywoływania fałszywej postawy buntu i kontestacji. Bywałem w Tel Awiwie w lokalach z muzyką techno, gdzie młodzi ludzie przez całą noc powtarzali jak zahipnotyzowani te same ruchy, przywołując koniec świata. W tym wspólnym transie, ale bez poczucia wspólnoty, jak automaty kiwali głowami, potrząsali rękami bez przekonania, w pierwotnym rytmie, wzmocnionym frazą muzyczną, która co pewien czas przerywała tę monotonię niczym odległe, nie do zrealizowania marzenie.

Natomiast pieśni chasydzkie budzą w sercu radość, na tym polega ich magia. Nie znam innej muzyki, która niesie w sobie tyle szczęścia, która tak doskonale koi smutek w sercach. Zaczyna się nieśmiało, a potem stopniowo narasta. *Oj, wa, woj.* Wyraża autentyczną niecierpliwość, żarliwość. *Masziach, Masziach.* Aż wreszcie doprowadza do zbiorowego spełnienia, do końcowego wzlotu. *Wierzę, tak wierzę całą moją duszą w nadejście Mesjasza.* Ta radosna orkiestra, budząca w żołnierzach wojenny zapach, porywa dusze do zwycięstwa.

Przyniesiono nam napój o słodkawym smaku, jakiego nigdy nie piłem. W tanecznym zapale wypiliśmy go za dużo. Wkrótce ogarnęło mnie dziwne otępienie, kołysany regularnym rytmem muzyki, poddałem się nieodpartemu pragnieniu, by stracić nad sobą kontrolę. Podczas gdy

jakaś siła w moim umyśle opierała się, chcąc przeciwstawić się temu ekstatycznemu dążeniu, które mną zawiadnęło, inny głos, głębszy, pozwalał, a potem zachęcał, bym

się poddał. Z zamkniętymi oczami skoncentrowałem się z całych sił, aby wchłonąć pozytywne tchnienie idące z głębi brzucha. Położyłem się na podłodze, z ciężkimi rękami i nogami, z głową jak z waty, i ulatywałem powoli ku innym horyzontom.

Tutaj i nigdzie, teraz i zawsze. Przez dwadzieścia minut moja świadomość była nieskończenie wielka. Z mojej duszy wylała się rozpalona lawa i poniosła mnie w najwyższym zachwycie ku pełnemu, całkowitemu poznaniu, jakiego czasami doznaje się w nieskończenie małych dawkach, pod wpływem zapachu, dźwięku, koloru, wspomnień. W *devekut* ten cud był zwielokrotniony: przez moje ciało przenikały błyskawicznie wspomnienia, byłem upojony ich szybkością, olśniony ich niewidocznym światłem, otoczony długim powietrznym wirem energii, który je mieszał, dogłębnie przekopując; czułem niebывały ból, niezwykle smaki, słyszałem niebiańskie melodie. Tańczyłem coraz szybciej, wirując bez przerwy. Jakaś niezwykła siła popychała mnie ku kosmosowi, inna wciągała w głębinę ziemi. Owładnięty tymi dwiema siłami podrygiwałem konwulsyjnie, padałem i wstawałem.

W tej fazie egzaltacji miałem niezwykle wizje: strony Talmudu, nad którymi biedziłem się całymi godzinami, stawały się klarowne, problemy filozoficzne i teologiczne rozwiązywały się natychmiast.

Potem mój umysł zajął jeden obraz: był to dwór chasydzki, który odwiedziliśmy z ojcem. Przeżyłem całą scenę z wielką intensywnością; jakby w świetle błyskawic wróciło do mnie każde wypowiedziane słowo, każdy gest, aż do chwili gdy opuściliśmy dom rabina i usłyszeliśmy za sobą muzykę.

Wtedy odwróciłem się, by z daleka, z żalem, popatrzeć na miejsce, skąd dochodziły coraz bardziej nieokiełznane pieśni, gdzie tańczono w ekstazie. Teraz przypomniałem sobie dokładnie to, co wówczas zobaczyłem: ktoś ukradkiem wyszedł z domu i zbliżył się do nas. Usiłowałem skoncentrować się bardziej, żeby ujrzeć jego twarz, ale stan ekstazy porywał mnie ku innym horyzontom. Nagle moje ciało przeszył straszliwy dreszcz, jakby pragnął zabrać mnie ku niebiosom. Przez kilka minut, które wydawały się godzinami, trwałem w transie. Na szczycie tego niebiańskiego wzburzenia ujrzałem twarz, którą pragnąłem przedtem zobaczyć. Zaskoczony, zachwiałem się. Nie zdołałem powstrzymać gwałtownego szlochu zaspokojonego pragnienia i głuchego gniewu. Była to twarz Jane.

*Jak długo, Panie, całkiem o mnie nie będziesz pamiętać? Dokąd kryć będziesz przede mną swoje oblicze? Dokąd w mej duszy będę przeżywał wahania, a w moim sercu codzienną zgryzotę? Jak długo mój wróg nade mnie będzie się wynosił?**⁵⁷.

Następne dni były straszne. Podejrzewałem Jane o najgorsze rzeczy, o wszystko i o nic. Nie ufałem jej i nie chciałem powiedzieć o mojej wizji i żądać wyjaśnień. A jeśli ona przyczyniła się do porwania ojca? Jeśli miała coś wspólnego z ukrzyżowaniami? Była protestantką czy

***Księga Psalmów, Psalm 13, 2-3.**

katoliczką? Czy pracowała dla Kongregacji Nauki Wiary? Nie ulegało wątpliwości, że śledziła nas od Nowego Jorku, a może jeszcze wcześniej. Poza tym powstrzymała mnie, gdy chciałem biec za napastnikami i uwolnić ojca. Niewykluczone, że wiedziała, gdzie się znajduje, ale robiła wszystko, żebym nie zaczął go szukać. Jane była niebezpieczna. Jeśli zorientuje się, co wiem, może mi grozić ten sam los, który spotkał ojca, albo coś jeszcze gorszego.

Nie mogłem jednak uwierzyć w jej dwulicowość. Badałem jej twarz, usiłując odkryć w niej zło, przewrotność, obłudę, lecz niczego takiego nie znajdowałem. Widziałem kobietę oddaną, szlachetną, a w dodatku taką, która mnie kochała. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, żeby pod tak spokojnymi rysami kryła się osoba podstępna i okrutna.

Ale jeśli to wszystko było tylko grą? Znowu popatrzyłem na nią uważnie i nagle zobaczyłem ją w innym świetle. Czasami jej wzrok gubił się w pustce, czasami przyćmiewało go jakieś okrutne światło. Któregoś dnia ujrzałem ją przypadkiem na ulicy: była mocno umalowana, jasne włosy nie opadały na ramiona, lecz były ufryzowane w loki, okalające jej bardziej niż zwykle różowe policzki, miała na sobie krótką spódniczkę, odsłaniającą kolana, i pantofle na wysokich obcasach. Nie powinienem był patrzeć, ale ogromnie zaskoczony, chciałem się upewnić, czy to istotnie ona. Dokąd szła tak ubrana? Kim była? Uczciwą kobietą czy prostytutką?

Dlaczego nas śledziła? Co to za pułapka, w którą wpadliśmy? Czy to, że zaskoczyliśmy ją w mieszkaniu Pierre'a Michela, było z góry ukartowane? A jeśli tak, co nią kierowało?

Chwilami czułem, że jej nienawidzę. Zdradziła mnie. Może nawet odgrywała przede mną komedię miłości. Oznaczałoby to wówczas, że uczuciu, które odrzuciłem, przed którym nadal się broniłem, nadałem zbyt wielką wartość. Po raz pierwszy zadałem sobie pytanie, co do niej czuję. Dotąd unikałem myślenia o tym, pochłonięty innymi ważnymi sprawami, a także bez wątpienia ze strachu, że uświadomię sobie, iż dałem się złapać w pułapkę zastawioną przez kobietę. I to jaką kobietę! Gojkę, jak powiedziałby mój rabbi. Sziksę.

Czy wpadłem? Czy stałem się jej więźniem? Czy to miłość?, pytałem siebie z gniewem, podejrzewając ją, że przyczyniła się do porwania mojego ojca. Miłość jest jak wojna. W taki sam sposób, jak walczyłem z niewidzialnym wrogiem, dla sprawy, której do końca nie rozumiałem, walczyłem z nieokreślonym uczuciem do Jane, nad którym nie potrafiłem zapanować. Była to wojna prowadzona z samym sobą. Była to wojna pozycyjna, którą często toczyłem nocą, skulony w łóżku, z telefonem w zasięgu ręki, zmagając się z pragnieniem, by zadzwonić i wyznać jej, wyznać przed samym sobą, że mnie pokonała.

Próbowałem zapomnieć o jej braku. To poczucie mogło się pojawić w każdym momencie, na widok przedmiotu, który mi ją przypominał, na wspomnienie jakiegoś jej zachowania, słowa, które wymówiła, a na które trafiałem, czytając. Najgorsze bez wątpienia było to, że ujawniało się nawet wtedy, kiedy była przy mnie; i działało się tak wtedy, kiedy przychodziło mi na myśl, że powinienem się z nią rozstać, albo wówczas, przyznając, gdy odnosiłem wrażenie, że jest przy mnie, ale tak, jakby jej nie było, kiedy jej uwaga była rozproszona, umysł zajęty czymś innym, zapewne układaniem makiawelicznych planów, jak mnie zniszczyć. Wydawało mi się, że kiedy jej nie ma, czuję się jeszcze gorzej. Jej nieobecność była jeszcze trudniejsza do zniesienia, byłem nieszczęśliwy, niewymownie cierpiałem. Jednak w takich chwilach mogłem odnaleźć ją w myślach, widzieć ją taką, jakiej pragnąłem. Rozpamiętywałem spędzone wspólnie chwile, słowa, gesty, które mnie w niej zachwyciły. Nie wiem dlaczego, ale były to zawsze te same

powracające wizje i zawsze powodowały we mnie ten sam zamęt. Próbowałem je usunąć, przywołując inne, które miały się dopiero zdarzyć, albo ukryte w głębi mej pamięci. Czasami pojawiały się jeszcze inne myśli, niemiłe, trudne, pokazujące, że ona nie jest taką, za jaką ją uważam, ale złą, podstępłą Jane, która śledząc mnie, realizuje swój plan. Podobała mi się zabawa z tymi myślami, delectowanie się bólem. Często, będąc sam, niczym aktor na pustej scenie, powtarzałem gesty i słowa, których się bałem, z powodu których cierpiałem.

Jednak uczucie braku Jane dręczyło mnie znacznie mocniej, kiedy ona była przy mnie, bo wtedy nie mogłem szukać ulgi w wyobraźni, dającej schronienie zawiedzionym w miłości. W jej obecności wszystko wydawało się nagle niestosowne, puste i absurdalne: nasze spotkanie, moja obecność, moje pragnienie. Czułem, że staję się godnym pożałowania śledczym, skazanym na niepowodzenie we wszystkich swych próbach. W takich chwilach pytałem sam siebie: po co to? Przecież wszystko straciłem.

Przegrałem tę wojnę, byłem upokorzony. Zabrała mi ojca, nie pozostaje mi więc nic innego, jak tylko się poddać.

Na szczęście ambicja okazała się moją najlepszą bronią. Przywoływała mnie do porządku, gdy czułem, że słabnę. Za jej sprawą każdy gest, każde słowo, każdy czyn tracił sens. Ambicja podpowiadała mi bezlitosną, nieugiętą odpowiedź na tę miłość: Jane zrobiła wszystko, żeby mnie omamić, uśpić moją czujność, to była część planu, za pomocą którego zamierzała mnie zgubić. I jeśli tak jak ona wyjawię swoje uczucie, to jakbym przyznał, iż jestem stracony. Tak więc to ambicja mnie uratowała. Była niczym zręczny manipulator, nieomylny księgowy, autentyczny kontestator, najpiękniejsza ze wszystkich buntowniczek, niedomagająca się przy tym zemsty. Ambicja okazała się moim przyjacielem, moim najwierniejszym sprzymierzeńcem. Czy szedłem na konfrontację z prawem? Właśnie ono czyniło nasz związek niemożliwym do spełnienia. Już nie pragnąłem Jane, chciałem odgrodzić się od niej dumą.

Chciałem kochać mocniej siebie samego, aby nie stracić gruntu pod nogami.

I przekonałem się, że bardziej gorzką niż śmierć jest kobieta, bo ona jest siecią, serce jej sidłem, a ręce jej więzami. Kto Bogu jest miły, ten się od niej ustrzeże, lecz grzesznika ona usidli^{*58}.

–Powiedz wreszcie, czy mnie kochasz? – zapytała w końcu Jane, nie doczekawszy się

mojej odpowiedzi.

Dzień był ponury, deszczowy. Szliśmy już dłuższą chwilę przez Central Park. Nie wiedziałem, co robić. Nie chcąc za dużo powiedzieć, próbowałem zmusić ją, by się zdradziła, abym mógł przejrzeć jej niebezpieczną grę.

–Jestem zbyt zajęty sprawą ojca, żeby myśleć o czymś innym. A poza tym boję się.

–Boisz się, bo jest to zabronione przez twoje Prawo?

–Niezupełnie.

–Ależ to Prawo – mówiła dalej Jane – narzuciłeś sobie sam, z własnej woli. Tylko ty sam możesz decydować o wyborze życiowej drogi. Pewnie bardzo dużo od siebie wymagasz, prawda?

***Księga Koheleta (Eklezjastes), 7, 26.**

–Tak.

–Czy twoja matka ma takie same poglądy?

Mówiła, patrząc mi prosto w oczy. Staralem się wytrzymać to spojrzenie, choć przychodziło mi to z wielkim trudem. W tym momencie, nie wiem dlaczego, uwierzyłem w jej szczerść.

–Nie – przyznałem. – Przyjechała ze Związku Radzieckiego. Zerwała z ortodoksyjnym judaizmem. Jest ateistką naznaczoną komunizmem i przesiąkniętą niektórymi jego ideami.

–Nieważne. Są tysiące ludzi takich jak ona. Większość Żydów jest taka. Tacy są wszyscy, których poznałam przed tobą.

–Oczywiście, bo ludzie mi podobni zazwyczaj nie spotykają się z takimi jak ty.

–To byli ludzie normalni, Ary, całkowicie normalni. Ukrywacie się przed innymi, ponieważ boicie się zewnętrznego świata, boicie się, że znowu będą was

prześladować. Wolicie tkwić w waszych przekonaniach.

–Nie jestem normalny, to prawda, ale według twoich kryteriów kiedyś taki byłem.

–Twoje prawo zabrania nam się pobrać! Moje gotowe jest cię przyjąć. Dlaczego Bóg Izraela jest taki zazdrosny? Dlaczego twoja religia, która nie wynalazła przecież inkwizycji ani polowania na czarownice, ani deportacji, ani obozów koncentracyjnych, jest tak nietolerancyjna wobec nas? Dlaczego mnie nie chcecie?

–Małżeństwa mieszane są zabronione.

–Czy należysz do tych, którzy uważają, że małżeństwa mieszane dokonają tego, czego nie zdążył zrobić Hitler?

–Uważam, że małżeństwa mieszane przyczyniają się do zniszczenia naszej historii i tradycji.

–A cóż to takiego małżeństwo mieszane? Nic nie jest do końca czyste, wszystko jest zawsze jakąś mieszaniną, małżeństwo jest zawsze przymierzem, związkiem dwóch różnych osób.

–Chcę, abyś została taka, jaka jesteś. Nie kochałbym cię bardziej, gdybyś była inna...

Ugryzłem się w język, który mnie zdradził. Dałem się ponieść emocjom i powiedziałem za

dużo. Czy nie wpadłem po raz kolejny w jej pułapkę? Jej twarz się rozjaśniła.

–A więc mnie kochasz? Gdybym stała się taka jak ty... Dlaczego nie jesteś jak twoja matka?

Wszystko byłoby takie proste! Myślę, że gdybyś mnie kochał na tyle, żeby zrezygnować z zasad,

zrobiłabym dla ciebie wszystko. Przypuszczam jednak, że nie o to chodzi, lecz o to, że masz

powołanie, jak się mówi u chrześcijan. Jesteś żydowskim mnichem, Ary... Jesteś jak zakonnik.

Rzeczywiście tak było. Stałem się niemal zakonnikiem. Zbliżyłem się do Boga w szczególny sposób, wcześniej zupełnie mi nieznanym. Zakochałem się. Będąc chasydem, uważałem, że ten świat jest przedsionkiem prowadzącym ku Temu, którego miłowałem. Usiłowałem oderwać się

od świata i wznieść się ku Temu, który był moim schronieniem i moją siłą, który zawsze ofiarowywał mi pomoc, gdy byłem w rozpaczach. Kiedy drżała ziemia, kołysały się góry w sercu mórz, był moim pocieszeniem, moją twierdzą, zasadzonym blisko strumienia drzewem, którego liście nigdy nie więdną. Wyobrażałem go sobie przybranego mirrą, aloesem i cynamonem, bardziej godnego pożądania niż czyste złoto, słodszy od świeżego miodu. Roztaczał nade mną opiekę o świcie i namaszczał olejkami radości, gdy w środku bezsennych nocy ogarniała mnie trwoga i drżało ze strachu moje ciało, gdy kurczyło się w mej piersi serce. Wówczas, modląc się żarliwie, wymawiałem jego imię i wiedziałem, że uwolni mnie od smutku, że ujarzmi ludy i sprowadzi nieszczęście na tych, którzy mnie szpiegują.

W takie noce prosiłem go, by dał mi choć na chwilę skrzydła gołębicy, abym mógł ulecieć aż na pustynię, znaleźć drzewo, pod którym spędziłbym wreszcie spokojną noc, odnalazł schronienie przed wichrem burzy. Daleko stąd, daleko od przemocy i waśni, daleko od spóźnionych włóczęgów, od złych uczynków i zbrodni, brutalności i oszustw, od których ulice miasta nigdy nie są wolne.

Zmiłuj się nade mną Boże, bo czyha na mnie człowiek,

Uciska mnie w nieustannej walce.

Wrogowie moi nieustannie czyhają na mnie,

Tak wielu przeciw mnie walczy.

Podnieś mnie, ilekroć mnie trwoga ogarnie,

W Tobie pokładam nadzieję.

W Bogu uwielbiam jego słowo,

Bogu ufam, nie będę się lękał:

Cóż może mi uczynić człowiek?

Obserwują moje ślady,

Przez cały dzień mi uwłaczają,

Przeciw mnie obracają wszystkie swe zamysły.

Ku mojej zgubie się schodzą.

Śledzą moje kroki,

Godzą na moje życie^{*59}.

Gdy byłem w rozpacz, dusza moja Go łaknęła, ciało moje za Nim tęskniło; byłem jak na pustyni, wyczerpany, bez wody. A On był niewysychającym źródłem, sanktuarium siły i chwały; był tłuszczem i oliwą, którymi syciłem się, gdy osłabiony i nieprzytomny, udręczony głodem i wycieńczeniem wzywałem Jego imienia. Był moim oparciem, garnąłem się do Niego całą moją duszą, uciekając przed kobietą, która stała mi na drodze.

Bo chciałem zjednoczyć się z tą, która była istotą z krwi i kości, której serce zostało być może zdeprawowane przez szatana, której podstępna dusza należała do demona, z kobietą,

***Księga Psalmów, Psalm 56, 2-8.**

która mnie śledziła, która być może zabijała, ćwiartowała, krzyżowała... Pomyślałem o ojcu i moje ciało znów przeszył dreszcz.

Któregoś ranka poszedłem za nią. Najpierw zajrzała do swojej redakcji, przed którą cierpliwie czekałem ponad dwie godziny. Wreszcie wyszła i wsiadła do taksówki. Wskoczyłem czym prędzej do następnej i jechałem za nią jakieś dziesięć minut, aż wysiadła. Weszła do kawiarni, gdzie najwyraźniej na kogoś czekała. Obserwowałem ją dyskretnie przez szybę. Nagle pojawił się mężczyzna, który usiadł przy jej stoliku. Nie widziałem jego twarzy, ale wiedziałem, że jest to starszy człowiek, miał bowiem siwe włosy, a jego krępa sylwetka wydała mi się znajoma.

Wyglądało na to, że są zaprzyjaźnieni. Rozmawiali z ożywieniem ponad godzinę. Na koniec podał jej kopertę, a gdy ją otworzyła, zobaczyłem plik banknotów. Mężczyzna wstał, zabrał płaszcz i, pożegnawszy się szybko, odszedł. Odwrócił się w moją stronę i mogłem zobaczyć jego twarz. To był Phillip Jonson.

Wróciłem do hotelu załamany. Miałem już pewność, że Jane jest szpiegiem. Była piękna i silna, zła i okrutna, podstępna i fałszywa jak Dalila. Wpadłem w jej pułapkę, oszukała mnie i ze mnie zadrwiła. Była niczym trucizna, a ja skosztowałem jej i zostałem zatruty. Dla niej wyparłbym się rodziców, rodziny, ojczyzny. Dla niej straciłbym przyjaciół, zapomniał o wszystkim, nawet o zadaniu, które przede mną stało. Zapomniałbym o swoim nazwisku. Ona odbierała mi resztki sił, resztki nadziei. Kim była? Czego chciała? Jaki był jej plan? Kto ją przysłał? Czy Jonson i Watykan? A może byli przez nią manipulowani?

Była donosicielką z obozu wroga. Żeby lepiej go śledzić, sprawiła, że on sam przeniósł się do jej obozu. Ojciec znajdował się nie wiadomo gdzie, a ja tkwiłem tu, nie robiłem nic, pozwalając, aby ze mnie drwiono. Jeśli przydarzy mu się coś złego... Wówczas jak Samson zburzę moje więzienie. W tej kobiecie mieszkał diabeł. Ten po trzykroć przeklęty demon uwiódł ją i za jej pośrednictwem przenika w mężczyzn. Chyba że jest na odwrót. To ona weszła w demona i nim manipuluje, albowiem nikt nie może być silniejszy od niej. My, nieszczęśni śmiertelnicy, jesteśmy niczym wobec nieokiełznanej mocy kobiet, zdrajczyń o pięknym obliczu, zręcznych w słowach, podstępnych w czynach. Są silne, po trzykroć silne! Zdolne rodzić mężczyzn, no i przede wszystkim kobiety. Przerazająca właściwość kobiety, która rodzi następną kobietę! Szatański spisek! I kto lepiej potrafi siać śmierć niż ta, która daje życie? To ona wsparła się na łożu Holofernesa, śpiącego jak dziecko, przez nią upojonego, a przecież on przygarnął ją, gdy żaliła się na swój kobiecy los i prosiła o schronienie. Wzięła do ręki jego miecz, chwyciła go za włosy, a potem z całej siły uderzyła go dwa razy w kark. Krwawiącą głowę schowała do swojej torby na żywność, jaką nosiły kobiety zajmujące się domem. Sandałki, bransoletki, pierścienie, klejnoty, mąka jęczmienna i suche ciasteczka; słodkie słówka, zalotne uśmieszki, deklaracje, pieśczoły i miłość, oto oręż kobiety. Uśpiła go mlekiem, wbiła w jego łono podporę namiotu, ona, która przyjęła go gościnnie, dała schronienie, a potem uśpiła. Jael, Judyta, Dalila, Jane, prześliczna blondynka z włosami opadającymi na ramiona. Straciłem głowę. Białe dłonie, a w

nich drewniane paliki, szable, rapiery i przynoszące zgubę gesty; rozkoszne prerażenie, że mnie dotykają, owijają się wokół mojej szyi, wkręcają się w moje otwarte dla niej, już krwawiące serce. Zostaw mnie w spokoju!, wołałem w duchu, w ostatnim porywie woli.

Tej nocy nie mogłem zasnąć. Szukając jakiejś książki, trafiłem na jedno z pism z Qumran. Była to *Reguła wspólnoty*. Przejrzałem ją z roztargnieniem i znalazłem fragment zatytułowany „O upomnieniu”.

Niech bracia ganią się nawzajem w prawdzie, w pokorze i przyjaźni. Niech nie przemawiają do siebie z gniewem, lekceważąco, niecierpliwie. Niech nie czują do siebie nienawiści w milczeniu, albowiem tym sposobem nie obciążą grzechem swych serc.

Postanowiłem więc wszystko wyjaśnić. Niech się dzieje co chce. Cierpiałem męki. Ale jeśli ona była w jakimś stopniu odpowiedzialna za morderstwa i porwanie, to czy prowokując ją, zdołam odnaleźć ślad mego ojca? Byłem gotów zaryzykować życie. Zaprosiłem ją do kawiarni, by zmusić ją do wyjaśnień.

–Dość tej komedii. Wiem wszystko – zacząłem ostro. – Okłamywałaś mnie od samego

początku. Nie wiem, co robisz w „Biblijnym Przeglądzie Archeologicznym”, ale jestem pewny,

że to tylko przykrywka. Nie wiem też, dla kogo to robisz, ale domyślam się, że spotkaliśmy się

w Paryżu nieprzypadkowo. Śledziłaś nas od Nowego Jorku.

Jane szeroko otworzyła oczy. Była zaskoczona i z pewnością zastanawiała się, jak się o tym dowiedziałem. Po chwili wahania powiedziała:

–Rzeczywiście jechałam za wami od Nowego Jorku. Leciałam tym samym samolotem i

szłam waszym śladem. Ale w jednym punkcie się mylisz, Ary. Spotkaliśmy się przypadkowo. Ja

także próbowałam odnaleźć Pierre'a Michela, ale nie przypuszczałam, że wam uda się to tak

szybko.

Patrzyła na mnie błagalnym wzrokiem.

–Od kiedy nas śledzisz, dla kogo pracujesz? Czy wiesz, gdzie jest mój ojciec? – nalegałam.

–Śledzę was od chwili, gdy poszliście zobaczyć się z Phillipem Jonsonem. Jestem jego studentką. Piszę u niego pracę doktorską. To on poprosił mnie, żebym pojechała za wami.

–W jakim celu?

–Miałam nie tracić was z oczu, próbować wcisnąć się wszędzie tam, gdzie będziecie, i zdać mu relację o tym, czego się dowiedzieliście. Mówił, że jesteście niebezpieczni, że chcecie podważyć fundamenty chrześcijańskich dogmatów, że koniecznie trzeba wam w tym przeszkodzić.

–Wszelkimi sposobami?

–Oczywiście, że nie. Nie wiem, kto porwał twojego ojca, przysięgam. Kiedy ci ludzie pojawili się u Pierre'a Michela, byłam tak samo zaskoczona jak ty.

–Ale skoro Jonson kazał nas śledzić, całkiem możliwe, że kazał go też porwać.

–Od razu go o to zapytałam. Nie, to nie on, uwierz mi. – W jej głosie słychać było

błaganie. – Jonson nie jest złym człowiekiem, po prostu boi się o swoją wiarę.

–Jak mam ci wierzyć po tych wszystkich kłamstwach? Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym po...

–Nie chciałam stracić twojego zaufania – powiedziała zmienionym głosem. – Bałam się... przy twojej bezkompromisowości... bałam się, że cię stracę. Ale zrobiłam wszystko, żeby naprawić mój błąd. Konferencja się odbędzie, a ja zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby odnaleźć mordercę i dowiedzieć się, gdzie jest twój ojciec. Musisz mi uwierzyć, Ary... – powtórzyła błagalnie.

Wyglądało na to, że mówi szczerze. Natychmiast wyznała wszystko, jakby odczuwając ulgę, że w końcu mogła powiedzieć prawdę... Jednak przedtem kłamała. To niebezpieczna kobieta, gotowa na wszystko, śledzi ludzi, udaje inną, niż jest, żeby znaleźć się w miejscach, gdzie nie powinna być.

–Ale wzięłaś od niego pieniądze. Sprzedałaś mnie! Sprzedałaś samą siebie!

Wyładowując swoją złość, uświadomiłem sobie jednak, że byłem raczej urażony niż naprawdę rozgniewany. Jane opuściła mokre od łez oczy, a ja dostrzegłem na jej twarzy wstyd i ból.

–Jak mogłabym zrobić ci krzywdę?

Jane długo opowiadała mi o swoich badaniach teologicznych i relacjach z Phillipem Jonsonem. Na początku zrobił na niej wrażenie swoją wiedzą i pozorną otwartością na inne religie, szczególnie na judaizm. Zorientowała się jednak, że za tym humanizmem kryje się bezkompromisowość bliska fanatyzmu. Zawdzięczała mu wiele w swej karierze naukowej i dlatego obiecała, że będzie z nim współpracowała, gdy on odejdzie na emeryturę. Cenił jej dyskrecję, a jej znajomość wielu języków starożytnych bardzo przydała mu się w badaniach. Krótko mówiąc, kiedy zlecił jej to dziwne zadanie, nie mogła odmówić. Jednak teraz bardzo żałowała tego, co zrobiła. Prosiła, żebym jej wybaczył.

W ciągu tych kilku dni, które pozostały do konferencji, staliśmy się sobie jeszcze bliżsi.

Znowu, po dniu pracy, dyskutowaliśmy przez wiele godzin aż do rana. Opowiadałem jej o chasydyzmie i kabale. Wyjawiłem niektóre z naszych tajemnic. Odkryłem sekret liter alfabetu, znanego tylko mędrcom, tym, którzy dotarli do głębin ostatecznej wiedzy. Dowiedziała się więc, że litera k- a/e/- to symbol wszechświata, że jej centralna kreska pośredniczy między

pętelką u góry, która oznacza wyższy świat, a pętelką u dołu, symbolizującą świat

ziemski. Mówiłem jej, że lita 3 - *bet* - litera kreacji świata, mająca postać domu, daje schronienie i opiekę; że [^] - *gimel* - to litera, wokół której miriady aniołów tworzą orszak, okrywając ją swymi opalizującymi skrzydłami; że T - *waw* - litera dumna i szlachetna w swej prostocie, jak sprawiedliwy człowiek, wyprostowaną sylwetką wyraża szacunek dla wartości moralnych; że ^o - *jod* - to święty punkt; że J - *zajin* - to litera swobody i wolności, której zadaniem

jest otwierać wszystko, co zamknięte: łono niepełnej kobiety, grobowiec pogrzebanych ludzi, bramy piekła. J" - *he* - litera boska, dwa razy występująca w Jego imieniu, najważniejszym słowie ze wszystkich słów, symbolu absolutnym, składającym się z czterech spółgłosek, pozbawionym używanych przez ludzi samogłosek, by uosabiać niewymawialny tetragram, niewysłowione imię naszego Boga, JHWH.

Opowiedziałem jej także o przeróżnych znakach na twarzy,

które nie są wrodzone, ale kształtują się zgodnie z sytuacją życiową człowieka. Albowiem dwadzieścia cztery litery alfabetu wryte są na każdej duszy, a ona z kolei znajduje odbicie na ciele, które ożywia. Jeśli warunki życia człowieka są dobre, litery na jego twarzy układają się regularnie, jeśli jest przeciwnie, podlegają inwersji, która zostawia widoczny ślad.

Pokazałem jej, że człowiek idący drogą prawdy jest łatwy do rozpoznania dla kabalisty dzięki poziomym żyłkom na skroniach: jedna z nich rozwidła się na końcu na dwie kolejne żyłki, a te krzyżują się z trzecią, biegnącą pionowo. Te cztery znaki świadczą o szlachetności człowieka, gdyż wyznaczają mistyczne litery – *) oraz tak jak to zostało zapisane: *nawet bezwstyd na ich obliczu świadczy przeciw nim*.

Mówiłem o człowieku marnotrawnym, który szedł złą drogą, ale powrócił do swego Nauczyciela. Czuje wstyd, gdy patrzy mu się w twarz, sądzi bowiem, iż wszyscy znają jego przeszłość. Jego twarz jest na przemian żółtawa i blada. Charakteryzują ją trzy żyłki: jedna biegnie z prawej skroni i gubi się na policzku, druga zaczyna się poniżej nosa i łączy z dwoma znakami z lewej strony. I wreszcie trzecia łączy ostatnie dwie razem. Jednak znak ten zanika, gdy człowiek oddaje się całkowicie cnocie, gdy na zawsze wyzwolił się z grzechu. Na jego czole widnieje litera*|.

Zdradziłem jej tajemnicę, opowiadając o człowieku, który przybywa na ten świat po raz drugi, żeby naprawić błędy popełnione w poprzednim życiu. Taki człowiek ma na prawym policzku zmarszczkę, biegnącą pionowo koło ust, oraz dwie głębokie bruzdy na lewym policzku, również pionowe. Oczy takiego człowieka nigdy nie błyszczą, nawet wtedy, kiedy odczuwa radość.

–A ja, jakim jestem typem człowieka? – zapytała.

Na jej twarzy widocznych było parę drobnych zmarszczek, których rysunek znalazłem na pamięć. Tworzyły kilka cudownych liter: Alef, He, Bet i He – \$\$ H D H

Widywałem się z nią codziennie, a potem każdego wieczoru modliłem się żarliwie, albowiem orężem w wojnie przeciw złu jest głównie modlitwa. Zachwyty i porywające moje serce uniesienie na jej widok usiłowałem przekształcić w krasomówczy zapał, w pobożność. Pragnąłem, aby miłość ziemską przewyższyła miłość boska, źródło wszystkiego. Modliłem się do Boga stwórcy, aby dał mi siły do opierania się pokusie. Ale wiedziałem przecież, że dokonawszy *cimcum* chciał, abyśmy byli wolni i odpowiedzialni za istniejące w nas zło.

To była straszna walka. Chciałem w obliczu Najwyższego być duszą niewinną, ale moje serce zostało zbrukane ziemskimi grzechami. Chciałem być wierny zastępom Wiekuistego i moje serce tonęło we łzach, płonęło z niepokoju, spalając się prawie na popiół. Chciałem być nieczuły jak kawałek drewna, a trawiło mnie pożądanie. Modliłem się, kołysałem się do przodu

i do tyłu tak silnie, że czasami uderzałem głową w ścianę. Żeby oczyścić się z winy, chętnie bym się biczował, umartwiał, sam siebie okrutnie karał.

Mimo wszystkich tych wysiłków i wbrew mojej woli byłem kuszony i wciąż rosło we mnie niegodne pożądanie. Chasydzi powiadają, że również w ten sposób można służyć 3ogu, albowiem Duch Święty unosi się na powierzchni grzechu i mieszka w nim. Starąłem się osiągnąć zbawienie bez odpuszczenia grzechów, które wydawało mi się nieosiągalne, biorąc pod uwagę realia. W snach monistycznych otwierałem Święte Świętych, najświętsze miejsce w Świątyni. Widziałem tam czule objętych cherubinów. Czy to możliwe, żeby siły cielesne miały moc teurgiczną? Nie, to niemożliwe. Bałem się. Wolałem walczyć. Chciałem być czysty. Czułem się silny.

Nigdy nie czekałem z taką niecierpliwością na *tikkun*, ostatnie mesjanistyczne tchnienie świata. Wydawało mi się ono jedynym możliwym wyzwoleniem. Pożądanie bowiem miało w sobie tyle żaru, że potrzeba było aktu kosmicznego, żeby mu się oprzeć. Ale wiedziałem także, iż ostateczne wyzwolenie może przyjść dopiero po tym, jak każdy z nas stanie się Mesjaszem, połączy się z Bogiem poprzez *devekut*. Jednak czasami – czy wolno mi o tym mówić? – jego skutki bywały niewystarczające wobec ogromu pokusy. Zastanawiałem się, czy nie świadczy to o obecności Boga. Bo chociaż byłem bliski tego, żeby go zdradzić i pogwałcić jego przykazania, wszędzie czułem jego immanentną obecność. *Nie ma miejsca, gdzie by go nie było*. Ciągle jednak byłem kuszony. Podobnie jak Hiobowi, zabrano mi wszystko: rabina, ojczyznę, ojca. Podobnie jak słabemu Hiobowi przysłał mi Bóg kogoś pod postacią kobiety, aby zastawiła straszliwą pułapkę, wykorzystując moją ludzką słabość. Wszak była kobietą, śliczną, z pięknie wykrojonymi ustami, w spodniach opinających biodra lub w spódniczkach z rozcięciem z tyłu, na wysokich obcasach.

Modliłem się nieustannie, ale w literach, które czytałem, widziałem jej imię. Litery bowiem są formowane przez pożądanie. Oddzielałem spółgłoski, a one uzupełniały się samogłoskami, wypełniając moje serce nowym płomieniem. Zręcznie układały się w moich ustach w słowa o podwójnym znaczeniu. Widziałem, jak wykonują w książkach diaboliczny taniec i niczym ladacznice rzucają mi urzekające spojrzenia, zniewalają, bym nappełnił je moim głosem, moim czuciem, moim nasieniem. Leniwe, zmysłowe, czekały na ruch moich warg, wyznających, że je przyjmuję, że je kocham. Brały w posiadanie mój język; nie był to *kadisz*, lecz *kidusz*. Święty i prostytutka. Miesza się ze sobą to, co najświętsze, i to, co najbardziej świeckie. Bo poprzez zło wyzywamy Boga, zmuszamy, aby się pokazał, chcąc przekonać się, jak daleko pozwoli nam się posunąć, sprawdzić, czy w ogóle istnieje.

Próbowałem powstrzymać myśli, które opanowywały mój umysł. Byłoby wygodnie powiedzieć sobie, że te myśli narzucił mi demon. Ale ja dobrze zdawałem sobie sprawę, że są one moje, choć z bólem się do nich przyznawałem, tak bardzo wydawały mi się niewiarygodne i niepojęte. Jak je opisać? Czy potrafiłbym to opowiedzieć? Czy wystarczy mi odwagi? Czy mam je wyrzucić, uwolnić, żeby tańczyły jak szalone czarujące litery, czy też kazać im na zawsze milczeć, pogrzebać je w zakamarkach mej duszy obok czynów, które zostaną właściwie odważone na boskiej wadze w dniu Sądu Ostatecznego? Słowa dotyczą tu granicy tego, co da się wypowiedzieć. Ale ja nie potrafię ich powstrzymać, tak jak nie umiałem pohamować uczuć. Nie mogę milczeć, pragnę wyznać wszystko, aż do końca. Bowiem poprzez pisanie nie szukam

ujścia dla moich uczuć, jest ono dla mnie sposobem oczyszczenia, chrztu, odkupienia. Chcę dać świadectwo prawdzie, aby przyszłe pokolenia wiedziały, czego pragnąłem, co przeżyłem, żeby moje czyny, podobnie jak zło, rozniosły się echem we wszechświecie. *Zgrzeszyliśmy, bezbożnie i niegodziwie postąpiliśmy, Panie, Boże nasz, przeciw wszystkim sprawiedliwym rozporządzeniom Twoim. (...) Wyśłuchaj, Panie, i próżb naszych, wybaw nas dla siebie samego!*⁶⁰.

Popęłnić grzech. Niech jej usta obsypią mnie pocałunkami, jej oddech niech zmiesza się z moim – oto, czego żądały litery. *Kidusz* - uświęcenie, ale także małżeństwo - jeden ze szczytowych punktów ludzkości, miejsce, gdzie bliskość Jego Imienia jest najbardziej oczywista. Naruszyć to, co święte w najdoskonalszym punkcie, w jego apogeum. Zadrwić z niego. Zdeptać wartości święte przez samą świętość. Dotknąć Tego, czyje imię jest niewymawialne, dotrzeć do Niego poprzez grzech aż do ostatnich granic. U chasydów uczono mnie o wstydzie i skromności. Małżonkowie spali w osobnych łóżkach, stosunki odbywali po ciemku, mężczyzna na kobiecie, twarzą w twarz. Mój rabbi mówił, że trzeba być możliwie jak najbardziej ubranym, dokonywać tego aktu przez dziurę w oddzielającym małżonków prześcieradle. U chasydów polskich kobietom zamężnym ścinano włosy, a na Węgrzech i w Galicji golono.

Wobec tego w jakim celu Bóg dał nam ciało, kości i nerwy? A skóra, która mnie pali, gdy się do niej zbliżam? Po co dał mi ciało krzyczące z pożądania, gdy moje ogłupiałe oczy, zamglone ze wstydu, dostrzegały ukradkiem kawałek jej białej niepokalanej skóry? A kości i nerwy? Czy nie zostały stworzone na obraz i podobieństwo Boga? A może jedynie dusza stanowi istotę człowieka? Na co ta fałszywa ziemski otoczka, jeśli jest ona tylko ubraniem, które można zdjąć dopiero po zapadnięciu ciemności? A jeśli nawet ciało jest tylko dodatkiem, czy nie kryje ono drugiego ważnego elementu? Moje czoło, moje ręce, moje stopy, moje całe ciało nosiło stygmaty pożądania.

Jej różane policzki, oczy niczym brązowo-białe migdały, szyja wyłaniająca się z bluzki, talia podkreślona paskiem, całe jej ciało przyciągało moje ukradkowe, niezręczne, spłoszone spojrzenia. Dostrzegając pod sukienkami i spódniczkami krągłości jej ciała, omdlewałem ze szczęścia. Podglądałem ją z ukrycia. Płatek jej ucha z zatkniętym zań kwiatem lub wpiętym kolczykiem z perełką, nadgarstek zmoczony kroplami rosy czy kosmyk złotobrązowych włosów wywoływały konwulsje w mojej duszy. Miałem wrażenie, że moje oczy dopiero się otwierają, że po raz pierwszy w życiu naprawdę widzą to, czego nigdy przedtem nie widziały. Ja, który nie spoglądałem na kobiety, odruchowo spuszczałem wzrok, gdy mijałem je na ulicy, chowałem się pod moją lisiurą w miejscach, gdzie bezwstydnie wystawiały się na widok publiczny, teraz wbrew własnej woli zatrzymywałem spojrzenie na zakazanych zakamarkach, niedostępnych zakątkach, których chasyd nigdy nie oglądał.

*Księga Barucha, 2, 12, 14.

Jeśli jednak zmysły odciskały piętno na skórze, czasem niszcząc ją, czasem upiększając, tak samo i ciało nie zawsze było występne. Dlaczego tak się wstydzilem? Nie byłem już godny nauk naszych nauczycieli, nie byłem też godny Tory. Zły na siebie, poszedłem pogrzebać moje książki na cmentarzu książek, jak wymaga tego tradycja, która zakazuje ich wyrzucania. Nazajutrz wykopałem je i prosiłem o wybaczenie.

Straciłem głowę. Czuję całkowite wewnętrzne rozprężenie, rządziła mną szalona, niezniszczalna, irracjonalna siła. Pożądanie mnożyło przeszkody, albowiem istota trudności leży w samym pożądaniu, które je tworzy. Żywi się nimi, istnieje tylko dzięki nim. Tak więc, chociaż boleśnie cierpiałem z powodu zniknięcia ojca, jednocześnie pożądałem Jane. Pragnąłem jej, mimo iż byłem chasydem, noszącym lisiurę i pejsy. Pożądałem jej przed modlitwą i po studiowaniu ksiąg. Kiedy jadłem i kiedy spałem, wciąż przywoływałem jej imię. Wstając rano i kładąc się spać wieczorem. Wchodząc do domu i wychodząc z niego. Nad nami ciążyły cienie zmarłych, żłobiąc w naszych duszach posępne rany, a ja jej pragnąłem. I gdyby miał to być koniec świata, i tak bym jej pragnął. *Odwróć ode mnie twe oczy, bo niepokoją mnie*^{*61}.

Ona, przyjaciółka mojej duszy, przyciągała mnie siłą swej woli. Biegłem za nią jak jeleń. Jakże słodką była miłość, którą mi przynosiła; jej słowa i gesty były słodsze od miodu, cukru i wszystkiego, czym człowiek się delektuje. Jej uroda, wdzięk, niezwykle blask napełniały mnie wieczną radością. Marniałem, marząc o niej. Wysłuchaj mych prośb, nie gardź mną! Marzyłem, żeby odsunęła welon swojego spokoju, oświetliła całą ziemię swoją chwałą, żebym mógł w niej znaleźć radość i szczęście.

Łagodne światło opalizowało na jej twarzy, czerwień warg była jak malinowo-poziomkowa oaza na pustyni, szyja w kolorze kości słoniowej miała biel suchej pustyni Negew. Skóra, niczym biała plaża na słonym morzu, była gładka, jedwabista, czysta, elastyczna jak wygładzony z wielkim staraniem papier, po powierzchni którego swobodnie ścieka atrament, nie jest wchłaniany, lecz wysycha, zostawiając kręte ślady niczym wirująca tancerka.

Takiego papieru nie wolno uszkodzić, należy stawiać na nim znaki bardzo delikatnie. Na takiej kartce wyryte były wszystkie litery, tworzące magiczne słowa. Dwadzieścia dwie maleńkie, subtelnie zarysowane zmarszczki, z których formowałem słowa, kreśląc je z dokładnością drobiazgowego skryby, idąc za głosem wyobraźni, wiedziony świętym natchnieniem. Przygotowywałem, wygładzałem, liniowałem, ugniatałem na miękki satynowy puch, zapisywałem tysiącem liter, mających za sobą wiele wieków tradycji. Każda z nich chwiała się, długo wibrowała, ożywiona boskim tchnieniem, każda była spółgłoską, uzupełnioną samogłoską, ustawioną tuż przy następnej spółgłosce, nasyconej kolejną samogłoską, zbliżającej się znowu do innej spółgłoski i tak w nieskończoność. Wyselekcjonowane wspomnienia, objawienie boskości, pełna szacunku profanacja, nieskończona lektura, interpretacja tego drogocennego zwoju, najbardziej godnego uwagi, serce bijące pod zapisanymi kartkami, przywrócone do życia poprzez egzegezę. Pisałem księgę nowych dziejów, powstałą z wyrafinowanych wywodów powstrzymanego pożądania, melodyjnych nut, z szaleństwa, nadziei, niezaspokojonego oczekiwania. Bo wciąż pragnąłem i czekałem! Miał to być koniec

*Pieśń nad Pieśniami, 6, 5.

świata, drugie pojawienie się Chrystusa, nadejście nowego świata, wyzwalający *tikkun*, tak bardzo opóźniony, wyczekiwany od tysiącleci.

Czasami śniłem na jawie. Jej usta były jak słodki nektar, jej ciało cudownie pachniało. Była moją gołębicą, mieszkającą w skalnej niszy ukrytej na zboczu urwiska, ukazywała mi swoją twarz, słyszałem jej głos; a jej głos był melodyjny, jej twarz śliczna, oczy błyszczące, włosy gęste, falujące, wargi niczym szkarłatna wstęga. *Jakże piękna jest miłość twoja, siostró ma, oblubienico, o ileż słodsza jest miłość twoja od wina, a zapach olejków twych nad wszystkie balsamy!*⁶².

Tutaj i nigdzie, teraz i zawsze. Byłem jak uwięziony, miotany na pół nagłymi porywami pragnień, upojony ich ruchem, oślepiony ich niewidzialnym blaskiem. Cierpiałem niewymownie, słyszałem niebiańskie melodie, kosztowałem cudowne smaki. Tańczyłem coraz szybciej, unosiłem się coraz wyżej, wirując wokół własnej osi. Niepokonana siła popychała mnie ku kosmosowi, a inna wciągała do trzewi ziemi.

Jej twarz była nieskończenie niewinna.

Na moje nieszczęście, ale także, jak na ironię, dla mojego dobra, do rzeczywistości przywoływała mnie myśl o ojcu. Bywały takie dni, kiedy szukałem go wszędzie tam, gdzie przebywali Izraelczycy i archeolodzy. Czasami miałem wrażenie, że go widzę, a wówczas serce trzepotało mi w piersi. Nocne koszmary nie dawały mi spać, rano wstawałem nieprzytomny, z błędnym wzrokiem. Od czasu do czasu zadawałem sobie pytanie, czy obrałem właściwą strategię, czy nie powinienem ścigać ludzi, którzy porwali ojca na moich oczach. W takich chwilach dręczyły mnie wyrzuty sumienia. Co ja tu robię, jeśli on jest we Francji? Ale po co jechać do Francji, jeśli przywieziono go tutaj?

Któregoś wieczoru, kiedy rozmawialiśmy w holu mojego hotelu, nagle źle się poczułem. Jane odprowadziła mnie do pokoju. Byłem zrozpaczony. Całą godzinę przeleżałem bez ruchu na łóżku, ze skrzyżowanymi ramionami. Jane siedziała cierpliwie na krześle obok. Gdy nachyliła się nade mną, by sprawdzić, czy już doszedłem do siebie, musnęła mnie delikatnie długimi włosami. Poczulem jej kamforowy zapach, który podziałał na moje bezwładne ciało jak balsam, przywrócił do życia. Podniosłem się. Jane popatrzyła na mnie uważnie brązowymi oczami, po czym wyszła, a zapach pozostał.

***Pieśń nad Pieśniami, 4, 10.**

zwój PIĄTY

Zwój dysputy

Wzlot i triumf światła

Synowie Sprawiedliwości oświecać będą

Wszystkie krańce świata stopniowo,

Aż do krańca wszystkich czasów ciemności.

Potem w czasie wyznaczonym przez Boga

Zajaśnieje Jego wielka światłość

Przez wszystkie czasy wieczności,

Na szczęście i błogosławieństwo,

Chwałę i radość

Oraz długie dni dla wszystkich Synów Światłości.

A w dniu upadku Kittim będzie bój

I wielka rzeź wobec Boga Izraela,

Gdyż to jest dzień od dawna przez niego

Wyznaczony na wojnę,

Która ma zniszczyć Synów Ciemności.

Wtedy staną do okrutnej rzezi:

Zgromadzenie bogów i zgromadzenie ludzi.

Synowie Światłości oraz obóz ciemności

Będą walczyć razem,

Aby się okazała moc Boga

Wśród zgiełku wielkiego tłumu

I wrzawy bogów i ludzi w tym dniu zagłady.

Zwoje z Qumran

Wojna Synów Światła przeciw Synom Ciemności^{*63}

bi *Witold Tyloch, *Rękopisy z Qumran nad Morzem Martwym, Reguła wojny*, PWN, Warszawa 1963.

Po popełnieniu grzechu mężczyzna i kobieta usłyszeli o świcie rozbrzmiewający w ogrodzie głos Boga. Wtedy się schowali. Bóg przywołał mężczyznę, a ten powiedział, że ukrył się, ponieważ był nagi. Bóg więc zapytał go, skąd wiedział, że jest nagi, czy przypadkiem nie z powodu drzewa, którego owoców nie wolno mu było jeść. Mężczyzna przyznał, że skosztował zakazanego owocu i że stało się to z winy kobiety, którą Bóg postawił u jego boku. Kobieta natomiast powiedziała, że namówił ją do tego wąż. I tak jak oni musieli tłumaczyć się przed Bogiem, tak samo każdy powinien codziennie zdawać rachunek ze swych czynów i płacić za popełnione zbrodnie. Ale dlaczego tak się dzieje, że każdy, czy to przez tchórzostwo, czy też przez podłość, zrzuca winę na drugiego i nie umiając wyrazić skruchy, uwalnia się w ten sposób od występków, których sam się dopuścił?

Nadszedł wreszcie tak długo oczekiwany dzień konfrontacji. Redakcja „Biblijnego Przeglądu Archeologicznego” wynajęła na konferencję obszerną amfiteatralną aulę, której pokryte boazerią ściany przypominały salę sądową. Przyszliśmy jako jedni z pierwszych. Podczas gdy Jane krzątała się, wciąż czymś zajęta, obserwowałem gości, wchodzących pojedynczo lub grupami. Przybywali dziennikarze, profesorowie, naukowcy, ludzie Kościoła i rabini ze wszystkich krajów. Na ich twarzach malował się niepokój i zaciekawienie. Niektórzy uśmiechali się krzywo – byli to zapewne ateści lub tacy, którzy wierzyli, że nareszcie zostanie ujawniona prawda, wydany ostateczny sąd.

Inni wydawali się zakłopotani. Wiele stacji telewizyjnych transmitowało to wydarzenie. Trudno było sobie wyobrazić, ilu ludzi zamierza słuchać i oglądać to, co będzie się tu działo, ale modliłem się w duchu, żeby wśród siedzących przed ekranami telewizorów lub obecnych na tej sali znalazł się ktoś, kto pomoże mi odszukać ojca.

Gdybym mógł odgadnąć, co działo się z nim w momencie, gdy zaczynała się konferencja, gdybym wiedział, jak daleki byłem od prawdy, jak bardzo dałem się sprowadzić na manowce, jak wielka była dzieląca nas odległość... Przypuszczam, że bym oszalał.

Po porwaniu ojca z mieszkania Pierre'a Michela najpierw wywieziono go poza Paryż. Oczy miał zasłonięte, ręce skrępowane. Przez dwie godziny jazdy samochodem nikt nie powiedział ani słowa.

Zamknęli go w jednym z pokoi jakiegoś letniego domu. Mógł się swobodnie poruszać, ale nie wolno mu było wychodzić. Porywacze trzymali go tam kilka dni, które jemu wydały się wiecznością. Gdy przynosili mu posiłki, zagadywał ich po hebrajsku, arabsku i we wszystkich znanych sobie językach, ale nie chcieli z nim

rozmawiać. Nie wiedział, dlaczego go tam trzymano i czego od niego chciano. Podobnie jak ja zastanawiał się, czy to jego chciano porwać, czy nie pomyłono go z Pierre'em Michele. Pamiętając o ukrzyżowanych, zamartwiał się o mnie.

Zamknięty, nie mając nikogo, z kim mógłby porozmawiać, nie mogąc nic zrobić, poddał się rozpacz. Od bezczynności drętwiały mu nogi i ręce, od ciągłego leżenia bolała głowa.

Któregoś dnia porywacze zaczęli zasypywać go pytaniami po angielsku. Chcieli uzyskać od niego informacje o manuskryptach, kto je ukradł i kto ich szuka. Ojciec powiedział im, co wiedzieliśmy, ale było tego niewiele.

Następnie wsadzili do niewielkiego samolotu, którym lecieli prawie sześć godzin. Gdy dotarli na miejsce, ojciec rozpoznał dobrze sobie znany pejzaż pustyni – monotony, kamienisty, opadający gdzieś w oddali w kierunku morza. W świetle zachodzącego słońca dostrzegł na drodze ludzi i zwierzęta. Była to Nizina Mezopotamska.

Salę zapełniał tłum. Przybyli licznie naukowcy, z notesami i ołówkami, usiedli gotowi notować to, co zostanie powiedziane. Dziennikarze rozmawiali między sobą z ożywieniem. Niektórzy robili już zdjęcia. Inni czytali gazety. Jedna z nich tak zatytułowała artykuł: „Czy Jezus istniał? Rewelacje o największym odkryciu archeologicznym wszech czasów”. Autor wyjaśniał znaczenie odkryć z Qumran, kładąc nacisk na tajemnicę okrywającą te poszukiwania.

Stopniowo utworzyły się małe grupy dyskusyjne. Rabini i księża jakby przeczuwali, że wybiła godzina konfrontacji, a może nawet ostatecznego starcia. Wiedzieli, że po tej konferencji usunięte zostaną ostatnie wątpliwości i niemożliwe już będzie dalsze oszukiwanie. Zła wiara ustąpi miejsca czystej wierze lub jawnemu odstępstwu od religii. Prawda wyjdzie na jaw, w jej obliczu zawałą się wieki ideologii i obskurantyzmu, ignorancji i kłamstw.

Czasami wymiana myśli kończyła się ostrymi sprzeczkami. Z różnych zakątków sali dochodziły strzępki rozmów: „Jezus nie był esseńczykiem” albo „Istnieje pewność co do istnienia Jana Chrzciciela, ale nie jest pewne, czy Jezus był postacią historyczną...”. Niektórzy szermowali takimi słowami, jak „błuznierstwo”, „kłamstwo”, „piekło”. W końcu zapełniły się ustawione amfiteatralnie krzesła i w sali zapanował ogólny szum.

Jane wróciła w towarzystwie niewysokiego pulchnego mężczyzny. Sprawiał wrażenie ogromnie podnieconego. Przedstawiła mi go. Był to Pierre Michel, człowiek, którego szukaliśmy. Usiedliśmy we troje w pierwszym rzędzie.

Pierre Michel zaczął nerwowo przeglądać to, co przygotował tytułem wstępu. Przez

cały czas rzucał na boki uważne spojrzenia. Obserwując go, pomyślałem, że jest to człowiek, który przyszedł na ten świat po raz drugi, aby naprawić błędy popełnione w poprzednim życiu. Przez jego prawy policzek przechodziła pionowa blizna, twarz naznaczona była głębokimi bruzdami, które nadawały mu zmęczony wygląd. Jednak największą uwagę zwracały jego oczy: pozbawione blasku, bez wyrazu. Nieruchome źrenice przypominały oczy lalki lub pluszowej zabawki.

–Kogo się pan boi? – zapytałem go. Podniósł głowę i popatrzył na mnie zaskoczony.

–Inkwizytorów – odrzekł. – Z Kongregacji Nauki Wiary, od których oszedłem i którzy nie mogą mi tego darować. Sądzę, że to oni stoją za tymi wszystkimi morderstwami. Teraz jestem na ich liście, bo w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym roku, podczas

konferencji na temat Qumran, zdradziłem ich, ujawniając część tego, co wiedziałem. Właśnie po niej doszło do tych strasznych wypadków. Musiałem więc zniknąć wraz ze zwojami. Rozumie pan, boję się o swoje życie. Od tamtej pory w ogóle nie śpię. Żyję w ukryciu i strachu, że mnie odnajdą. Jestem ich następną ofiarą.

Miejsca zajmowali: historycy, filolodzy, filozofowie... Jane przedstawiła mi wiele znanych w ośrodkach uniwersyteckich osobistości, które zajmowały się problemem Qumran. Była wśród nich Michelle Bronfield z uniwersytetu w Sydney, broniąca tezy, iż Jan Chrzciciel był słynnym Nauczycielem Sprawiedliwości, a Jezus bezbożnym kapłanem. Był Peter Frost, który jako jeden z pierwszych w 1948 roku docenił wartość zwojów biskupa Oze, oraz Emory Scott, baptysta, który po przejściu na emeryturę, zajmował się sporządzaniem katalogu wszystkich książek, artykułów i publikacji poświęconych zwojom.

Obok nas zajął miejsce barczysty mężczyzna średniego wzrostu. Jego twarz okalały czarne baki przypominające pejsy. Jane przedstawiła mi swojego szefa, Barthélémy'ego Donnarsa, redaktora naczelnego „Biblijnego Przeglądu Archeologicznego”, który nie krył ekscytacji.

–Miło mi pana poznać – powiedział. – Jane dużo mi o panu mówiła. To wspaniale, że mogliśmy się spotkać w tak niezwykłym dniu! Czekałem na to od dawna. Już od dłuższego czasu śmiano mi się w nos, gdy pytałem o konkretną datę publikacji. A Wydział Starożytności w Jerozolimie nadal nie robi nic, żeby odzyskać zaginiony zwój... Nie rozumiem ich. Już najwyższa pora, żeby cały świat mógł zapoznać się z manuskryptami. Zagadnąłem nawet o to Jonsona na forum w Prince-town. Poprosiłem go o dostęp do fotografii zwojów. Odmówił. Mało tego, podburzył przeciw mnie swoich kolegów. Na jednej z konferencji oświadczył, że nie zamierza wspominać o niepublikowanych jeszcze manuskryptach, bo byłoby to tak, jakby czytać menu, nie mając możliwości spożycia posiłku. W mediach nie żałował mi złośliwości. W audycji telewizyjnej *Good morning America* powiedział pod moim

adresem: „Przypominając chmurę much, która krąży nad nami, nie mając nic innego do roboty”. A wie pan, co przygotowałem w odpowiedzi? – Sięgnął do kartonowej teczki i z dumą wydobyl z niej makietę okładki swojego pisma. – Oto okładka najbliższego numeru „Biblijnego Przeglądu Archeologicznego” – oznajmił.

Było to zdjęcie Phillipa Jonsona, nieogolonego, posiwiałego, spoglądającego spode łba, z ustami wykrzywionymi wstrętnym grymasem. Nad portretem, w ramce ekranu telewizyjnego, widniała napisana tłustym drukiem uwaga o muchach, ilustrowana wizerunkami emerytowanych naukowców, którzy krążyli nad głowami Jonsona i międzynarodowej ekipy. Nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu, stwierdzając w duchu, że Jonson nie był chyba szczególnie lubiany.

Przewodniczący konferencji, profesor Donald Smith, otworzył spotkanie krótkim przemówieniem na temat plagiatów, jakie pojawiały się od czasu odkrycia zwojów. Zacytował wiele przykładów, między innymi fragment książki, który pokrywał się z tekstem innego dzieła, łącznie z błędami w tłumaczeniu. Zakończył, surowo oceniając tego rodzaju proceder.

Potem zabrał głos jeden z profesorów z Ośrodka Starożytnych Manuskryptów w Nowym Jorku, wyrażając protest przeciw, jak się wyraził, „zaborczości” badaczy, którzy od lat ślęczą nad zwojami, bez najmniejszych widocznych rezultatów.

–Ależ to praca na długie lata, tym bardziej że mamy jeszcze wiele innych zadań – oburzył się jeden z obecnych na sali naukowców.

–To tylko pretekst, na który nikt się nie nabierze. Nazwijmy to raczej autocenzurą – odparł mówca. – Wszyscy ją stosują. Według mnie te zwoje mają rewolucyjne znaczenie. Żałuję, że nie mam do nich dostępu.

Postawił hipotezę, że zwoje znad Morza Martwego ujawniły zmiany, wprowadzane przez wieki w świętych tekstach. Jego zdaniem chrześcijaństwo i judaizm to dwie zepsute ideologie, zrodzone z jednej, o wiele głębszej mesjanistycznej wiary. Według niego judaizm rozwinął się w mesjanizm poprzez essenizm, który ostatecznie dał początek chrześcijaństwu.

Większość naukowców nie podzielała tej hipotezy. Rozgorzała dyskusja na temat cenzury oraz transformacji świętych ksiąg, dokonywanej przez Kościół na przestrzeni wieków.

Wreszcie przyszła kolej na Phillipa Jonsona. Pierre Michel poruszył się na krześle, coraz bardziej zdenerwowany. Nachylił się do mnie.

–To ten człowiek pragnie mojej zguby – szepnął. – To on kazał mi szukać, gdy opuściłem klasztor. Dobrze go znam, pracowaliśmy razem nad manuskryptami.

Jonson to

nazwisko, które przyjął, gdy wyemigrował do Stanów Zjednoczonych. Naprawdę nazywa się

Misicky. Na początku, gdy pracowaliśmy nad rekonstrukcją zwojów w Muzeum

Archeologicznym w Izraelu, pozwolił nam obejrzeć ten manuskrypt. Lirnow zaczął go

odczytywać. Nie mógł sobie jednak poradzić z tym, co odkrył, i popełnił samobójstwo,

przekazawszy wcześniej zwój Milletowi. Wówczas Millet zaczął go studiować, a przekonawszy

się, co zawiera, opowiedział o tym Jonsonowi, który postanowił, że zwój musi zniknąć. W dniu

kiedy przybył Matti, żeby odczytać manuskrypt, śmialiśmy się ukradkiem, bo wiedzieliśmy, kto

go ma. Potem Jonson dał manuskrypt mnie, żebym go przestudiował, nie mówiąc o tym

nikomu. Kiedy zacząłem ujawniać, co było w zwoju, Jonson zażądał jego zwrotu. Odmówiłem.

Wtedy zaczął mi grozić, potem wysłał ludzi, żeby mi go podstępnie odebrali. Mówię panu, ten

człowiek jest gotów na wszystko, mógłby nawet...

W tym momencie Jonson napotkał jego spojrzenie. Wydawał się zaskoczony. Przyglądał się mu przez chwilę, po czym rozpoczął swoje przemówienie:

–Manuskrypty znad Morza Martwego nie przynoszą żadnych rewelacji na temat Jezusa...

Przez salę przebiegł głośny szmer.

Ciszę pustyni wypełnił potężny ryk silnika. Przyjechał samochód, który zawiózł ich do obwarowanej osady, zamieszkaney przez samarytan. Wprowadzono go do domu górującego nad arabskim miastem Nablus, starożytnym Sychem z Biblii.

Ojciec znał samarytan, którzy uznawali takie święte księgi jak Pięcioksiąg i Księga

Jozuego, a odrzucali wszystkie inne dzieła biblijne. Podobnie jak esseńczycy byli skrybami i przepisywali Pięcioksiąg.

W tym domu ojciec trochę odpoczął. Po kilku dniach samarytanie zaczęli pakować swoje rzeczy i gromadzić żywność, by przenieść się do innego miejsca na zboczu góry Garizim. Niedaleko stamtąd, w pobliżu gaju oliwnego, płynął strumyk. Zalesiona część wzgórza sięgała aż do miasta Nablus. Ojciec zrozumiał, że miała to być pielgrzymka na początek okresu paschalnego, upamiętniającego wyjście z Egiptu.

Zamknięto go w innym domu, siedzibie kapłanów, gdzie była przechowywana najstarsza księga od czasów stworzenia świata, słynna Tora Abiszuy, licząca sześć tysięcy lat. Potrzeba było trzech kluczy, aby otworzyć tabernakulum, w którym spoczywał cenny manuskrypt, a każdy z kluczy powierzono innemu kapłanowi.

Ojciec asystował przy jednej z ich ceremonii. Trzej kapłani, ubrani w modlitewne szale, przybyli z namiotu, gdzie stało tabernakulum. Jeden z nich niósł tysiącletnią Torę, którą położył na drewnianym stoliku.

Kapłani zdjęli uroczyście osłaniający ją przetykany złotem jedwab i położyli dłonie na srebrnych gałkach. Zwój otworzył się na trzy części, ukazała się stara koźła skóra, biała i nieskalana, pokryta starożytnymi literami. Potem wydobyli z szafy rytualne przedmioty: pucharki do *kidusz*, inkrustowane złotem i drogimi kamieniami, cherubiny oraz tabliczkę z dwunastoma kamieniami, którą arcykapłan niósł do Świątyni w dniu święta Jom Kippur. Wszystkie te przedmioty przekazali tajemniczym porywaczom.

Wówczas ojciec przypomniał sobie legendę samarytan: ich sanktuarium na górze Garizim zostało zburzone przez żydowskiego króla-kapłana, Jana Hyrkana I, między 135 rokiem przed naszą erą a 104 rokiem naszej ery. Samarytanie twierdzili, że wiedzą, gdzie znajduje się skarb Świątyni, ale nie ujawnią tej kryjówki przed nadejściem Mesjasza. Ojciec przypomniał też sobie zdanie ze *Zwoju Miedzianego*:

Na górze Garizim,

Pod wspaniałym wejściem,

Szafa i jej zawartość,

I sześćdziesiąt talentów srebra.

Tak więc porywacze przybyli tu, aby odzyskać skarb samarytan. Ale dlaczego samarytanie mieliby go tak łatwo oddać? Czy za pieniądze? Czy za coś innego? I dlaczego kazano mu być obecnym przy tej transakcji?

Ceremonia trwała. Pojawił się kapłan ofiarnik z ostrymi nożami. Wszyscy wyszli z

synagogi. Członkowie wspólnoty czynili przygotowania do ofiary paschalnej. Młodzi znosili drwa na ognisko. Inni poszli zbierać hizop i przeróżne gorzkie zioła.

Ojciec zastanawiał się, dlaczego zaproszono go na to święto, skoro resztę czasu spędzał zamknięty w swojej izbie. Blisko niego stali dwaj samarytanie, uniemożliwiając ucieczkę. Wszystko było już gotowe do złożenia ofiary: ołtarz, ofiarnik, nóż i jagnię. Ale były dwa ołtarze: duży i tuż obok niego mniejszy... I tu wszystko przygotowano: był ołtarz, ofiarnik, nóż, ale brakowało zwierzęcia ofiarnego.

Chyba że miał nim być David Cohen.

Pierre Michel, najwyraźniej niezadowolony, wiercił się na krześle, podczas gdy Phillip Jonson kontynuował swoje wywody.

–Jedynie, co zwoje znad Morza Martwego mogą nam odsłonić – mówił – to wiadomości o

życiu, jakie wiódł Jezus, o środowisku, w którym zrodziło się chrześcijaństwo. Chcę w

historycznym aspekcie ukazać okoliczności, w jakich pisano te manuskrypty. Rzecz dotyczy

oczywiście judaizmu i dlatego zamierzam przedstawić, co działo się przed i podczas okresu,

gdy sekta esseńczyków spisywała te zwoje.

Rozpoczął długi wywód, unikając bardzo starannie wzmianki o manuskryptach. Od czasu do czasu napotykał wzrok Pierre'a Michela, który patrzył na niego z mieszaniną nienawiści i strachu. Wielokrotnie podnosił oczy do sufitu, jakby wyrażając oburzenie i biorąc niebo na świadka. Wydawał się coraz bardziej zrozpaczony.

Nagle zerwał się z krzesła i z gniewną miną wszedł na podwyższenie. Rozłożył przed sobą kilka kartek, rozejrzał się po audytorium, jakby widział w nim wroga. Jonson przeszywał go groźnym spojrzeniem. Milczał, podobnie jak pozostali siedzący na podwyższeniu, którzy nie śmieli zaprotestować. Słuchacze, wiedząc dobrze, że Pierre Michel jest w posiadaniu bardzo ważnych dokumentów, wstrzymali oddech, na sali zapanowała cisza, kiedy donośnym głosem, niczym prorok ogłaszający niedającą żadnej nadziei wróżbę, powiedział:

–Nie mogę pozwolić, aby po wiekach kłamstw uciekano się do tego rodzaju hipokryzji. – Podkreślał każde słowo uderzeniem pięści w stół, jakby walił w bęben,

chcąc uzyskać lepszy efekt. – Żydzi i chrześcijanie, dlaczego nie powiedzieć sobie w końcu prawdy? Dlaczego mamy nadal okłamywać się i bać? – mówił, zwracając się do Jonsona. – Jesteśmy jak zbłąkane owieczki szukające drogi i wracające wciąż na tę, na której się zgubili. Chcecie znać wiek zwojów? Chcecie wiedzieć, czy opowiadają o Jezusie, czy też nie ma w nich o nim żadnej wzmianki? Chcecie wiedzieć, czy Jezus istniał, czy był mitem? A jeśli istniał, czy był esseńczykiem, czy faryzeuszem, do jakiej sekty należał? A jeśli istniał, to kto go zabił i dlaczego? A może wolicie, żeby w dalszym ciągu traktowano was jak dzieci? Wy, ludzie wierzący, znajdujecie upodobanie w obskurantyzmie, czcicie idole, które mająbyć argumentami waszej wiary, słuchacie tych, którzy uważają, iż spojrzenie prawdzie w oczy jest niemożliwe. Wolicie nie wiedzieć. Wy, ateści, nie chcecie słuchać o chrześcijaństwie, a to ono przecież nadaje kształt światu, w którym żyjecie. Drwicie z wierzących, z ich głupiej wiary, ale czy zdajecie sobie sprawę, iż w rzeczywistości gardzicie nimi z najwyższej wewnętrznej potrzeby? Wydaje wam się, że nie wierzycie, lecz wierzycie jeszcze mocniej niż tamci, nie mając odwagi wyrazić do końca waszego niezadowolenia. A więc powiem, co się naprawdę wydarzyło w Qumran. Dla jednych będzie to jak chrzest, nowe narodziny, które usuną nagromadzone przez wieki śmieci ignorancji. Dla innych będzie to skandal.

–Teksty z Qumran pochodzą ze średniowiecza! – przerwał mu ktoś z publiczności.

–Czy mam rozumieć, że nie mają żadnego związku z początkami chrześcijaństwa? Do tego pan zmierza? – zapytał Pierre Michel.

–Właśnie! Powstały w drugim lub trzecim wieku po Jezusie – odezwał się ktoś inny.

–Gdyby tak było, nie miałyby większego znaczenia... Jeśli jednak zostały napisane w

okresie poprzedzającym bezpośrednio epokę chrześcijaństwa, są bardzo istotne w takim

stopniu dla judaizmu, jak i dla chrześcijaństwa. Dowiadujemy się, że opisana w tych

zwojach wspólnota czci jakiegoś Nauczyciela Sprawiedliwości, który zginął męczeńską

śmiercią. I dlatego data powstania tych dokumentów jest kluczową kwestią, chodzi bowiem o

czas pojawienia się chrześcijaństwa.

Rodzi się zasadnicze pytanie: czy pierwsi chrześcijanie należeli do wspólnoty esseńczyków? Nawet dla wierzących odpowiedź powinna być oparta na faktach

historycznych. Od dwóch tysięcy lat Kościół daje jasną odpowiedź na temat początków i roli chrześcijaństwa: Jezus był Mesjaszem, który przybył zgodnie z zapowiedzią Starego Testamentu. Został zesłany przez Boga, który uczynił go żydem, ale jego nauczanie różniło się radykalnie od nauk judaizmu. Tymczasem zwoje zmuszają nas do uznania, iż Jezus i pierwsi chrześcijanie wywodzili się z sekty żydowskiej, która miała sakramenty i organizację prawie identyczną z pierwszym chrześcijaństwem, a to oznaczałoby, iż od wieków żyliśmy w błędzie, że był to wielowiekowy okres ignorancji i nietolerancji, który teraz bezapelacyjnie dobiegł końca. Należy wyciągnąć wnioski z tych faktów historycznych i przyznać, że chrześcijaństwo nie narodziło się na skutek nadprzyrodzonej interwencji, ale jest wynikiem naturalnej, społecznej i religijnej ewolucji.

Co nowego przynoszą zwoje? Powiem jasno: między esseńczykami, gnostykami i chrześcijanami przez trzy wieki po narodzeniu Chrystusa trwał konflikt ideologiczny. Zwoje informują nas, że chrześcijaństwo to nie religia rozprzestrzeniona w Judei przez świętych, lecz odłam judaizmu. Tym odłamek była ideologia esseńska, która przeszła do innych religii pogańskiego świata, aż stała się autonomicznym systemem religijnym- chrześcijaństwem. Inna tendencja judaizmu, głoszona przez faryzeuszy, która ożywia Torę, sławi tradycję rabiniczną i Talmud jako księgę bardziej objawioną niż Biblia, została przyjęta przez świat pogański w mniejszym stopniu, stając się znanym nam dziś judaizmem. Jednak wyłączyć z niego trzeba żydowskich fundamentalistów, których umieściłbym raczej w tradycji esseńczyków, a nie faryzeuszy.

–Te zwoje są fałszywe – wtrącił ktoś znowu, szybko przywołany do porządku przez przewodniczącego konferencji.

–To zwoje karaïmskie, pochodzą z dziesiątego wieku – dodał inny głos.

Pierre Michel spokojnie odpowiedział:

–Żydowska sekta karaïmska powstała w ósmym wieku po Chrystusie i rozprzestrzeniła się

w Babilonii, Persji, Syrii, Egipcie, a także w Palestynie. W jedenastym wieku osłabła na tych

terenach, ale zyskała zwolenników w Europie. Karaïmi różnili się tym, iż interpretowali Biblię

dosłownie w kwestiach pobożności. Niemniej badania archeologiczne i paleograficzne

dowodzą braku jakiegokolwiek związku między tą sektą a sektą z Qumran.

Oczywiście

rozumiem, że takie datowanie zwojów budzi w was strach. Wśród pism odrzuconych przez

Ojców Kościoła znajdują się apokryfy Starego i Nowego Testamentu oraz pseudoepigrafy. Nie

stało się tak przez przypadek. Wiecie, że słowo „apokryf oznacza „ukryty”. Przepuszczam, że

zwoje zostały schowane, ponieważ chciano, aby ich sens pozostał ukryty przed masami

wiernych, żeby dostęp do nich mieli tylko wtajemniczeni. Nie zapominajmy, iż wiele było pism

ezoterycznych, powstałych na początku epoki chrześcijańskiej, bardzo ważnych dla zrozumienia pierwotnego chrześcijaństwa. Ja jednak uważam, że pozwalają nam

zinterpretować zwoje znad Morza Martwego, a te z kolei umożliwiają ich interpretację. Wszak między nimi są zadziwiające zgodności...

Pierre Michel przerwał i napił się wody, po czym wyjął z teczki paczuszkę owiniętą białym płótnem, a gdy powoli je rozwinął, ukazał się zwój. Natychmiast rozpoznałem manuskrypt znad Morza Martwego. Podniósł go nad głowę, a wszyscy zebrani wpatrywali się w niego ze zdumieniem. Był to bardzo cienki pergamin, brązowy, upstrzony ciemniejszymi plamami, zniszczony przez czas, insekty i wilgoć. Był zwinięty na dwóch końcach, przywodząc na myśl dwa nieśmiałe ramiona, przerażone własną zuchwałością, wahające się, czy otworzyć się i odsłonić swoją nagość, nieskromną prawdę. Wydawał się tak kruchy i delikatny, jakby miał się za sekundę rozsypać w proch przed naszymi oczyma i zniknąć na zawsze, zanim ktokolwiek pozna jego treść. Był bardzo stary, widział, jak mijały całe wieki, tysiąclecia, robił więc w tym momencie wrażenie, że pragnie zakończyć wreszcie swą długą, zbyt długą kalwarię, powiedzieć, co ma do powiedzenia, zanim wyda ostatnie tchnienie, nie był już tym dowodem, elementem, który ma przekonać łatwo zapominającego człowieka, lecz wspomnieniem, ideą, historią, śladem swego śladu, niewypowiedzianym i niepewnym, modlitwą, imieniem przywoływanym przez rodziców i przez dzieci, a także przez dzieci ich dzieci. Za chwilę podda się, ustąpi miejsca słowom, dla których jest tylko wsparciem. Przeżył już chwile wahania między tym, co materialne i niematerialne, realne i wyimaginowane, duch, czysta pamięć tych słów, wrytych na zawsze, na zawsze zaginionych, niemających być nigdy odnalezionymi. Tyle przeżył, tak długo walczył, a od niedawna też podróżował, że wydawał się zmęczony, bez sił. Jednak był obecny, jeszcze namacalny, wystawiony

na widok wielu, ponieważ nie wypełnił swojej misji, ponieważ strzegł czegoś, co powinno wreszcie zostać powiedziane.

Pierre Michel podjął silniejszym głosem:

–Chcecie wiedzieć, czy Jezus istniał i kim był? Manuskrypt przynosi odpowiedź na to

pytanie i ja ją wam odkryję. Tak, Jezus istniał. Ale nie jest tym, za kogo go uważacie.

Na sali podniosła się wrzawa. Wszystkie oczy utkwione były w zwoju, który Pierre Michel nadal trzymał nad głową. Wreszcie opuścił ramiona i położywszy delikatnie cenny przedmiot na stole, powiedział:

–Wszyscy wiedzą, że istnieją tak duże podobieństwa między esseńczykami i pierwszymi

wspólnotami chrześcijańskimi, że nie może być to dziełem przypadku. Członkowie obu tych

wspólnot oddawali cały swój majątek do wspólnej kasy, która stanowiła coś w rodzaju skarbcza.

Skarbczem tym zawiadywał wyznaczony do tego skarbnik, wydzielający kwoty na potrzebne dla

wspólnoty zakupy. Kiedy więc Jezus namawiał bogatego, aby oddał „biedakom” wszystko, co

posiadał, jasne jest, że miał na myśli swych braci esseńczyków. Termin „biedacy”, to jedno ze

słów, którego używali esseńczycy, mówiąc o członkach swojej wspólnoty. Ludzie zamożni,

którzy dołączali do sekty esseńskiej, musieli zrzec się bogactw i oddać je wspólnocie. Tak więc,

gdy Jezus zaprasza bogacza, mówiąc: „chodź, dołącz do nas”, chce go zachęcić, by dołączył do

wspólnoty esseńskiej, do której sam należał.

Na sali ponownie rozległy się pomruki. Jednak Pierre Michel, ciągnął niewzruszony:

–Podobieństwa między esseńczykami a pierwszymi chrześcijanami na tym się nie kończą.

Oszustwa finansowe na niekorzyść wspólnoty były u jednych i u drugich surowo karane, choć u

chrześcijan kary były chyba surowsze. Z *Podręcznika dyscypliny esseńczyków* wynika, że ten,

kto okradł sektę, musiał zwrócić odpowiednią kwotę lub skazywany był na karę trwającą

sześćdziesiąt dni. W *Dziejach Apostolskich* Piotr, który odkrył oszustwo Ananiasza, rzekł mu, iż

zgrzeszył on przeciw Bogu. Wówczas przerażony Ananiasz natychmiast wyzionął ducha.

Przede wszystkim jednak esseńczycy i chrześcijanie prowadzili podobny tryb życia. Esseńczycy

unikali miast i woleli osiedlać się w małych osadach. Nie składali zwierząt w ofierze. Ich nauka

opierała się na zasadach pobożności, sprawiedliwości, świętości, umiłowaniu Boga, cnoty i

człowieka. Dlatego też esseńczycy budzili podziw wielu żydów, ku wielkiemu niezadowoleniu

kapłanów ze Świątyni, którzy współpracowali z bezbożnym okupantem. Ponadto obie te

wspólnoty miały podobną wizję przyszłości. Jedni i drudzy zapowiadali kataklizm na koniec

świata i wierzyli w Królestwo Boże, które zapoczątkuje nadejście Mesjasza. Jedni i drudzy

uważali się za naród wybrany przez Boga. Wierzyli, iż są Synami Światła, walczącymi z Synami

Ciemności. Zarówno esseńczycy, jak i chrześcijanie umieszczali się w centrum konfliktu

kosmicznego. Aby mogło spełnić się ich przeznaczenie, stworzyli mesjanistyczny

system, taką

samą organizację swoich wspólnot w ruchu religijnym, taki sam twórczy wszechświat. Żeby się

o tym przekonać, wystarczy porównać *Podręcznik dyscypliny* i Nowy Testament. Zgadza się

wszystkie elementy, ponieważ chodzi o tę samą wspólnotę. Powtarzam: esencjy i

chrześcijanie tworzyli jedną i tę samą sektę. A to znaczy, że do czasu gdy powstał Kościół,

chrześcijaństwo było organiczną częścią judaizmu.

Poruszeni słuchacze szeptali między sobą z coraz większym oburzeniem. Pierre Michel zaczął mówić głośniej, by ich przekrzyczeć:

–Trzeba skończyć z tym wielowiekowym przekręcaniem tekstów. Przypomnijcie sobie

sprawę *Testamentu dwunastu patriarchów*, który przez dłuższy czas uważano za

przez chrześcijanina, ponieważ była w nim mowa o Mesjaszu. Potem odkryto, że wyszedł spod

ręki żyda. A nie jest to jedyny przykład! A teraz przejdźmy do tego, jak pojmujemy tajemnicę

Ewangelii według świętego Jana, co szczególnie ją różni od pozostałych ewangelii, z którymi

nie da się jej pogodzić. U świętego Jana Jezus jest kimś w rodzaju rabina. Jego życie publiczne

jest dłuższe o jakieś dwa lata i spędza je całe w Judei, a nie w Galilei. Jest od samego

początkMesjaszem. Tymczasem odkryłem, że Ewangelia według świętego Jana cytuje niemal

dosłownie niektóre zdania z manuskryptu z Qumran, który badałem. A został on napisany

znacznie wcześniej, w Palestynie, gdzie spotkały się myśl chrześcijańska i hellenistyczna, a

konkretnie w Qumran. Mam wszelkie podstawy, aby uważać, że Ewangelia według świętego

Jana jest dziełem członka sekty esseńskiej. Czy nie widzicie, jak bardzo opisana przez Jana

postać Jezusa jest bliska esseńskiemu Nauczycielowi Sprawiedliwości, natchnionemu

kapłanowi, prorokowi, który umarł w mękach i ma pojawić się ponownie jako Mesjasz? Autor

Ewangelii według świętego Jana przedstawił opis życia Jezusa w zgodzie z doktryną o

Nauczycielu Sprawiedliwości: *Ja jestem drogą, prawdą i życiem. Nikt nie przychodzi do Ojca*

*inaczej jak tylko przeze Mnie*⁶⁴ - cytuje Jan. Lektura tego manuskryptu pozwoliła mi

*Ewangelia według Św. Jana, 14, 2.

rozwiązać tajemnicę tej Ewangelii. Jest to, w formie biografii Jezusa, teologiczny traktat, zawierający nauki głoszone przez Nauczyciela Sprawiedliwości. Posunę się jeszcze dalej. Wszyscy wiedzą, choć nikt nie chce tego przyznać, że Jan Chrzciciel był esseńczykiem. Nawoływał do chrztu, który był rytuałem całkowicie esseńskim, powstałym na pustyni, i jak oni zapowiadał nadejście Królestwa Bożego. Co więc oznacza fakt, że Jezus został ochrzczony przez Jana? Nie ma pewności, że Jezus, głosząc własne nauki, rzeczywiście oddalił się od Jana. Tak samo, bez wątplenia, esseńczykami byli uczniowie Jezusa. Bo jeśli nie, to jak wytłumaczyć, że tak szybko porzucili swoje zajęcia, gdy Jezus nawoływał, aby do niego dołączyli? Jezus nakazał swoim towarzyszom, aby szli po dwóch i głosili jego naukę, nie biorąc za to ani chleba, ani pieniędzy. Jakim sposobem mogli iść za nim? Gdzie spali? Może w Galilei byli gościnni ludzie, może uczniowie Jezusa mieli wielu przyjaciół i krewnych? A może oczekiwali, iż zostaną przyjęci przez opisane u Filona i Józefa Flawiusza esseńskie sekty, znajdujące się w miastach i wioskach? Jeśli sami byli esseńczykami, to święta zasada sekty gwarantowała im taką gościnność. Wreszcie, jeśli Jan i jego uczniowie byli esseńczykami, to kim był Jezus? Przypomnijcie sobie: gdy Jezus miał dwanaście lat, dyskutował z mędrkami ze Świątyni. Tak młody chłopiec, według zwyczaju esseńczyków, był już wtajemniczony. To znaczy, że

musiał studiować księgi Starego i Nowego Testamentu oraz pisma esseńczyków. Znał tak dobrze Pismo Starego i Nowego Testamentu, bo nie mógł go poznać gdzie indziej. Jest niemożliwe, aby Jezus nie był przez kogoś wtajemniczony i żeby nie należał do żadnej sekty.

Pierre Michel przerwał na chwilę, by znowu napić się wody i zebrać myśli. Czoło miał zroszone kroplami potu. Jonson przeszywał go ponurym spojrzeniem. Było jasne, że gdyby mógł mu przeszkodzić, zrobiłby to. Audytorium, najpierw powściągliwe, potem zaskoczone, stopniowo dawało się porwać słowom tego niewysokiego mężczyzny. Niektórzy uśmiechali się, szczęśliwi, że słyszą to, na co tak długo czekali. Inni wydawali się głęboko wstrząśnięci.

To, co mówił Pierre Michel, zapowiadało kłopoty i skandal. A on, rozgorączkowany, niewzruszony, kontynuował swoje wywody, które obalały wszystkie pewniki. Wyglądał jak nawiedzony. Przeciwwstawiał się dawno temu powstałym doktrynom i dogmatom, fałszerstwom bez przeszkód wpajanym ludziom, propagowanym przez Kościół, przeciwstawiał się swojej wierze, która nakazywała mu, by nie poruszać tego tematu. Ale słuchacze, nie zważając na Kościół, odnajdywali w słowach mówcy Jezusa samotnego i niezależnego, takiego, jakim był w swojej nauce i swojej wierze; poznali go i dlatego słuchali.

–Jeśli miałyby być inaczej, to jak wyjaśnić fakt, że Jezus spędził czterdzieści dni na pustyni? – podjął Pierre Michel. – Nie przetrwałby bez schronienia. Osada qumrańska znajdowała się na Pustyni Judejskiej, Jezus mógł więc zamieszkać w którejś z grot w Qumran, jak inni esseńczycy. Gdzie chodził do synagogi? Synagogi były miejscami zgromadzeń. Jezus z pewnością nie poszedłby do synagogi faryzeuszy, których tak krytykował. Chodził tam, gdzie odbywały się zgromadzenia esseńczyków, które oni sami nazywali zgromadzeniami

„Licznych”. Jeśli miałyby być inaczej, to jak wyjaśnić, że o Jezusie mówiono „Nazarejczyk”, skoro w tamtym czasie nie było miasta o nazwie „Nazaret”?

Na sali rozległy się okrzyki zdziwienia.

–Miasto Nazaret nie jest wspomniane ani w Starym Testamencie, ani w Talmudzie, ani w dziele Józefa Flawiusza. A przecież ten ostatni, będąc dowódcą żydowskim w wojnie przeciw Rzymianom w Galilei, nie pominął niczego, co widział. Gdyby Nazaret był ważnym miastem w Galilei, to jak to możliwe, że Józef Flawiusz, walczący w tej prowincji, którą zresztą opisał bardzo szczegółowo, w ogóle o nim nie wspomniał? Ponieważ Nazaret nie jest nazwą miasta, ale sekty. To święty Mateusz, głęboko wierząc przepowiedniom proroków, aby mogło spełnić się proroctwo, napisał, że Jezus udał się do Nazaretu, że Mesjasz miał być „Nazarejczykiem”. Powołuje się na Izajasza, według którego istniała roślina o hebrajskiej nazwie *netzer*, na niej miał spocząć duch Jessego. Tymczasem esseńczycy rzeczywiście nazywali siebie

„nazarejczykami”, to znaczy „wierzącymi w Mesjasza”... zupełnie tak samo jak chrześcijanie.

Jonson siedział wściekły, z pięściami zaciśniętymi na kolanach, z napięciem na twarzy. Rozglądał się na wszystkie strony, jakby liczył obecnych na sali, którzy wsłuchiwali się w słowa Pierre'a Michela. Chwilę później, przygnębiony, obejmował głowę rękami, jakby nie chciał już nic widzieć ani słyszeć.

Ojciec, oszołomiony, przybity oczekiwaniem na to, co wydawało mu się coraz bardziej prawdopodobne, oniemiały z przerażenia, przyglądał się przygotowaniom, nie mogąc w to wszystko uwierzyć. Jedni ugotowali gorzkie zioła, a następnie zaczęli je zawijać w praśny placek. Drudzy wrzucali gałęzie do ognia, podczas gdy dzieci bawiły się z jagniątkami.

Samarytanie założyli odświętne szaty. Starsi nosili długie białe tuniki w czarne pasy, z narzuconymi na nie modlitewnymi szalami. Młodszy ubrani byli w kolorowe stroje, z fezami na głowach, w szerokich pantalonach. Zeszli się wszyscy razem z arcykapłanem na czele, za którym ustawili się pozostali kapłani, Lewici i Cohenowie, potem starsi i na końcu najmłodszy.

Arcykapłan podeszedł powoli do ołtarza. Pozostali kapłani uformowali krąg wokół ofiarnego miejsca. Zaczęli nucić jakąś starą melodię, a inni dołączyli do nich. Potem zapadła cisza. Arcykapłan silnym głosem wypowiedział biblijną formułę: */ cały lud Izraela poderżnie mu gardło wieczorem*. Wówczas ukazał się ofiarnik z nożem, chwycił mocno baranka, który zaczął głośno beczeć ze strachu. Ofiarnik poderżnął mu gardło jednym zdecydowanym ruchem. Zwierzę wydało przeszywający niebo jęk. Z otwartego gardła połała się strumieniem krew.

Obecni wibrującymi okrzykami przyjęli ofiarę. Kapłani stojący przy ołtarzu recytowali fragment z Księgi Wyjścia.

Potem wierni podeszli, by złożyć hołd arcykapłanowi. Przynoszono mu podarki, całowano go po rękach. Wszyscy całowali się, składali sobie życzenia. Najmłodszy wzięli ofiarne zwierzę i zanurzyli je we wrzącej wodzie. Obdarto je skóry, a następnie powieszono na palu. Wypatroszono, poćwiartowano, posolono, puszczono krew.

W tym momencie ojciec pomyślał, że się pomylił, że mały, jeszcze nieskalany ołtarz nie jest przeznaczony dla niego. Wszystkich ogarnęło szaleństwo, starzy i młodzi poddali się religijnemu uniesieniu. Kapłani niestrudzenie, monotonnymi głosami recytowali wersety z Księgi Wyjścia, przez cały czas krążąc wokół wiernych.

Ojciec uznał, że o nim zapomniano. Dopełnili ofiary, a teraz po prostu wrócą do siebie. Nadziane na rożen zwierzęta gotowe były do pieczenia na wielkim ołtarzu. Wokół każdego z nich stali młodzieńcy, czekając na odpowiedni fragment tekstu, po

którym będą mogli wrzucić je w płomienie.

–Zapewne pamiętacie ten fragment z Księgi Wyjścia – powiedział Pierre Michel – kiedy

to Mojżesz bierze krew z ofiary całopalnej i skrapia nią lud, mówiąc: *Oto krew Przymierza, które*

Pan zawarł z wami na podstawie wszystkich tych słów^{*65}. Czy nic wam to nie przypomina?

Przecież to początek Eucharystii, gdy Jezus utożsamia wino ze swoją krwią, odnawiając tym

sposobem Mojżeszowe przymierze. Ale zarazem przypomina to rytuał esseński, polegający na

tym, iż chleb i wino, poświęcone w trakcie wspólnego posiłku, symbolizują krew i ciało

Mojżesza. – Zrobił pauzę, zdawał się ważyć słowa, zanim powiedział: – Esseńczycy sądzili, że

człowiek, którego nazywano Jezusem nazareńskim, Jezusem esseńczykiem, był ich Mesjaszem,

ich Nauczycielem Sprawiedliwości.

–Co ma pan na myśli? – wykrzyknął Jonson, nie mogąc opanować wściekłości. – Że chrześcijański Mesjasz to nie kto inny jak Nauczyciel Sprawiedliwości, o którym opowiadają esseńczycy? Czy nie wie pan, że chrześcijanie oczekiwali jednego Mesjasza, gdy tymczasem esseńczycy mówią o dwóch Mesjaszach?

–Niewykluczone, że dwaj stali się jednym, że chrześcijanie dokonali spóźnionej syntezy – odrzekł spokojnie Pierre Michel. – Obie te wspólnoty wierzyły, iż są ludem „nowej umowy”. U pierwszych chrześcijan, jak również u esseńczyków, chodziło o Prawo Mojżesza. To święty Paweł odciął się od tego prawa, aby ułatwić rozszerzanie się Kościoła wśród pogan.

–Nie! – przerwał mu brutalnie Jonson. – Jest niemożliwością ustalenie fundamentów Nowego Testamentu na bazie historycznej. Ten problem powinien być rozstrzygany przez teologię.

–Tak wszyscy mówicie, ale jednocześnie nie jesteście usatysfakcjonowani wiedzą o Chrystusie, w którego każą wam po prostu wierzyć. Chcielibyście wiedzieć coś

więcej na temat tej zagadkowej postaci? Chcielibyście poznać Jezusa historycznego? Wasze rozumowanie jest pokrętne, chcecie bowiem stworzyć teologię, która byłaby sędzią historii, a także wymyślić fakty historyczne dotyczące Biblii. Jak doprowadzić do tego, aby wiara nie była oddzielona od rzeczywistości?

–Większą część historii ludzkości również można podać w wątpliwość. Wiele rzeczy trzeba przyjmować na wiarę.

–Takie stanowisko jest nie do utrzymania dla teologii opartej na Biblii. Można wywodzić

początki chrześcijaństwa z czegokolwiek, można tym sposobem stworzyć wymyślony

świat, czcić symbole, czcić Boga, ale jest się wówczas poza prawdziwym światem. Jestem

człowiekiem wierzącym, ale nie mogę oderwać się od kontekstu historycznego, chcę pozostać

w kontakcie z rzeczywistością. Uważam, że nie wystarczy wierzyć w teologię obecnych czasów,

***Księga Wyjścia, 24, 8.**

żeby umieć zinterpretować wydarzenia z przeszłości. Natomiast tym, co czyni zwoje z Qumran tak bardzo fascynującymi, jest ich namacalna realność. Są tu, istnieją. Czy teologia potrafi sprawić, żeby zniknęły? Ponadto zwoje te zawierają coś, co także jest czymś materialnym. Czy teologia może usunąć skutki i wnioski? I nie tylko manuskrypty istnieją, są również groty, ruiny klasztoru, zbiorniki z wodą do chrztu, skrypta. Dzięki Qumran historia ożywa.

Pierre Michel zszedł z podwyższenia. Teraz przemawiał do wszystkich i do każdego z osobna. Składał ręce, jakby wygłaszał kazanie lub raczej udzielał błogosławieństwa. Od czasu do czasu przerywał, wpatrując się w szczęśliwe twarze niektórych słuchaczy. Dając się porwać własnym słowom, wyglądał jak nawiedzony, otoczony jakąś niezwykłą aurą, jakby spłynęła na niego łaska. Ton jego głosu był łagodny, a zarazem gorący, żarliwy. To był jego dzień, na który czekał od dawna.

–Zwoje istnieją – perorował – a wraz z nimi istnieje coś, co przewyższa ich znaczenie. Stają się znakami, drogowskazami na kartach historii. Przez te zwoje przemawiają do nas dumni eseneicy. A to, co mówią, przynosi nam nowe odpowiedzi na stare pytania, odpowiedzi, z których mogą wynikać kolejne, jeszcze liczniejsze odpowiedzi, dając naturalny obraz historii chrześcijaństwa. I tak na przykład Jan Chrzciciel na pustyni nie jest już tylko człowiekiem nagle nawiedzonym

przez Ducha Świętego, ale również członkiem wspólnoty esseńczyków, który prowadzi surowy tryb życia, poszukuje, tak jak jego bracia, czystości w rytualnych kąpielach.

–Zapomina pan o istotnej różnicy między Janem Chrzcicielem i esseńczykami-przerwał mu Jonson. – Co wspólnego ma pełne skupienia i wyciszone życie esseńczyków z proroczym zapalem Jana, który natchniony duchem proroka Eliasza i proroka Amosa, zapowiada, że bliski jest dzień sądu Bożego i ujawnia skandale dworu?

–A zniecierpliwienie eschatologiczne w *Regule wspólnoty!* - odparował Pierre Michel. – Mając za przewodnika Nauczyciela Sprawiedliwości, rozwijająca się wspólnota już uwierzyła, że bliski jest koniec świata. W *Zwoju wojny* czytamy, jak Belial objawia swój gniew wobec skruszonego ludu Izraela i że wypełni się godzina sądu. Komentator *Zwoju Habakuka* stwierdza podobnie, że koniec świata będzie dłuższy, niż przewidziano, że Dzień Sądu będzie jeszcze straszliwszy dla tych, którzy pogwałcili Przymierze. *Zwój wojny*, dzieło skrzydła ekstremistycznego, które dołączy do zelotów w walce przeciw Rzymianom, opisuje w sposób realistyczny, a jednocześnie apokaliptyczny, świętą wojnę Synów Światła przeciw Synom Ciemności. Natomiast wspólnota esseńczyków, obsesyjnie czekających końca świata, pozwala usytuować i pojąć postać Jana Chrzciciela.

–Twierdzi pan, że Jan Chrzciciel był esseńczykiem. To nieprawda, ale przypuśćmy na moment, że tak było. Proszę więc, aby udowodnił pan, że miał on kontakty z Qumran. Jak pan wie, istniały różne formy ideologii esseńskiej. Tych kilku ludzi z Qumran to tylko garstka w porównaniu z wieloma rodzinami, które tworzyły zakon esseński. Według Filona i Józefa Flawiusza większość esseńczyków mieszkała w miastach i miasteczkach.

–To oczywiste, że Jan Chrzciciel stykał się z sektą z Qum-ran. Nie jest przypadkowe, że osada qumrańska leżała niedaleko miejsca, gdzie gromadził tłumy. Powiem nawet więcej: nie tylko Jan Chrzciciel był esseńczykiem, był nim także święty Łukasz, opowiadający o pustyni, na której się wychował. Dziś wiemy, że tylko esseńczycy przyjmowali dzieci na pustyni, aby uczyć je swej doktryny.

–Jan Chrzciciel nie był esseńczykiem. Jego ojciec, Zachariasz, był wiernym kapłanem Świątyni w Jerozolimie w czasie, gdy esseńczycy wystąpili przeciw arcykapłanom!

–Jan Chrzciciel wiódł życie ascety, podobnie jak członkowie sekty z Qumran, przestrzegając drobiazgowo *Reguły wspólnoty*.

–Józef Flawiusz pisze o wspólnotowym, sakralnym charakterze posiłków spożywanych przez esseńczyków. Przejęli oni zwyczaje saduceuszy ze Świątyni.

Podczas posiłków kapłani, obmyci z grzechów, spożywali w rytualny sposób ofiary złożone Bogu. Jan zaś żywił się tylko tym, co znalazł na pustyni – prosem i szarańczą.

–Niektórzy członkowie sekty pościli. Jednak najważniejszy jest sens działalności Jana Chrzciciela na pustyni. Pragnął on odnowić prorocze kazania. Słyszał pan o duchowym i religijnym znaczeniu pustyni. Prorok Ozeasz zapowiadał, że Bóg zaprowadzi niewierny lud na pustynię, by mu zwrócić obietnicę Przymierza. Prorok Ezechiel mówi o pustyni, na której pojawi się Bóg, aby osądzić swój lud. Podobnie Izajasz opisał nowy exodus na pustyni, którą przedstawił niczym raj, i zachęcał swoich rodaków, aby utorowali tam drogę Bogu. Ten tekst jest cytowany dwa razy w *Regule wspólnoty*, aby usprawiedliwić porzucenie Świątyni i odejście grupy esseńczyków na pustynię. Pustynia pojawia się zawsze jako ostatni etap przed Dniem Sądu. Jan Chrzciciel podzielał pewne poglądy swych współczesnych, zwłaszcza głosicieli Apokalipsy, ale różnił się od nich radykalizmem. Ten radykalizm czyni go bliskim esseńczykom z Qumran, przeciwstawiającym zepsuty lud Izraela swojej niewielkiej wspólnotcie, która, wierna prorocztwu Izajasza, pragnie dla siebie *klucza sklepienia niebieskiego, które się nie zachwieje*. Jest bliski esseńczykom z Qumran, gdy straszy lud gniewem Bożym i kiedy przepowiada synom Izraela, że go nie unikną bez radykalnego nawrócenia.

–Jan był wędrownym kaznodzieją, który nie bał się mieszać z tłumem, pańscy esseńczycy zaś, bardzo surowi w sprawie czystości, trzymali się z daleka od grzeszników.

–Jego celem było oczyszczenie z grzechów wszystkich ludzi poprzez chrzest, który stosowali esseńczycy. Albowiem przypisywali oni ogromne znaczenie „oczyszczaniu Licznych” w rytualnych kąpielach.

–Jednakże Jan przewodniczył ceremonii chrztu innych, podczas gdy każdy z członków wspólnoty z Qumran brał oczyszczającą kąpiel samodzielnie, bez pośrednika. W przeciwieństwie do integralnego radykalizmu rozwijającego się na brzegach Morza Martwego, Jan zapowiadał cudowne tchnienie ewangelii przez szeroki dostęp do niej wszystkich grzeszników. Pokora wobec „znakomitszego od niego”, czyli Jezusa, dowodzi, iż nie był zwykłym chrześcijaninem i nie bez powodu tradycja widzi w nim prekursora, poprzedzającego Jezusa, naszego Pana...

–Właśnie, chciałbym teraz przejść do Chrystusa.

Nie zapomnieli o nim. Gdy wykonali swoje zadanie, przyszli po mojego ojca. Zakneblowali mu usta i przywiązali go grubym sznurem do ołtarza.

Łzy popłynęły po jego policzkach, a ciałem wstrząsnął dreszcz przerażenia, ale jego kaci, zdecydowani złożyć go w ofierze, nie wzruszyli się tym niemym błaganiem. Nie

był to jeszcze koniec jego kalwarii. Samarytanie odeszli do swoich domów, aby oddać się medytacjom, skupić się i poczytać w rodzinnym gronie kolejne fragmenty dziejów ludu hebrajskiego na Synaju.

Ojciec, skrępowany, zakneblowany, nie mógł spodziewać się znikąd pomocy. Mijały minuty i sekundy coraz trudniejszego do zniesienia strachu, ale błyskało jeszcze niezniszczalne światło nadziei, że Bóg go nie opuści. Zrodziła się w nim nienawiść do tej nadziei nierozzerwalnie związanej z życiem, tej złowieszczej nadziei, która sprawiała, że do ostatniej chwili czekał na pomoc, ludzką czy boską, pomoc kogokolwiek, kto uratuje go z tej rozpaczliwej sytuacji. W obliczu bliskiej okrutnej śmierci czekał jeszcze na coś, ponieważ taka jest natura człowieka.

Sznur wrzynał się w posiniałe nadgarstki, rozdzierał skórę. Położono go plecami na kamiennym blacie ołtarza, z rękami przymocowanymi do dwóch narożników, z nogami skręconymi w lewo, przywiązanymi w kostkach do trzeciego narożnika. W tak wykręconym ciele krew z trudem krążyła. Czuł coraz większy ból w nogach, nie mógł oddychać.

Zaczął się modlić. W tym momencie rozległ się dźwięk szofaru, taki sam jak w Jom Kippur, kiedy ogłasza koniec postu, wielkie wyzwolenie, niebiański sąd, który zgodnie z przeznaczeniem stanie się udziałem wszystkich, za dobre i złe uczynki. Ale nie był to dzień święta Jom Kippur, nie było to odnowienie oczyszczonego życia. To była ofiara składana z człowieka. Z miłości do Boga. Gdzie więc był Bóg? Czy go opuścił? Łzy znowu trysnęły z jego oczu, gdy prosił Boga o wybaczenie w ostatnim porywie żarliwej wiary, gdy wzywał Go całym swoim jestestwem, jeszcze raz, ostatni raz, aby go ocalił i nie opuszczał.

Przywódcy rodów wyszli jeden po drugim ze swoich domów, z laskami w dłoniach, dywanikami modlitewnymi pod pachą, w pelerynach na ramionach. Do miejsca, gdzie znajdował się ołtarz, podszedł arcykapłan, a za nim cała wspólnota. Otoczywszy kołem ołtarz, na którym leżał przywiązany mój ojciec, zaczęli śpiewać psalmy. Gdy arcykapłan z nożem w ręku znalazł się blisko, ojciec zamknął oczy. Poczuł, jak ostrze noża dotyka jego odsłoniętej szyi.

–Nie!

Okrzyk rozszedł się głośnym echem po sali. Pierre Michel zdecydowanym krokiem wrócił na trybunę.

–Nie zdoła mi pan przeszkodzić, Jonson, powiedzieć o tym, co obaj doskonale wiemy, że Nauczyciel Sprawiedliwości i Jezus to jedna i ta sama osoba. Że *Kittim*, ci Synowie Ciemności, ohydni kaci, o których mówi *Zwój Nauczyciela Sprawiedliwości*, ci, którzy pragną go ukrzyżować, to nie kto inny jak Rzymianie.

–Ależ skąd! Słowo to oznaczało ludy łańskie i greckie, zamieszkujące wyspy Morza Śródziemnego. *Kittim* równie dobrze może oznaczać Seleucydów, którzy byli Grekami. A jeśli w *Zwoju Nauczyciela Sprawiedliwości* mowa jest o Grekach, to wynikałoby z tego, iż powstał on w drugim wieku przed Chrystusem. Pozostaje do wyjaśnienia, czy Nauczyciel Sprawiedliwości to wspomniany w tym zwoju „bezbożny kapłan”. Wiele postaci historycznych mogłoby pasować do jednego i drugiego. Bezbożnym kapłanem równie dobrze mógł być Oniasz Trzeci, arcykapłan wypędzony przez Antiocha Epifanesa, albo Menelas, zły kapłan, który go prześladował. A może Juda Esseńczyk, szlachetna postać, który przeciwstawił się straszliwemu Aristobulosowi Pierwszemu. Nauczyciel Sprawiedliwości był z pewnością kapłanem, a może nawet arcykapłanem Świątyni. Związał się z sektą religijną i uczył jej członków, na czym polega

sens Pisma Świętego, dodając własne nauki i prorocтва. Prześladowany i skazany na śmierć, pozostał na zawsze prorokiem męczennikiem w oczach esseńczyków, którzy go wielbili i czcili, którzy czekali na jego powrót w mesjańskich czasach. Tyle tylko, że ten Nauczyciel Sprawiedliwości żył w pierwszym lub drugim wieku przed Chrystusem!

–To pańska opinia. Ale obaj więcej wiemy na ten temat, odkąd zapoznaliśmy się z treścią

ostatniego zwoju, tego zwoju, który otwiera wrota tajemnicy; tego zwoju, który, mimo

wszelkich prób odebrania mi go, nadal jest w moim posiadaniu – powiedział Michel, wymierzając oskarżycielsko palec w Jonsona.

Audytorium osłupiało. Co to ma znaczyć? Jakaś zadawniona rywalizacja, osobisty konflikt między starymi przyjaciółmi? Wszak nie ukrywali, że kiedyś dobrze się znali.

–Jezus istniał – podjął Pierre Michel – to prawda. Ale nie był tym, za kogo się go uważa.

Nadeszła pora, by powiedzieć, co ujawnia zwój. Z tego manuskryptu dowiadujemy się nie tylko,

kim był Jezus, lecz także kto go naprawdę zabił i dlaczego. I tego się boisz, Misicky, bo takie jest

twoje prawdziwe nazwisko, a nie „Jonson”, pod którym się dziś ukrywasz. Nie chcesz się na to

zgodzić. Ale dziś to usłyszysz i cały świat dowie się wszystkiego. Zamierzam

bowiem

opowiedzieć, co wydarzyło się naprawdę tamtego wieczoru w święto Paschy, kiedy umarł

Jezus.

Jonson, rozwścieczony, wrzasnął:

–Jesteś zdrajcą! Ukradłeś nasze manuskrypty, żeby nam zaszkodzić. Ja także powiem wszystkim, co ty zrobiłeś. Ten człowiek jest nie tylko apostatą-zwrócił się do audytorium – ten człowiek... przyjął judaizm! – Jonson kipiał nienawiścią, od której wykrzywiły mu się usta, a nabrzmiałe na skroniach żyłki gwałtownie pulsowały. – Sprzymierzyłeś się z narodem odpowiedzialnym za śmierć Jezusa, bo to lud Izraela ponosi za to winę, nikt inny. Przyjąłeś ich groteskową, przestarzałą, zbrodniczą religię.

–Nie dziwi mnie twój oszczerczy antysemityzm, któremu winien jest Kościół, rzucający fałszywe oskarżenia, dające początek niewypowiedzianym cierpieniom i prześladowaniom zadawanym Żydom przez długie wieki. Kościół katolicki wycofał się tylko w połowie i zbyt późno z oskarżania Żydów o zabójstwo Jezusa. Wstyd mi za Kościół. Znam motywy twojego postępowania i motywy Kongregacji Nauki Wiary: samoobrona, racja istnienia dostojników waszego Kościoła. Prawda, której nie chcesz przyjąć, jest taka, że kapłani, którzy skazali Jezusa, nie mieli zgody żydowskich mas, ponieważ służyli pogańskiemu okupantowi, aby zachować swoją pozycję. Między tymi kapłanami było kilku uczciwych ludzi, stanowiących mniejszość, złożoną głównie z faryzeuszy, którzy starali się pohamować saduceuszy. Tymi dysydenckimi kapłanami byli esseńczycy. Wspólnota z Qumran powstała po wojnach macha-bejskich na znak protestu przeciw sprzeniewierzeniu się żydowskiej religii przez dostojników Świątyni, wśród których przeważali saduceusze. Kapłani esseńscy wierzyli, że Bóg ocali lud żydowski tylko wtedy, gdy będzie on posłuszny jego Prawu. Esseńczycy przestrzegali bardzo ściśle nakazów Tory i odwoływali się do Bożej sprawiedliwości, aby mogły się wypełnić prorocтва. Sądzi, iż żadna władza polityczna, żadna potęga wojskowa nie będzie w stanie wyzwolić Izraela spod jarzma gnębiiciela. Nowy porządek zdoła wprowadzić tylko nadprzyrodzona interwencja Mesjasza, Pomazańca Bożego. Esseńczycy z Qumran zwrócili się ku przeszłości, realizowali święte dla Izraela nakazy Pisma Świętego, żeby pojąć sens przeznaczenia Hebrajczyków i ludu żydowskiego. W Piśmie Świętym znajdowali wyjaśnienia współczesnych im wydarzeń. Ta

historia dana od Boga powinna, ich zdaniem, zostać przeniesiona na pergaminy, aby wciąż mogła być czytana. Z tego powodu skrybowie sekty zaczęli redagować nie tylko kopie świętych ksiąg, do których żydzi odnosili się z czcią, ale także pisma swojej sekty. Jaką rolę odegrał w tym wszystkim Jezus? Słuchacze z niepokojem

zawiesili wzrok na wargach mówcy.

–Nie był prostym cieślą ani łagodnym pasterzem, który w alegorycznych opowieściach głosił miłość i przebaczenie, nie był też boskim wcieleniem i nie przybył po to, żeby w ofierze złożyć życie za grzechy ludzi. Nie. Mesjasz Izraela był triumfującym wojownikiem i sędzią, kapłanem i mędrcom. W jego mesjanistycznym zapale nie było nic metaforycznego. Esseńczycy z Qumran wierzyli niezłomnie, że Rzymianie i ich judejscy agenci uosabiali moce ciemności. Byli przekonani, że usunięcie niegodziwości i zła może nastąpić tylko poprzez krwawą wojnę religijną. A potem nastaną nowe czasy pokoju i harmonii. Lud Izraela miał ważną rolę do odegrania we własnym odkupieniu. Esseńczycy, pod wodzą Mesjasza, zamierzali odnowić świat, jednak nie wszystko odbyło się tak, jak zaplanowano. A tymi, którzy rozmyślnie doprowadzili do zabójstwa Jezusa, jego mordercami, są...

–Milcz! – krzyknął Jonson. – Chrześcijaństwo zajęło miejsce religii żydowskiej. Jedyną słuszną postawą żydów powinno być nawrócenie się na chrześcijaństwo. Wasza religia jest anachroniczna. Zajęcie Jerozolimy wynika z fałszu. Nie da się usunąć całej ludności żydowskiej z Izraela. Ale można wyeliminować jednego...

Gdy przytknięto mu nóż do gardła, zachwiał się i wytrzeszczył oczy. Potem, oszalały ze strachu, zaczął się rzucać na wszystkie strony, jęcząc przeraźliwie. Ogień już płonął. Języki płomieni szykowały się, by zagarnąć jego umęczone ciało, skierować je swym tchnieniem do Boga.

Nagle rozległ się ogłuszający strzał, potem drugi, a po chwili trzeci. Na sali wybuchła panika.

Było to młode, niewinne, słabe zwierzę. Przerażone widokiem ognia, opierało się z całych sił. Ani jego cierpienie, ani gwałtowny oddech nie zmieniły decyzji człowieka, gdyż poświęcano je Bogu w tej ofierze całopalenia. Kapłan bezlitosnym ruchem wbił nóż w gardło zwierzęcia. Baranek ledwie słyszalnie jęknął, jakby załkał, i wyzionął ducha. Krew jeszcze się lała z niego, gdy wkładano go do ognia.

Pierre Michel osunął się na podłogę.

Było to młodziutkie, zabrane ze stada jagnię, ssące jeszcze matkę. W ostatnim momencie przed złożeniem ojca w ofierze uwolniono go i zamiast niego na małym ołtarzu poświęcono baranka. Wówczas ojciec pojął, że odegrano scenę złożenia w ofierze Izaaka, kiedy to Abraham na rozkaz Boga uwolnił związanego syna i zamiast niego zabił jagnię. I w tym samym momencie, gdy to zrozumiał, stracił przytomność.

Wzburzeni ludzie pchali się we wszystkich kierunkach. Jedni usiłowali wyjść, drudzy zbliżyć się do miejsca tragedii. Wszyscy chcieli wiedzieć, co się stało.

Phillip Jonson strzelił do Pierre'a Michela, po czym od razu wypuścił broń z ręki.

Otoczony przez ludzi ze służby porządkowej, którzy wyskoczyli zza kulis, stał oszołomiony, przestraszony tym, co zrobił.

*Powiedziałem sobie: Ze względu na synów ludzkich [tak się dzieje]. Bóg chce ich bowiem doświadczyć, żeby wiedzieli, że sami przez się są tylko zwierzętami. Los bowiem synów ludzkich jest ten sam, co i los zwierząt; los ich jest jeden: jaka śmierć jednego, taka śmierć drugiego, i oddech życia ten sam. W niczym więc człowiek nie przewyższa zwierząt, bo wszystko jest marnością^{*66}.*

Jane i ja próbowaliśmy dotrzeć do trybuny, ale służby porządkowe utworzyły kordon, nie dopuszczając nikogo. Po chwili pojawili się sanitariusze, by zabrać ciało. Jane wepchnęła się w lukę powstałą w kordonie, zaraz jednak wróciła do mnie, gdyż nie zdołała przedrzeć się dalej. Widzieliśmy, jak wynoszą zwłoki Pierre'a Michela, który zginął na miejscu, a potem wyprowadzają Jonsona w kajdankach na rękach. Na sali panowała nieopisana panika.

Wyszliśmy zasmuceni tym, że Pierre Michel nie żyje, z poczuciem, że w jakiś sposób winni jesteśmy jego śmierci. Ogarnęła mnie ponura melancholia, z której nie mogłem się otrząsnąć przez następnych kilka dni. Nie tylko nie posunąłem się do przodu w moich poszukiwaniach, ale w dodatku byłem odpowiedzialny za śmierć uczciwego człowieka. *Istnieje bolesna niedola - widziałem ją pod słońcem: bogactwo przechowywane na szkodę właściciela. Bogactwo to bowiem przepada na skutek jakiegoś nieszczęścia i urodzi mu się syn, a w ręku niczego już nie ma. Jak wyszedł z łona swej matki, nagi, tak znowu odejdzie, jak przyszedł, i nie wyniesie ze swej pracy niczego, co mógłby w ręku zabrać ze sobą. Bo również i to jest bolesną niedolą, że tak odejdzie, jak przyszedł. I cóż mu przyjdzie z tego, że trudził się na próżno?^{*67}.*

Chciałem zastawić pułapkę. Pierre Michel był przynętą. Na moim gardle zaciskały się kleszcze, wszystko odbywało się tak, jakbym przemierzał świat, by głosić złą nowinę, jakbym był niegodziwym kapłanem. Zostawiałem za sobą kłopoty,

cierpienie, strach. Wszystkie osoby, z którym się spotykałem, które wskazywały mi drogę albo tylko ze mną rozmawiały, choćby przez moment, ginęły okrutną śmiercią. A może Jonson miał rację: zwoje emitowały zgubne promienie, rzucały urok na tych, którzy mieli z nimi do czynienia.

^{*}Księga Koheleta (Eklezjastes), 3, 18-19. ^{*}Księga Koheleta (Eklezjastes), 5, 12-15.

Musiałem się zobaczyć z Jonsonem, aby dowiedzieć się, jakie były tajemne lub racjonalne powody jego czynu.

Jonson dokonał jednej zbrodni w obecności wielu świadków. I tylko taki dowód mieli prowadzący śledztwo, choć podejrzewano go także o to, że ukrzyżował biskupa Oze, Almonda i Milleta, że zabił Mattiego, którego ciało, straszliwie zmasakrowane, w końcu odnaleziono. Jonson nie przyznawał się do tych morderstw. Jane wierzyła, że mówił prawdę.

–On nie mógłby popełnić zbrodni z zimną krwią – upierała się.

–Ale od dawna już groził Pierre'owi Michelowi. Na konferencję przyszedł z bronią.

–Powinniśmy go o to zapytać.

Udaliśmy się więc do więzienia. Gdy zobaczyłem Jonsona, nie poznałem w nim aroganckiego, pewnego siebie człowieka, jakim był przedtem, podczas rozmowy ze mną i z ojcem. Zmarszczki widoczne na jego skroniach pogłębiły się i nerwowo drgały. Usiedliśmy w rozmównicy przy stoliku za szkłem. Zostawiono nas samych. Jane wyjaśniła mu spokojnym, łagodnym tonem cel naszej wizyty i zapytała, jakie były powody jego czynu.

–Zabiłem Pierre'a Michela, ponieważ nas zdradził i porzucił wiarę chrześcijańską.

–Czy to pan mu groził?

–Ukradł zwój. Szukałem go i wielokrotnie mu groziłem. Ten zwój należał do mnie.

–A pan ukradł go nam – wtrąciłem. – Należał do Mattiego.

–A kto pomógł go zdobyć? To ja prowadziłem negocjacje z biskupem. To ja byłem z nim w stałym kontakcie.

–Z braku wystarczających funduszy posłużył się pan Mattim, żeby kupić zwój, a potem go pan ukradł.

–Tak, bo zwój należał się mnie. Oze, mimo iż tak wiele dla niego zrobiłem, nie chciał mi go odstąpić, żądał zbyt wysokiej ceny, zrobił się zachłanny. I dlatego wykorzystałem Mattiego. Niestety, potem popełniłem wielki błąd. Powierzyłem zwój Pierre'owi Michelowi, żeby go zbadał i przetłumaczył. Dałem go jemu, bo był w tym najlepszy i miałem do niego zaufanie. Ale wyhodowałem żmiję na własnym łonie. Zdradził mnie.

–Co takiego jest w tym zwoju, że zabił pan człowieka? Nie odpowiedział.
Powtórzyłem

pytanie. Nie reagował. Zapytałem więc:

–Czy wie pan coś o porwaniu mojego ojca?

–Nie. Nie wiedziałem, że zniknął.

–Porwano go – powiedziałem głosem drżącym z gniewu. – Jeśli więc wie pan coś, co dotyczy zwojów, to lepiej będzie, jeśli pan mi o tym powie.

Milczał, obrzucając mnie ironicznym, wręcz aroganckim spojrzeniem, jak przy naszym pierwszym spotkaniu.

–Uprzedzam pana – wycodziłem, patrząc mu głęboko w oczy – jeśli jest pan zamieszany w tę sprawę, to zmuszę pana do zapłacenia za to.

–Ary! – syknęła Jane.

–Uważa się pan za chrześcijanina – ciągnąłem – ale jest pan oszustem i mordercą. Ukradł pan zwój, który należał do nas, ale nie zadowolili się pan tym i zabił Pierre'a Michela.

–Ary! – Teraz Jane krzyknęła.

–A kto zabił biskupa Oze, Almonda, Milleta i Mattiego? Czy zechce pan odpowiedzieć? – krzyczałem w coraz większym zapamiętaniu.

–Nie mam z tym nic wspólnego. Mattiego znałem bardzo słabo. Nie wiem, kto mógł to zrobić, i nie wiem, kto porwał pańskiego ojca. Zabiłem Pierre'a Michela i nikogo więcej. Almond nie był chrześcijaninem i jego świadectwo było mi obojętne. Zabiłem Pierre'a Michela, ponieważ był moim przyjacielem i mnie zdradził, a także dlatego że chciał ujawnić treść zwoju. Zrobiłbym to jeszcze raz, gdyby było trzeba.

–Chodźmy – powiedziała Jane, ciągnąc mnie za rękę. – Nic więcej z niego nie wydobędziemy.

Prawdę mówiąc, nie sądziłem, żeby Jonson dokonał pozostałych morderstw. Ponieważ nie miał nic wspólnego z porwaniem mojego ojca, stawało się coraz bardziej jasne, że to porywacze maczali palce w tamtych zabójstwach.

–Ary, co się z tobą dzieje? – zapytała Jane, gdy opuściliśmy budynek więzienia.

–Uważam, że ten człowiek wie o pewnych sprawach, o których nie chce nam powiedzieć.

–Ale po co ta brutalność?

–A czy wiesz, co znaczy moje imię?

–Co takiego?

–Ary znaczy „lew”. Słuchaj, nie mogę dłużej tu siedzieć. Powinienem wracać do Izraela. Czuję, że tam znajduje się rozwiązanie tej zagadki.

–Mogę jechać z tobą?

–Nie. Nie możesz jechać tam, dokąd się wybieram. Zostaniesz tutaj. W Nowym Jorku będziesz bezpieczniejsza i... daleko ode mnie.

Następnego wieczoru, w przeddzień mojego wyjazdu, jedliśmy kolację w koszernej restauracji na Manhattanie. Była to pizzeria w dzielnicy jubilerów, w której tłoczyli się chasydzi, mężczyźni w garniturach i kapeluszach, bardzo eleganckie kobiety w perukach naśladujących wszelkiego rodzaju włosy, krótkie i długie, od najbardziej prostych i jasnych do najciemniejszych, kręconych.

–Jesteś pewien, Ary, że nie chcesz, żebym z tobą pojechała?

–Tak.

–Naprawdę przejęłam się tym, co mówił Pierre Michel, jak również jego śmiercią. Chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej, pomóc ci. To dla mnie bardzo ważne... dla mojej chrześcijańskiej wiary.

–Już dużo zrobiłaś...

–Musisz jechać, wiem, zostało nam niewiele czasu.

Po kolacji odprowadziłem ją do domu. Przez długą chwilę staliśmy w milczeniu przed jej drzwiami.

–Ponieważ musimy się rozstać – powiedziała w końcu – chciałabym ci coś dać.

Wyjęła z torebki podłużny przedmiot, zawinięty w białe płótno, które ostrożnie rozwinęła.

Był to stary zwój, pogięty pergamin, pokryty drobnym, zwartym, czarnym pismem.

–Udało mi się przepchać za sanitariuszami aż do trybuny. Wzięłam go ze stołu. W całym

tym zamieszaniu nikt tego nie zauważył.

W ogóle nie myślałem o zwoju, sądząc, że ma go policja. Zanim jednak zdążyłem

ochłonać ze zdumienia, jakiś mężczyzna podskoczył od tyłu, uderzył Jane tak silnie, że upadła, raniąc się w głowę. Gdy napastnik schylał się po manuskrypt, złapałem go za rękę. Wtedy odwrócił się błyskawicznie i wyjął nóż. Walczyliśmy wręcz, tarzając się na chodniku. Czułem na twarzy jego oddech. Byłem słabszy od niego, a luźny strój chasyda nie ułatwiał mi zadania, mimo to udało mi się zadać mu kilka ciosów w brzuch i w pierś. Walczyłem ze wszystkich sił, co nie zdarzyło mi się od czasów służby w wojsku. Uderzyłem go silnie łokciem w szczękę, wybiłem mu zęby, przeciąłem skórę. Nagle poczułem ostrze noża wbijające się w biodro.

Zaskoczony bólem, rozluźniłem uścisk. Miałem wrażenie, że pękają mi kości, a mój żołądek kurczy się pod ciosami pięści. Zrozumiałem, że moją jedyną szansą jest rewolwer od Shimona. Wsunąłem rękę do kieszeni, ale znalazłem tylko małą fiolkę z olejkiem balsamicznym. Napastnik wyrwał mi ją i rozbił na mojej głowie. Czerwony, gęsty, mdlący płyn rozlał się na moich włosach i twarzy. Wreszcie wydobyłem rewolwer i walnąłem go nim między żebra. I to był koniec walki.

Tymczasem Jane oprzytomniała. Pomogłem jej wstać. Zataczając się, podniosła pergamin i włożyła go do torebki.

Jedną ręką otworzyła drzwi mieszkania, przyciskając drugą do bolącego czoła. Dałem mężczyźnie znak, żeby się zbliżył. *Wystąp, Panie, przeciw tym, co walczą ze mną, uderz na moich napastników! Pochwyć tarczę i puklerz i powstań mi na pomoc. Rzuć włócznią i toporem na moich prześladowców; powiedz mej duszy: „Jam jest twoim zbawieniem”^{*68}.*

Poprosiłem Jane, żeby pottrzymała rewolwer i sznurem od firanki przywiązałem więźnia do kaloryfera. Z bronią w zasięgu ręki zajęliśmy się opatrywaniem naszych ran. Jane obmyła zadrapane kolana i przyłożyła kompres z lodu do rozcięcia na czole. Ja zaś przyłożyłem okład do krwawiącej rany na biodrze, a potem włożyłem głowę pod kran, żeby obmyć się z lepkiej

*Księga Psalmów, Psalm 35, 2-4.

mazi, która przywarła do skóry i włosów. Spojrzałem do lustra – na opuchniętej twarzy miałem czerwone i sine znaki.

Mój przeciwnik nie był w lepszym stanie. Miał około pięćdziesięciu lat. Jego siwe kręcone włosy musiały być kiedyś czarne. W twarzy o ciemnej karnacji błyszcząły żywo brązowe oczy. Zapytałem go po angielsku, kim jest. Odpowiedział po hebrajsku, że nazywa się Kair Benyair.

Pomyślałem, że nareszcie trafiliśmy na jednego z tych, którzy nas prześladowali. Pułapka zastawiona na konferencji na coś się jednak przydała.

–Dlaczego chciałeś zdobyć ten zwój? – zapytałem.

–Z tego samego powodu co ty.

–To znaczy?

–Bo można się z niego dowiedzieć, gdzie jest ukryty skarb esseńczyków.

–Skąd wiesz? Czytałeś ten zwój?

–Nie, nie czytałem. Mówił mi o tym Oze. Dzięki pergaminom odnalazł część bajecznego skarbu Świątyni, cenne przedmioty, stanowiące prawdziwą fortunę. Wszystko to znajduje się nadal w jego mieszkaniu.

Przypomniałem sobie, że widziałem tam mnóstwo cennych przedmiotów, naczynia, antyczne zabytki. Teraz dowiedziałem się, skąd pochodziły.

–Jednak nie odnalazł kryjówki, według niego najważniejszej – dodał Kair.

–Czy wiesz, gdzie jest mój ojciec? Kto go porwał?

–Nie, nie znam twojego ojca.

–A czy wiesz, kto zabił biskupa?

–Tak, widziałem ich. Kiedy przyszli, byłem w pokoju obok. Wyglądało na to, że Oze ich znał. Wybuchła między nimi ostra sprzeczka na temat skarbu. Tamci twierdzili, że nigdy go nie odnajdzie. On zaś odrzekł, że nikt mu w tym nie przeszkodzi. A potem stało się coś strasznego. Uciekłem stamtąd. Boję się. Wiedzą, że pracowałem dla biskupa, i jestem pewien, że mnie teraz szukają. Dlatego uciekłem z Izraela.

Doszedłem do wniosku, że aby natrafić na ślad ojca, trzeba szukać śladu skarbu, no i przekonać się w końcu, co zawiera ten zwój.

Wziąłem więc zwój i zacząłem ostrożnie, drżącymi rękoma go rozwijać. Czułem pod palcami, jak popękana skóra otwiera się jakby za sprawą jakiejś magii. Ukazało się drobne, ciasne pismo. Z pewnością był to zaginiony manuskrypt, o którym mówił profesor Matti. Litery biegły z lewej na prawą, inaczej niż normalnie w języku hebrajskim, co bardzo utrudniało czytanie.

Wkrótce jednak znalazłem proste wyjaśnienie tego, co wszyscy uznawali za celowy kamuflaż. Stwierdziłem, że ponieważ dokument został bardzo ciasno zwinięty, pod wpływem wilgoci tekst odbił się na odwrotnej stronie każdej kolumny, wskutek czego oryginalna

kolumna prawie znikła. Wziąłem lustro i natychmiast ukazały się litery aramejskie w

ich naturalnym porządku, tak jak zapisała je ręka skryby.

Dlaczego nie uważałem bardziej, gdy ojciec uczył mnie starożytnego pisma? Dlaczego nie starałem się posiąść wiedzy, zamiast tracić czas na bezsensowne zajęcia? Być tak blisko celu i nie móc go osiągnąć! Po dwóch godzinach nie wiedziałem więcej niż kilka miesięcy wcześniej.

Tylko niewielu specjalistów umiało odcyfrować drobne, eliptyczne, ciasne pismo skrybów z Qumran. Bez pomocy ojca nie byłem w stanie go odczytać, ponieważ połowa liter rozmyła się i tłumaczenie polegało właściwie na odgadywaniu. Wpatrywałem się w te litery, czytałem je po wielokroć, aż zaczęły wirować w piekielnym tańcu. Nie rozumiałem nic z tego, co czytałem. Pozostawało mi tylko kontemplować ten stary, zniszczony, tak upragniony pergamin, niczym głupiec pozbawiony rozumu. *Lepsza jest mądrość od narzędzi wojennych, lecz jeden grzesznik może popsuć wiele dobrego*^{*69}.

Nie wiedziałem, co robić. Oczywiście nie było mowy, żeby skorzystać z pomocy uczonych. Choćbym nawet znał ludzi zdolnych odczytać to pismo, nikogo nie mogłem być pewny. Wiedziałem jedno: trzeba wracać do Izraela, gdzie znajduje się skarb i być może mój ojciec. Nie chciałem wypuszczać Kaira, w obawie żeby nie zaalarmował swoich współpracowników. Ale on nie miał ochoty na wyjazd. Zaproponował nam układ: skoro zarówno on, jak i my chcemy poznać treść zwoju, to powinniśmy współpracować.

–Jestem ci teraz potrzebna, żeby mieć na niego oko – powiedziała Jane.

–Dam sobie radę sam. Nie sądzę, żeby uciekł. Boi się, szuka go policja. Potrzebuje nas, żebyśmy pomogli mu przejechać przez granicę.

–Nie wolno ci ryzykować, że go stracisz. Nie potrafisz go pilnować i jednocześnie szukać ojca.

–Jakoś sobie poradzę – uciałem.

–Doskonale. Skoro tak, to zmuszona jestem użyć innych sposobów. Jeśli nie zabierzesz mnie ze sobą do Izraela, opiszę całą sprawę w gazecie. Opowiem o wszystkim mojemu szefowi, Donnarsowi, który gorączkowo poszukuje zaginionego manuskryptu.

–Nie zrobisz tego!

–Nie, nie zrobię. Ponieważ pojedę za tobą mimo twojego sprzeciwu. Zresztą nie potrzebuję niczyjej zgody, żeby jechać do Izraela. A ten manuskrypt w jakimś sensie należy także do mnie.

***Księga Koheleta (Eklezjastes), 9, 18.**

Ofiarowuje pomoc wbrew mojej woli. Takie są kobiety. Wiedziałem, że nie powinienem był ustąpić. Przedłużając naszą znajomość, ryzykowałem, że jeszcze bardziej przywiążę się do Jane. Ale wobec jej stanowczości poddałem się.

Tak więc nasza przedziwna grupka udała się do Izraela, gdzie, jak przeczuwałem, znajdowało się rozwiązanie wszystkich naszych problemów.

W samolocie opadły mnie wspomnienia, coraz intensywniejsze, w miarę jak zbliżaliśmy się do celu podróży. Wyobraziłem sobie Jerozolimę w promieniach zachodzącego letniego słońca, owiewaną świeżym wiatrem, czasami nawet, w niektóre wieczory, lodowatym, dającym przedsmak zimy. W myślach zobaczyłem białe mury Starego Miasta, skąpane w złotawym zmierzchu, i Górę Oliwną, oblaną szafranowym blaskiem, o którym trudno powiedzieć, czy pochodzi od słońca czy od księżyca, z firmamentu i gwiazd, od błyskawic, a może od latarni.

Myślami wróciłem do najstarszej części Starego Miasta, Nahalat Shivah, którą próbuje zawładnąć współczesny świat. W jednej z jej bram znajduje się Kahl Hassidim, najstarsza w tej części miasta niewielka synagoga, do której czasami chodziłem. Jej ściany pokryte są plakietkami upamiętniającymi tych, którzy już dawno temu rozsypali się w proch. W wąskich uliczkach piesi idą chodnikami, przeskakując z jednej strony na drugą za każdym razem, gdy przejeżdża jakiś samochód. Zdarza się, że to same pojazdy skręcają w bok, by nie potrącić przechodniów. Niektóre przejścia są tak wąskie, że trzeba przeciskać się przez nie gęsiego. Teraz miałem wrażenie, że te stare ulice zostały wzięte w posiadanie przez nowe czasy, przez współczesny świat. Mury i bramy, słabo oświetlone światłem dnia, a już muśnięte blaskiem księżyca, wydawały się płonąć.

Powstań! Świeć, bo przyszło twe światło i chwała Pańska rozbłyśka nad tobą. Bo oto ciemność okrywa ziemią i gęsty mrok spowija ludy, a ponad tobą jaśnieje Pan, i Jego chwała jawi się nad Tobą^{*70}.

Widząc mój kraj, poczułem się szczęśliwy. W samolocie z trudem hamowałem niecierpliwość, jakby po naszym przybyciu miało się wydarzyć coś cudownego, jakby miała nastąpić odmiana. I rzeczywiście tak się stało. Gdy lecieliśmy nad Izraelem, podziwiałem długą plażę w Tel Awiwie, morze i wspaniałe budowle. Czułem się, jakby to był powrót – *alija*, jakbyśmy byli emigrantami, odnajdującymi w dalekiej krainie swoje od wielu wieków utracone miejsce na ziemi, którego nigdy nie widzieli i nie poznali. Tu znowu czułem się sobą. Nie byłem wśród tłumu tworzącego diasporę, w którym rozpaczliwie szukałem podobnych do mnie

*Księga Izajasza, 60, 1.

Żydów. Odzyskiwałem własną osobowość, byłem znowu u siebie. Już nie musiałem walczyć, by usprawiedliwić swoją egzystencję. Nie szukałem wspólnoty. Tutaj był spokój płynący ze źródła. Przez całe wieki poznawałem, czym jest diaspora. Teraz wróciłem. Żyd tułacz postawił bagaże na swojej ziemi.

Fala ciepła, które delikatnie nas otuliło, gdy wyszliśmy z samolotu, nappełniła moje serce radością. W taksówce wiozącej nas do Jerozolimy poczułem, że ogarnia mnie spokój. Nigdzie nie było mi tak dobrze jak tutaj. Otoczyła mnie niezwykła, niepowtarzalna atmosfera. Tutaj wszystko miało inny sens, już nie musiałem walczyć o życie.

Gdy pokonaliśmy pierwszy zakręt, był to znak, że wjechaliśmy na drogę pnącą się ku Jerozolimie. Choć jechałem nią tysiące razy, teraz nie mogłem doczekać się jej końca. Nie był to tylko powrót do siebie, do domu, nadzieja na odpoczynek po bardzo długiej podróży. W miarę jak wspinaliśmy się pod górę, uświadomiłem sobie, że po przybyciu na szczyt spodziewałem się tam zastać lepszy świat. Przede mną zaczynały się rysować pierwsze mury, coraz wyraźniejsze, aż wreszcie stały się całkowicie realne. Przez ten czas moje serce drżało z radości, a dusza ulatywała ku niebu. Miałem wrażenie, że wstępuje we mnie Duch Boży, byłem nim upojony. Mówiłem sobie, że już wkrótce go odnajdę. W tym momencie stwierdziłem, że ogarniające mnie uczucie to eschatologiczna niecierpliwość. Myśl o Bogu wprawiała w drżenie moją duszę. Działo się ze mną coś niezwykłego.

Przypomniał mi się psalm, który mówił, że jeśli się zachwieję, Bóg w swej dobroci ocali mnie, że jeśli popełnię błąd, Bóg mnie usprawiedliwi, że jeśli przytrafi mi się jakieś nieszczęście, Bóg nie da mi stoczyć się w przepaść, uczyni moje kroki pewniejszymi. Mówił, że Bóg już osądził mnie sprawiedliwie, że w swej niezmiernej dobroci wybaczył mi wszystkie nieprawości, że będąc sprawiedliwym, oczyścił mnie z brudów i grzechów synów ludzkich, aby mogła być sławiona sprawiedliwość Boża i majestat Najwyższego.

Boska intuicja dodawała otuchy memu sercu i podnosiła na duchu, wiodła mnie, nieważne jakim kosztem, ku połączeniu ze Stwórcą. Poprzez Jego imię wzywałem imię mego ojca, jakby był tutaj, we mnie, a ja w nim, jakby to Bóg we własnej osobie zapowiadał, że on nie umarł, że żyje poprzez mnie i poprzez Niego, że już wkrótce go odnajdę i wtedy wszyscy będziemy zjednoczeni. I było to pocieszenie. Rozum nakazywał, bym nie dał się zwieść, podpowiadał za pośrednictwem dobrze znanych mi słów, że ulotność nadprzyrodzonej intuicji jest tylko przejawem lenistwa umysłu i przeciwieństwem racjonalizmu złapanego na lep wyobraźni. Ale rozum na próżno mnie upominał. Choć sam tego nie pojmowałem, poddałem się uniesieniu.

Moje miasto nie było zbyt wielkie ani specjalnie ważne w dzisiejszym tego słowa znaczeniu. Prawdę mówiąc, w ogóle nie powinno go tu być. Jak Ur w Chaldei i starożytny Babilon powinno już od dawna stać się stosem gruzów. Ale Jerozolima, odbudowana z popiołów, nadal żyje. W ciągu minionych tysiącleci nie zdołali podbić jej na dłuższy czas ani Bizantyjczycy, ani Persowie, ani Abbasydzi, ani władcy Bagdadu, ani Fatymidzi, ani Mamelucy, ani Egipcjanie, ani Turcy otomańscy, ani Anglicy.

Jerozolima to wieczność. To kamienne schody we wspaniałych murach, które obiegają miasto siedem razy, podobnie jak jest siedem bram, siedem świec w świeczniku, siedem dni w

tygodniu. Przy siódmym murze, otoczonym morzem głów w kapeluszach, słyhać modlitwy, szeptane prośby. Za tym murem znajduje się Wzgórze Świątynne, gdzie nasz praojciec obraził Wiekuistego, a ten przeklął ludzi. Jerozolima to urwiste stoki wzgórz, poza bramą spraw nieczystych, gdzie miasto zwycięskiego króla, przycupnięte na zboczu dominującym nad doliną Cedronu, czerpało wodę z jedyne go niewysychającego źródła. A wyżej góra porośnięta niewysokimi drzewami, tysiącletnia kraina niezwykłych ludzi, w samej dolinie zaś grób zbuntowanego syna i piramida zagniewanego proroka, kolumny do nieba, reliefy. To grobowiec dzielnego króla, zamieniony w meczet ze sklepionym stropem, z chybotliwym światłem świec, z pomieszczeniem sprofanowanych zwojów. To ludzie spaleni żywcem na stosie, płonące księgi, wyszydzone słowa. To droga cierpień, krwawy marsz gnębionych, mesjanistyczny krzyż, stacje męki, cel kalwarii, oddanie się niebu. To podtrzymywany kolumnami meczet Omara, gdzie na Sądzie Ostatecznym będzie Ważona każda dusza. To rzymskie pismo i tajemnicze inskrypcje na murach, na ziemi i w jej czeluściach, gzymsy domów, białe domostwa, nowy kamień, wołanie świętej góry do Ezry i Nehe-miasza, gdy wrócili z wygnania, z gett w Sanz, Mattersdorfie, Ger lub Bez, gett Maroka, i ci, którzy po powrocie umieli zrozumieć to miasto i czytać w jego bezkresnych murach, pokrytych pyłem i plamami: to wszystko moja ziemia i nigdy jej nie zapomnę.

Kiedy słońce wstaje nad wzgórzami Judei, na Stare Miasto pada cień. Ale na wschód od doliny Cedronu znajduje się góra, która zawsze pierwsza jest oświetlona.

Na jej zboczach leży najstarszy na świecie cmentarz żydowski, a rosnące u podnóża gaje oliwne i cyprysowe przypominają o miejscu zwanym dawniej Getsemani, świadczą o jego odległej historii, o sprawach ukrywanych od początku świata. Miejsce to ukochał Jezus, tu szukał spokoju, tu modlił się w samotności. Tu znalazł schronienie przed nocą. I tu, jak powiadają, został zdradzony.

A dalej, za wzgórzami, jest pustynia. Niżej, za murami obronnymi, wznosi się miasto, traktujące z beztróską swoją starożytnością. W samym jego centrum stoi mur. Tu kiedyś była, dziś nieistniejąca, dwa razy burzona Świątynia, Święte Świętych, w samym sercu pałacu ze złota i drewna cedrowego, domostwo, gdzie Bóg zawsze mógł się schronić. Nikt nie miał prawa tam wchodzić, tylko arcykapłan w dzień święta Jom Kippur. Mówi, że kiedy Świątynia została splądrowana, pewien rzymski dowódca wszedł do środka, gdyż chciał zobaczyć miejsce, które Żydzi zachowywali tylko dla Boga. Chciał poznać jego tajemnicę. Ale kiedy podniósł zasłonę, niczego za nią nie znalazł. To centralne miejsce, najświętsze ze wszystkich, płonące serce Jerozolimy, płonące serce Świątyni, było puste. Marność nad marnościami i wszystko marność.

Udaliśmy się do niewielkiego hotelu za murami, niedaleko Starego Miasta. Nie pojechałem do domu rodziców, znajdującego się w nowej części miasta, w dzielnicy Rehavia, żeby nie musieć mówić matce, że ojciec zniknął. Pragnąłem jednak zobaczyć Mea Shearim, pokazać to miejsce Jane. Kair został w hotelu, nie chciał wychodzić, narażać się niepotrzebnie na niebezpieczeństwo. Wiedział, że szuka go policja oraz tajemniczy człowiek, który krzyżuje swoje ofiary.

Pojechaliśmy autobusem aż do nowego miasta, do ulicy proroków w Mea Shearim. Jane ubrała się skromnie. Włożyła spódnicę do kostek i bluzkę z długimi rękawami. W tej dzielnicy rzadko widywało się takiego jak ja chasyda w towarzystwie niezamężnej kobiety. Pokazałem jej synagogę, kilka jesziw, domy moich przyjaciół. Na rogu jednej z ulic dostrzegłem Yehudę. Gdy go zawołałem, podbiegł do nas.

–Gdzie się podziewałeś tyle czasu? – zapytał.

–Moja podróż trwała nieco dłużej, niż przewidywałem. Przedstawiam ci Jane.

Nie podała mu ręki, wiedziała już bowiem, iż chasydzi nigdy nie dotykają kobiety, chyba że jest to ich żona.

–Usiądźmy gdzieś – zaproponował Yehuda. – Mam ci coś ważnego do powiedzenia.

Poszliśmy do kawiarni, jednej z niewielu w tej dzielnicy, prowadzonej przez chasyda.

Yehuda opowiedział mi, że spędzał dni w *kolei*, jesziwie przeznaczonej dla żonatych mężczyzn, którzy poświęcili życie studiowaniu Talmudu. Dostał trochę pieniędzy z jesziwy, a jego żona pracowała w przedszkolu.

–Znasz tę niezwykłą nowinę? – zapytał z radosną i zarazem tajemniczą miną.

–Jaką?

–Nie słyszałeś o tym w Stanach Zjednoczonych?

–O co chodzi?

–Rabbi ogłosił, że pojawił się Mesjasz.

–Co takiego?

–Ujawnił się.

–Kto? – Nie kryłem zaskoczenia.

–Rabbi powiedział, że to on jest Mesjaszem i że niedługo nastąpi koniec świata.

Zaniemówiłem. Co skłoniło osiemdziesięciodwuletniego rabiego do takiego oświadczenia?

Dlaczego właśnie teraz?

–Naprawdę wierzysz, że on jest Mesjaszem?

–Przyznaję, że przedtem, gdy spotykałem go rzadziej, miałem te same wątpliwości co ty.

Ale teraz, gdy jestem jego zięciem i uczniem, poznałem go lepiej. Wierzę, że to święty człowiek.

A nawet więcej. Wierzę, że rabbi wszystkich nas wyzwoli.

Pojałem, co chciał przez to powiedzieć. Zostawiłem Yehudę jako młodzieńca, dopiero co ożenionego, świeżo upieczonego absolwenta jesziwy, a teraz widziałem człowieka z otoczenia rabiego, gdzie z pewnością pełnił jakieś ważne funkcje. Należał do wybranych, którzy przebywali blisko rabiego, widywali go na co dzień.

–Czy nie uważasz, że źle się dzieje na tym świecie? I jest coraz gorzej – wojny, bieda, niesprawiedliwość. Wierzono, że okropieństwa drugiej wojny światowej już się nie powtórzą. Jednak jest inaczej. Wojna w Zatoce Perskiej, czystki etniczne w byłej Jugosławii, ludobójstwo w Rwandzie. Wszędzie na świecie panuje zło. A i na naszej ziemi, w naszym własnym kraju, wciąż toczy się walka, której początki sięgają powstania państwa Izrael. Wojna Goga i Magoga! Spójrz na Jerozolimę! Teraz wreszcie możemy mieć nadzieję, że w najbliższej przyszłości nadejdą lepsze dni. Czekamy na szybkie objawienie. Jest bardzo bliskie. Nie czujesz tego? Bóg wreszcie

wysłuchał naszych modlitw i spełni nasze prośby. Wybrał rabiego, zesłał go na ziemię, aby nas wybawił. Ary – powiedział Yehuda nieco ochryłym głosem, nachylając się do mnie, jak to robił dawniej, chwytając mnie za ramiona – za rok będziemy mieli rok dwutysięczny!

–Rok dwutysięczny mieliśmy trzy tysiące siedemset pięćdziesiąt dziewięć lat temu. Nie jesteśmy chrześcijanami. Dla nas ta data niewiele znaczy.

Yehuda puścił moje ramię i pokiwał głową.

–Nie zdajesz sobie sprawy z tego, co już wkrótce dane nam będzie zobaczyć... Jeśli nie okażesz skruchy, nie będziesz zbawiony, nie dostaniesz się do...

–...do Królestwa Niebieskiego – dopowiedziałem bezwiednie.

Nagle przypomniałem sobie sen, który miałem przed wyjazdem do Stanów Zjednoczonych. Przyśniło mi się, że siedziałem z Yehudą w samochodzie, który jechał za autobusem, wspinając się do nieba. Autobus symbolizował świat zewnętrzny, chrześcijański, zbawiony przez Jezusa, a mały samochód to był nasz własny świat. Obudziłem się z krzykiem: „Nie teraz!“. Nie byłem pewny, czy chcę tak szybkiego nadejścia Mesjasza. Co tak naprawdę może dać nam ten drugi świat?

–Słuchaj, jutro jest wielkie święto Lag ba-Omer – powiedział Yehuda. – Jak zawsze chasydzi będą mieli jedno stoisko. W tym rokują się tym zajmuję. Ogłosimy tę nowinę wszystkim. Nie zechciałbyś mi towarzyszyć?

Zgodziłem się spotkać z nim następnego dnia. Nie dlatego, żeby nowina zrobiła na mnie wrażenie, ale w mojej głowie zarysował się pewien plan, który, jak się potem okazało, nie był tak zupełnie przypadkowy.

Kiedy rozstaliśmy się z Yehudą, Jane zadała mi kilka pytań dotyczących jego i mnie. Opowiedziałem jej, jak się ożenił, i o tym, w jaki sposób zaaranżowano to małżeństwo.

–Ty też ożenisz się w ten sposób?

–Ja będę musiał udać się do specjalnego swata, ponieważ moi rodzice nie są wierzący.

–Macie specjalnych swatów dla takich ludzi jak ty?

–Tak. Zajmują się ludźmi niedostosowanymi do społeczeństwa albo takimi, którzy modlą się za dużo, za intensywnie, takimi, którzy za dużo studiują lub za dużo poszczą, mają depresję, cierpią z powodu problemów emocjonalnych. Jak widzisz, o nikim nie zapomniano.

Zaczynało zmierzchać. Na twarzy Jane odbijały się złote refleksy miasta. Oczy miała smutne, błyszczące.

–Zajmują się także takimi, którzy pochodzą z mieszanych małżeństw, sefardyjczyków z aszkenazyjczykami, jak również sefardyjczyków, którzy studiowali w jesziwach i stali się „czarni”, to znaczy ubierają się tylko na czarno, a także pragną żenić się z dziewczynami aszkenazyjskimi. Swaci starają się więc znaleźć im dziewczyny mające jakąś ułomność fizyczną lub takie, które nie mają posagu.

–A jeśli to jakaś dziewczyna sefardyjska kogoś szuka?

–Jest bardzo prawdopodobne, że nie znajdzie nikogo, ponieważ klienci swatów, zarówno aszkenazyjczycy, jak i sefardyjczycy, nie chcą dziewcząt sefardyjskich.

–A kogo mogą znaleźć kobiety z problemami emocjonalnymi?

–Na ogół kobiety nie mają problemów emocjonalnych przed zamążpójściem. W każdym razie – dodałem, widząc jej zdziwioną minę – w gminie nic o tym nie wiemy. Rodzina o tym nie mówi w obawie, że nie znajdą dla nich męża. Inaczej jest z chłopcami. Tu nie da się niczego

ukryć. Chłopcy są codziennie w synagodze, w jesziwach, na ulicy, podczas gdy dziewczęta widzi się tylko raz w roku w synagodze.

–Co się dzieje, kiedy zawarta zostaje umowa?

–Przyszła para spotyka się po raz pierwszy w obecności rodziców. Po prezentacji zaczyna się rozmowa o różnych rzeczach. Po kilku minutach rodzice wychodzą do drugiego pokoju, zostawiając młodych samych. Drzwi są uchylone, żeby nie byli zupełnie odizolowani, bo to jest zabronione przed zawarciem małżeństwa.

–I o czym rozmawiają?

–O studiach, o ogólnych problemach. Czasami nie mówią nic. Dziewczyna na ogół jest bardzo nieśmiała. Potem się rozstają i zobaczą się ponownie dopiero w dniu ślubu.

–Czy dziewczyna lub chłopak mogą odmówić?

–Nie. Wierzą, że rodzice zrobili co w ich mocy, mają całkowite zaufanie do ich wyboru.

–Ile małżeństw w Mea Shearim jest tak właśnie aranżowanych?

–Sądzę, że wszystkie, albo prawie wszystkie. Nawet jeśli rodzice się znają i

przypuszczają, że ich dzieciom dobrze będzie razem, wolą skorzystać z pośrednictwa swata. Tym sposobem małżeństwo aranżuje osoba postronna.

–A potem?

–Po ślubie dziewczyny pracują, dopóki nie urodzą pierwszego dziecka. Uczą w szkole czy przedszkolu albo znajdują jakieś zajęcie w gminie.

–To one zarabiają na życie?

–Tak, ponieważ chłopcy studiują. Ale kontrakt małżeński gwarantuje im mieszkanie. Mimo skromnych dochodów udaje im się radzić sobie z pomocą rodziny, przyjaciół i pożyczek z banku.

–A jeśli jakaś gojka chciałaby poślubić Żyda?

Drgnąłem. Przecież знаła odpowiedź na to pytanie. Zrozumiałem, że to prowokacja. Zdałem sobie sprawę, że opowiadając jej o małżeństwie, przypomniałem jej, że nasz związek byłby niemożliwy, i tym sposobem ją zraniłem.

Wracając do naszego hotelu, przeszliśmy przez zachodni odcinek murów zewnętrznych na Górze Świątynnej. Była piąta po południu, zbliżał się wieczór. Gdy szło się wąskimi kamiennymi schodami nad placem, można było zobaczyć modlących się przed Ścianą Płaczu, a trochę dalej wracających z meczetu Omara po ostatnich modłach. Popołudniowe słońce rzucało czerwone światło na mur, który, choć był to tylko fragment, przypominał tamtą przepiękną Świątynię i tamtą Jerozolimę z wielkich białych bloków kamienia. To święte miejsce, dziś puste, niegdyś świadek straszliwych wydarzeń, buntów, nadużywania prawa przez ród Sadoka, czczenia bożków przez Antiocha Epifanesa, zburzone i odbudowane, a potem ponownie zburzone, nigdy już nie zrekonstruowane, nie doszło jeszcze do końca swej burzliwej historii, stracone i odzyskane, wyśnione, zanim jeszcze powstało, wyobrażane od dawien dawna, od czasów Babilonu, przez wygnańców nad rzeką Kebar, gdzie niebiosy otworzyły się przed natchnionymi prorokami, gdy wichur nadleciał z północy i gdy ogień błyskawicy oślepił wiernych. W swoich proroczych wizjach oglądali oni wielką kwadratową platformę z sanktuarium Boga, bramy, przedsionki i Święte Świętych. W proroczym transie widzieli

dokładne położenie i rozmiary każdego muru, każdej bramy i każdego okna, bo dla nich był to tajemny kod świętości. W ekstazie wyobrażali sobie harmonię proporcji, lustra i święte pomieszczenia. Ale była to tylko utopia, bo kiedy wygnańcy wrócili z Babilonu i gdy wzniesli Świątynię na górze Moria, to w zbudowanym przez nich sanktuarium kapłani, pielgrzymi i pokutnicy rozdzielili się, zamiast wspólnie pomyśleć o planach idealnej Jerozolimy. Miary nieszczęścia dopełnił Herod, narzucony przez Rzymian despota, który przedsięwziął rekonstrukcję Świątyni na

górze Moria i na tej jednej z najpiękniejszych budowli imperium rzymskiego umieścić pieczęć z królewskim złotym orłem, symbolem bluźnierczego Rzymu. W chwili gdy powstawały manuskrypty znad Morza Martwego, Świątynia wypełniła się bezeceństwem – każdego ranka składano w niej ofiary cesarzowi, każdego dnia sanktuarium stawało się siedzibą obrazoburczego boga.

I oto po dwóch tysiącach lat naukowcy szukają jej śladów nie pod meczetem Omara, gdzie, jak dotąd uważano, miała znajdować się Świątynia wzniesiona przez Heroda, lecz trochę dalej, gdzie wykopaliska odsłoniły fragmenty Świątyni. Zacząłem sobie wyobrażać, jak wyglądałaby zrekonstruowana Świątynia, gdyby w trakcie poszukiwań rzeczywiście określono jej prawdziwe położenie.

W mojej wyobraźni nie otaczał jej żaden mur, była budowlą otwartą, z bramami, przez które można było z wewnętrznych dziedzińców łatwo wejść w jej obręb. Poprzecinana zadaszonymi przejściami i szerokimi alejami, składała się z wielu obszernych pomieszczeń. Z dziedzińca widać było każdą komnatę, a z każdej komnaty widać było dziedziniec i wszystkie te pomieszczenia łączyły się ze sobą w amfiladzie. Różniły się między sobą rozmiarami i kształtem. Jedne były prostokątne, o wymiarach dwanaście metrów na osiem, inne trójkątne o wymiarach piętnaście metrów po bokach i dziesięć u podstawy, jeszcze inne miały kształt trójkąta równobocznego z dwunasto-metrowymi bokami, kolejna komnata była idealnie okrągła, o promieniu trzydziestu dwóch metrów, następna sześciokątna o bokach długości ośmiu i dwunastu metrów, potem owalna, z obwodem długości pięćdziesięciu dwóch metrów, następna miała formę elipsy o promieniu dziewięciu metrów, jeszcze inna najpierw była kwadratowa, a potem okrągła, jeszcze inna miała kształt podłużny, następną sklepień bardzo wysoki sufit, a inną bardzo niski, jedna była z posadzką z płytek, a druga z lustrzaną podłogą, w jeszcze innej podłogę pokrywał miękki dywan, a w kolejnej wschodni kobierzec, w jednej wisiał wspaniały żyrandol, a w drugiej zwykła lampa, jedna miała okiennice, a druga zasłony, w jednej okna były rozsuwane, a w innej dwuskrzydłowe, jedną z komnat pomalowano na żywe kolory, a inną wyłożono drewnem. A mimo to, przechodząc jedna w drugą, tworzyły całość.

Na dziedzińcu przed świątynią stały cztery stoły, które służyły do składania ofiar. Leżały na nich rozwinięte zwoje Tory. Przy portyku zewnętrznym, gdzie szło się pod górę, w przedsionku bramy, która otwierała się na północ, znajdowały się jeszcze dwa inne stoły. Naprzeciwko tej bramy stały kolejne dwa stoły, razem więc było osiem stołów ofiarnych, wyciosanych z kamienia, długości jednego i pół metra, szerokich na metr i na metr wysokich. Przy każdym modlił się inny ofiarnik, a więc jeden przeznaczony był dla kapłana saducejskiego, drugi dla mnicha esseńskiego, inny dla rabina faryzejskiego, jeszcze inny dla rabina ortodoksyjnego, następny dla rabina liberalnego, kolejny dla rabina reformowanego, którym była kobieta. No i jeden „dla tego, który chciał, i drugi dla tego, który nie chciał”. Wśród komnat, których okna

wychodziły na wewnętrzne dziedzińce, część zarezerwowana była dla kantorów, a te, których okna wychodziły na dziedzińce zewnętrzne, przeznaczone były dla rabinów, odpowiadających za Dom Boży, mających kontakt z Wiekuistym w trakcie odprawiania modłów, ponieważ byli potomkami Lewiego.

W centrum znajdował się przedsionek, a wchodziło się do niego po wielu stopniach. Przylegał on do sekretnego miejsca Świątyni, a miał długość siedemdziesięciu metrów i szerokość czterdziestu i pół metra. Od zewnątrz wspierał się na filarach, miał okna, a ściany komnat z drewnianą podłogą wyłożone były drewnianą boazerią. W boazerii wyrzeźbiono cherubiny i palmy. Każdy cherubin miał dwie twarze, a wszystkie bardzo się między sobą różniły. Wkoło stały rzeźby z drewna, przedstawiające cherubiny i palmy. *Synu człowieczy, to jest miejsce tronu mojego, miejsce podstawy moich stóp, gdzie chcę na wieki mieszkać pośród Izraelitów. Już dom Izraela ani oni, ani ich królowie nie będą kalać mego świętego imienia przez swe wiarołomstwa oraz przez zwłoki swych królów, jak również przez kult wyżyn...*
*71.

Było to Święte Świętych, domostwo Boga, do którego dostęp miał tylko arcykapłan. I to on wzywał syna człowieczego, to on objawiał mi się w wyobraźni pod postacią rabiego. Czy to on miał być tym, który zjednoczy lud, Królem-Mesjaszem, który wybawi cały Izrael? Arcykapłan, niegodziwy kapłan, Syn Ciemności lub Syn Światła... Kim był naprawdę?

Nagle ocknąłem się z moich marzeń.

Na placu Świątynnym nie było już nikogo. Postaliśmy tam jeszcze jakiś czas i późną nocą wróciliśmy do hotelu. Szedłem chwiejnym, niepewnym krokiem, jak somnambulik. Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu – czy to był sen, wizja prorocza, trans, czy rzeczywistość? – Złota Brama na górze Moria, naprzeciwko Góry Oliwnej, zamurowana od 1530 roku, tej nocy stała otworem. Owiani świeżym wiatrem Jerozolimy, przeszliśmy przez tę bramę i dotarliśmy do hotelu.

*I rzekł do mnie Pan: „Ta brama ma być zamknięta. Nie powinno się jej otwierać i nikt nie powinien przez nią wchodzić, albowiem Pan, Bóg Izraela, wszedł przez nią. Dlatego winna być ona zamknięta. Jedynie władca może w niej zasiadać do uczt przed obliczem Pana. Wchodzić nią jednak winien przez przedsionek przy bramie i tą samą drogą znowu wychodzić”^{*721}.*

Nazajutrz wyjaśniłem Jane, dlaczego zdecydowałem się pójść na święto Lag ba-Omer. Obchodzono je na pamiątkę ostatniego, krótko trwającego buntu żydowskiego pod wodzą Shimona Bar Kochby w 135 roku naszej ery. Bar Kochbę wspierał rabbi Akiwa, który uważał się za Mesjasza. Na święto to przybywało wielu pobożnych Żydów, a wśród nich także chasydzi. Wszyscy bowiem, sefardyjscy i aszkenazyjscy, mogli przy tej okazji oddać cześć zasłużonym rabinom, takim jak

rabbi Shimon Bar Jochaj. Jednak tak wielkie zgromadzenie było także szansą dla Beduinów, którzy przybywali tu, by sprzedać swoje produkty. Wiedziałem, że

**Księga Ezechiela, 43, 7. *Księga Ezechiela, 44, 2-3.*

zazwyczaj przyjeżdżali tu Beduini z plemienia Taamireh, którzy pierwsi wpadli na ślad zwojów.

Poprosiłem więc Jane, żeby została w hotelu i pilnowała Kaira Benyaira, a sam wsiadłem w autobus jadący do Meron. Setki autobusów, ciężarówek, samochodów osobowych wiozło tłumy ludzi z zatłoczonej Jerozolimy do Galilei, do stóp wzgórza. Sto tysięcy osób przyjechało na święto Lag ba-Omer. Niektórzy stawiali namioty blisko grobów rabinów. Chorych przynoszono na noszach. Żebracy wyciągali swoje miseczki, kłócąc się między sobą o miejsca przy wejściach do sanktuarium. Kupcy sprzedawali najróżniejsze przedmioty, jedzenie i napoje.

Wmieszałem się w tłum, chcąc odnaleźć chasydów. W końcu trafiłem na namiot z beżowego płótna, stojący tuż obok grobu rabiego Shimona. Zajrzawszy do środka, zobaczyłem kilka plansz na stojakach oraz rozrzucone w nieładzie pobożne książki i tefiliny. Przy drugim wejściu dostrzegłem Yehudę, który przez tubę ogłaszał przechodniom nowinę:

–Mesjasz jest blisko! Już nadchodzi! Wkraczamy w erę mesjańską!

Potem złapał za ramię jakiegoś młodego żołnierza i namawiał go, żeby założył filakterie. A gdy ten odmówił, wdał się z nim w dyskusję. W końcu młody chłopak oddalił się szybkim krokiem.

Wówczas Yehuda odwrócił się i podszedł do mnie.

–Ary, jak się cieszę, że cię widzę! Pomożesz mi?

–Najpierw trochę się rozejrzę i zaraz do ciebie wrócę.

W pobliżu namiotu chasydów stare kobiety rozkładały na drewnianych deskach karty do wróżenia.

–Podejdźcie tutaj! – krzyczała jedna z nich. – Przyjdźcie się przekonać, czy Mesjasz jest wśród nas.

Trochę dalej kilku młodych ludzi dźwigało zwój Tory, podczas gdy obok formował się już taneczny krąg. Jakaś grupa chasydów niosła transparent z napisem: *We wantMachiah now.*

W atmosferze zbiorowego szaleństwa Tora dotarła do grobu. Wszyscy zaczęli

tańczyć w szybkim rytmie, nucić magiczne melodie, wprawiając się w trans w dymie świec i kadzideł.

Wreszcie odnalazłem namiot Beduinów. Sprzedawali sztuczną biżuterię własnego wyrobu.

–Gdzie jest plemię Taamireh? – zapytałem.

–My jesteśmy z plemienia Taamireh – odpowiedzieli. Wyjaśniłem pokrótce, że chciałbym porozmawiać z nimi o grotach i o znalezionych przez nich dzbanach z manuskryptami. Przyprawdzili starego przywódcę, któremu powtórzyłem moją prośbę.

–Musisz pogadać z Johim – powiedział, wysłuchawszy mnie, po czym wrócił do namiotu.

–Kim jest Johi? – zapytałem innych Beduinów.

–Johi to ten, który odszedł. – Dokąd?

–Jest strażnikiem grobu.

Przepchałem się przez tłum i skierowałem się do grobu Shimona Bar Johaja. Był to niewielki kamienny domek, gdzie w głównym pomieszczeniu znajdowała się piwnica grobowa, wykopana bezpośrednio w ziemi. Wewnątrz tłoczyli się starzy ludzie, kalecy i biedacy, którzy przybyli tu, aby prosić o odmianę losu.

Choć nigdy przedtem nie widziałem Johiego, poznałem go od razu. Miał bardzo ciemną, przypominającą pergamin skórę, wąskie, przenikliwe, czarne oczy i siwe włosy do połowy ukryte pod turbanem. Siedział przy samym wejściu na starym krześle. Wyglądał, jakby medytował.

–Czy ty jesteś Johi?

–Tak, to ja.

Czekał chyba, że rzucę jakiś datek, jak to czynili inni przed wejściem do grobowca. Włożyłem banknot do jego miseczki. Zaskoczony, podniósł na mnie wzrok.

–Czy opuściłeś swoje plemię? Skinął głową.

–Kiedy?

–Jakiś czas temu.

–To ja kazałem mu odejść, Ary – powiedział ktoś za moimi plecami.

Drgnąłem. Ten chrapliwy głos był mi dobrze znany. Powoli się odwróciłem. To był Yehuda.

–To ja znalazłem mu to zajęcie i kazałem opuścić plemię. Czego od niego chcesz? – zapytał tonem, jakiego nigdy u niego nie słyszałem.

–A co ty masz do niego?

–Ten człowiek jest nam potrzebny, ponieważ zna miejsce, w którym znajdują się manuskrypty z Qumran.

–Manuskrypty z Qumran! A co to ma wspólnego z tobą? Czy to rabbi cię przysłał?

–Tak. Powiedział, że w manuskryptach jest mowa o nim. Chce je mieć, ponieważ mówią o Mesjaszu i zapowiadają jego przybycie już wkrótce, w pięć tysięcy siedemset sześćdziesiątym roku.

–To prawda? – zwróciłem się do Beduina. – Wiesz coś o manuskryptach? Po chwili milczenia zapytał:

–Chodzi ci o zwoje z Qumran?

–Tak.

–To mój ojciec je znalazł.

Kończyła się noc i zaczęły pojawiać się pierwsze oznaki świtu, gdy Yehuda i ja pożegnaliśmy się z Johim. Chasydzi zakładali już swoje tefiliny i zabierali się do porannej modlitwy. Modląc się tak w mroku, w dopiero rodzącym się brzasku, twarzami zwróceniu ku Ścianie Płaczu, odnajdywali spokój.

Niewielka grupka chasydów usiadła na ziemi, tworząc krąg. Jeden z nich zaczął grać na klarncie. Melodia płynęła z głębi jego duszy, każda nuta była niczym głębokie westchnienie.

Wyrażał się w niej cały smutek świata. Wyczuwało się w niej oczekiwanie na Mesjasza i pierwsze zapowiedzi zbawienia.

Tego ranka naprawdę czułem się chasydem. Moje cierpienie było wielkie, a radość stłumiona. Za dużo było wokół mnie nieszczęścia.

ZWÓJ SZÓSTY *Zwój grot*

I oto tajemnica; bezbożni zmieniają dzieła prawdy, które przekształcają w kłamstwo. Nie zapisują moich słów, lecz głoszą nikczemność w moim imieniu, według ich życzenia i ich woli.

I oto druga tajemnica: wierni, święci, sprawiedliwi czytają dzieła według ich prawdy.

Zwoje z Qumran

Księga Henocha

Na początku Bóg stworzył mężczyznę i kobietę, ale kiedy popełnili grzech, przeklął istoty, które były mu nieposłuszne. Kobiecie powiedział, że będzie rodziła w bólach i pragnęła mężczyzny, który będzie nad nią dominował. Mężczyźnie przepowiedział, iż będzie pracował w pocie czoła, że wróci do ziemi, z której powstał, że w proch się obróci. Potem ustawił na wschód od Edenu cherubiny, aby błyszczącymi mieczami strzegły drogi do drzewa życia. Ale dlaczego Bóg stworzył człowieka wolnym, jeśli miał on zapłacić swoim życiem cenę tej wolności? Po co dawać, żeby potem odbierać?

–To twój ojciec odnalazł manuskrypty? – zapytałem Johiego.

–Tak.

–A gdzie jest teraz?

–Nie żyje. Zabito go.

–Opowiedz mi, jak to się stało. Nie obawiaj się mnie. Porwano mojego ojca i chciałbym go odnaleźć.

I wówczas Johi opowiedział całą prawdę. Nigdy nie było żadnej zagubionej owcy ani kamienia wrzuconego do groty – nie tak odnaleziono manuskrypty. Pewnego dnia do obozu plemienia Taamireh przybył nieznajomy. Wyglądał jak Beduin, ale mówił nieznanym językiem. Jak to było w zwyczaju, gość został przyjęty z wielkimi honorami: rozłożono kilim, poczęstowano go słodką herbatą, podaną na najpiękniejszej tacy, jaką posiadało plemię. Potem zaparzone kawę w pięknie zdobionej czarce.

Tego dnia, jak zawsze, czarne namioty ustawione były w długiej linii, zwrócone wejściem na południowy zachód. Panował idealny spokój. Letni dzień skłaniał do tego, by położyć się na słońcu, nic nie robiąc, a potem, kiedy słońce będzie już w zenicie, zasiąść w cieniu namiotu, odpoczywając i poszcząc.

Wiedziałem co nieco o życiu Beduinów. Opowiadał mi o tym ojciec, który w latach młodości miał wśród nich przyjaciół. Mówił, że po wejściu do ich czarnych lub białych namiotów miało się wrażenie, że to oaza spokoju. Dookoła rozciągała się bezkresna groźna pustynia, gdzie woda jest rzadkością, dni są gorące, a noce wyjątkowo zimne. Wspominał, że kiedy spędzał noc w ich namiocie, budził się wcześniej i trząsł z zimna aż do świtu. Wychodził wówczas przed namiot i obserwował, jak czarno-biały pejzaż z wolna nabierał barw, aż do chwili, gdy wstawało słońce. Wtedy szybko robiło się ciepło, po kilku godzinach pustynia nabierała kolorów. Pustynia wywarła na ojcu ogromne wrażenie. Mówił, że jej cisza

przeraża tych, którzy przywykli do miejskiego hałasu, którzy nigdy nie poznali, czym jest absolutna samotność. Na pustyni można wpatrywać się w odległy horyzont, nie napotykając żadnego żywego stworzenia. Ziemia wszędzie jest naga, jakby za sprawą siły słońca i braku deszczu miała być wykreślona z mapy świata.

Czasami Beduini szli w wysokie dzikie góry lub ku piaszczystym wydmom, które, wystawione na silne wiatry, przybierały tajemnicze kształty. Wszyscy Beduini wierzą, że pustynię zamieszkują dżiny. Powiadają, iż przedziwny śpiew wydm, szmer ziarenek piasku przesypujących się na skutek pieszczoty leciutkiego podmuchu wiatru, to muzyka grana przez dżiny.

Czasami członkowie plemienia śpiewają i tańczą, co też jest sprawką dżinów.

Kiedy gość odpoczął, zapytano go, czym się zajmuje i dokąd zmierza. Ponieważ nie rozumieli jego języka, wezwano ojca Johiego, który sprzedawał różne rzeczy w miastach Izraela. Znał hebrajski i trochę angielski. Nie miał trudności z porozumieniem się z cudzoziemcem, gdyż jego język bardzo przypominał hebrajski.

W namiocie, do którego zaprowadzono gościa, siedział szejk i kilku ważnych ludzi plemienia. Ojciec Johiego służył im za tłumacza. Cudzoziemiec powiedział, że przywiózł wielkiej wartości przedmioty, które chciałby sprzedać w mieście. Zaproponował, że jeśli plemię Taamireh zajmie się ich sprzedażą, podzielą się zyskami. Ze starej pasterskiej torby wydobył dzbany, a z nich z wielką ostrożnością wyjął bardzo stare pergaminy. Beduini popatrzyli na nie z zainteresowaniem.

–Czy te zwierzęce skóry rzeczywiście mogą mieć dużą wartość? – zapytał z powątpiewaniem szejk.

Gdy powtórzono gościowi to pytanie, podał jeden z pergaminów szejkowi i jego ludziom, aby mogli przypatrzeć mu się z bliska. Zwój ozdobiony był drobnymi, regularnymi, czarnymi rysunkami. Wprawdzie nie umieli czytać, ale widząc, jak dumny był ten człowiek ze swego znaleziska, pomyśleli, że musi to być coś ważnego. Odbyli krótką naradę i postanowili, że pergaminy weźmie Falipa, ojciec Johiego, i że spróbuje je sprzedać podczas najbliższej bytności w mieście.

Zaczęło robić się ciemno, zaprosili więc cudzoziemca, by spożył z nimi tradycyjne danie z ryżu, rodzynek i cebuli. Potem, po nocy spędzonej w namiocie szejka, gość o świcie wyjechał. Uzgodnili, że wróci do nich za miesiąc, gdy rozbiją obóz w nowym miejscu.

Tydzień potem Falipa udał się do Jerozolimy, gdzie na suku, obok innych przedmiotów wystawionych na sprzedaż, umieścił dzbany z manuskryptami. Minęło kilka dni i nikt się nimi nie zainteresował. Aż któregoś rana jakiś przechodzący mężczyzna aż podskoczył na ich widok. Przyjrzał im się z wielką uwagą, po czym

zapytał:

–Skąd je masz?

–Dostałem.

–Ile za nie chcesz?

Falipa był zaskoczony tym pytaniem. Nie znał wartości rękopisów, ale jeśli wierzyć człowiekowi, który mu je dał, pewnie były cenne, a poza tym trzeba będzie podzielić się z nim zyskiem. Falipa powiedział więc pierwszą cenę, jaka przyszła mu do głowy, równą siedmiuset szeklom, spodziewając się, że klient będzie się targował i wtedy on opuści ją do połowy.

Jednak klient zapłacił bez targów żadaną kwotę. Falipa wrócił do obozowiska, szczęśliwy, że dostał tyle pieniędzy. Gdy cudzoziemiec wrócił do nich zgodnie z umową, wziął należne mu pieniądze i powiedział, że może dostarczyć następne dzbany z pergaminami. Beduini bez wahania przyjęli tę propozycję, i tak zaczął się handel manuskryptami.

Po kilku miesiącach wśród Beduinów w okolicy rozeszła się wieść, że plemię Taamireh bardzo się wzbogaciło. Opowiadano, że ich wielbłądy przytyły, a garby zrobiły im się okrągłe i że ostatnio urodziło im się trzydzieści sześć młodych. Była to prawda. Dzięki manuskryptom, które ojciec Johiego sprzedawał jeden po drugim temu samemu człowiekowi, plemię stało się bogate. Inne plemiona zaczęły im zazdrościć i zapragnęły tego samego.

Na pustyni w owym czasie nie było spokoju. Wciąż dochodziło do napadów, w trakcie których ludzie z wrogich plemion okradali się, a nawet mordowali. Beduini prowadzili wojny według ścisłych reguł. Nierespektowanie ich świadczyło o podłości, o braku honoru, niegodnym człowieka. Natomiast zwycięstwo odniesione z poszanowaniem zasad okrywało

każdego członka i całe plemię chwałą najwyższej cenioną w beduińskim świecie. Podstawą kodeksu Beduinów była sprawiedliwość. Walczono tylko z tymi, którzy mogli się bronić.

Nie tykano kobiet i dzieci ani gościa zaproszonego do namiotu, ani nawet chłopca pilnującego stada. Wolno było napadać na inne obozowisko z zaskoczenia, ale na ogół dochodziło do tego po deklaracjach wrogości. Jednak niedopuszczalne było atakowanie o północy lub o świcie, gdy wszyscy spali. Beduini wierzyli, że kiedy człowiek śpi, jego dusza wychodzi na zewnątrz i spaceruje.

Któregoś ranka Taamireh zostali, zgodnie z zasadami, zaatakowani przez plemię Revdat. Można było napadać po wschodzie słońca, ponieważ wróg miał wtedy cały

dzień na szukanie zagubionych stad. Kiedy napastnicy dotarli do obozu, rozdzielili się na dwie grupy – jedna miała uprowadzić stada, a druga schwytać konie wrogów, żeby uniemożliwić pościg.

Godzinę później było już po wszystkim. Ukradziono wielbłądy, splądrowano i zniszczono obozowisko. Beduin, który chciał mieczem bronić swego stada, został stratowany przez konie. Beduini nie lubią bez potrzeby przelewać krwi, mimo że ich życie jest twarde i że są obojętni wobec cierpienia i śmierci. Cena krwi jest u nich zawsze taka sama, niezależna od klasy, rangi czy bogactwa, a kodeks honorowy zabrania im zabijać wrogów zdanych na ich łaskę. I dlatego śmierć tego Beduina potraktowano niezwykle poważnie. Ponieważ kobiety i dzieci pokonanych wrogów nie powinny być zostawiane bez niczego, każdej z kobiet plemienia Taamireh dano wielbłąda, aby mogły dołączyć do krewnych w innych obozach. Mężczyźni zebrali się na naradę, żeby zastanowić się, co robić. Czasami napastnicy dawali się przekonać i zwracali właścicielom ukradzione wielbłądy albo konie, jeśli udowodniono im, że kradzież była nieszlachetna. Ale ci, którzy napadli na Taamireh, byli okrutni, zazdrośni o to, że ich wrogom udało się tak szybko wzbogacić.

Z drugiej strony Taamireh nie mieli pretensji do Revdat, uznali bowiem za normalne to, co się stało. Po gorących, trudnych dniach lata Beduini zazwyczaj dokonywali *ghazu*, napaści na inne plemiona, i zabierali im wielbłądy i konie. Nie uważano tego za kradzież, lecz raczej za wymianę. Wszyscy to robili, często wykorzystując efekt zaskoczenia. Każdy człowiek w obozie mógł to potwierdzić, nawet młodzi chłopcy, którzy nosili broń od dwunastego roku życia. To nie sam fakt kradzieży tak ich niepokoił. Przeżyli już wiele innych. Spędzali całe miesiące na koniach, aby podwoić liczbę wielbłądów, kiedy każdy z nich zabierał ze sobą zapas mąki, daktyli, wody, a także broni, żeby niczego im nie zabrakło w razie rozproszenia. O tym wszystkim przypomniał im teraz szejk. Najbardziej niepokoiło ich to, że tamci dowiedzieli się o ich bogactwie i manuskryptach. W obecności wszystkich członków plemienia, zgromadzonych w zniszczonym obozowisku, szejk powiedział:

–Ściągnęliśmy na siebie gniew Allaha i nieszczęście. Stało się tak z powodu manuskryptów, które uczyniły nas bogatymi. Allah dał i Allah odebrał, a to znaczy, że nie chce, abyśmy byli bogaci. Nie będziemy już zajmowali się sprzedażą pergaminów.

Beduini przyjęli tę decyzję z ulgą, dowiedzieli się bowiem, co było przyczyną gniewu Allaha. Jeśli posłuchają rady swego przywódcy, unikną najgorszego.

Działo się to pod koniec lata, ludzie i zwierzęta nie mieli co pić. Ich namioty stały przy źródle, ale wyschło ono niemal zupełnie. Wciąż panował upał. Już od wielu dni spoglądali z niepokojem w niebo, wypatrując na nim chmur.

Któregoś dnia, niedługo po oświadczeniu szejka, zobaczyli na niebie błyskawice. Natychmiast posłali ludzi, aby sprawdzili, gdzie spadł deszcz. Zwiadowcy wrócili po

kilku dniach i wskazali w kierunku Jordanii. Wówczas zwinięto obóz i całe plemię ruszyło w drogę.

Dotarli aż do jordańskiej pustyni i rozbili na nowo obóz. W nocy rozpętała się straszna burza. Powietrze zrobiło się nagle gorące i duszne, choć wiał lodowaty wiatr, rozległ się potworny grzmot, w jaskrawym świetle błyskawicy ukazała się cała pustynia, jakby był dzień. Mężczyźni rzucili się do wielbłądów, które im jeszcze pozostały, a kobiety do namiotów, by osłonić dzieci. Dziesięć minut trwali bez ruchu, czekając, co nastąpi. Z każdą sekundą narastał głuchy pomruk. W końcu nadszedł deszcz, najpierw nieśmiały, urywany, potem odświeżający, obfity. W obozie rozległy się okrzyki radości i szczęścia. Gdy deszcz nieco osłabł, mężczyźni, kobiety i dzieci wybiegli na zewnątrz, by napełnić wodą naczynia, miski, garnki i wszystko, co się do tego nadawało. Kiedy już napełnili je po brzegi, usiedli na deszczu z uniesionymi do nieba twarzami i łapczywie chwyтали w usta wodę. Mężczyźni podnieśli wielbłądy, a te wypily morze brązowej świeżej wody. Wszyscy byli przekonani, że spotkało ich takie szczęście, ponieważ zrezygnowali z handlu manuskryptami. Bóg karał, a potem nagradzał.

Gdy nastał świt, zebrali się i odmówili dziękczynne modlitwy. Każdy namiot przypominał okręt na morzu świeżej wody. Lato się kończyło. Deszcz zabarwił pustynię pastelową opalizującą zielenią. Życie wracało do normy. Beduini radzili sobie, jak potrafili. Mieli wodę, a więc mogli zacząć wszystko od nowa.

Któregoś dnia znów przybył do nich człowiek z pustyni. Przywiózł kolejne dzbany wypełnione rękopisami. Przywódca plemienia oznajmił mu jednak stanowczo, że złożyli ślubowanie, iż nie będą się już tym zajmowali. Poprosił go, aby odjechał jak najszybciej, zabierając dzbany.

Następnego dnia rozpętała się straszna burza piaskowa. Zrobiło się ciemno. W namiotach trzeba było zapalić lampy i osłonić przed niszczącym pyłem żywność, naczynia, twarze i ubrania. Przez dwie godziny nikt nie wychodził z namiotów, ponieważ piasek pędził z tak szaloną szybkością, że mógł poważnie poranić.

Szejk, siedzący w swoim namiocie, zapytał:

–Czy nie dzieje się tak za sprawą Boga? Może Allah

rozniewał się na nas, że widzieliśmy się z tym człowiekiem?

Może w ten sposób się na nim zemścił?

Cudzoziemiec wyruszył poprzedniego dnia i zapewne jechał jeszcze przez pustynię, gdy rozszalała się burza. Łatwo było zablądzić, a przy silnym wietrze idący przez pustynię mieli nikłe szanse przeżycia. Może jednak cudzoziemiec miał doświadczenie, zatrzymał wielbłąda, kazał mu klęknąć i przeczekał burzę, skulony za

jego grzbietem?

Minęło wiele dni i nic się nie wydarzyło. A potem, któregoś wieczoru, znowu wybuchła panika: zatrzęsło się niebo i dały się słyszeć dziwne grzmoty. Namioty zaczęły się obsuwać. Jedni natychmiast zaczęli się modlić, inni weszli na szczyt wydmy w pobliżu obozu, by się

rozejrzeć. To, co zobaczyli, przeraziło ich: cały horyzont był w ogniu. Potężne, czarne od dymu chmury przesuwały się po niebie, przesłaniając gwiazdy. Pas ognia zmierzał w ich stronę z zawrotną szybkością.

Pobiegli schować się do namiotów, by pomodlić się do Allaha i błagać o przebaczenie. Opuścili zasłony i powiązali się sznurami, jak to zazwyczaj robili w czasie najstraszniejszych piaskowych burz. Powiał jeszcze silniejszy, lodowaty wiatr. Niektórzy wyjrzeni na zewnątrz. To coś zbliżało się, ale nie był to ogień. Zaczął padać grad.

Wówczas pojęli, że to chmura czerwonego piasku. To, co wysoko na niebie wydało się czarnym dymem, teraz okazało się gęstym pyłem. Długie języki ognia były w rzeczywistości słupami piasku, wirującego i unoszącego się nad ziemią jakby za sprawą czarów. Na niebie widoczne były wyładowania elektryczne, którym towarzyszyły trzaski i potężny ryk grzmotów, zapowiadających koniec świata. W ciągu jednej sekundy obozowisko zasypał czerwony piasek. Dopiero po kilku godzinach grzmoty ustały i powiał orzeźwiający wiatr.

Beduini zaśpiewali wówczas *al-hamdu Wilah*. Nigdy nie widzieli czegoś takiego. Myśleli, że Bóg pragnie ich zniszczyć ogniem, że nadszedł koniec świata. Radowali się, że uszli z życiem. Wieczorem zjedli skromny posiłek, a w ustach wciąż czuli czerwony piasek. Wkrótce niebo znowu pojaśniało, ale wszystko dookoła miało ceglany kolor, a ziemię pokrywała gruba warstwa pyłu.

Nazajutrz postanowili zwinąć obóz. Udali się na północ, gdzie spodziewali się znaleźć łagodniejszy klimat i trochę więcej roślinności. Jednak nie był to koniec ich kłopotów. Po kilku dniach podróży, kiedy już rozbili namioty w spokojnym zielonym miejscu niedaleko granicy z Jordanią, na horyzoncie pojawił się falujący dywan. Kiedy się zbliżył, okazało się, że to rój szarańczy. Owady leciały ciasno, jeden obok drugiego, gotowe zniszczyć wszystko, co napotkają na swojej drodze.

Czarna fala szarańczy zostawiła po sobie pustkę. Przez trzy dni zbita masa owadów wciąż zmierzała w tym samym kierunku. Beduini rozciągali kilimy, dywany, wszystko, z czego można było zrobić pułapkę, aby je schwytać i zjeść. Starczyło tego na ucztę dla wielbłądów, psów i ludzi. Niewielka rekompensata za to, co szarańcza zniszczyła. A pożerała wszystko, co tylko było jadalne w tym pustynnym regionie.

Po przejściu szarańczy drzewa i krzaki wyglądały jak spalone. Stada czekała śmierć głodowa. Sytuacja ludzi też nie była lepsza. Taamireh doszli do wniosku, że prześladuje ich zły duch.

Rankiem po odlocie szarańczy, kiedy słońce zaczynało słabo oświetlać obóz, mężczyźni wyszli z namiotów, by w zimnym powietrzu razem uklęknąć na piasku. Szejk kazał wezwać także kobiety, modlące się w namiotach lub przygotowujące poranny posiłek.

–Zgromadziłem was – zaczął – ponieważ Allah dał nam znaki ostrzegawcze. Jest na nas rozniewany, zgrzeszyliśmy przeciw niemu. Złodzieje ukradli nam zwierzęta i zabili jednego z nas; przeżyliśmy burzę czerwonego ognia, która zapowiadała koniec świata; potem szarańcza zjadła wszystko, co nam pozostało. Dzieje się tak, albowiem Allah nie jest z nas zadowolony, gniewa się na nas z powodu rękopisów. Są przeklęte!

–Przecież już ich nie mamy. Odprawiliśmy tamtego człowieka i zapewne już nie żyje – odrzekł jeden z Beduinów.

–To prawda, że go odprawiliśmy. Jednak przypuszczam, że skoro gniew Allaha nadal na

nas spada, znaczy to, iż jeden z nas wziął te manuskrypty. Człowiek ten musi się natychmiast

do tego przyznać. Powinien to zrobić, żeby Allah nie karał nas swym gniewem. Powinien oddać

manuskrypty i opuścić na zawsze nasze plemię.

Zapadła cisza. Każdy podejrzliwie, z niepokojem zerkał na sąsiada. I nagle ktoś się podniósł. Był to Falipa, ojciec Johiego.

–To ja je wziąłem – wyznał. – Nie chciałem nikomu wyrządzić krzywdy. Nie sądziłem, że

to wbrew woli Allaha. Pragnąłem tylko się wzbogacić.

–Gdzie są teraz? – zapytał szejk. Falipa opuścił głowę.

–Sprzedałem je.

Nazajutrz znaleziono go martwego w namiocie.

Kiedy na pustyni popełniono morderstwo, sprawca zazwyczaj musiał uciekać do

krewnego z innego plemienia, aby uniknąć zemsty rodziny zabitego. Potem, już z wygnania, rozpoczął negocjacje, by okupić przelaną krew. Jeśli w ciągu kilku dni po zabójstwie nie było aktu odwetu, zawierano umowę, na mocy której rodzina ofiary otrzymywała sumę pieniędzy, odpowiadającą wartości pięćdziesięciu wielbłądów za krewnego i siedmiu wielbłądów za człowieka z innego plemienia.

Tym razem nikt nie udał się do innego plemienia. Nikt nie zaproponował żadnych pieniędzy. Było jasne, że to Beduini sami postanowili go zabić w nadziei, że tym sposobem uwolnią się od plag.

Johi oświadczył wówczas szejkowi, iż żąda pomszczenia ojca. Szejk zwołał radę starszych, na którą wezwano Johiego. Po długiej dyskusji uznano, iż ojciec Johiego postąpił niełojalnie, że naraził plemię na wielkie niebezpieczeństwo, ściągając na nich zemstę Boga. Jeden ze starszych posunął się nawet do tego, że znieważył imię jego ojca, mówiąc, iż zapewne jest już w piekle. Johi chciał go uderzyć, ale inni go powstrzymali.

Według Beduinów raj był krainą, gdzie zawsze panowała wiosna, gdzie stale była obfitość trawy, a w strumieniach i małych rzeczkach płynęła nigdy niewysychająca woda. W krainie tej nie istniały głód, pragnienie, jałowe pola, choroby zwierząt, a wszystkie plemiona żyły razem i nikt się nie starzał. Natomiast w piekle człowiek znajdował to, czego nie znosił: upalne lato bez deszczu i wody. Musiał więc ustawicznie nosić na plecach wodę dla swoich spragnionych wielbłądów.

Życzenie, aby czyjś ojciec znalazł się w piekle, było dla Beduina czymś strasznym. Johi wyszedł z narady załamany. Nikt nie zamierzał pomścić jego ojca.

I wtedy, w czasie święta Lag ba-Omer, poznał Yehudę. A ten, w zamian za informacje na temat manuskryptów, umożliwił mu opuszczenie plemienia.

–Co się stało z człowiekiem, który przynosił wam manuskrypty? – zapytałem, gdy opowiedział mi całą tę historię.

–Nie zginął w czasie burzy piaskowej. Najpierw zaczął iść w kierunku naszego obozu. Po dwóch godzinach uznał, że zabłądził i zatrzymał się. Kiedy się rozjaśniło, ponownie ruszył w drogę.

–Skąd to wiesz?

–Bo widziałem jego syna.

–Kiedy go widziałeś?

–Wczoraj.

–Czego od ciebie chciał?

–Tego samego co Yehuda. Chciał się dowiedzieć, czy mój ojciec zachował jakieś rękopisy, których nie sprzedał.

–No i co?

–Sprzedał wszystkie, jakie miał.

–A jak ty dowiedziałeś się o manuskryptach? – zwróciłem się do Yehudy.

–To rabbi wysłał mnie, bym je odnalazł. Przeprowadził w tej sprawie własne śledztwo, widział się kilka razy z biskupem Oze.

Wtedy przyszła mi do głowy pewna myśl. Zadałem Johiemu ostatnie pytanie:

–Jak się nazywa człowiek, którego ojciec odnalazł manuskrypty, ten, którego widziałeś wczoraj?

–Nazywa się Kair. Kair Benyair.

Gdy wróciłem do hotelu, zastałem Jane i Kaira.

–Słuchaj, spotkałem człowieka z plemienia Taamireh, który nazywa się Johi – powiedziałem do Kaira bez żadnych wstępów. – Co możesz powiedzieć na ten temat?

Milczał.

–Nie ma sensu kłamać. Johi powiedział mi wszystko.

–Wymknąłem się z hotelu, żeby go odnaleźć, a potem tu wróciłem.

–Dlaczego chciałeś się z nim zobaczyć? Skąd go znasz? Kair znowu nie odpowiadał.

–Kim ty właściwie jesteś?! – krzyknąłem. – Czy to twój ojciec znalazł manuskrypty?! Co cię łączy z biskupem Oze?! Odpowiadaj!

Jeszcze chwila, a bym go uderzył, ale Jane mnie powstrzymała.

Na wszystkie moje pytania odpowiadał niezmiennie, że nic nie wie. Nie chciałem prosić o pomoc Shimona, zanim nie odnajdę ojca, ponieważ bałem się, że pogorszę sytuację.

–Doskonale – powiedziałem, biorąc telefon. – Ponieważ odmawiasz odpowiedzi, dzwonię na policję.

Zatrzymał mnie gestem ręki.

–Ojciec znalazł je w grocie. Pokażę ci, gdzie to jest. Zaprowadzę cię tam.

–Najpierw powiedz mi, skąd pochodzisz i jak poznałeś biskupa Oze.

–Kiedy mój ojciec odnalazł manuskrypty, postanowił je sprzedać. Jednak nie wiedział, jak się do tego zabrać. I dlatego zwrócił się do Beduinów. Ale oni zabili Falipę i nie chcieli już słyszeć o tej sprawie. Kiedy ojciec zmarł, pojechałem tam, gdzie Falipa sprzedawał swoje towary. Ojciec opisał mi to miejsce. Wtedy poznałem biskupa. To jemu Falipa sprzedawał manuskrypty.

–Jak znalazłeś manuskrypty? Czy jesteś Beduinem?

–Nie, nie jestem Beduinem. Jutro pokażą ci, gdzie je znalazłem. Jest ich tam o wiele więcej, niż dotąd zabraliśmy. Oze natrafił na wiele cennych przedmiotów, ale został tam jeszcze prawdziwy skarb. Wszystko opisane jest w jednym z manuskryptów. Może uda nam się go odnaleźć i twojego ojca także.

Uznałem, że na razie muszą mi wystarczyć jego wyjaśnienia. Chociaż nie rozumiałem, jak i dlaczego chce zaprowadzić mnie do ukrytych grot w Qumran, to i tak dowiedziałem się wiele.

Nazajutrz wyruszyliśmy do Qumran. Wynajęliśmy samochód, prowadziła Jane. Kair towarzyszył nam bez najmniejszych oporów, wiedziony nadzieją, że odnajdzie słynny skarb.

Oglądałem krajobraz Morza Martwego z uczuciem dziwnego lęku i nostalgii. Groźniejsze niż kiedykolwiek białe wzgórza Qumran, pokryte pyłem, bez najmniejszego cienia, drzew, trawy czy mchu, rysowały się w oddali na tle słonych wód morza, jego wysuszonej niecki i ruchomych piasków. Na tej pozbawionej życia ziemi rosły tylko rachityczne krzaki. Pokryte ziarenkami soli liście ciężko zwieszały się w dół. Morze rozlewało się po pustynnej ziemi, która nie mogła nikogo wyżywić. Jego brzegi, pozbawione ptaków, drzew, zieleni, i gorzka ciężka woda, której powierzchnia nie marszczył najłżejszy wiatr, wyrażały cały smutek świata. Morze Martwe, bez portów i statków, otoczone pustyniami. Człowiek, zbliżając się do niego, instynktownie spodziewał się ujrzeć coś żywego i zawsze bywał zaskoczony brakiem wody i pustką.

Dojechaliśmy do pustyni. Teren między wyschniętymi brzegami morza i wzgórzami Qumran stał się piaszczysty i kamienisty. Byliśmy sami na pustkowiu. Zerwał się wiatr. Plandeka uderzała o kabinę samochodu, jakby jakiś zły duch szarpał nią nad naszymi głowami. Wschodzące słońce paliło niemiłosiernie. Na ziemi połyskiwała mika.

Tak dojechaliśmy do Chirbet Qumran, gdzie znajdowały się resztki esseńskiej osady. Trzy obszerne, jeszcze w dobrym stanie baseny na wodę, połączone kanałami wykopanymi w skalistym gruncie, tworzyły najlepiej zachowaną część ruin. Jakby przez fakt, że dokonywano w nich oczyszczających kąpeli chrztu, stanowiących pierwszą zapowiedź przyszłego świata, warunek przejścia do nowych czasów, jeszcze dziś były gotowe przyjąć dusze ludzi szukających ostatecznego przebaczenia.

Wszystko tu przywodziło na myśl zegarek, który, choć przestano go nakręcać, nadal jest w dobrym stanie i czeka tylko na to, by znowu założyć go na rękę. Wystarczyłoby tylko trochę wody spływającej z Wadi Qumran i ten szeroki basen znowu zostałby napelniony. Woda popłynęłaby kanałami, dotarła do podwórzy i zabudowań gospodarczych, wypełniłaby potem mały basen i wielką okrągłą cysternę, jak również dwa prostokątne zbiorniki. Od strony zachodniej zasiliłaby wąskie przegrody między doskonale dopasowanymi młyńskimi kamieniami, dzięki którym uzyskiwano bardzo dużo mąki. Także i inną odnogą kanału woda

popłynęłaby do cysterny, ale zanimby do niej dotarła, znalazłaby się w bocznym kanale, doprowadzającym wodę do sali zgromadzeń i refektarza. Potem kanałem

centralnym zawróciłaby wokół zbiornika, by popłynąć do małego basenu i ukończyć swój bieg w wielkiej cysternie. Woda ta posłużyłaby również garncarzowi, który mógłby czerpać ją z basenu, żeby ugnieść glinę w odpowiednim pojemniku, a potem zostawić ją do wyschnięcia w wąskiej fosie, następnie obrabiać ją na starożytnym, ustawionym w dole obudowanym ceglami kole garncarskim, wprawianym w ruch nogami. Gotowe naczynia, małe i duże, wypalałby w piecu garncarskim.

Zatrzymaliśmy się przed skryptorium, gdzie skrybowie sporządzali kopie biblijnych manuskryptów i przepisywali teksty sekty. Wprawdzie teraz nie było tu ludzi, ale pozostały pewne ślady po ich warsztacie pracy: wysoki, szeroki gliniany stół, pozostałości dwóch mniejszych stołów oraz dwa kałamarze, jeden z brązu, a drugi terakotowy, dziś już niemające zastosowania, ale kiedyś jakże ważne dla tego miejsca. Nagle wzruszenie ścisnęło mnie za gardło. Zauważyłem, że w kałamarzu, który kiedyś oglądałem wraz ojcem, było jeszcze trochę zaschniętego atramentu, jak gdyby zostawiono go nie kilka tysięcy lat temu, ale przed kilkoma tygodniami. Trochę dalej znajdowała się sala zgromadzeń, która pełniła też rolę refektarza, zbiorniki na ziarno, kuchnia, kuźnia, warsztaty, wytwórnia garnków z dwoma piecami i gipsową platformą.

Tu, w otoczeniu przedmiotów o niezmiennym przeznaczeniu, odradzało się życie zorganizowanej grupy ludzi, dla których najważniejszym ze wszystkich zajęć było pisanie. Te żyjące ruiny, znowu budzące czyjeś zainteresowanie, były niczym krzew gorejący, który nigdy się nie spalał. Dwadzieścia, może trzydzieści lat temu, były tu tylko ruiny.

–Jak myślisz, czy oni zostali zamordowani przez Rzymian, czy może udało im się uciec? – spytała Jane.

–Nie wiem. Nie wygląda na to, żeby osadę ktoś zburzył. Nie znaleziono żadnych śladów świadczących o masakrze mieszkańców.

–No to dokąd uciekli? Skierowałem wzrok na groty.

–Do miejsca, które było niedaleko, które dobrze znali, w którym chronili się od czasu do czasu, mogącego stanowić doskonałą kryjówkę.

Od chwili, gdy tu przybyliśmy, Kair robił wrażenie podenerwowanego. Jednak wyglądało na to, że dobrze znał drogę, prowadzącą po licznych urwistych zboczach, a potem górą, gdzie można było iść, nie będąc widzianym. W ten sposób dotarliśmy na miejsce. Przed nami wznosiła się urwista, prawie pionowa ściana, a w niej groty. Szliśmy w milczeniu prastarą drogą Beduinów, którzy przechodzili tędy do swoich obozowisk w pobliżu Betlejem. Wstrzymywaliśmy oddech, myśląc o niebezpieczeństwie oraz z obawy, że niczego nie znajdziemy. W miarę jak pięliśmy się pod górę, powietrze stawało się łagodniejsze, przyjemniejsze niż na brzegach

Morza Martwego. Mieliśmy ze sobą zapas słodkiej wody i mogliśmy się nią odświeżać. Strome jary wokół nas izolowały groty od świata, tworząc dobre miejsce do obrony.

Przed wejściem do pierwszej groty Kair zatrzymał się i obrzucił nas uważnym spojrzeniem, jakby pytał, czy jesteśmy gotowi, by stawić czoło niebezpieczeństwu. Tknięty dziwnym przeczuciem, odwróciłem się do Jane.

–Nie idź tam – powiedziałem.

–Ależ... Ary... Chcę iść z tobą.

–Nie – zaprotestowałem stanowczo. – Może ocalisz nam życie. Wracaj do Jerozolimy i jeśli nie wrócimy do jutra, zaalarmuj, kogo trzeba.

–Dobrze, zrobię, jak chcesz – westchnęła z rezygnacją. Wymieniliśmy ostatnie spojrzenia, starając się lepiej czy gorzej ukryć nasz strach.

A potem, nie odwracając się, zanurzyłem się wraz z Kairem we wnętrzu gór.

Na końcu pierwszej groty znajdowała się niewielka szczelina w ścianie. Weszliśmy w nią. Z lewej i z prawej osypywała się na nas ziemia, jakby zamierzała nas pogrzebać. Dalej ujrzelśmy następną grootę, identyczną jak pierwsza. Świecąc latarką, również tu znalazłem szczelinę w ścianie.

Po kilku godzinach weszliśmy do groty o imponujących rozmiarach. Było to bardzo obszerne pomieszczenie na planie koła, sprawiające wrażenie, jakby wykuła je w skalnej ścianie ręka człowieka. Było w nim ciemno, zimno i wilgotno. Gdy omiotłem światłem latarki ściany, a potem sufit, setki nietoperzy zaczęły krążyć wokół nas w makabrycznym, przerażającym tańcu, wydając przenikliwe piski. Zatkaliśmy uszy i przez chwilę staliśmy bez ruchu, oszołomieni tym ogłuszającym atakiem. Po jakimś czasie nietoperze uspokoiły się i powróciły do swoich kryjówek. Ruszyliśmy ostrożnie przed siebie. W promieniu światła latarki ukazała się stojąca w jednym z kątów groty wielka miedziana skrzynia. Pomyślałem wzruszony, że znajduje się w niej zapewne skarb Qumran – *Zwój Miedziany*.

Kair rzucił się w stronę skrzyni. Kiedy usiłował otworzyć ją nożem, dostrzegłem torbę z brązowej skóry, leżącą niedaleko wejścia do groty. Otworzyłem ją. Było w niej mnóstwo ludzkich kości. W jakimś przebłysku pojąłem, co się za sekundę wydarzy. *Potem spoczęła na mnie ręka Pana, i wyprowadził mnie on w duchu na zewnątrz, i postawił mnie pośród doliny. Była ona pełna kości. I polecił mi, abym przeszedł dokoła nich, i oto było ich na obszarze doliny bardzo wiele. Były one zupełnie wyschłe*^{*73}.

Kiedy jednak odwróciłem się, chcąc uprzedzić Kaira, by nie otwierał skrzyni, było już za późno. Po uchyleniu wieka z jej wnętrza wydobył się i rozszedł po całej grocie duszący gaz. Zawróciłem do drzwi, przez które weszliśmy, ale były zamknięte. Zacząłem się dusić, osłoniłem więc twarz chusteczką. Nie mogąc się wycofać, ruszyłem dalej między skalne ściany. Wreszcie ujrzałem niskie, wykute w skale drzwi. Otworzyłem je z trudem, starając się nie oddychać.

*Księga Ezechiela, 37, 1-2.

Wszedłem do znacznie mniejszego, ciemnego pomieszczenia. Gdy moje oczy przyzwyczały się do mroku, aż drgnąłem z wrażenia. W grocie był jakiś człowiek. Podszedł do mnie.

Szykowałem się na najgorsze, ale nagle stwierdziłem, że to mój ojciec.

*Panie, król się weseli z Twojej potęgi, Jak bardzo się cieszy z Twojej pomocy! Spełniłeś pragnienie jego serca i nie odmówiłeś błaganiu warg jego. Bo go uprzedzasz pomyślnymi błogosławieństwami, koronę szczerozłotą wkładasz mu na głowę. Prosił Ciebie o życie: Ty go obdarzyłeś długimi dniami na wieki i na zawsze. Wielka jest jego chwała dzięki Twojej pomocy, ozdobiłeś go blaskiem i dostojeństwem^{*74}.*

I wówczas, zapominając o strachu, rozplakałem się ze szczęścia. W tej błogosławionej chwili nie myślałem o tym, gdzie się znajdujemy, jaka jest nasza sytuacja: że zginął człowiek, a my sami zamknięci jesteśmy w labiryncie grot, że szukając ojca, musiałem dotrzeć aż tutaj i nawet nie wiedziałem, dlaczego tak się stało. Myślałem tylko o jednym, nie śmiać wierzyć w to, co było moim najgorętszym pragnieniem – ojciec żył. Czyż nie miałem powodu do radości? Czy Bóg nie wysłuchał moich próśb? I chociaż to uczucie szczęścia przyniosło mi tylko krótką chwilę wytchnienia od niepokoju, napawałem się nim, nie myśląc o niczym innym, nie zastanawiając się, co będzie dalej. Mógłbym stąd odejść i niczego więcej nie pragnąć, ani odnalezienia zwoju, ani wyjaśnienia całej sprawy. Był ze mną ojciec. Czego miałbym jeszcze chcieć?

Opowiedziałem mu trochę beładnie o tym, co się wydarzyło po jego zniknięciu, w jaki sposób się tu znalazłem.

–Porozmawiamy o tym później. Na razie zastanówmy się, jak się stąd wydostać – zakończyłem.

Podbiegłem do drzwi, przez które wszedłem. Były zamknięte. Naparłem na nie mocno, nie ustąpiły. Odwróciłem się i napotkawszy spojrzenie ojca, pojąłem, że mój wysiłek był daremny, że on także wiele razy próbował tego samego bez rezultatu. Byliśmy więźniami skał.

Nasze oczy stopniowo przyzwyczajają się do ciemności panujących w grocie. Bezradni usiedliśmy i ojciec opowiedział mi, co się z nim działo przez cały ten czas. Jak został porwany, uwięziony, przywieziony do Izraela, do samarytan. Że został związany i niewiele brakowało, a złożono by go w ofierze na ołtarzu, że w ostatniej chwili zamiast niego zabito baranka. Jak oczekiwał, iż spotka go ten sam los i jak przygotowywał się na okrutny koniec, jak mijały godziny, a oni go nie zabijali, co powiększało jego udrękę. Że myślał wtedy o mojej matce i o mnie i że przez to jeszcze bardziej się bał, nie wiedział bowiem, gdzie jestem i czy jeszcze żyję. A potem porywacze zabrali go w inne miejsce, a on nie wiedział, czy to dla niego lepiej, czy gorzej. Jechali jakiś czas samochodem, po czym poprowadzono go do bardzo ciemnego miejsca, które natychmiast rozpoznał. Choć miał zasłonięte oczy, poczuł ostre, gorące tchnienie Pustyni Judejskiej, a potem charakterystyczną wilgoć i zapach kamiennych ścian grot Qumran.

*Księga Psalmów, Psalm 21, 1-6.

–Wtedy domyśliłem się, kim są – mówił ojciec. – Znałem dobrze tych ludzi – to byli moi

bracia, których kiedyś opuściłem.

–Jak to twoi bracia? – zapytałem oszołomiony.

–Przyszli po mnie moi bracia esseńczycy.

Wciąż nie rozumiałem. Przecież esseńczycy nie istnieli już od dwóch tysięcy lat. Pomyślałem, że oszalał. *Nawet gdy głupiec idzie drogą, brakuje mu rozwagi i mówi o każdym:*

„*To głupiec*”^{.75}

–Sądzone, że całkiem zniknęli, pozabijani lub pochłonięci przez trzęsienie ziemi po najeździe rzymskim. W rzeczywistości jednak skryli się w grotach, gdzie żyli przez wszystkie wieki i gdzie żyją do dziś. Nigdy ci, Ary, o tym nie mówiłem i nikt o tym nie wie, nawet twoja matka. Bo kiedy od nich odchodziłem, złożyłem przysięgę, że zachowam to w tajemnicy. Esseńczycy istnieli cały czas, należałem do ich wspólnoty aż do chwili, gdy powstało państwo Izrael. Wtedy, podobnie jak wielu pośród nas, postanowiłem ich opuścić, pragnąłem bowiem zobaczyć na własne oczy to, o co modliliśmy się od tysiącleci. Chciałem poznać innych Żydów, żyć na ziemi Izraela, wolny, z dala od Morza Martwego, od wydm Pustyni Judejskiej, nie w podziemnych grotach. Pragnąłem ujrzeć Jerozolimę. Czy mnie rozumiesz? – Jego głos drżał, a z oczu płynęły łzy. – Chcieli się przekonać, czy ich zdradziłem, szukali bowiem ukradzionego im manuskryptu. Trzymali mnie jako jeńca, ale nie śmieli zabić, ponieważ pochodzę z rodu Cohenów, arcykapłanów, którym zawsze okazywali

szacunek, jako że przywiązują wielką wagę do hierarchii. Poza tym wierzyli mi. Przekonali się, że o niczym nie wiem.

–I dopiero wtedy, kiedy przybyliście tutaj, ujawnili się?

–Tak, więzili mnie, bo wiedzieli, że byłeś ze mną i że niespokojny o twoje życie, nie przestanę cię szukać. – Zniżając głos, dodał: – Zostali tutaj po utworzeniu państwa Izrael. Nie chcą uznać tego państwa przed przybyciem Mesjasza. Uważają, że powstało zbyt wcześnie. Oczekują boskiej interwencji, sądząc, iż jest już bardzo bliska, modlą się o nią całymi dniami. Pewnie pomieszało im się w głowach na skutek długiego przebywania w podziemnych grotach, gdy tymczasem na świecie tyle się dzieje.

–Czy wyrządzili ci krzywdę?

–Nie. Niczego złego mi nie zrobili.

Wtedy po raz pierwszy opowiedział mi o swojej młodości. Chciał, abym wszystko dobrze zrozumiał. W innych okolicznościach zadałbym mu wiele pytań. Potrzebowałbym wielu dni, by przetrwać to, o czym się dowiedziałem, jednak w tym miejscu wszystko wydało się tak naturalne, tak oczywiste. Nagle stała się jasna jego niechęć do podjęcia misji, którą nas obarczono, obawa, że odkryjemy jakieś straszne rzeczy, jego pragnienie, aby przyjść z pomocą swoim braciom esseńczykom. Pojąłem, dlaczego w jego racjonalnym umyśle pozostał trudny do usunięcia ślad przesądów.

Jednak chociaż bardzo pragnąłem dowiedzieć się czegoś więcej, nie dano mi na to czasu. Nagle w grocie pojawił się jakiś mężczyzna i przerwał opowieść ojca.

*Księga Koheleta (Eklezjastes), 10, 3.

Był średniego wzrostu, miał twarz i ubranie Beduina, ale jego skóra była znacznie jaśniejsza. W świetle wydawała się wręcz biała. Podszedł do nas i spojrzał na mnie.

–To mój syn, Ary. Nie rób mu krzywdy – rzekł ojciec, który wydawał się go znać. –

Przybył tu, żeby mnie uwolnić.

–Jeśli to twój syn, to jest skrybą, synem skryby – odrzekł tamten. – Musi więc tu zostać.

Podał nam pergaminy, kałamarz i pióro. W starym aramejskim języku, który badał mój

ojciec, rzekł:

–Wypełnicie swoją misję. Opiszecie to, co wam opowiem. Przywódca esseńczyków zaczął

mówić, a my słuchaliśmy

w milczeniu.

–Na miejscu tej doliny było kiedyś wielkie jezioro, a na dnie parowów skały. Kiedy poziom

wody się obniżył, ukazały się wymyte przez nią groty i wówczas mogli tu zamieszkać ludzie. Na

ogół trudno je dostrzec. Niektóre z grot są zupełnie zakryte i trzeba odsłonić wejście, by dostać

się do ich wnętrza. To doskonałe kryjówki dla ludzi lub skarbów. Nasza nigdy nie została

odnaleziona, jest dobrze schowana, a ja sam dowiedziałem się o niej z przekazów przodków.

Trzeba długo iść i nisko się schylać, gdyż znajduje się ona na samym dnie doliny. Kiedy trzy

tysiące lat temu Dawid ukrył się w jednej z grot w pobliżu źródła Engaddi, król Saul wyruszył z

tysiącami ludzi, aby go szukać, ale nie znalazł go. Zasnął w pieczarze, gdzie ukrył się przyszły

król, nie zauważając jego obecności. Groty z manuskryptami nie odnaleźli także Beduini. Zbyt

głęboko była położona. Wejście do niej stanowiła bardzo wąska szczelina w skale. Na ziemi

stały nietknięte, zapieczętowane gliniane dzbany z manuskryptami. Wiemy, jak doszło do

odkrycia grot i dlaczego. Czy można wierzyć w to, że Beduini, którzy żyli tu od wieków,

odnaleźli ją tak późno i to za sprawą jakiejś zabłąkanej kozy? Wielu z nas żyło w tych grotach

przed powrotem Żydów na ich ziemię. Zostaliśmy wypędzeni przez Rzymian, ale ukryliśmy

manuskrypty w grotach, żeby oni nie zdołali ich zniszczyć. A potem postanowiliśmy, że sami

też się tu ukryjemy w tajemnicy przed wszystkimi. Przez wieki żyła tu nasza wspólnota z dala

od wszelkich zmian na świecie, w poszanowaniu Prawa i rytuałów, zgodnie ze swoim

powołaniem, ale rezygnując z celibatu, ponieważ musieliśmy zadbać o potomstwo, żeby

przetrwać.

Pamiętaliśmy wciąż o Prawie Bożym, nosiliśmy je na ramionach i czołach, za pośrednictwem mezuz dotykaliśmy go u wejścia do naszych siedzib. Przeżyliśmy ten czas, czytając święte teksty i przestrzegając naszego kalendarza, który pozwolił nam śledzić bieg gwiazd i zmiany pór roku. Zgodnie z wolą Boga przestrzegamy roku słonecznego, składającego się z trzystu sześćdziesięciu czterech dni i podzielonego na cztery części, składające się z dziewięćdziesięciu jeden dni. Każda z tych pór zaczyna się w środę, ponadto mamy jeszcze dwa trzydziesto-dniowe miesiące i jeden składający się z trzydziestu jeden dni. Mamy święte miejsca, gdzie odbywają się nasze liturgiczne zgromadzenia, gdzie czytamy święte księgi i spożywamy posiłki. Czytamy słowo Boże po hebrajsku. Recytujemy psalmy, śpiewamy nabożne pieśni, hymny. Każdego dnia odbywamy oczyszczającą kąpiel i uczestniczymy w świętych posiłkach. Oczyszczeni z grzechów zbieramy się, by wspólnie spożyć mesjanistyczny posiłek. Każdego dnia o wschodzie i o zachodzie słońca spotykamy się, by odmawiać modlitwy, oprócz kapłanów, którzy z racji swego statusu spotykają się oddzielnie. W niedziele rozpamiętujemy

stworzenie człowieka i jego upadek, w środy dar przekazania Prawa Mojżeszowi, w piątki błagamy o odpuszczenie win, szabat jest dniem hymnów pochwalnych na cześć Boga.

Całe nasze życie jest uregulowane i tak, choć nikt o tym nie wiedział, żyliśmy przez wieki w tych skalnych grotach. Ale kiedy na początku ubiegłego wieku zaczęli przybywać zewsząd Żydzi, aby dołączyć do tych, którzy przetrwali na naszej ziemi, kiedy potem przybyli jeszcze inni i wreszcie powstało państwo, sytuacja się zmieniła. Wiedzieliśmy o tym, gdyż przebrani za Beduinów wyprawialiśmy się do miast. Wtedy niektórzy spośród nas uznali, iż nadeszła pora, by zacząć żyć jawnie, wyjść z grot i dołączyć do braci rozproszonych w diasporze. Według nich skończył się czas

pokuty, bo weszliśmy w nową erę, erę mesjanistyczną. Jednak pozostali byli innego zdania. Sądzi, że nie można wracać do kraju, zanim nie zostanie odbudowana Świątynia. A przecież na miejscu Świątyni stoi Złota Kopała, która uniemożliwia jej odbudowę. Ich zdaniem nie pojawił się jeszcze Mesjasz i dlatego trzeba czekać dalej pod osłoną grot i mieć nadzieję, że przyjdzie nas zbawić, a tymczasem niczego nie robić bez jego pomocy. Niektórzy z nas pytali: czy ten powrót ludu po strasznych kataklizmach nie jest znakiem od Boga? Czy wojna na Zachodzie nie była wojną Goga i Magoga, wojną Synów Światła z Synami Ciemności? Czy nasi bracia nie wycierpieli więcej niż zazwyczaj? A drudzy na to odpowiadali, że dopóki wola Boża nie objawi się za pośrednictwem Mesjasza, nie wolno nam wychodzić z ukrycia.

Część uznała, że przywódcą walki o zdobycie Izraela był Mesjasz zesłany przez Boga. Ale inni mówili, że to tylko dowódca wojskowy, a ponieważ przelana została krew, wyjście z grot jest niemożliwe. Tak więc nasza wspólnota się podzieliła. Cześć opuściła grotę, aby zamieszkać na ziemi Izraela. Druga część pozostała w grotach. Przed rozdzieleniem się ci, którzy odchodzili, złożyli uroczystą przysięgę, iż bez względu na to, co im się przydarzy, nigdy nie zdradzą, skąd przybyli, nie będą opowiadali o braciach pozostałych we wspólnocie, albowiem musi być zachowana tajemnica o ich życiu w odosobnieniu, dzięki któremu przetrwali tyle wieków. Jednak zdarzyło się coś, co zakłóciło zwykły bieg spraw: jeden z nas dopuścił się zdrady dla pieniędzy. To on dostarczył manuskrypty Beduinom, a oni z kolei je sprzedali. Ponieważ ów człowiek nie chciał, by wyszło na jaw, co zrobił, Beduini wymyślili historyjkę o kozie, która zagubiła się w grotach. Człowiek ten nazywał się Mosze Benair. Prowadząc swoje interesy, przypadkiem poznał biskupa Oze, również jednego z naszych, odstępcę, który został wysokim dostojnikiem w Kościele prawosławnym. Ci dwaj niegodziwcy sprzymierzyli się i doprowadzili do tego, że manuskrypty rozproszyły się po całym świecie. Szukali naszego skarbu, znaleźli go, sprzedali, zszargali naszą świętość. Zebraliśmy się więc na naradę, by zastanowić się nad karą dla zdrajcy, człowieka chciwego i złego, który za pieniądze sprzedał nasz skarb i który być może zamierzał sprzedać i nas samych, ujawnić naszą kryjówkę i to, kim jesteśmy, uniemożliwiając nam w ten sposób wypełnienie misji. Wtedy to postanowiliśmy zabić biskupa. Mosze wymknął się nam, zanim zdołaliśmy go dopaść. Ale wrócił jego syn, który umarł przez swoją chciwość. Odzyskaliśmy wszystkie cenne przedmioty, święte pamiątki ze Świątyni, znalezione w mieszkaniu biskupa Oze. Za odebrane mu pieniądze i dzięki tobie, Davidzie, bo oddaliśmy cię jako zakładnika na ceremonię składania ofiar, odkupiliśmy od samarytan resztę skarbu, jaki był w ich posiadaniu. Teraz wszystko to znajduje się w tej skrzyni i będziemy tego strzegli, oczekując przyjscia Mesjasza.

–Ale po co ukrzyżowaliście tych ludzi? Dlaczego taka kara? Dlaczego zabiliście innych? Przecież nie byli esseńczykami! – wykrzyknąłem.

–Te trzy osoby miały styczność z manuskryptami: Matti, syn Eliakima Ferenkza, Thomas Almond i Jacques Millet. Ukrzyżowaliśmy ich tak, jak to zrobiono z Jezusem

dwa tysiące lat temu. Tak się u nas zabija zdrajców, którzy pragnęli ukraść nam naszą przeszłość. Oko za oko, ząb za ząb.

–Czy Jezus także należał do was?

–To nasza tajemnica.

–A sprawa Shapira z początku dwudziestego wieku? Ten człowiek popełnił samobójstwo i nigdy nie odnaleziono manuskryptów, które miał u siebie. Czy za to też jesteście odpowiedzialni?

–Tak, zrobili to nasi przodkowie. Odkrył manuskrypty i mógł też odkryć nasze istnienie. Zabito go w Holandii i odzyskano zwoje.

–Dlaczego do tych egzekucji używaliście krzyży lotaryńskich, a nie zwykłych? Czy miało to zwiększać cierpienie ofiar? – dopytywałem się.

Wyglądał, jakby nie zrozumiał mojego pytania. Powtórzyłem je więc. Ale nadal milczał. Wtedy wtrącił się ojciec:

–Bo oni znają tylko takie krzyże, Ary. Takie były naprawdę krzyże rzymskie, do których

przybijano ludzi. Krzyże, które my znamy, z dwoma ramionami poprzecznymi, pojawiły się

później. Krzyż, do którego przybito Jezusa, był krzyżem lotaryńskim.

–Wiedziałaś o tym wszystkim od samego początku?

–Tak... domyślałem się.

–Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

–A co miałem ci powiedzieć? Nie mogłem ich zdradzić. Podjąłem się tego zadania, ponieważ przypuszczałem, że może chodzić o nich. Tego się w każdym razie obawiałem. Nie

chciałem także, aby ktoś jeszcze dowiedział się o ich istnieniu. Z tego samego powodu chciałem

zrezygnować, gdy zobaczyłem te straszne zbrodnie. Przestałem rozumieć, co się dzieje. Nie

chciałem już dłużej pomagać im w ukrywaniu tajemnicy.

–Jaka jest ta wasza przeszłość?! Co jest w niej tak straszliwego, że chcecie to ukryć?! – krzyknąłem.

–Tego nie możesz na razie wiedzieć – odrzekł przywódca esseńczyków i wychodząc,

dodał: – A teraz zabierajcie się do pracy.

Po chwili weszli dwaj mężczyźni i grożąc nam nożami, popchnęli nas w głąb groty.

Szliśmy przez labirynt głębokich piwnic. Czasami korytarze były tak niskie, że musieliśmy się schylać lub czołgać. W końcu, po półgodzinnym marszu w wilgotnych ciemnościach, dotarliśmy do wykutych w kamieniu drzwi, przez które weszliśmy do groty, gdzie nas zamknięto.

Było to nasze mieszkanie, w którym przebywaliśmy czterdzieści dni i czterdzieści nocy. Przez pierwsze trzy dni nie dano nam nic ani do jedzenia, ani do picia. Leżałem bez sił w jednym kącie groty, podczas gdy ojciec usiłował bezskutecznie utrzymać się w pozycji stojącej, chwiejąc się na osłabionych z głodu nogach. Jediną nadzieję pokładałem w Jane. Wiedziałem, że z pewnością niepokoi się o nas i zrobi wszystko co w jej mocy, by nas odnaleźć. Musiała się domyślić, że wpadliśmy w śmiertelną pułapkę w tajemniczych grotach Qumran. Znała wejście

do groty, ale jak miała odnaleźć ten nasz grobowiec? Nie wiedziałem, do kogo udała się po pomoc, czy do Shimona, o którym jej opowiadałem, czy do Yehudy, którego poznała, czy do władz izraelskich. Bardzo chciałem, żeby wróciła i nas uwolniła, ale jednocześnie w głębi duszy czułem, że tajemnica Qumran nie powinna zostać ujawniona, choć sam jeszcze jej nie poznałem.

Z głodu traciłem stopniowo siły fizyczne i psychiczne. Czułem, że moje ciało słabnie. W głowie krążyły mi bezładne myśli.

I wtedy, przez ten wymuszony post, skutek intensywnego wysiłku psychicznego, kiedy przestałem myśleć o swoim ciele i cierpieniach, doszedłem do stanu *devekuł*. Ujrzałem niezapomniane rzeczy, wizje z przeszłości Qumran. Był to zły świat. Rozwiąłość i profanacja drwiły zuchwale z boskich dzieł. Nie ulegało wątpliwości, że ten świat musiał ulec zniszczeniu. I że to zniszczenie nastąpi niebawem, że nie mogło dokonać się gdzie indziej niż tu, nad Morzem Martwym, jakieś sto metrów poniżej poziomu morza, między zbiornikiem gorzkiej wody i groźnymi nagimi skałami. Bo tu, gdzie słońce praży niemiłosiernie, gdzie wiatr przynosi gorące, trujące powietrze, gdzie żywe istoty z trudem przeżywają, nie ma miejsca dla takiego świata. Ta czarna otchłań graniczyła z piekłem. A ja, zwykły człowiek, widziałem scenę najstraszliwszego sądu Boga nad ludzkimi grzechami.

To była Sodoma i Gomora, ogień ogarnął nawet raj. Był to przerażający kataklizm.

Pod rozszalałym niebem morze płakało gorzkimi łzami. Dokoła wybuchały składy benzyny, rzucając ogniste snopy roztopionego metalu. A wyżej Gohr kontynuował swą smutną drogę przez Jordan. Ta saga nie miała końca. Skorupa ziemska trzeszczała wściekle, z wnętrza ziemi dochodził głuchy ryk, zrodzony w odległej epoce, wywołujący teraz straszliwe wstrząsy. W tej katastroficznej scenerii eksplodowały tysiące ton ropy naftowej, rozlegały się trzaski wyładowań elektrycznych, paliły się olej i smoła, rozlewające się strumieniami na powierzchni ziemi, rozsiewając smród siarki. Grad i ogień, zmieszane z krwią, spadały na ziemię, która stanęła w płomieniach, a wraz z nią ostatnie drzewa i mizerna nadmorska roślinność. Morze spłynęło krwią i wyginęły żyjące w nim stworzenia, zatoneły płynące po nim statki. Z nieba spadała olbrzymia kometa, płonąca długo niczym pochodnia.

A potem zajęły się ogniem rzeki i strumienie. Czarna chmura przesłoniła słońce i księżyc, dzień stracił jasność, a noc blask. Pospadały też gwiazdy, wzbijając do góry słupy dymu. Po ziemi rozpełzła się szarańcza, która była jak skorpiony, jak konie wyposażone do walki. Owady miały na głowach złote korony i podobne do ludzkich twarze.

A potem ogromna rzesza ludzi wszystkich narodów, plemion i języków stanęła przed niebieskim tronem i przed barankiem ubranym w białe szaty. Wszyscy głośno zakrzyknęli: „Zbawienie przyniesie nam nasz Bóg, który siedzi na tronie, baranek!”. I wszystkie anioły zgromadzone wokół tronu upadły na twarz i wielbiły Boga.

W tym niezmiernym zamęciu ziemia zniknęła. Pojawiło się nowe niebo i nowa ziemia, albowiem pierwsze niebo i pierwsza ziemia zapadły się w otchłań, a i morza także już nie było. Ujrzałem, jak z nieba zstępuje Nowa Jerozolima, ustrojona niczym panna młoda, szykująca się do nocy poślubnej. Głos dochodzący z tronu mówił, że czas jest już bliski, że nie trzeba już milczeć ani utrzymywać w sekrecie słów ksiąg. Mówił także: *Kto krzywdzi, niech jeszcze*

krzywdę wyrządzi, i plugawy niech się jeszcze splugawi, a sprawiedliwy niech jeszcze wypełni sprawiedliwość, a święty niechaj się jeszcze uświęci! Oto przyjdę niebawem, a moja zapłata jest ze mną, by tak każdemu odpłacić, jaka jest jego praca. Jam Alfa i Omega, Pierwszy i Ostatni, Początek i Koniec. (...) Ja, Jezus, posłałem mojego anioła, by wam zaświadczyć o tym, co dotyczy Kościołów. Jam jest Odrośl i Potomstwo Dawida, Gwiazda świecąca poranna^{*76}.

Była to wojna Synów Światła przeciw Synom Ciemności, przeciw zastępom Beliala, przeciw bandzie Edomu i Moabu, przeciw synom Ammona i ogromnym rzeszom synów Wschodu i Filistynom. Synowie Ciemności cierpieli męki na pustyni i ponownie wybuchła wojna przeciw nim, gdyż została wypowiedziana wszystkim ich hordom, bo nastąpił kres wygnania dla synów światła, bo powrócili z pustyni ludów, aby zamieszkać po wieczne czasy w Jerozolimie.

Po tej ostatecznej walce ludy wyszły z diaspory. Albowiem w końcu pojawił się On i z wielką mocą wystąpił przeciw królom Północy, a jego gniew unicestwił wrogów. I był to czas zbawienia dla ludu Bożego. Dla synów Jafeta nadszedł czas wielkiego zamętu, zło straciło swą władzę i pokonana została bezbożność, tak iż nie pozostało z niej nic, i nie ocalał żaden z Synów Ciemności.

Następnie ujrzałem w odludnych miejscach obozowiska esseńczyków, którzy opuścili Judeę na skutek prześladowań ze strony arcykapłana i zostali zmuszeni do życia na wygnaniu w kraju Sema; widziałem Żydów wypędzonych do Babilonii w czasach Nabuchodonozora. Zobaczyłem całe dzieje narodu żydowskiego, jego zniszczenie, wyrządzoną mu niesprawiedliwość, pogromy i katastrofę. Widziałem kata, ofiarę i świadka.

A potem ujrzałem, jak Synowie Światła stopniowo oświetlają wszystkie krańce świata, aż zniknęły ciemności. Następnie oczom moim ukazała się chwila, gdy blask Boga zaświecił po wszystkie czasy, przynosząc szczęście i błogosławieństwo, chwałę i radość, nastaly długie dni dla Synów Światła.

I ujrzałem okrutną bitwę, rzeź niemającą końca, zapowiedzianą kiedyś przez Boga. I tego straszego dnia zgromadzili się do ostatecznej walki bogowie i ludzie. I był to czas rozpacz dla całego ludu, którego grzechy zostały odkupione. I pośród wszystkich nieszczęść, jakie wydarzyły się na ziemi, nie było podobnego do tego, aż przyszła chwila Odkupienia. Po raz pierwszy Synowie Światła okazali się silniejsi od Synów Ciemności.

Szli znad brzegów asfaltowego jeziora. Nie było drugiego miejsca na tej ziemi, gdzie natura i historia tak się sprzymierzyły, by mogli osiągnąć swój cel, by mógł nastać nowy porządek. Po czasach nieszczęścia, wraz z nadejściem Mesjasza wszyscy ujrzą, że Bóg ich zbawił, nawet tu, na odludnych brzegach Morza Martwego. *Teraz zasiewy jego będą rosły w spokoju, winnice okryją się owocami, ziemia wyda plony, niebiosy dostarczą rosy*^{*77}.

Byłem w transie. Wstrząsały mną dreszcze. Wtedy ujrzałem prawdę, której wcześniej nie dostrzegałem. Teraz wiedziałem już wszystko: mój ojciec był skrybą i wszyscy moi przodkowie byli esseńczykami. Czy tego chciałem, czy nie, ja też byłem esseńskim skrybą. Gdy to sobie

¹ Apokalipsa Św. Jana, 22, 11-13, 16 *Księga Zachariasza, 8, 12.

uświadomiłem, doznałem wrażenia, że w mojej głowie coś eksplodowało i tłukłem nią z całej siły o skalne mury.

Po trzech dniach uznano, iż przeszliśmy wystarczającą próbę, przyniesiono nam jedzenie i picie oraz nakazano, abyśmy opisali wszystko, co opowiedział ich

przywódca. Nie mogliśmy opuścić groty, bo jedyne wyjście było zamknięte, a skalny sufit znajdował się za wysoko, abyśmy mogli się wspiąć i próbować się wydostać. Przez wąską szczelinę wpadał do groty promień światła. Nie pozostawało nam nic innego, jak tylko wykonać ich polecenie. Zjedliśmy i poczuliśmy się trochę silniejsi. Zabraliśmy się do pracy.

Znajdowaliśmy się we wnętrzu Ziemi, w jej łonie. Nie wiedzieliśmy, dlaczego nas tu zamknęto, ani czy stąd wyjdziemy, jednak nie poddawaliśmy się rozpacz. Sądzę, że czuliśmy się bezpieczni w tym miejscu. *Któż pozna, czy siła życiowa synów ludzkich idzie w górę, a siła życiowa zwierząt zstępuje w dół, do ziemi? Zobaczyłem więc, że nie ma nic lepszego nad to, że się człowiek cieszy ze swych dzieł, gdyż taki jego udział. Bo któż mu pozwoli widzieć, co się stanie potem?*^{78*}

Ojciec był przekonany, że nadchodzi koniec świata. Znów wziął w nim górę mistycyzm, zapewne dlatego, że wrócił tu, gdzie niegdyś żył, do miejsca, o którym nie potrafił zapomnieć. Sądził, że umieszczono nas tutaj, abyśmy mogli uchronić się przed apokalipsą i że potem będzie nam dane wyjść na powierzchnię zniszczonej ziemi, podążyć za Mesjaszem i stworzyć świat od nowa.

Wygłaszanie takich przepowiedni zupełnie do niego nie pasowało. Nigdy nie słyszałem go mówiącego, iż wierzy w nadejście Mesjasza. Tutaj jednak powrócił do dawnych modlitw i nauk otrzymanych w latach dzieciństwa spędzonego wśród esseńczyków, znowu wierzył w Wybawienie, choć rozum przedtem nie pozwalał mu w nie wierzyć. Z siwą brodą, co wyrosła mu w ciągu tych dni, z wersetami z Biblii, które nieustannie cytował, mieszając z własnymi przemyśleniami, przypominał żydowskiego proroka.

Zdawałem sobie sprawę, gdyż wiele razy mi o tym mówił, że apokaliptyczne i mesjanistyczne przepowiednie pojawiają się tylko w czasach kryzysu, w sytuacjach beznadziejnych. Byłem jednak przekonany, że jeśli nawet miałyby nastąpić apokalipsa, to nie może dojść do niej w tej grocie wśród starych pergaminów.

Tak więc opisaliśmy zgodnie z życzeniem przywódcy wszystko, co nam opowiedział. A potem odczytaliśmy razem z ojcem cenny zwój, który otrzymałem od Jane i który miałem przy sobie, wciąż obawiając się, że mi go zabiorą. Ponieważ litery hebrajskie napisane były na

*Księga Koheleta (Eklezjastes), 3, 21-22.

odwrót, a nie mieliśmy lusterka, zaczęliśmy je przepisywać na odwrocie zwoju, który nam dano.

I wówczas poznaliśmy prawdę o Qumran.

W tym momencie, gdy zostało nam dane poznać prawdę, pojęliśmy, że musimy o niej milczeć aż do dnia pojawienia się Mesjasza. Choć z pewnością nie zdawaliśmy sobie sprawy z wszystkich konsekwencji tej prawdy, rozumieliśmy, że o tym, czego się dowiedzieliśmy, nie można mówić, ale trzeba to opisać i zachować. Nie mogłem zapomnieć wizji, które miałem, gdy byłem w transie. Nakazywały mi one opisanie tego, co wiedziałem. Czyż nie byłem skrybą, synem skryby?

W tym miejscu i w tym czasie, kiedy nie mogliśmy nic zrobić, tylko mieć nadzieję, studiować i dyskutować, ojciec opowiedział mi wreszcie o esseńczykach. Snuł swoje wspomnienia nieprzerwanym strumieniem, jakby musiał wyrzucić z siebie wszystko, o czym milczał przez tyle długich lat.

Stanowili elitę narodu wybranego. Dla współczesnych byli małą nieznaną sektą bez znaczenia, ale oni sami widzieli się inaczej. Uważali, że ich przeznaczeniem było odegrać istotną rolę w wydarzeniach, które zmienią historię. Istniejący świat zmierzał ku kresowi, a potem życie miało potoczyć się zupełnie innym torem. Ich sekcje wyznaczono dominującą rolę w tym wielkim dramacie kosmosu. Esseńczycy uważali, że Żydzi zostali wybrani przez Boga, który zawarł z nimi niezwykle przymierze. Niestety Żydzi nie byli wierni tej umowie. Nie rozumieli, co z niej wynikało, nie myśleli o wszystkich jej konsekwencjach, i dlatego to właśnie ich, członków tej wyjątkowej sekty wyjątkowego ludu, Bóg postanowił wykorzystać, aby przygotowali drogę do nowego porządku, do którego zamierzał poprowadzić świat za pośrednictwem Pomazańca, przywódcy Izraela. A poprzez Izrael doszłoby do Odkupienia całej ludzkości.

Uważali też, że jedynie oni potrafili właściwie interpretować Pismo Święte. Dlatego stworzyli biblioteki, których zasoby powiększali, wciąż od nowa kopiując księgi biblijne i dorzucając własne zwoje. A przede wszystkim uważali, że pochodzili bezpośrednio od ludu, z którym Bóg zawarł pierwsze przymierze, dając Prawo Mojżeszowe. Synaj był miejscem kosmicznej interwencji, poprzez którą Bóg zawarł wieczne przymierze z dziećmi Izraela. Jednak kapłani i władcy zdradzili go i z niego zadrwili. Tylko oni, esseńczycy, nadal kroczyli właściwą drogą. A więc Bóg zawarł z nimi, wybranymi spośród wybranych, drugie przymierze.

Bóg umocnił to przymierze rządami Dawida, który był również Pomazańcem. I dlatego zwycięstwa Dawida były przedsmakiem triumfu Izraela. Ale oprócz Dawida był także Sadok, największy spośród kapłanów Izraela. A oni byli sadokitami przeciwstawiającymi się fałszywym sadokitom, saduceuszom, tym, którzy profanowali ołtarze Boga, gromadzili niestosowne dla ich stanu bogactwa, wywoływali wojny, grabiąc to, co inni osiągnęli pracą swych rąk.

W drugim przymierzu Bóg zapowiedział przybycie proroka Eliasza, o czym mówili natchnieni przez niego prorocy Amos, Izajasz i Jeremiasz. Zapowiedział także, iż uświęceniem tego przymierza będzie przybycie Nauczyciela Sprawiedliwości, które

otworzy nową epokę.

–Co się stało z esseńczykami? – zapytałem.

–Gdy Rzymianie zajęli Judeę, przez jakiś czas panował spokój. Namiestnicy rzymscy nie byli aż tak chciwi, jak tutejsi królowie. Po Antygonosie, ostatnim królu z linii Machabeuszy, władzę przejął w trzydziestym siódmym roku przed Chrystusem Herod zwany Wielkim. Wzniósł on wiele pięknych budowli, założył port w Cezarei i rozpoczął odbudowę Świątyni, która została dokończona w sześćdziesiątym czwartym roku po Chrystusie, sześć lat przed jej ponownym zniszczeniem. Gdy Herod zmarł, niektórzy szczerze po nim płakali. Potem królestwo się podzieliło. Antypas, władający Galileą, ożenił się z żoną swego brata. Skrytykował go za to Jan Chrzciciel i został zabity. Gdy Antypas przegrał wojnę z Aretasem, ojcem swojej pierwszej żony, którą porzucił, lud uznał, iż była to kara za ucięcie głowy Janowi. Aretas rządził aż do trzydziestego czwartego roku po Chrystusie. W Judei przez dziesięć lat sprawował władzę Ar-chelaos, ale był tak niegodziwy, że August pozbawił go władzy i uczynił z Judei rzymską prowincję, kierowaną przez podrzędnych prokuratorów. Jednym z nich był Poncjusz Piłat, który został potem odwołany i zesłany do Galii.

Napięcie między Żydami i Rzymianami wciąż narastało. Rzymianie nie potrafili zrozumieć tych, których uważali za religijnych fanatyków, a Żydzi nie mogli znieść aktów profanacji, mających miejsce nawet w samej Świątyni. Piłata zaskoczył i oburzył zuchwałą bunt Żydów przeciw rzymskiej władzy. Do tej pory żaden lud nie przeciwstawił się rzymskiej religii i jej bałwochwalstwu, dlaczego więc akurat Judea stawiała opór? Cesarz Kaligula zażądał, aby w Świątyni stanął jego posąg, ale został zamordowany. Potem już cała Palestyna dostała się pod panowanie rzymskie. Jednak Żydzi nadal się buntowali. Ponieważ namiestnik Antoniusz Feliks nader często stosował karę krzyżowania, powstała niewielka sekta sykariuszy, czyli sztyletników, którzy w odwecie mordowali Rzymian. Sytuacja w Judei stała się bardzo zła: pienił się bandytyzm, władze postępowały w sposób nieodpowiedzialny. Bunt i wojna wisiały w powietrzu. W tych okolicznościach Żydzi utworzyli tymczasowy rząd i powierzyli obronę Galilei Józefowi Flawiuszowi. Walczył bez powodzenia i w końcu przeszedł na stronę wroga. Faryzeusze, którzy ufali władzy rzymskiej, starali się na próżno prowadzić umiarkowaną politykę, lecz i oni zostali pozbawieni wpływów. Wówczas rządy przejęli zeloci i wojna rozpętała się na dobre.

Gdyby Izrael był zjednoczony i nie tak zdeprawowany, wojna ta mogłaby zostać wygrana. Ale w istniejącej sytuacji musiała się skończyć tragicznie. W Jerozolimie walczyły ze sobą wrogie frakcje, Żydzi mordowali Żydów, bratobójcza walka ułatwiła zadanie Rzymianom. Pod koniec siedemdziesiątego roku po Chrystusie zewnętrzny dziedziniec Świątyni stanął w ogniu. Walczono przy płonącym ołtarzu. Zgodnie z przepowiednią Jezusa, Świątynia została zburzona. Gdy nieszczęścia następowały jedno po drugim, kapłani z Qumran uznali, że nadszedł wreszcie dzień Sądu

Ostatecznego, że wkrótce powróci Mesjasz, na którego zmartwychwstanie czekali. To prawda, że księżyc nie był jeszcze we krwi, że gwiazdy nie spadały z nieba, ale zepsucie ogarnęło bezbożnych, którzy rządili Izraelem, nadszedł czas, aby Bóg obrócił swą rękę przeciw *Kittim*. Esseńczycy czekali. Wiedzieli, że Rzymianie do nich przyjdą. I dlatego włożyli cenne manuskrypty do dzbanów i ukryli je w grotach. Po skończonej wojnie zamierzali po nie

wrócić. Gdy wrócą, święte księgi nadal będą ich skarbem. A Mesjasz Aarona i Izraela będzie przewodniczył świętym hufcom w dniu Pana, w dniu, kiedy nastanie Królestwo Boże. W tym momencie urywają się na jakiś czas dzieje Żydów, a jednocześnie jest to początek dziejów sekty chrześcijańskiej. Po ukryciu manuskryptów, esseńczycy schronili się w Qumran, by tam przygotowywać się do nowej ery mesjanistycznej. I tu, choć świat o tym nie wiedział, przetrwali wiele wieków.

Ojciec godzinami opowiadał i opowiadał dzieje swojej przeszłości i przeszłości swojej przeszłości. A ja słuchałem wszystkiego, co mówił, aby to zapamiętać i później opisać, bo taka była moja powinność. Opowiadał o swoim życiu i dzieciństwie, o życiu swoich współbraci, które toczyło się zgodnie z ich kalendarzem, w dni świąteczne i zwykłe, zgodnie z rytuałem monastycznym ich wspólnoty, w oddaleniu od reszty świata przez tysiąclecia, kiedy skrywali swoje istnienie na pustynnych terenach nad Morzem Martwym. Jednak świadomi byli tego, co się dzieje z dala od ich siedzib, wiedzieli, że ich bracia Żydzi rozproszyli się wśród innych narodów, podczas gdy oni cały czas byli strażnikami zwojów, ponieważ nie wolno im było opuszczać grot Qumran. Tylko trzy razy w roku, przebrani za Beduinów, wybierali się po wieści na targi w miastach w święta Rosz Haszana, Pesach i Szawuot.

Po czterdziestu dniach i czterdziestu nocach usłyszeliśmy w korytarzu jakiś hałas. Ktoś nadchodził. Najpierw pomyśleliśmy, że to esseńczycy przynoszą nam jedzenie, jednak hałasy dochodziły z innej strony. Stawały się coraz głośniejsze, coraz bliższe, rozbrzmiewając w podziemiach głuchym echem, aż z cienia wynurzyły się trzy sylwetki. Nie wierzyliśmy własnym oczom, gdy rozpoznaliśmy Shimona, któremu towarzyszyło dwóch mężczyzn.

Zaalarmowała go Jane i dzięki jej wskazówkom od kilku tygodni prowadzili poszukiwania, nie mogąc odnaleźć nas w grotach, tworzących trudny do pokonania labirynt. Opowiedział mi, że Jane, zaniepokojona tym, że nie wracamy, przejrzała moje papiery w hotelu, w poszukiwaniu osoby, do której mogłaby zwrócić się o pomoc. Znalazła numer Shimona i natychmiast do niego zadzwoniła.

Wyszliśmy z grot. Światło oślepiło nas na kilka minut. Wkrótce, wyczerpani, jakby całe napięcie ostatnich miesięcy cierpienia gwałtownie z nas opadło, byliśmy w drodze do Jerozolimy, w samochodzie Shimona.

–No więc? – zapytał Shimon.

–Co takiego? – odpowiedział pytaniem ojciec.

–Czy odnaleźliście manuskrypt? Ojciec pokręcił głową.

Shimon wysadził nas przed domem moich rodziców.

–Do widzenia. Odpocznijcie. Daję wam kilka dni, a potem przyjadę porozmawiać o tej sprawie.

–Dzięki – odrzekł ojciec, podając mu rękę. – Zawdzięczamy ci życie.

–Przecież to ja was tam posłałem. Do zobaczenia wkrótce.

Staliśmy przez chwilę na chodniku. Trochę zagubieni, patrzyliśmy na odjeżdżający samochód. To wszystko wydawało się nierealne, z trudem mogliśmy w to uwierzyć. Jakby nic się nie wydarzyło, znaleźliśmy się znowu u siebie, gdzie od dawna czekała na nas dręczona niepokojem matka.

Jednak nie był to koniec naszych kłopotów. Gdy weszliśmy do holu budynku, stanęliśmy jak wryci. Ktoś na nas czekał. Był to Yehuda.

–Yehuda! – zawołałem. – Co ty tu robisz?! Skąd wiedziałeś, że wróciliśmy?!

–Jane powiedziała mi wczoraj, że wkrótce was odnajdą. Czekam tu na was od rana – odrzekł ponuro.

–Jane? A gdzie ona jest?

Wyraz jego twarzy nagle się zmienił.

–Jeśli chcesz ją zobaczyć... musisz teraz pójść ze mną.

–Teraz?

–Natychmiast. Ja nie żartuję, Ary. Ona jest w niebezpieczeństwie.

I tak nawet nie weszliśmy do mieszkania. Yehuda zaprowadził nas do niewielkiej synagogi, którą dobrze znałem, bo chodziłem do niej, gdy studiowałem w Mea Shearim. To tu przychodził modlić się rabbi i jego uczniowie. Znajdowała się na drugim piętrze budynku stojącego w głębi podwórza, przy długiej, wąskiej ulicy. Prawdę mówiąc, był to prawdziwy bastion ortodoksji, w którym gromadzili się rabini, mędracy i najbardziej „czarni” uczniowie z Mea Shearim. Wszyscy oni byli czcigodnymi starcami, z siwymi pejsami i długimi białymi brodami, w szerokich kapeluszach i tradycyjnych strojach, rozmawiali między sobą tylko w jidysz,

poświęcili życie studiowaniu ksiąg, Prawu i wychowywaniu licznego potomstwa. Teraz, kiedy byli już starzy, stali się mędrkami wspólnoty i tworzyli swego rodzaju radę, do której zwracano się ze wszystkimi problemami. Uważano ich za prawdziwych nauczycieli tradycji, prawdziwych strażników zwojów Tory. Było ich dwunastu.

Przyszedliśmy o trzeciej po południu i synagoga była pusta. Modły miały się zacząć dopiero za dwie godziny.

Jednak to nie Jane czekała tu na nas, tylko rabbi. Siedział, jak zawsze, na podwyższeniu, z łokciami opartymi o stół modlitewny, na którym leżał rozwinięty z obu końców zwój Tory. Przeglądał tekst, wyszukując błędy do poprawienia, jak to często czynił.

–No i co? – zapytał. – Odnaleźliście go?

–Co takiego? – zdziwiłem się.

–Ary, nie udawaj głupiego. Mówię o pergaminie. O *Zwoju Mesjasza*, który zaginął.

–Nie, nie wiemy, gdzie on jest – odpowiedziałem.

–Ale ja wiem – rzekł rabbi.

Wskazał palcem na wypchaną kieszeń marynarki ojca, gdzie rzeczywiście spoczywały dwa zwoje, zawinięte jeden w drugi, oryginał i sporządzona przez nas kopia, które zabrał ze sobą, gdy wychodziliśmy z grot.

–Oddajcie mi go – powiedział rabbi.

–Nie – sprzeciwił się ojciec. – Ten zwój nie należy do was, lecz do esseńczyków. Wtedy, ku mojemu ogromnemu zaskoczeniu, rabbi wybuchnął śmiechem. Był to śmiech

dźwięczny, głośny, ostry, dziwny, jakiś obcy, świadczący raczej o smutku niż o radości. Poniósł się echem po całej synagodze.

–To ty tego nie wiesz? Niesłychane! – powiedział tonem, jakim zazwyczaj zwracał się do

ucznia, który popełnił oczywisty błąd w talmudycznym rozumowaniu. – Twój lud jest moim

ludem. To ci sami ludzie. Czy nie wiesz, że esseńczycy w literaturze talmudycznej nazywani są

chasydami? Nie wiesz, że to ja jestem Mesjaszem esseńczyków, że nadszedł czas, abym objął w

posiadanie cały świat? Moi przodkowie wywodzą się od samego rabiego Judy Ha-Hasida,

który w dwunastym wieku zabronił swoim siostrzeńcom wchodzić w związki małżeńskie,

ponieważ chciał przywrócić celibat, a sam był esseńczykiem i wyemigrował do Niemiec.

Jesteśmy esseńczykami od wielu pokoleń, przekazując z ojca na syna naszą misję, przygotowu

jemy drogę na przyjście Mesjasza, czekamy na koniec świata. Miałem objawienie – to ja jestem

Mesjaszem. Zrozumiałeś? A teraz daj mi ten zwój – zakończył tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Wtedy ojciec, pokonany, podał mu pergamin.

–Nie! – wykrzyknąłem. – Co robisz? Odwrócił się do mnie i szepnął bezradnie:

–Jestem tylko skrybą. A on jest arcykapłanem. Muszę być mu posłuszny.

–Co ty mówisz?! Nie jesteś skrybą! Przecież ich opuściłeś! Rabbi wziął pergamin i zaczął go przysuwać do płomienia świecy.

–Co robisz, rabbi?! – wykrzyknąłem, nie panując nad sobą. – Kogo chcesz omamić swoją Torą, skoro sam nie szanujesz jej przykazań? Jesteś fałszywym Mesjaszem, uzurpatorem! Poznasz na sobie, czym jest Sąd Ostateczny, o którym tyle mówisz! Sam będziesz jego ofiarą!

–*Bezbożny kapłan prześladował Nauczyciela Sprawiedliwości, niszcząc go swoją wściekłością* - zacytował spokojnie rabbi, jakby to było proroctwo.

–To ty jesteś tym kapłanem, którego hańba stała się większa niż chwała.

Słowa te wymknęły mi się z ust, zanim zdołałem je powstrzymać. Zdawałem sobie sprawę, że to, co robię, było bluźnierstwem, ale gniew odjął mi rozum. Wówczas rabbi rzucił mi dziwne spojrzenie.

–A ty, Ary? – powiedział. – Co robiłeś w Stanach Zjednoczonych, gdy porwano twojego ojca? Czy myślałeś o nim, kiedy zadawałeś się z gojką? Powiem ci, co

robiłeś. Wszedłeś na drogę pijaństwa, aby zaspokoić swoje pragnienie. Mówisz, że jesteś żydem, chasydem, ale w głębi serca wcale nim nie jesteś. Dopuszczałeś się okropnych czynów. Zbrukałeś sanktuarium Boga, bywałeś w miejscach zakazanych, zażywałeś narkotyki, wchodziłeś do kościołów. Grzeszyłeś.

–Kto ci o tym powiedział? Szpiegowaliście mnie?

–Opowiedział mi to wszystko rabin z Williamsburga. Od niego dowiedziałem się, gdzie cię widywano. Uprzedzałem cię, zanim wyjechałeś. Mówiłem ci, Ary, jakie napotkasz niebezpieczeństwa, nakazywałem, abys pamiętał o Mesjaszu. Ale ty nie uwierzyłeś moim słowom, zdradziłeś Przymierze, które zawarł z nami Bóg, a teraz sprofanowałeś moje imię. Sprzeniewierzyłeś się proroctwu o końcu świata, nie uwierzyłeś w to, co ode mnie słyszałeś o tym, co wydarzy się w ostatnim pokoleniu, nie uwierzyłeś słowom z moich ust, słowom Boga o tym, co czeka jego lud i wszystkie narody. Bo tylko ja jestem kapłanem głoszącym Słowo Boże, tylko ja znam tajemnice objawienia.

–Jesteś kłamcą – odrzekłem, ogarnięty nienawiścią i wstydem, widząc, że dałem się złapać w pułpkę. – Głosisz fałszywe proroctwa, manipulujesz ludźmi tak, aby zdobyć ich zaufanie. Ale stworzone przez ciebie idole nie ocalą cię w Dniu Sądu. Przyjdzie dzień, kiedy Bóg zniszczy wszystkich, którzy posługują się idolami, a także wszystkich bezbożnych na tej ziemi.

–Ten dzień, Ary, jest już bardzo bliski.

–Tylko Bóg może o tym wiedzieć.

Po tych słowach rabbi wpadł w straszliwy gniew. Jego wargi drżały, a oczy rzucały błyskawice, gdy powiedział do mnie:

–Jak śmiesz zaprzeczać moim słowom? Jesteś bezbożnikiem, który udaje religijnego żyda! Zostałeś powołany do tego, by działać w imię prawdy, ale twoje serce się nie zmieniło: byłeś bezbożnikiem i bezbożnikiem pozostaniesz. Opuściłeś naszego Boga, zdradziłeś nasze zasady, zgrzeszyłeś z kobietą, ukradłeś nasz zwój, chciałeś zagarnąć jego bogactwa, zbuntowałeś się przeciw Bogu i postępujesz haniebnie we wszystkich swych czynkach.

–To wy – krzyknąłem – kapłani Jerozolimy, gromadzicie bogactwa, ograbiając lud! *Fałszywy prorok oszukał ludzi, aby zbudować swoje miasto poprzez zbrodnie i oszustwa.*

–I spadnie na niego grom zagniewanego Boga i sprowadzi na niego poniżenie i ból.

Mówiąc to, rabbi wsunął oba zwoje w płomień świecy.

–Nie! – krzyknąłem. – Nie rób tego!

Ale było już za późno. Zwoje natychmiast zajęły się ogniem, wydzielając silny, ostry zapach, jak paląca się ludzka skóra. Bo też i była to skóra zabitego człowieka, wygarbowana, pociemniała, pokryta pismem. Zwoje paliły się, nie rozwijając się, zamknięte na zawsze, trawione przez języki ognia. Małeńkie czarne litery skręcały się i topiły, aż znikwały zupełnie, zmieniając się w popiół. Patrzyłem na to jak zahipnotyzowany. Gęsty dym uniósł się pod sufit, jakby chciał przebić się aż do nieba.

Uratowane przez nas zwoje zostały poświęcone na ołtarzu synagogi, skazane na wieczne zapomnienie. Manuskrypt, który oparł się upływowi czasu, spotkał przeznaczony mu los – jakby w przeszłości w ogóle nie istniał, jakby nie spoczywał ukryty przez dwa tysiące lat w grotach Qumran, jakby go nie ukradziono, a potem nie odzyskano i znów nie skradziono, jakby nigdy nikt go nie szukał, nie czytał, nie pisał. Wszystko na próżno. Niespodziewany mściciel pozbył się go jednym ruchem ręki.

I wtedy ogarnęła mnie nieopanowana wściekłość. Taka, jaka ogarnęła Eliasza, gdy na górze Karmel zadusił własnymi rękami czterdziestu fałszywych proroków.

Chwyciłem zwój Tory o posrebrzanych brzegach, z masywnymi srebrnymi pierścieniami, łączącymi grubą, zdobioną czerwienią i złotem skórę.

Przeto jak słomę pożera język ognisty, a siano znika w płomieniu, tak korzeń ich będzie zgnilizną, a kotek ich jak pył porwany się wzniesie, bo odrzucili Prawo Pana Zastępów i wzgardzili tym, co mówił Święty Izraela^{*79}.

Uderzyłem rabiego z całych sił, całą mocą i gniewem, do jakich byłem zdolny. A on osunął się na podłogę.

***Księga Izajasza, 5, 24.**

Nie wiem, co się działo potem. Straciłem przytomność. Później dowiedziałem się, że między ojcem i Yehudą doszło do sprzeczki. Ojcu udało się go przekonać, aby nie mówił o tym, co się stało. Yehuda był załamany, ale uznał, że nic się nie zmieni, jeśli pójdę do więzienia, że rabbi, jeśli naprawdę jest Mesjaszem, wkrótce dojdzie do siebie. Poza tym czuł się winny, że zorganizował porwanie Jane, nie chciał też zniszczyć mojego życia, bo to on sam powiedział rabbiemu o Jane i porwał ją na jego polecenie. Dlatego zgodził się oświadczyć publicznie, że rabbi miał atak śmiertelnej choroby.

Postanowiono też, że muszę zniknąć na jakiś czas, ukryć się w bezpiecznym miejscu, gdzie nikt mnie nie znajdzie. Tak więc, nie ujrawszy ponownie Jerozolimy,

nie uściskawszy nawet matki, wróciłem do Qumran.

Gdy znowu zjawilem się u esseńczyków, powitali mnie tak, jakby na mnie czekali. Uznali, że przybyłem, aby podjąć ich dzieło.

Przez dłuższy czas nie widywałem nikogo. Byłem przygnębiony tym, co zrobiłem. Odczuwałem wstyd, że zostałem mordercą. Potem widywałem się z ojcem, który odwiedzał mnie wiele razy w grotach. Kilka razy przyjechała z nim matka, której w końcu wszystko opowiedział.

Zajmowałem się pisaniem i uczyłem się żyć jak esseńczycy w samym środku Pustyni Judejskiej.

Tym, co najbardziej uderzyło mnie na początku, była cisza. Nic nie zakłócało podniosłego nastroju tego miejsca, żaden hałas, niepokój ani zamęt. Spokój przydawał ciszy tajemniczej grozy, właśnie ona stanowiła istotę tej suchej, surowej pustyni, która ukrywała swój skruszony lud. Któregoś dnia, przebrani za Beduinów, udaliśmy się daleko na pustynię, gdzie znajdował się cmentarz podobny do tego, który odkryto w Chirbet Qumran, wypełniony grobami ustawionymi na linii południe-północ. To tu esseńczycy grzebali swoich zmarłych, w miejscu gdzie w podmuchach łagodnego, ciepłego wiatru panowało takie samo głębokie, dostojne milczenie jak w grotach. Gdy zapytałem, dlaczego w ten sposób ustawiano groby, wyjaśniono mi, że ich zdaniem raj znajdował się na północy, bo tak było napisane w księdze Henocha, której byli żarliwymi czytelnikami. *Zmarli, oczekując dnia Zmartwychwstania, leżą głowami na południe, rozmyślając w swym tymczasowym śnie nad swym przyszłym losem. Obudzeni wstaną twarzami na północ i pójdą prosto w kierunku raj, świętej góry niebieskiej Jerozolimy.* Wówczas pojąłem sens ich milczenia: głęboki sen, uśpienie za życia, błogie marzenie o przyszłości.

Zrozumiałem także, do jakiego stopnia esseńczycy są ludźmi pustyni. Nie należeli do tej ziemi jak ludy osiadłe, lecz należeli do samego Boga. Nauczyłem się żyć jak oni w tym jałowym świecie, w którym odnalazłem własną nagość. Pojąłem, że byliśmy wygnańcami na tej nieprzyjaznej ziemi, nie budując domów ani miast, nie mając niczego na własność. Pustynia

wyłoniła się w drugim dniu stworzenia świata, gdy Bóg uczynił ziemię i niebo, ale nie było żadnego krzaka ani trawy, ponieważ Bóg nie stworzył jeszcze deszczu i nie było jeszcze człowieka, który by uprawiał rolę.

Są tacy, którzy, jak Bóg, przekształcają jałową glebę w żyzną, którzy sieją rośliny i zioła, a one z kolei dają owoce przynoszące nasiona. Jednakże my pragnęliśmy pozostać na pustyni i uczestniczyć w chaosie. Nie oczekiwaliśmy zmiany, pragnęliśmy, aby triumfowały siły śmierci, żeby pustynia odzyskiwała utracone

tereny, żeby była zamieszкана przez szakale, hieny, dzikie koty i żmije, żeby była nawiedzana przez demony. Nasza pustynia nie była rajem z kwiatami i owocami. Nasza pustynia była po prostu pustynią.

Poznałem ją dobrze. Nie było na niej wulkanicznych kraterów pustyni Negew, gdzie czuje się gorące tchnienie Absolutu. Rosnące tu i tam krzewy przypominały, do czego zdolna jest ziemia. Gorzkie morze skłaniało do myślenia o tym, jakie mogą być inne morza, skały, w których wiatr rzeźbił niezwykle kształty, przypominały, co potrafi zrobić człowiek. Rzadko rozsiane wydmy pustyni miały wierzchołki ostre jak szable. Wiatr rysował na nich chropawe fale o regularnych grzebieniach i księżycowych sierpach. Niekiedy z nieba spadały gwiazdy, odciskając na ziemi swoje ślady. Czasami w nocy, gdy orzeźwiający wiatr przynosił szum pustyni, słyszeliśmy, jak wysokie palmy gawędzą z małymi palemkami, wyrosłymi z ich korzeni.

Wyciągnąwszy się na ziemi, napawałem się smakiem tej pustyni o ostrych, słonawych kamieniach, wdychałem jej szczególny zapach, woń siarki, dochodzącą z Morza Martwego. Do bólu brzucha zajadałem się daktylami. Było ich tutaj tysiąc odmian. Najbardziej lubiłem daktyle nazywane „palcami światła”, żółte, chrupkie, o cierpkim smaku. Niektórzy wolą bardziej dojrzałe i czekają z ich zerwaniem, aż czas i słońce dodadzą im słodyczy. Ale ja wołałem żółte. Były jędrne, gładkie i złotawe, piekące w podniebienie.

W grotach znajdowało się całe sekretne miasto z ulicami, dzielnicami, domami, sklepami i synagogami. Jednak większość esseńczyków opuściła grotę w 1948 roku. Pozostało ich około pięćdziesięciu, przede wszystkim mężczyzn, i tylko kilka kobiet.

Żyli w ciemnościach. Nie był to półcień, jaki znamy z miast. Tu ciemności panowały cały dzień. Ciemne pomieszczenia oświetlane były łuczywem. Gdy wychodziliśmy na zewnątrz, blask dnia oślepił nasze zmęczone mrokiem oczy. Przywodziło to na myśl epokę, gdy Bóg zamierzał stworzyć świat. Na początku światło i ciemność nie były sobie przeciwstawione, panowała między nimi wewnętrzna więź, nawet z samego serca zła promieniowało dobro, zanim zło się oddzieliło, by zaistnieć niezależnie. Tutaj światło współistniało z mrokiem bez walki, rywalizacji i konfliktów.

Nie brakowało tu niczego, co było konieczne do życia z dala od jakiegokolwiek ośrodka miejskiego. Klasztor był całkowicie samowystarczalny. W obszernych pieczarach znajdowały się magazyny, piece chlebowe i piece do wypalania garnków, ogromne żarna, kuchnie z naczyniami dla całej wspólnoty: setkami glinianych misek, talerzy i kubków.

Nisze w skałach zostały wykorzystane na pralnie, warsztaty, zbiorniki i baseny, stale zasilane wodą dzięki systemowi kanałów. Jedno z pomieszczeń, długie i wąskie, pełniło rolę refektarza, izby centralnej, w której dwa razy na dzień spotykali się wszyscy członkowie wspólnoty. Ponieważ byłem nowicjuszem, nie miałem prawa

dołączyć do nich przed upływem dwóch lat spędzonych we wspólnocie. Jednak widziałem ich każdego dnia, jak w milczeniu wchodzili do refektarza, niczym do świętego przybytku, i jak piekarz rozdawał wszystkim chleb zgodnie z hierarchią obowiązująca w sekcje, a kucharz stawiał przed nimi miski z jednym daniem. Przed każdym posiłkiem kapłan odmawiał modlitwę i nikomu nie wolno było zabrać się do jedzenia, dopóki kapłan nie skończył. Codziennie odgrywał on symboliczną scenę końcową: w zastępstwie Mesjasza Izraela, zanim pojawi się on osobiście, jako człowiek z krwi i kości, wyciągał ręce nad chlebem i łamał go, błogosławiąc. Wierzyli, że już wkrótce przybędzie Mesjasz, że to on wyciągnie ręce nad chlebem i winem, żeby je pobłogosławić.

Po jedzeniu zdejmowali odświętne szaty z białego lnu, nakładane specjalnie do posiłku, i pracowali aż do wieczora, kiedy to czekała na nich wieczerza.

Każdy z członków wspólnoty miał swoje zajęcie. Wszyscy wstawali bardzo wcześnie, przed wschodem słońca, i kończyli pracę dopiero po zachodzie. Rolnicy pracowali poza grotami, na niewielkim skrawku ziemi ukrytym między skałami, nawadnianym wodą ze źródła. Tutaj też przyprawdzali stada pasterze. Część esseńczyków zajmowała się pszczelarstwem, a inni garncarstwem, wytwarzając wszelkiego rodzaju naczynia gliniane i ceramiczne. Każdy otrzymywał za pracę zapłatę, którą oddawał w całości wybranemu przez ogół zarządcy. Jadali wspólnie, wszyscy nosili takie same płaszcze z grubej szarej wełny zimą, a latem tuniki w biało-brązowe pasy. To, co należało do jednego, należało do wszystkich.

Przed 1948 rokiem zawierali nawet małżeństwa, ale tylko po to, aby zasilać sektę potomstwem. Zanim poślubili jakąś kobietę, przez trzy miesiące poddawali ją próbom. Musiała poddać się trzy razy oczyszczeniu, aby udowodnić, że jest zdolna rodzić dzieci. Dopiero wtedy poślubiali ją i tylko w tym celu. Jednak teraz, kiedy prawie nie było tu kobiet, żyli jak mnisi.

Prawdziwy sens ich życia, niczym jądro Odkupienia, przynosiła oczyszczająca kąpiel, której poddawali się każdego dnia. Ten chrzest przez zanurzenie był najważniejszym, najbardziej uroczystym rytuałem, mającym miejsce przed świętym posiłkiem, będącym zapowiedzią ery mesjanistycznej. Każdego rana mężczyźni, ubrani tylko w lniane przepaski, zanurzali się z głową w lodowatej wodzie basenu. Potem wychodzili z wody, wycierali się i wkładali święte szaty. Uważali, że ten, kto nie oczyszcza się w taki sposób, nie dostąpi udziału w przyszłym świecie.

Pewnego dnia zaprowadzono mnie do skryptorium, pomieszczenia oświetlonego kilkunastoma pochodniami, w którym stało wiele wąskich, długich stołów, usłanych stosami pergaminów oraz zastawionych małymi, glinianymi i brązowymi kałamarzami. Tutaj

spędzałem długie godziny, pochylony nad stołem, w atmosferze wilgoci, chłodnego

powietrza, szczególnego zapachu porowatej skały, mając za towarzyszy kilku innych zapracowanych skrybów.

Spałem w celi z łóżkiem wykutym w skale, stolikiem i przyczepioną do muru pochodnią. W niektórych korytarzach znajdowały się większe izby z łózkami zrobionymi z nieużywanych już żaren, jednak nawet dawne pokoje rodzinne umeblowane były bardzo skromnie. Esseńczycy nie przestawali głosić ubóstwa. Zgodnie ze swoimi zasadami żyli w ascezie. Nie posiadali niczego na własność, ani domu, ani pola, ani stada, ani żadnych bogactw. Wszystko było wspólne.

Jak każdy neofita, musiałem przejść przez dwuletni okres próby, aby stopniowo pozbyć się ziemskich ideałów, oczyścić z brudu świata zewnętrznego i stać się godnym wejścia między Licznych. Podczas nowicjatu nie przekazywano mi jeszcze sekretnych doktryn ani *tego wszystkiego, co zostało ukryte przed Izraelem, a co objawiło się człowiekowi, który szukał*. Wiedziałem, że usunięcie się na pustynię miało za cel utorowanie drogi Bogu, wytyczenie ścieżki dla jego stóp, ukrycie doktryny przed złymi i zapoznanie z nią ludzi dobrych.

Kapłan o imieniu Lewi został obarczony zadaniem wprowadzenia mnie w ich tajemnice. Nauczył mnie wielu rzeczy o naturze człowieka, o dwóch duszach, które są w każdym z nas, o obecności Boga na tym świecie od momentu stworzenia, Boga Wiadomości, od którego pochodzi wszystko, co jest i co będzie. Zanim jeszcze pojawiły się na świecie żywe istoty, Bóg wyznaczył im ich los, a one muszą go wypełniać zgodnie z jego boskim planem, niczego w nim nie zmieniając.

Lewi nauczył mnie sztuki rozpoznawania. Pokazał, jak odróżnić ducha prawdy od ducha zdeprawowania. Pouczał mnie, że kiedy duch dobra oświeca serce człowieka, rodzi w nim pokorę, cierpliwość, nieograniczone miłosierdzie, dobroć, rozsądek i inteligencję, wszechpotężną mądrość, która ma ufność we wszystkich dziełach Boga i Jego niezmiernego łasce. Natomiast duch deprawacji rodzi chciwość i rozprężenie; jest nauczycielem bezbożności i kłamstwa, pychy i wywyższania się, fałszu i oszustwa, okrucieństwa i zbrodni, niecierpliwości, szaleństwa, bezrozumnego śmiechu i wszystkiego, czego dopuszcza się człowiek rozwiązły i podły. Rozpoznawalnymi oznakami tego są także ślepotą oczu i głuchota uszu, sztywność karku, nadmierna otwartość serca i przebiegła złośliwość.

To on uczył mnie, że we wszystkich generacjach ludzi, w każdym wieku, w każdej epoce, te dwie dusze zmagają się ze sobą. Bóg bowiem sprawił, że dzieli je odwieczna nienawiść, że we wszystkich aktach zepsucia tkwi wstręt do prawdy, a wszystkie drogi do prawdy nie znoszą przewrotności. I dlatego te dwie dusze nigdy nie działają w harmonii, ale zwalczają się w sercu każdego człowieka i jest to walka między mądrością a szaleństwem. Bóg dał je synom człowieczym, aby poznali Dobro i Zło. Ale w dniu Odnowy Bóg w swej mądrości i niezmiernej chwale położy kres zepsuciu, usunie je na zawsze. Wówczas na świecie zapanuje prawda. Bóg oczyści

każdego, uszlachetni ludzi, usuwając z nich zepsucie, wypleniając poprzez ducha świętości wszelkie bezbożne myśli. I wówczas, jakby po obmyciu wodą święconą, na człowieka spłynie duch prawdy. Nie będzie już miejsca dla przewrotności, potępiony zostanie wszelki fałsz.

Gdy kapłan Lewi uczył mnie tego wszystkiego, czułem, że te idee są mi bliskie, dobrze znane. Zrozumiałem, dlaczego rabbi powiedział, iż chasydzi i esseńczycy to ten sam lud. I dla jednych, i dla drugich dobro, o którym nie da się zapomnieć, było do tego stopnia najważniejsze, że odsunęli się od tego świata, od życia innych ludzi, wzgardzili bogactwem. I jedni, i drudzy żyli na uboczu. W każdym czasie i we wszystkich okolicznościach wielbili Boga. Śpiewali piękne pieśni przy akompaniamencie liry, lutni, harfy i fletu. Na tym polegał ich sposób na życie, a ich asceza była podniosłym, a zarazem radosnym oczekiwaniem.

O, jakże upragniony był koniec! Czekali na Mesjasza Aarona, Mesjasza kapłana, Cohena z rodu arcykapłanów. Każdego dnia powtarzali żarliwie słowa o gwieździe, która zdziesiątkuje synów Seta. A słowa te wcale nie były dla mnie nowe, bo chasydzi także czekali na koniec świata, nadejście królestwa Bożego i unicestwienie bezbożnych. *Okropnie spustoszona będzie ziemia i bezgranicznie rozdrapana, bo Pan wydał taki wyrok. Żałośnie wygląda ziemia, zmarniała; świat opadł z sił, niszczeje, niebo wraz z ziemią się wyczerpały. Ziemia została sflugawiona przez swoich mieszkańców, bo pogwałcili prawa, przestąpili przykazania, złamali wieczyste przymierze^{*80}.*

Od czasu do czasu stawałem przed wielkim kapłanem wspólnoty, który sprawdzał moje postępy, oceniał moją inteligencję i zdolności. Pewnego dnia, po upływie roku, uznał, że mogę już

wejść w Przymierze z Bogiem. Wprawdzie byłem synem esseńczyka, a nie obcego, ale ponieważ wychowałem się poza wspólnotą, musiałem przygotować się odpowiednio do związanej z tym ceremonii.

Wszyscy członkowie wspólnoty zgromadzili się w wieczerniku. Dwunastu kapłanów pod przewodnictwem arcykapłana zasiadło za dużym stołem. A ja, ubrany w odświętne szaty z białego lnu, stanąłem przed nimi i złożyłem uroczystą przysięgę, że będę przestrzegał Prawa Mojżesza zgodnie ze wszystkimi przykazaniami, tak jak wymaga tego Reguła, to znaczy według interpretacji tego Prawa stosowanej w zgromadzeniu.

Przyrzekłem Radzie Mędrców, że będę postępował według przykazań Boga i że nie odwrócę się od Niego ani ze strachu, ani pod groźbą, ani z żadnego innego powodu.

Potem kapłani przypomnieli wszystkie nadzwyczajne dzieła Boga, podziękowali za miłosierdzie, jakie Bóg okazał Izraelowi. Wspomnieli nieprawości synów Izraela, wszystkie grzechy, jakich dopuścili się za sprawą Beliala. A potem przyszła kolej na

moje wyznanie i powiedziałem: *Uznaję bowiem moją nieprawość, a grzech mój jest zawsze przede mną. Tylko przeciw Tobie zgrzeszyłem i uczyniłem, co złe jest przed Tobą, tak że się okazujesz sprawiedliwym w swym wyroku i prawym w swoim osądzie. Oto zrodzony jestem w przewinieniu i w grzechu poczęła mnie matka. Oto Ty masz upodobanie w ukrytej prawdzie, naucz mnie tajników mądrości*⁸¹.

⁸⁰*Księga Izajasza, 24, 3-5. ⁸¹ *Księga Psalmów, Psalm 51, 5-8.

–Niech będą błogosławieni wszyscy ludzie, którzy żyją zgodnie z wolą Boga i kroczą zawsze ścieżkami doskonałości – odpowiedzieli kapłani.

–Niech będą przekłęci ludzie poddani woli Beliala – zawtórowali inni.

–Amen – powiedziałem, pochylając głowę.

Potem z rozkrzyżowanymi ramionami położyłem się na ziemi i złożyłem przysięgę, że będę miłował prawdę i ścigał kłamców, że niczego nie ukryję przed członkami sekty, że nie zdradzę

niczego osobom postronnym, nawet gdyby użyto wobec mnie przemocy i gdyby groziła mi śmierć.

–Przyrzekam – powiedziałem zgodnie ze świętą formułą – nie zdradzić nikomu doktryn,

których mnie nauczono, ani tego, co dotyczy przyszłości. Ślubuję ściśle przestrzegać zasady

posłuszeństwa, która nakazuje mi całkowite poddanie się władzy starszych członków

wspólnoty bez względu na to, jakie podejmą decyzje dotyczące mojego życia lub śmierci.

Albowiem to oni decydują o wszystkim, co związane jest z prawem i tym, co dobre i słuszne.

Wobec całej wspólnoty przyrzekam, że jeśli dopuszczę się jakiegoś występku lub nieposłuszeństwa, poddam się jej osądowi i przyjmę z pokorą należną karę.

Po tej ceremonii wejścia w Przymierze w dalszym ciągu nie wolno mi było uczestniczyć w rytualnej kąpieli oczyszczającej ani w świętych posiłkach.

Czy mogę to powiedzieć? Czy ośmielę się to wyznać? Miałem świadomość, że ta

przysięga i ślubowanie to akt wyrzeczenia, ponieważ przez cały ten czas nie mogłem zapomnieć o Jane. Nie widziałem jej od czasu, gdy została porwana na rozkaz rabbiiego. Nie widziałem jej od chwili, gdy wchodziłem do grot. Ojciec powiedział mi, że Yehuda uwolnił ją wkrótce po mojej ucieczce. A potem Jane wróciła do Stanów Zjednoczonych. Ojciec co jakiś czas otrzymywał od niej wiadomości. Któregoś dnia przyszedł odwiedzić mnie w grotach i powiedział, że Jane przyjechała do Jerozolimy i chciałaby się ze mną zobaczyć.

Myślałem o niej często, wspominałem nasze rozmowy i sprzeczki.

Czy byłem tak pewny swoich racji, czy tak bardzo w nie wierzyłem, że nie potrafiłem zaznać miłości? Czy już się zatraciłem w tym odwiecznym spokoju, który dawał mi poczucie pewności, że wiem, kim jestem, że znam siebie samego, że pojmuję moją misję, że znalazłem swoje miejsce i że ta wspólnota jest naprawdę moją? Miałem współbraci, miałem zasady, którymi się kierowałem.

Postanowiłem jednak wykorzystać jeden przysługujący mi wolny dzień na wyjazd do Jerozolimy.

Spotkaliśmy się kwietniowego ranka w kawiarni przy ulicy Ben Yehudy. Gdy zobaczyłem ją ubraną na białą, z opadającymi na ramionami długimi jasnymi włosami, pomyślałem sobie, tak samo jak przy pierwszym naszym spotkaniu, że mam przed sobą anioła. Może z dala czuwała nade mną, jak ja czuwałem nad nią?

Po raz pierwszy, odkąd się poznaliśmy, nie miałem na sobie długiego czarnego płaszcza ani pejsów. Pozostała mi nieco posiwiata broda. Moje ubranie było ciemne, bardzo skromne, jak u esseńczyków: koszula z grubego płótna, wyłożona na zwykłe spodnie. Jane przyglądała mi się z uwagą.

–To dziwne, ale mam wrażenie, że w tym ubraniu nie jesteś sobą. Wielu ludzi tak się ubiera. Trudno byłoby cię teraz rozpoznać. Jakbyś porzucił tamto życie. Wyglądasz bardziej

staromodnie, a zarazem bardziej współcześnie – powiedziała.

Nieco zmieszani, wymieniliśmy szybkie spojrzenia. – Czy dobrowolnie przedłużyłeś swój pobyt w Qumran? – zapytała.

–Niedawno złożyłem przysięgę. Dołączam do wspólnoty.

–Bądź spokojny, Ary, nigdy nikomu nie powiem niczego na twój temat. Zachowam tę tajemnicę dla siebie.

–Wiem.

–Czy jesteś tam szczęśliwy?

–Tak.

–Kiedy uderzyłeś rabiego, leżał przez kilka dni w śpiączce i dopiero potem umarł. Przerażeni uczniowie nie wiedzieli co robić, aż w końcu zawołali lekarza i zawieziono rabiego do szpitala. Lekarze ze względu na jego wiek uznali, że był to wylew, i nie szukali innej przyczyny.

–Wiem. Nie muszę się już ukrywać. Nikt nie oskarży mnie o morderstwo. Ale ja sam czuję, że powinienem ponieść karę. Miałem wtedy wrażenie, że znalazłem się w odległej przeszłości, w czasach starożytnych, kiedy kamienowano fałszywych proroków i cudzołożnice. Pomyślałem, że mimo woli ponownie zabiłem Mesjasza.

–Co mówią esseńczycy o tym zabójstwie? A co mówią o swoich okrutnych zbrodniach?

–Esseńczycy nie rozmawiają o zaginionym zwoju, jednak te potworne zabójstwa wyraźnie ich zjednoczyły. Są braćmi w miłości i braćmi w zbrodni, zjednoczeni na zawsze w potajemnym spisku dawnych bojowników. Są Synami Światła i jednocześnie Synami Ciemności. Tak samo starannie strzegą swego sekretu, jak pilnują złożonego w skrzyni odnalezionego skarbu Świątyni. Któregoś dnia otworzyli ją w obecności całego zgromadzenia i pokazali wszystkim znajdujące się w niej cenne przedmioty, święte naczynia, drogie kamienie i wieńce ze złota – skarb liczący sobie dwa tysiące lat, który teraz czeka, aby znowu wydobyto go na światło dzienne, gdy przyjdzie Mesjasz.

Jane, uśmiechnąwszy się ze smutkiem, powiedziała:

–Wiedziałaś, że jesteś żydowskim mnichem, mówiłam ci o tym, pamiętasz?

Umilkliśmy. Domyślałem się, że jest bardzo wzruszona, choć tego nie okazywała. Nie

rozmawialiśmy od czasu konferencji w Nowym Jorku, ale czułem, że mimo oddalenia i upływu czasu w dalszym ciągu jej na mnie zależy. Ta pewność nappełniła mnie spokojem i poczuciem bezpieczeństwa. Nie dopuszczałem do siebie myśli, że któregoś dnia zostaniemy rozdzieleni na zawsze. Nie byłem na to przygotowany. Kiedy czekałem na nią w kawiarni, siedząc przy stoliku, wydawało mi się, że ona pojawi się zawsze, gdy tylko tego zapragnę. Czekałem na nią tak, jakby

to była rzecz najbardziej naturalna na świecie, ale kiedy już przyszła i gdy usiadła naprzeciwko mnie, pojąłem, że widzimy się ostatni raz.

Nagle coś we mnie pękło. Serce zaczęło mi łomotać w piersi. Jakby w przeczuciu

strasznej katastrofy zrozumiałem, co się z nami stanie. Ze wszystkich sił starałem się zapanować nad przepelniającymi mnie emocjami. Przypomniałem sobie, jak bardzo pożałowałem tej kobiety, jak bardzo ją kochałem, mimo iż miłość ta nie mogła spełnić się w małżeństwie, albowiem było mi to wzbronione. Ogarnęło mnie niewypowiedziane wzruszenie, narastające z każdą chwilą, niedające się wyrazić słowami, które potem przeszło w bezbrzeżny smutek, gdy po skończonej rozmowie Jane wstała od stolika i zaczęła oddalać się ulicą. Jakbym zapadł w letarg, otępienie, jakbym umarł. Pojąłem, że nie będzie spełnienia tej miłości, która ledwo się zrodziła, a już była martwa. Runęło wszystko, co podświadomie budowałem. Zdałem sobie sprawę, że Jane odchodzi i że już nigdy więcej jej nie zobaczę. Za moment miała zniknąć z mojego życia, a ja zostanę sam, stanę twarzą w twarz z innym ludźmi i ze śmiercią. W głowie kołatały mi się tylko dwie myśli: ona odchodzi, zostaję sam. Czułem się tak, jakby mi wyrywano żywcem jakąś część ciała. To było nie do zniesienia.

Wiedziałem, że jeśli się ocknę, odnajdę w sobie siłę, żeby ją zawołać, choć nie widziałem dla nas przyszłości. Dzielili nas religia, tradycja. Nie mogliśmy zawrzeć małżeństwa, mieć dzieci. Jane się odwróciła, przez sekundę zawahała się, po czym ruszyła jeszcze szybszym krokiem. Podniosłem się z krzesła i z lekko uniesioną ręką, jakbym chciał pomachać na pożegnanie lub powitanie, stałem dłuższą chwilę przy stoliku nieprzytomny, skamieniały.

Nigdy więcej o niej nie słyszałem i nie dowiedziałem się, czy wtedy, na ulicy, odwróciła się, ponieważ w tej sekundzie zapragnęła do mnie wrócić. Bo dla mnie w tym momencie liczyła się tylko ona. Zrozumiałem jednak, bo tak podpowiadał mi rozsądek, że jakoś się z tego otrząsnę. Sądzę, że ona pojęła sens mojego gestu i w tamtym ułamku sekundy zdecydowała o naszej przyszłości. Nie wiem, czym się kierowała, dokonując takiego wyboru, ale wiem, że nie ma dnia, bym nie widział jej zgrabnej sylwetki, jak oddala się ulicą.

Jane pomogła mi odnaleźć moje miejsce. Wiedziała, że potrzebna mi była cisza Pustyni Judejskiej, pozbawionej wydm, z gorącym wiatrem w dzień i zimnem w nocy, ze skałami i roślinnością zbrązowiałą od słońca. Że powinienem znowu oglądać pustynne pejzaże, wdychać słonawe powietrze, nadpływające znad Morza Martwego, pozostawiające cierpki osad na skórze, języku, a nawet w oczach. Patrząc, jak nad pomarszczoną powierzchnią wody, nad zaróżowionymi urwiskami wybrzeża, nad oliwkową dalą przesuwały się mgły, zmierzające w kierunku purpurowych szczytów gór Moabu i Edomu. A potem obserwować, jak znikają w kanionach i mrocznych korytach wyschłych rzek, tonących w ciemnościach, odpływają na południe, zbliżają się do słonych brzegów Ras Feshka, do źródła w Ain Feshka, do ruin Chirbet Qumran i cichych grot, pogrążonych w półmroku. Miałem, ukryty w najniższym zakątku ziemi, czekać na świt Nowych Czasów.

Jeszcze przez rok odbywałem mój nowicjat. A potem pewnego dnia przyszedł do

mnie Lewi i przyniósł mi do przepisania wyjęty ze skrzyni pergamin, zwinięty tak ciasno, że przypominał kształtem ołówek.

–Dołącz go do zwoju, który przepisujesz z pamięci, zwoju zniszczonego przez rabbiego, któremu nadamy tytuł *Zwój stracony*. Za jego pośrednictwem zostało ci dane poznać nasz sekret. A ten mały zwój nazwiemy *Zwojem Mesjasza*. A oto, co chcieliśmy ci powiedzieć: rabbi, Król-Mesjasz, już nie zmartwychwstanie. Czytając *Zwój Mesjasza*, zrozumiesz, co się wydarzyło, co zrobiłeś. Szybko przekonasz się, kim był ten, którego zabiłeś. Zanim jednak dowiesz się wszystkiego, trzeba cię poddać ceremonii oczyszczenia. Przyszedł czas na twój chrzest.

Dał mi przepaskę do kąpieli i białą szatę, potem wręczył mały kilof, przydatny w grotach. Oznaczało to, że mogłem zacząć uczestniczyć we wszystkich czynnościach wspólnoty, że wolno mi było zająć miejsce przy stole Licznych i dzielić z nimi chleb i wino.

Ustawiono stół do wieczerzy. Przygotowano wino i chleb do łamania i dzielenia się nim. Zdjęliśmy płaszcze i włożyliśmy przewidzianą rytuałem bieliznę, by zanurzyć się w wodzie, przeznaczonej do ceremonii oczyszczenia. Potem włożyliśmy płaszcze i usiedliśmy za stołem.

Wiedziałem, że Lewi zawsze błogosławi chleb i wino. Ale ten wieczór różnił się od innych. Wino zostało nalane, chleb leżał przygotowany na stole. Jednak kapłan nie podniósł czary z czerwonym winem, by je pobłogosławić w obecności wszystkich. Nie wziął do ręki chleba, aby go najpierw poświęcić, a następnie łamać. Zamiast tego odwrócił się do mnie.

Kończył się mój drugi rok spędzony w grotach, nie byłem już więźniem, jeśli w ogóle kiedykolwiek nim byłem. Zrozumiałem, że nadeszła pora, abym złożył uroczyste ślubowanie, wymagane przy wejściu do wspólnoty esseńczyków. Miałem wygłosić publicznie przysięgę, która wiązała mnie z nimi na zawsze, przez którą przyjmowałem Prawo Mojżesza i to wszystko, co objawił synom Sadoka, kapłanom strzegącym Przymierza. Pojąłem, że nadszedł czas, abym przystąpił do Przymierza, oderwał się od występnych ludzi, którzy kroczą drogą bezbożności. Nie wolno mi będzie odpowiadać na ich pytania dotyczące naszego prawa i zakonu ani przyjmować z ich rąk jadła ni napojów. Zrozumiałem, że odtąd będę uczestniczył w boskich sakramentach i im poświęcę życie.

Jednak kapłan nie tego ode mnie oczekiwał. Przywołał mnie powolnym gestem ręki.

I wyrośnie różdżka z pnia Jessego, wypuści się odrośl z jego korzeni. I spocznie na niej Duch Pański, duch mądrości i rozumu, duch rady i męstwa, duch wiedzy i bojaźni Pańskiej^{82*}.

Będzie się ukrywał przez czterdzieści dni. Potem nadadzą mu imię „Mesjasz”, a on wyjdzie z ukrycia. Mesjasz wyjdzie z ukrycia i uda się do Galilei. Wszyscy będą wstrząśnięci i ukryją się w grotach.

I to w tej epoce wypełni się proroctwo Izajasza:

^{82*}Księga Izajasza, 11, 1-2.

Wtedy wejdą do jaskiń skalnych i do jam podziemnych ze strachu przed Panem, przed blaskiem jego majestatu, kiedy powstanie, by przerazić ziemię^{*83}.

Bo ten wieczór nie był taki jak inne wieczory. Była to noc święta Pesach, upamiętniającego wyjście z Egiptu, a stół został starannie nakryty do wieczerzy sederowej.

Bo nie był to wieczór jak inne wieczory. I wszyscy to wiedzieli. Wszyscy czekali na gest kapłana, żeby uczynił to, co miał uczynić.

Podał mi wino. A potem chleb.

***Księga Izajasza, 2, 19.**

ZWÓJ SIÓDMY Zwój stracony

Na początku było słowo,

I słowo zamieniło się w Boga,

I słowo było Bogiem.

Wszystko stało się przez niego,

I nic, co było,

Nie stało się bez niego.

I ono było życiem.

I życie było światłem ludzi.

I światło świeci w ciemnościach.

I ciemności wcale go nie rozumiały.

I był człowiek zesłany przez Boga;

Imię jego było Jan.

Przybył jako świadek,

By dać świadectwo światłu,

Żeby wszyscy uwierzyli przez niego.

Ale jego słowa zostały zniekształcone,

I były zmienione.

I słowo stało się kłamstwem,

By lepiej ukryć prawdę,

Prawdziwą historię Mesjasza.

Tę, która zawsze była ukryta w swojej nieprzejrzystości,

Nigdy nieujawniona,

Przez wieki, przez skrybów, przez uczonych w Piśmie.

Oto naga prawda, straszniejsza od śmierci.

Oto prawda, kim był Jezus,

Oto jego życie,

Tajemna historia jego śmierci.

Eli, Eli, lema sabachthani?

Takie były jego ostatnie słowa,

Pod sam koniec jego kalwarii,

Gdy wreszcie pojął, że wszystko się skończyło.

Wtedy Jezus zwiesił głowę i oddał ducha.

Poprzedniego dnia wieczorem Jezus zebrał swoich uczniów, Aby spożyć z nimi wieczerzę,

Upamiętniającą uwolnienie z Egiptu,

Ale ten wieczór nie był taki jak wszystkie inne wieczory,

Bo tego wieczoru

Nadeszła jego godzina,

Godzina Objawienia. I on to wiedział,

I dlatego zgromadził swoich uczniów

Przy sobie ostatni raz

Przed wielkim dniem.

Wokół stołu nakrytego do uczyty sederowej

Było ich trzynastu.

U prawego boku Jezusa, z głową opartą na jego piersi,

Siedział Jan, gospodarz domu,

Uczeń, którego Jezus umiłował.

Dalej siedzieli Szymon Piotr i Andrzej,

Jakub i Jan,

Filip i Bartłomiej,

Tomasz, Mateusz,

Jakub syn Alfeusza i Tadeusz, Szymon

I Judasz Iskariota.

Bo jego także miłował Jezus

I on także został zaproszony na tę ostatnią wieczerzę.

Izba była obszerna; stół nakryty,

Siedziało przy nim trzynastu.

Wtedy wstał, zdjął płaszcz,

I wziął płótno, którym się przepasał.

Nalał wody do miski,

Obmył nogi swym uczniom

I obtarł je płótnem, którym się przepasał.

Gdy przyszła kolej na Piotra, ten zawołał:

„Panie, nie możesz myć mi nóg!”

„Jeśli ich nie umyję, nie pójdiesz za mną”.

„Umyj więc nie tylko moje stopy, ale też ręce i głowę!”

„Ten, kto wziął oczyszczającą kąpiel, nie potrzebuje być myty,

bo jest całkowicie czysty, tak jak wy jesteście czyści, ale nie

wszyscy...”.

Wszak był z nimi Judasz

I Jezus wiedział, że on go wyda.

Gdy dokończył mycia,

Włożył płaszcz i usiadł przy stole.

„Czy rozumieście, co uczyniłem?

Nazywacie mnie Nauczycielem i Panem,

I dobrze czynicie, bo nim jestem.

Skoro umyłem wam nogi,

Ja, Pan i Nauczyciel,

Wy również musicie obmywać nogi innym,

Bo taki dałem wam przykład.

To, co uczyniłem wam,

Czyńcie innym.

Zaprawdę, powiadam wam,

Sługa nie jest większy od swego pana,

Ani wysłannik większy od tego, który go posyła.

Będziecie szczęśliwi, pamiętając o tym i wprowadzając to

w czyn.

Nie mówię tego dla was,

Gdyż znam tych, których wybrałem.

Mówię po to, aby wypełniło się Pismo.

Ten, kto spożywał ze mną chleb,

Podniósł przeciw mnie rękę.

Powiadam wam,

Zanim się stanie

Tak jak ma się stać,

Uwierzycie we mnie.

Zaprawdę, powiadam wam,

Jeśli przyjmiecie tego, którego ześlę,

To przyjmiecie mnie samego.

A przyjmując mnie, przyjmiecie

Tego, który mnie zesłał".

Potem dodał:

„Jeden z was mnie wyda".

Popatrzyli więc jeden na drugiego,

I zastanawiali się, o kim mówił.

Szymon Piotr dał znak Janowi,

Uczniowi, którego Jezus najbardziej spośród nich miłował.

„Zapytaj, o kim mówi".

Jan nachylił się do Jezusa

I rzekł:

„Panie, kto to jest?"

A Jezus odpowiedział:

„To ten, któremu dam kawałek chleba umoczony w winie".

Wziął więc kawałek chleba umoczony w winie

I podał go Judaszowi Iskariocie, synowi Szymona,

Szymona zeloty.

„Co masz uczynić, czyń szybko".

Judasz, wzięwszy chleb,

Wyszedł natychmiast.

Odszedł w ciemność szybkim krokiem.

Gdy Judasz wyszedł,

Jezus rzekł pozostałym uczniom:

„Teraz syn człowieczy zaznał chwały

I Bóg zaznał chwały razem z nim.

Umiłowani przyjaciele,

Pozostanę z wami

Tylko krótki czas.

Ale wiecie, że tam, dokąd idę,

Wy pójść nie możecie.

Muszę więc teraz wam to powiedzieć.

Przed odejściem daję wam nowe przykazanie:

Miłujcie się nawzajem.

Tak jak ja was miłowałem,

Tak wy powinniście miłować się wzajemnie.

I jeśli będziecie mieć miłość jeden dla drugiego,

Wszyscy poznają, że jesteście moimi uczniami".

Powiedziawszy to, Jezus udał się wraz z uczniami Nad strumień Cedron. Był tam ogród,

Do którego często prowadził uczniów. Judasz też znał to miejsce, Stał na czele oddziału

Strażników, których mu przydzielili arcykapłani I faryzeusze. I przyszli do ogrodu Z pochodniami i bronią.

A Jezus, który wiedział wszystko, co miało się wydarzyć, Wysunął się do przodu i zapytał: „Czego chcecie?” „Szukamy Jezusa”. „To ja” – odrzekł. A między nimi był

Judasz, który go wydał.

A wówczas oni cofnęli się, Zadrżeli.

Jezus ponownie ich zapytał: „Kogo szukacie?”

A oni odrzekli: „Jezusa z Nazaretu”.

„Już powiedziałem wam, że to ja” – powtórzył.

Wówczas Szymon Piotr,

Który miał przy sobie miecz, wyjął go,

Zamierzył się na sługę arcykapłana

I odciął mu prawe ucho.

Ale Jezus rzekł do Piotra:

„Schowaj miecz do pochwy!

Czyż nie mam wypić czary,

Którą dał mi Ojciec?”.

Albowiem wiedział,

Że został na niego wydany wyrok śmierci,

Któremu nie wolno się sprzeciwiać.

Żołnierze i żydowscy strażnicy chwycili go

I związali.

Wszystko dokonało się Zgodnie z przeznaczeniem

Tak, jak było to przewidziane.

W roku 3760

Wzeszła gwiazda Jakuba,

Uniosło się berło Izraela.

I sam Pan dał znak,

Aby panna poczęła,

I porodziła syna.

Ósmego dnia po narodzeniu został obrzezany zgodnie z Prawem,

I otrzymał imię Jezua,

Co znaczy: „Jahwe pomocą”.

Potem Józef i Maria

Udali się do Świątyni,

Aby złożyć ofiarę Bogu

I aby go okupić,

Bo był ich pierworodnym synem.

Miał braci i siostry.

Jego rodzina była liczna

I uboga.

I jego miasto było ubogie

Z powodu podatków, Głodu

I wojen.

Nauczył się Prawa pisanego I Prawa mówionego.

Jego umysł był żywy, Jego myśli skryte. Mówił mało Nawet do tych, którzy byli mu bliscy. Często oddalał się, by rozmyślać w samotności, By szukać odpowiedzi w modlitwie.

I niekiedy zadawał pytania swoim nauczycielom, Gdy chodziło o jakiś trudny problem.

Potem dorósł

I stał się młodzieńcem,

Nazywano go „rabbi”,

Jak uczonych w piśmie

I jak skrybów, którzy powiadali:

„Kochaj zawód rzemieślnika

I gardź stanem rabinów”.

Albowiem skrybowie pragnęli, żeby każdy chłopiec

Uczył się zawodu

I większość z nich tak czyniła.

„Czyż nie ma między nami – powiadali – cieśli, syna cieśli,

Który potrafiłby rozwiązać to zagadnienie?”

Bo Jezus był synem cieśli I sam był cieślą.

Ale nie lubił zawodu,

Którego wyuczył go ojciec.

I postanowił go porzucić.

I zostawił swoją rodzinę

I znieważył własną matkę.

„Co wspólnego mamy ze sobą, kobieto?”.

Albowiem koniec świata był już bliski,

I nie był to czas rodziny,

Bo dla niego wszyscy byli jego rodziną,

I uważał, że każdy, kto przychodził do niego,

Powinien wyrzec się swego ojca, swej matki, żony, dzieci, braci.

Tego właśnie nauczył się od nich,

Aby mógł odejść od swego domu

I wypełnić swą misję.

Od pierwszego spotkania z eszeńczykami

Wiedział, że musi opuścić rodzinę,

Jeśli chce kiedyś do nich dołączyć,

Do tej wspólnoty, żyjącej

Bardzo daleko od innych na rozpalonej pustyni.

Jeśli pragnie

Stale obcować z Bogiem.

Wydarzyło się to wtedy,

Gdy miał dwanaście lat.

Jego rodzice udali się do Jerozolimy

Na święto Sukot.

Maria i jej syn

Towarzyszyli Józefowi w tej długiej podróży.

Wędrowali cztery całe dni i noce,

Modlili się do Mesjasza, przywoływali go tak,

Jak przywoływał go Daniel,

I mieli nocne wizje:

Oto wraz obłokiem z nieba

Przybył jako Syn Człowieczy;

Przybył do Najstarszego

I kazano mu podejść do niego.

Dano mu władzę, chwałę i królestwo,

Aby służyły mu wszystkie ludy, narody i języki.

Potem przybyli do Jerozolimy,

Wspięli się na Górę Świątynną

I pokazali dziecku Przybytek,

Dziewięćdziesiąt wież z marmuru,

Potężne mury pałacu Heroda.

Kamienne budowle przesłaniające horyzont

Przypominały panowanie dawnych władców,

Możnych tyranów.

***Kittim*, których spotyka się**

W każdej epoce,

Którzy sprawują nawet kontrolę

Nad wejściem do świętego miasta.

Którzy śledzili wszystko

Z Wieży Antonia.

Którzy strzegli wnętrza Świątyni

I pogańskiego kultu,

Przez siebie wprowadzonego.

I Herod posłuszny był *Kittim*,

Którzy pozbawili arcykapłana jego stanowiska.

Zatrzymali się na Górze Oliwnej,

Przed wejściem do Świątyni

Położyli swoje torby

I usiedli na moment,

I śpiewali psalmy dziękczynne,

I modlili się.

Potem udali się do doliny Cedronu

U stóp Góry Oliwnej.

Weszli na górę Moria,

Gdzie stała Świątynia,

I ujrzeli piękną Jerozolimę.

I udali się do sadzawki Betesda

Aby odbyć rytualną kąpiel,

Żeby się oczyścić przed wejściem do Świątyni.

A potem udali się na ceremonię,

Której przewodniczył kapłan Zachariasz,

Kuzyn Marii.

Jedenastu kapłanów przybyło z północy,

Mieli na sobie długie wąskie tuniki,

A głowy okrywały im wieńce.

Wszyscy mieli gołe stopy.

Na ich czele siedł mistrz obrządku.

Stanął zwrócony twarzą na północ,

Na miejscu wyznaczonym do składania ofiar.

Jeden z rodu Lewitów przyprowadził jagnię,

Wtedy mistrz obrządku położył rękę na głowie zwierzęcia,

A składający ofiarę kapłan zabił zwierzę nożem

I powrócił do ołtarza.

Lewici zebrali krew baranka do miski,

A inni ściągnęli z niego skórę.

Krew i skórę podano kapłanowi sprawującemu ofiarę,

A on spryskał krwią ołtarz,

I zapalił oliwę,

I wyjął wnętrzności.

Położył mięso, aby piekło się na ogniu na ołtarzu.

Skierował się do Świętego Świętych,

Otworzył drzwi podwójnym kluczem.

Wszedł do środka,

A inni leżeli twarzą do ziemi.

W sanktuarium kapłan, sam jeden,

Dopełnił ostatniego aktu,

Napełnił krwią miskę z brązu,

Okadził ją,

Odmówił modlitwę

Nad krwią wylaną na ołtarzu,

Nad duszą kapłana sprawującego ofiarę,

Nad grzechami cielesnymi

I grzechami duszy.

Potem wrócił na dziedziniec

I kazał kapłanom pobłogosławić zgromadzonych wiernych,

A Lewici odrzekli „amen”,

Jeden z kapłanów odczytał święte wersety,

Inny wziął do rąk kadzielnicę.

Kapłani rozpostarli przed nim

Cienkie płótno

I zakryli go.

Wtedy on zdjął ubranie,

Wykąpał się

I nałożył złote szaty.

Wstał,

Zdjął złote szaty.

–Wykąpał się,

Nałożył białe szaty,

Obmył ręce i nogi.

Potem, z ręką na głowie,

Wykąpał się,

Wyznał swoje grzechy

I głośno się modlił.

A Jezus patrzył,

Nie wiedział,

Czy był on kapłanem, czy barankiem.

Nazajutrz wybrali się w drogę powrotną.

Szli wąskimi uliczkami Jerozolimy.

Jezus szedł z tyłu za rodzicami.

Zatrzymał się przed starcem,

A ten do niego przemówił.

A Maria i Józef poszli dalej,

Nie zauważając, że ich syn się zatrzymał.

Kiedy podniósł głowę,

Już ich nie było.

Biegł długo, by ich dogonić,

Ale ich nie znalazł.

Zabłądził w mieście.

**Zobaczyli go dopiero po tygodniu. Siedział na bruku przed Świątynią. Zmienił się,
Ale oni tego nie dostrzegli.**

Nie powiedział im, co mu się przydarzyło, Bo zabroniono mu o tym mówić.

Poszedł za tamtym człowiekiem,

Ubrany na białą,

Który zaprowadził go do Świątyni.

Było z nim wielu ludzi ubranych tak samo jak on.

Mówili,

A Jezus ich słuchał.

Mówili o przyjściu Królestwa Niebieskiego,

O bliskim już przybyciu Mesjasza.

A potem on mówił

1 ci ludzie go słuchali.

Wszyscy żarliwie wyczekiwali Mesjasza.

Mieszkali nad Morzem Martwym,

W samym sercu pustyni.

Porzucili swe rodziny,

Poświecili się studiom i oczekiwaniu.

Potem zabrali go do swego domu,

Gdzie opowiedzieli mu, iż czekają na

Nauczyciela Sprawiedliwości.

Gdy ujrzeli chłopca,

Uznali, że jest on tym, na którego czekają.

Powiedzieli mu, aby opuścił rodzinę,

I kazali, by do nich dołączył.

I dlatego zostawił swoich bliskich,

Którzy uznali go za szalonego,

Którzy nie uwierzyli w niego tak, jak esseńczycy,

Bo on im wskazał drogę.

Matka i bracia chcieli zbliżyć się do niego,

Przemawiali do niego,

Prosili, by nie odchodził.

Ale on im odpowiedział:

„Kto wypełnia wolę mego Ojca w niebie,

Ten jest moim bratem, siostrą i matką.

Kto opuści dom, żonę, braci, rodziców i dzieci

Dla Królestwa Bożego,

Otrzyma życie wieczne w przyszłym świecie”.

Przywykli wieść życie pustelnicze,

Wierzyli, że bliski jest koniec świata,

Powiadali, że trzeba namawiać innych do skruchy,

By mogło nadejść Królestwo Boże.

Że trzeba je zapowiadać,

Aby wszyscy mogli być zbawieni.

Wiodą życie pustelnicze,

W nadziei, że nadejdzie Mesjasz.

Kto wart jest zbawienia,

Jeśli nie oni?

Czemu służy prawda

Bez skruchy i odkupienia?

Głos wołał na pustyni:

„Gotujcie ścieżki Panu,

porzućcie siedziby ludzi Zła”.

I był pewien esseńczyk, który nazywał się Jan,

Syn Zachariasza i Elizeby.

Opuścił on pustynię

I zapowiadał wszystkim chrzest

Na odpuszczenie grzechów Izraela.

Nazwano go Jan Chrzciciel.

Przyciągał tłumy ludzi,

Którzy przybywali z daleka, żeby go słuchać.

Setki ludzi słuchało jego słów skruchy.

Potem wyznali swoje grzechy,

A on ochrzcił ich w rzece Jordan

Według zwyczaju esseńskiego,

By przez zanurzenie w wodzie oczyszczeni zostali z grzechów,

I przez to uniknęli boskiego gniewu.

Jan najpierw żądał od nich skruchy, '

Pragnął bowiem, aby wszyscy Żydzi żyli w cnocie,

Aby byli wobec siebie sprawiedliwi,

Pamiętali o miłości do Boga.

Mówił im, że zanurzając się w wodzie,

Zmywają brud jedynie z ciała.

Mówił, że nieczystość służy grzechom,

Że na nic zda się zanurzenie

Bez wyrzeczenia się Zła,

I że tylko ten, kto ukorzy swą duszę

Tak, jak nakazuje Bóg,

Będzie oczyszczony.

Tak samo powiadali esseńczycy,

Że woda tylko wtedy oczyści ciało,

**Jeśli przedtem została już oczyszczona dusza. A dusza będzie oczyszczona,
okazując skruchę W duchu świętości.**

Gdy lud słuchał tych słów,

Słów miłości i sprawiedliwości,

Mężczyźni i kobiety wyznawali swoje grzechy,

Zanurzali ciała w wodzie,

Wychodzili z niej oczyszczeni

I modlili się o dar Ducha Świętego,

Aby usunął z ich dusz brudy zła.

Jezus zostawił swój dom,

Poszedł odszukać esšeńczyków

Na pustyni.

A oni mu powiedzieli, że jego miejsce nie jest

Na pustyni,

Ale u boku Jana,

Wśród ludzi.

Albowiem Jan zapowiadał przybycie

Syna człowieczego

Znakomitszego niż on sam.

Jezus udał się więc nad rzekę Jordan,

Gdzie przebywał Jan.

Ten wysłuchał go

I pojął, że lata czekania

Dobiegają kresu.

Wiekuiaty tchnął w niego

Swego ducha,

Uczył go pomazańcem,

Aby niósł nowinę nieszczęśliwym,

Posłał go, aby uzdrawiał

Tych, którzy mają złamane serca,

Aby uwięzionym zapowiadał wolność,

Aby ogłosił rok łaski Wiekuiatego.

Kiedy został ochrzczony przez Jana,

Otworzyły się niebiosa

I ujrział, jak zstępuje na niego Duch Pański

Niczym gołębicą.

Usłyszano głos,

Mówiący z góry:

„Oto mój sługa, którego wspieram, Mój wybraniec,

W którym moja dusza ma upodobanie. Tchnąłem w niego mego ducha, Aby głosił prawdę narodom”.

Wtedy Jezus zrozumiał słowa esseńczyków.

To on został wybrany,

On był tym synem, Sługą,

Wybranym spośród wybranych.

Ale powiedzieli mu, że długą ma przed sobą drogę

Ten, który niesie nowinę.

Że długa jest droga do światła

Dla ludu kroczącego w ciemnościach.

Że długa jest droga do jedyne go prawdziwego światła

Dla tych, którzy przekraczają cień śmierci.

Na niego spadało to zadanie,

Na niego, który miał imię

„Jahwe pomocą”.

**Udał się do Kafarnaum, Ziemi Zabulona i Neftalego, Krainy sąsiadującej z morzem,
Za Jordanem,**

**Do Galilei, gdzie się urodził, Która znajdowała się pod Pogańską władzą Antypasa,
Syna jego wroga, Króla Heroda.**

**Wybuchł tam bunt zelotów, Którzy licznie chwycili za broń. I dlatego nie mógł
ujawnić, Kim był, Bo wówczas by go zabito. Nie mógł ogłosić Wszystkim swego**

posłania. I dlatego mówił przenośniami, Aby szpiegzy i informatorzy nie mogli Zdobyc przeciw niemu dowodów.

W okolicach Tyberiady Była osada Betsaida, Rodzinny kraj Andrzeja i Piotra. Tam, w Tyberiadzie,

Mieszkali dwaj bracia rybacy,

Jan i Jakub, Synowie Tonnerre,

Synowie Zebedeusza.

Był także Szymon Skała.

I tak jak Eliasz przywołał Elizeusza,

On przywołał ich.

Dwunastu mężczyzn tworzyło radę mędrców,

Którzy rządzą bractwem esseńskim

I ich miało być dwunastu,

W tym zgromadzeniu mędrców,

Którzy mieli głosić słowo.

Dlatego poszukał dwunastu mężów,

Mających zostać jego braćmi

I złożyć ślubowanie,

Że pójdą za nim,

Że go wspomogą.

Zaczął wtedy prorokować I gromić w miastach ludzi, Którzy nie okazali jeszcze skruchy. Biada tobie, Chorozaïn, Biada tobie, Betsaido! Gdyby cuda sprawione u nich Wydarzyły się w Tyrze lub Sydonie, To z pewnością już od dawna Okazałyby one skruchę

W worze pokutnym i posypani popiołem. Ale dla Tyru i Sydonu

Dzień Sądu byłby o wiele bardziej znośny niż dla nich. A ty, Kafarnaum, czy

zostaniesz wyniesione do nieba? Ty zejdziesz do samego piekła. Albowiem gdyby cuda sprawione u nich Wydarzyły się w Sodomie, To istniałaby ona do dziś. Powiadam ci, Dla Sodomy

Dzień Sądu był o wiele łagodniejszy niż dla ciebie. Takimi natchnionymi proroctwami Wypełniał swą misję W całym kraju. Potem objawili mu, Kim był Jan Chrzciciel. Był tym, który zwiastował,

Tym, który przepowiadał Koniec Świata,

Prorokiem Eliaszem poprzedzającym Mesjasza.

Tym, który zapowiadał nadejście Syna Człowieczego

Który pewnego dnia ogłosi na zawsze

Wyrok gniewu bożego.

Jan modlił się tylko o jedno:

O przybycie Mesjasza.

Jan był sam.

Ci, których chrzczył,

Opuszczali go.

Ci, których oczyszczał,

Wracali do swych domów.

Jan gorąco pragnął dowiedzieć się,

Czy spełnia się jego proroctwo.

Wysłał więc dwóch ludzi,

Aby zapytali Jezusa,

Czy jest Mesjaszem.

Tym, którego spłodził człowiek.

Albowiem Jezus mówił:

„Okazujcie skruchę, albowiem

Bliskie jest Królestwo Niebieskie".

Jezus nauczał

W synagogach,

Jezus uzdrawiał

Chorych i kalekich.

Tak miało się wypełnić

Proroctwo Malachiasza:

„Ześlę wam Eliasza proroka".

Wysłannicy Jana zapytali Jezusa:

„Czy ty jesteś tym, który ma przybyć,

Czy mamy czekać na innego?".

A Jezus im odpowiedział:

„Idźcie i przekażcie Janowi,

Co usłyszeliście

1 co widzieliście,

Że chromi chodzą,

Że głusi słyszą,

Że biednym głoszone jest zbawienie.

Szczęśliwi ci, którzy nie wątpią we mnie!

Wieczny Duch Pana

Jest we mnie,

Bo Pan mnie namaścił,

Abym zaniósł dobrą nowinę

Nieszczęśliwym.

Wysłał mnie, abym uzdrawiał

Tych, którzy mają złamane serca,

Abym zapowiadał wolność uwięzionym".

Wszelka choroba pochodzi od diabła,

Ale Królestwo Niebieskie jest bliskie,

Bo szatan, zły doradca,

Kusiciel, wąż,

Został nareszcie pokonany,

I nie ma już głosu,

Nie ma swej potęgi

Jezus ujrzał kiedyś szatana spadającego z nieba

Jak błyskawica.

Gdy uzdrawiał,

Przepędzał nieczyste demony,

Był zwycięzcą,

Na którego wszyscy czekali,

Wrogiem demona, przez którego Królestwo Niebieskie

Nie rozszerza się na cały kraj,

Czynił dobro,

Modlił się za ubogich.

Był w nim Duch Pański,

Bo Pan namaścił go świętym olejem,

Olejkiem balsamicznym.

Aby teraz zapowiadał

Zbawienie maluczkiem,

Leczył udręczone serca,

Zapowiadał uwięzionym wolność,

Skazańcom Odkupienie,

Zapowiadał łaskę Pana,

A także dzień pomsty,

Aby pocieszyć wszystkich strapionych.

I tak się stało,

Że esseńczycy obwołali go pomazańcem,

Aby głosił ludziom zbawienie.

Przybywał do nich z pustyni,

Aby opowiedzieć im o swych wędrówkach,

Aby słuchać ich słów.

A kiedy wracał,

Powtarzał swoim uczniom

Wszystko, co tamci mu mówili.

On nie chciał burzyć Prawa,

Oni chcieli je stosować.

On gardził fałszywie pobożnymi,

Oni nienawidzili kapłanów i skrybów.

On nie przybył nawracać niewiernych,

Oni pragnęli przyciągnąć do siebie ubogich duchem,

Pokornych, zagubione owieczki Izraela,

Grzeszników i tych, co pobłądzili.

Oni wtajemniczyli go w swą wiedzę i magię.

On czynił cuda uzdrowienia

W dzień szabat

Nie po to, aby go zakłócić,

Ale żeby go wypełnić.

Gdy wysłannicy opuścili Jezusa,

Donieśli o wszystkim Janowi Chrzcicielowi.

A Jezus przemawiał do tłumów:

„Co chcecie podziwiać na pustyni?

Trzcinę kołysaną wiatrem? –

Co chcecie tu ujrzeć?

Człowieka odzianego w wytworne szaty?

Przecież ci, którzy noszą wytworne szaty,

Mieszkają w królewskich pałacach.

Czego więc pragniecie?

Ujrzeć proroka?

Tak, zaprawdę powiadam wam,

Więcej niż proroka!

To ten, o którym napisano:

«Oto posyłam wam mego posłańca,

Aby przygotował drogę dla mnie».

To nie jest miejsce dla ubranych wytwornie dworaków Heroda Antypasa,

Dla tych, którzy mieszkają w królewskich pałacach,

Ani dla takich, którzy gną się

Jak trzcina na wietrze.

Trzcina opiera się burzy,

Albowiem zdolna jest ugiąć się przed wiatrem,

Podczas gdy twardy krzew,

Który nie może się zginać,

Bardzo często jest wyrywany z korzeniami podczas silnej burzy".

Mówił też, że Jan był prorokiem,

I że on wrócił jako Eliasz

Wskrzyszony po to, aby wypełnić swą misję.

**Tak powiadali esseńczycy, Choć Jan jest największym Pośród synów człowieczych,
Najmniejszy w Królestwie Niebieskim Jest większy od niego. Jan uczynił wylom,**

**Przez który miało wydobyć się światło. Przypomnieli mu poselstwo niebieskie, Głos
boski, który usłyszał Podczas chrztu w Jordanie,**

A który wyznaczył mu jego własną misję.

Tak mówili doń esseńczycy:

„Nie możesz zostać uczniem Jana.

To ty masz pójść do miast nad jeziorem,

Aby tam zapowiadać Królestwo Niebieskie".

Wtedy Jan pozbył się wątpliwości.

Całym swym sercem, całą swą duszą,

Ze wszystkich swych sił

Zapowiadał bliskość przybycia Mesjasza.

„Spieszcie się! – mówił. – Jest jeszcze czas

Ale wkrótce będzie za późno.

Przybywajcie szybko! Okazujcie skruchę!".

Takim sposobem rosła jego chwała

I rozchodziła się po całym kraju.

Król Herod przeląkł się,

Że oskarży on *Kittim*.

Za namową żony,

Która nie znosiła Jana,

Kazał go aresztować,

Zamknął w twierdzy w Macheroncie

I kazał zabić.

Salome, córka godna swej wiarołomnej matki,

Przyniosła jego głowę na srebrnej tacy,

Płając w dzikim i złowieszczym

Tańcu zwycięstwa Synów Ciemności.

Wówczas esseńczycy uznali, Że Eliaz już przybył,

Że już go poznali.

I wtedy to uknuli plan:

Syn człowieczy miał cierpieć.

I tak zaczęła się wojna Synów Światła z Synami Ciemności.

Synami Ciemności byli Nauczyciele wiary,

Twórcy zasad, nauk i przykazań,

Znawcy interpretacji pisemnej i ustnej,

Oddzieleni, pełni wątpliwości Faryzeusze.

Wierzyli również w nieśmiertelność,

W raj i w piekło,

We wskrzeszenie umarłych

I królestwo Mesjasza.

To byli Synowie Ciemności.

Pod dumnym sztandarem Domu Machabeuszy,

Nienawidzącego faryzeuszy,

Obdarzającego przywilejami ród królewski,

Saduceusze walczyli przeciw faryzeuszom,

Dzielnie bronili Świątyni Jerozolimskiej.

Próbowali wpłynąć na odpowiedzialnych za kraj,

Którzy zaprzeczali tradycji ustnej

I drwili z powszechnej wiary

W życie wieczne,

Którzy twierdzili, iż nic nie może być powiedziane

Że nic nie może być poznane

I jak Grecy wierzyli w wolną wolę.

A Nauczyciel,

Któremu towarzyszyły tłumy,

Odrzucał zasady z takim trudem określone.

Jadał razem z poborcami podatków

I rybakami.

Tak, iż chcieli się go pozbyć.

Synowie Ciemności Sprowadzili z Jerozolimy

Uczonych skrybów,

Którzy wszem wobec ogłosili,

**Iż został opętany przez demona. Ich plan był taki, Żeby uczeni w księgach I rządzący
Znienawidzili go, Żeby rozpoczęła się wojna! Albowiem zbliża się koniec świata.**

I znienawidzili faryzeuszy, Których nazwali

Falszywymi komentatorami,

Obłudnikami o kłamliwym języku

I fałszywych ustach,

Którym udało się omamić cały lud.

„Bądźcie czujni – powiadali –

Słuchajcie uważnie wszystkiego, co mówią,

Ale nie postępujcie według ich czynów,

Bowiem oni mówią jedno, ale czynią drugie.

Biada wam,

Skrybowie i obłudni faryzeusze,

Którzy stawiacie grobowce prorokom

I zdobiecie groby sprawiedliwych.

Gdybyśmy żyli w czasach naszych ojców,

Nigdy byśmy do nich nie dołączyli,

By wylać krew proroków.

Tak więc świadczycie przeciw sobie samym,

Jesteście synami tych, którzy zamordowali proroków.

Jesteście Synami Ciemności".

I esseńczycy Nienawidzili saduceuszy,

Bowiem opuścili Świątynię

I zabrali jej skarb, Skarb króla Salomona.

Na pustyni zbudowali Nową Świątynię,

Która zastąpiła dawną,

Zawarli nowe przymierze między Bogiem i ludem

Poprzez nowy exodus,

Poprzez nowy podbój

Miast i miasteczek,

Gdzie żyli

Z kobietami i dziećmi W czystości

Z dala od dawnej Świątyni

Splamionej nieczystością,

W której rządzili saduceusze

I ich bezbożny kapłan.

Powiedzieli mu, że należy walczyć,

Jemu, który nigdy nie rządził,

Jemu, który nigdy nie sprawował władzy,

Jemu, który znał tylko wieśniaków

I biedaków, swoich krajan, pokornych ludzi,

Z prowincji Galilea,

Jej kwiaty i jej drzewa,

Jej pola i jej winnice.

Uczyli go, żeby nadstawiać lewy policzek,

Gdy uderzą cię w prawy.

Nie uciekać się do przemocy,

Bo przez to tylko zbacza się z drogi

Wyznaczonej przez Boga.

Miał rozgłaszać jego wezwanie

Nie tylko innym narodom,

Ale zagubionym owieczkom z domu Izraela.

„Zawsze – mówili –

Trzeba kochać bliźniego swego,

Okazywać mu miłosierdzie,

Bo tym sposobem

Naśladuje się samego Boga.

Albowiem sprawiedliwość Boża

To jego miłosierdzie,

Bo Bóg przede wszystkim opiekuje się

Biednym i uciśnionym,

Bo o wiele więcej niż wiara w siłę

I w potęgę człowieka

Znaczy strach przed Panem.

Nauczyli go,

Którzy to ludzie sprawiedliwi, a którzy grzesznicy,

Synowie Światła i Synowie Ciemności,

Sprawiedliwi z jednej strony, grzesznicy z drugiej.

Nauczyli go,

Że wina człowieka wobec jego bliźniego

Będzie zmazana dopiero w Dzień Pojednania,

Że zanim przebłaga bliźniego,

Musi być miłosierny,

Tak jak Bóg jest miłosierny.

Że jeśli wybacza się ludziom ich błędy,

Ojciec niebieski też im przebaczy.

Że jeśli nie wybaczy się ludziom,

Ojciec też im nie wybaczy.

Że w tym lepszym świecie będzie

Sprawiedliwemu według miary jego sprawiedliwości,

A grzesznikowi według miary jego grzechu.

Że na tamtym świecie

Jedynie miłość do bliźniego zasługuje na łaskę Boga;

A nienawiść do bliźniego ściąga boski gniew.

**Nie sądźcie, a nie będziecie sądzeni, Nie skazujcie, a nie będziecie skazani,
Odpuście, a i wam będzie odpuszczone, Dajcie, a i wam będzie dane.**

**Będziesz kochał bliźniego jak siebie samego, Będziesz bał się Boga jak Hiob,
Będziesz miłował Boga jak Abraham. Miłość jest ponad strachem.**

Więcej znaczy służba Bogu w bezwarunkowej miłości

Niż służalczość ze strachu przed karą Bożą.

Unikaj zła i tego, co je przypomina,

Przestrzegaj zwykłych przykazań,

Bo są ważniejsze od wielkich.

Jak powiedział mędrzec Hillel,

Miłuj Boga bardziej, niż się go lękasz.

Tak mówili esseńczycy.

Wystrzegajcie się brudu historii,

Którym jest bałwochwalstwo,

Którym jest wiarołomstwo,

Przez szacunek dla prawa,

Które jest ochroną i barierą,

I całkowitym zaprzeczeniem tamtego.

Czy Noe nie dlatego uratował się w arce,

Że nie uległ deprawacji?

Tak mówili esseńczycy.

Bądźcie święci,

Bo wówczas Bóg pozostanie waszym sprzymierzeńcem,

Bądźcie tą boską Resztą, żyjącą na uboczu na pustyni,

Która jako jedyna zachowuje Przymierze,

Bądźcie Przyzwanymi w jego imię,

Pouczeni przez namaszczonech przez Ducha Świętego,

Takich jak Mojżesz i jak Aaron,

Pomazańcy Boży.

Izrael i Reszta ludów,

Jesteśmy Resztą Izraela

W nowym przymierzu,

Ocaleni wśród Oddzielonych

Dzięki wiecznej boskiej łasce.

Sprawy ukryte od stworzenia świata

Dziś zostały ujawnione Świętym i Doskonałym.

Żyjemy tutaj, dając świadectwo

Proroctwom i sprawiedliwym nakazom

Nasze serca są odnowione,

Nasze dusze wyzwolone z ciemności

Jednoczą nas ze świętymi na wysokościach i z aniołami.

Niebiosa głoszą chwałę Boga,

A my codziennie śpiewamy wraz z nimi.

To, co obecne, jest już czasem przyszłym,

To, co było gdzie indziej, jest obecne tutaj.

Wypełniła się wola Boża,

Na ziemię daną z Nieba

Przybywa teraz Mesjasz,

Zasiada z nami przy stole,

Przy którym uczestniczymy w Słowie Bożym,

W Przymierzu wiecznym i ostatecznym,

Jest z nami Bóg.

Tak mówili esseńczycy.

Nauczyli go ubóstwa,

Bo prawdziwi Synowie Światła

Są biedakami wybranymi przez Boga,

Tak mówili esseńczycy.

Wierzyli, że Mesjasz

Ustanowi nowy porządek.

Patrzyli wstecz,

Czytali święte księgi Izraela.

Siły ciemności to byli *Kittim*

I ich agenci w Judei.

Pokonanie zła

Dokona się w krwawej wojnie religijnej.

Potem nastanie nowy czas

Pokoju,

Harmonii.

Ostateczne zwycięstwo, Unicestwienie zła,

Nastąpi za sprawą boskiego przeznaczenia. Tak oto przekazali Jezusowi swój sekret, Niepokonany oręż zwycięstwa.

A on w tę długą noc powtarzał za nimi:

„Będę służył ludziom,

Czyniąc tylko to, co jest dla nich dobre,

Albowiem Bóg jest sędzią wszystkiego, co żyje,

I do niego należy zapłata.

Nie będę jednak tolerował występnych ludzi

I nie będę żył w pokoju

Przed wyznaczonym dniem Sądu Ostatecznego".

Zwycięzać złych, czyniąc dobro: Taki był ten sekretny oręż, Silny przez swą niezmierną słabość, Który przekazali Jezusowi.

Dobry człowiek jest miłosierny dla wszystkich, Nawet dla grzeszników,

Nawet jeśli oni chcą wyrządzić mu krzywdę. „Ten, kto czyni dobro – powiadali –

Będzie silniejszy niż człowiek podły, Bo będzie chroniony przez dobro. Jeśli twoje intencje są dobre,

Źli ludzie będą żyli z tobą w pokoju, Za tobą pójdą rozpustni I nawrócą się,

Chciwi nie tylko powstrzymają swą żądzę pieniędzy, Ale oddadzą swój majątek Tym, którzy nie mają niczego".

Dobra intencja nie może być fałszywa, Błogosławić I złorzeczyć, Ponizać i szanować, Zasmucać I radować, Przywracać pokój I wprowadzać zamieszanie,

Być obłudnym

I jednocześnie głosić prawdę,

Wspierać biedaków

I jednocześnie bogatych.

Człowiek o dobrych intencjach

Jest jednakowy w swych uczuciach wobec wszystkich.

Nie stosuje dwóch sposobów patrzenia i słuchania,

Podczas gdy dzieło Beliala jest dwuznaczne, Nie ma w nim prostoty. Tak mówili esseńczycy.

A Jezus odrzekł:

„Słyszeliście, że powiedziano:

Oko za oko,

Ząb za ząb,

Ręka za rękę,

Noga za nogę,

Spalenie za spalenie,

Zbrodnia za zbrodnię,

Rana za ranę.

Lecz ja powiadam,

Żeby nie opierać się niegodziwemu,

I jeśli ktoś uderzy nas w prawy policzek,

Nadstawmy mu drugi,

Jeśli pragnie zabrać nam koszulę,

Oddajmy mu jeszcze jedną.

Daj temu, kto prosi,

Daj temu, kto bierze twoje dobro,

I nigdy nie żądaj, aby oddał".

I Jezus rozgłaszał ich słowa.

Mówił o tym, jak brudna jest chciwość i żądza. Głosił, że pierwsi będą ostatnimi, Ostatni będą pierwszymi, Smutni zostaną pocieszeni. A tym, którzy upadli na duchu, Obiecana jest wieczna radość. Błogosławieni ludzie pokornego serca, Ubodzy duchem, smutni, Mieli pocieszyciela. Był niczym Jonasz zmagający się z burzą, Gdy Bóg rozpełtał wielki wiatr na morzu. Potem udał się do synagogi w Galilei, A był to święty dzień szabat. Dano mu zwój Izajasza. Rozwinął go I znalazł takie oto słowa: „Duch Pański jest we mnie, Albowiem on mnie namaścił, Abym poniósł Dobrą Nowinę Ubogim.

Posłał mnie, abym zapowiadał uwięzionym Wolność". Kiedy skończył czytać,

Zwinął zwój, usiadł I rzekł:

„Dziś wypełnia się pismo

Dla was, którzy na to czekaliście".

Ale oni mu nie wierzyli.

Nikt nie jest prorokiem we własnym kraju.

Wtedy przypomniał długi szereg

Odrzuconych i prześladowanych proroków.

Eliasz i Elizeusz

Byli lepiej przyjęci u pogan

Niż w kraju rodzinnym.

Rozgniewali się wszyscy

I wypędzili go z miasta.

A oto słowa Nieśmiertelnego, Pana naszego:

„Zasiądź po prawicy mojej,

Aż uczynię z twoich wrogów

Twój podnózek".

Wtedy wyznaczyli jako posłów

Dwóch najbliższych jego uczniów,

Którzy mieli przemierzyć kraj w jego imieniu,

Ponieważ otrzymali od niego dokładne wskazówki.

Mieli mówić tylko do Żydów,

Nie do pogan,

Nie do Samarytan.

Podobnie jak esseńczycy nie wzięli w podróż ani bagaży, ani pieniędzy.

Jeżeli w jakimś mieście czy domu nie chciano ich gościć,

Nie zostawali tam.

Jednak nikt nie przejął się wezwaniem do skruchy.

Galilea, jego kraina, Odrzuciła swojego proroka.

Gdy Jonasz, Prorok z Galilei,

Zapowiedział, że za czterdzieści dni

Niniwa będzie zburzona,

Lud okazał skruchę,

Wyrzekł się swej bezbożności.

Za to, żeby Bóg przyjął jego cierpienie,

Za to, żeby lud nadstawił uszu,

Jezus oddałby swoje życie.

Wszyscy błąkami się niczym owieczki,

Każdy idzie własną drogą.

A Jezus wziął na siebie nieprawości wszystkich ludzi.

„Zmijowy rodzie – powiedział-

Jak moglibyście mówić dobre słowa,

Skoro jesteście tacy podli?"

A potem odszedł.

Kto chwyta za pług

I patrzy wstecz,

Nie jest godzien Królestwa Niebieskiego.

Niegodziwy król Herod, Tetrarcha Galilei i Perei,

Śledził poczynania Jezusa,

Gdy dowiedział się, że jakiś człowiek

Zapowiadał w Galilei nadejście Królestwa Niebieskiego

I przyciągał ogromne rzesze,

Jak przedtem Jan,

Jakby Jan zmartwychwstał.

To też było częścią planu.

Ale kilku faryzeuszy Z domu Hillela,

Którzy pragnęli ocalić życie Jezusa,

Którzy wiedzieli, co się knuje,

Przyszło go uprzedzić, że powinien uciekać,

Albowiem Herod chce go zabić.

„Powiedzcie mu – rzeź –

Że wypędzam złe duchy

I dokonuję uzdrowień dziś

I jutro,

A skończę trzeciego dnia”.

Albowiem nie przystoi, żeby prorok ginął poza Jerozolimą.

I to także było częścią planu.

Udał się więc na północ od Jeziora Galilejskiego,

W okolicy Cezarei.

Zapytał swych uczniów,

Co ludzie mówią na jego temat.

„Niektórzy sądzą, że jesteś Janem Chrzcicielem,

Eliaszem

i Jeremiaszem”.

„A co wy mówicie?”

„Że jesteś Mesjaszem”.

„Nie powtarzajcie tego więcej.

Nakazuję wam wszystkim

Zachowanie tego w tajemnicy,

Bo jest jeszcze za wcześnie, by ją ujawniać.

Nie nadeszła jeszcze moja godzina.

Przyjdzie chwila,

Kiedy udam się do Jerozolimy”.

Taki właśnie był ich plan.

Potem Jezus powiedział do Piotra:

„Szymonie, synu Jonasza,

Możesz być szczęśliwy,

Bo doznałeś objawienia

Nie od człowieka z krwi i kości,

Ale od mojego Ojca w niebiosach”.

Piotr doznał objawienia innego niż esseńczycy,

Nie był pod ich wpływem

I dlatego mógł być szczęśliwy.

Potem zaczęli go pouczać,

Że Syn Człowieczy wiele wycierpi,

Że zostanie odrzucony przez starszyznę,

Przez kapłanów ze Świątyni, przez skrybów,

Przez *Kittim*,

Że zostanie skazany na śmierć

I że zmartwychwstanie.

Albowiem w psalmie zostało powiedziane:

„Chroń to, co posadziła twoja ręka,

I syna, którego wybrałeś!

Niech twa ręka spocznie na człowieku po twojej prawicy,

Na Synu Człowieczym, którego wybrałeś!”.

I dlatego Bóg go nie opuści.

„Znam tych – powiedział-

Którzy wystąpią przeciw mnie,

Starszyznę, kapłanów, skrybów

I *Kittim*.

Ale walczyć z nimi nie chcę.

Pragnę porozumieć się z moim wrogiem,

Pragnę spotkać się z nim na drodze,

Boję się bowiem, żeby wróg nie wydał mnie sędziemu,

A sędzia strażom,

Że potem wtrącą mnie do więzienia.

Nie chcę tak, jak zeloci,

Buntować się przeciw *Kittim*.

Pragnę wyzwolić ten świat z wszelkiego jarzma

Poprzez Ducha Świętego.

Poczekam na tego, który się nam objawi.

Jednakże sam nie pójdę,

Ponieważ moja dusza spragniona jest Boga,

Ale Boga życia".

Wówczas odpowiedzieli mu: „Nie lękaj się!

Czy nie nazywasz się Jezua? *Jahwe pomocą.*

Bo będziesz zbawiony Przez Ducha Świętego.

Jak Izaak

Zostaniesz związany

I jak Izaak

Będziesz zbawiony.

W ostatecznym momencie

Nie zostaniesz opuszczony.

I w ten sposób wszyscy przekonają się,

Że jesteś

Jako Syn Człowieczy

Nauczycielem Sprawiedliwości.

Ufaj w to, że Bóg cię nie opuści".

I on zaufał. Był zaś wtedy

Niedaleko Jeziora Galilejskiego w prowincji Dekapolis,

W okolicy Galaadu i Baszanu,

A także Libanu i Damaszku,

Tam, gdzie są Rekabici i Kenici,

Wśród Galilejczyków,

Jak esseńczycy, którzy wyszli z kraju Judy

I udali się na wygnanie do Damaszku,

W ten sposób pragnęli zawrzeć Nowe Przymierze,

0 którym mówił prorok Jeremiasz.

Wystrzegali się więc wszelkiej nieprawości,

1 tego, by nie okradać biedaka, wdowy ani sieroty,

Pamiętali o tym, by dostrzegać

Różnicę między tym, co czyste i nieczyste,

Obchodzić szabat

A także inne święta i dni postu,

Miłować współbraci jak siebie samych,

Pomagać nieszczęśliwemu, ubogiemu i obcemu.

Uczyli go,

Że wspólnota była drzewem Którego zielone listowie

Stanowi pożywienie dla wszystkich zwierząt w lesie,

A w jego gałęziach znajdowały schronienie ptaki,,

Lecz zostało ono pokonane przez wodne drzewa,

Symbolizujące niegodziwy świat.

I drzewo życia pozostało ukryte przez nie.

To sam Bóg ochraniał,

Ukrywał swoją własną tajemnicę,

Podczas gdy obcy patrzył, nie widząc,

Myślał, nie wierząc w źródło życia.

Albowiem Królestwo Niebieskie nie było tylko

Domeną Boga,

Nie było to zwykłe królestwo,

Obejmowało ludzi,

W którym jego dziedzictwo

Przechodzi na wielkich i małych.

I dlatego Jezus przywołał Dwunastu,

Aby zostali rybakami ludzi, Aby uzdrawiali,

Zapowiadali zbawienie Nieszczęśliwemu, biedakowi i obcemu.

A tymczasem Piłat, prokurator Judei,

Uznał, że należy skazać go na śmierć,

Lękał się bowiem

Nowego Przymierza,

Nadejścia Królestwa Bożego,

Które położyłoby kres okupacji rzymskiej.

Wiedział, jak wielu go słuchało,

Jak bardzo nienawidzili *Kittim*.

Niektórzy z jego uczniów byli zelotami,

Którzy w całym kraju podzegli do buntu,

Którzy wierzyli w panowanie jedynego Boga,

Którzy gorąco pragnęli wyzwolenia

Od najeźdźców.

W tym czasie Jezus był już w drodze do Jerozolimy,

Opuścił Galileę,

Przeszedł przez Samarię,

Zatrzymał się na górze Garizim,

Gdzie czekał na niego samarytanin.

Złożył część cennego skarbu esseńczyków,

Starożytnego skarbu

Kapłanów Świątyni,

Cudownego skarbu Salomona

W tym miejscu,

Gdzie go nie będą szukać,

Gdzie był bezpieczny,

U skrybów samarytańskich,

Przyjaciół skrybów esseńskich.

I tak w czasie wojny

Synów Światła z Synami Ciemności

Skarb zostanie ukradziony,

Dzięki czemu dopiero w epoce mesjanistycznej

Odbiorą go, by zdobyć władzę.

Szedł dalej swoją drogą I na niej

Ukrył inne części skarbu.

Potem udał się do Jerozolimy,

Świętego miasta, gdzie wznosiła się siedziba Boga,

Centrum przyszłego królestwa,

Skąd miało przyjść Odkupienie i błogosławieństwo

Na wszystkie narody.

Jerozolima chyliła się ku upadkowi,

Zajęta przez pogan, Znieważona przez *Kittim*,

Zniesławiona, zbrukana

Przez tych, którzy ustawicznie pilnowali dziedzina Świątyni.

Musiał nawoływać do skruchy,

Bo inaczej

Miasto zginie.

Udał się do Jerozolimy

W święto Pesach,

Zatrzymał się w Betanii,

Gdzie ugościły go Marta i jej siostra Maria.

Tak więc udał się do Jerozolimy,

Wiedząc, co go tam czeka.

Już nie był w Galilei, wśród swoich,

Ale w Judei, gdzie groziło mu wielkie niebezpieczeństwo,

Gdzie miał stawić czoło Synom Ciemności,

Najwyższym władzom żydowskim i rzymskim,

Namiestnikowi rzymskiemu Poncjuszowi Piłatowi

I niegodziwemu kapłanowi Kajfaszowi,

Który otrzymał sekretne zadanie

Od arcykapłana,

Który opłacił je złotem ze swych dobrze wypełnionych skrzyń.

Pesach obchodzono w pierwszym miesiącu.

Dla upamiętnienia cudów, które kiedyś wydarzyły się w Egipcie,

Gdy Bóg uwolnił swój lud z niewoli.

Spożywano wtedy paschalnego baranka,

Którym tego wieczoru był Jezus.

Przaśny chleb z jego ciała, Gorzkie zioła umartwienia,

Bo składanie ofiar w Pesach odbywało się zgodnie z Pismem,

Zanim została wylana krew Jezusa jak ofiarne wino.

Dopiero potem miał być wielbiony,

Bo pierwsze owoce jęczmienia były poświęcone Bogu

Nazajutrz po paschalnym szabacie,

Gdy modlono się o rosę,

Bo tak było zapisane.

Niech odżyją twoi zmarli!

Niech powstaną moi zmarli!

Obudźcie się, zadrżycie z radości

Mieszkańcy ziemi,

Bo twoja rosa jest rosą ożywczą

I ziemia odda dzień ceniom.

Naprawię ich niewierność.

Będę dla Izraela jak rosa.

Albowiem Bóg go nie opuści.

Tak więc udał się do Jerozolimy,

Albowiem miał się ujawnić publicznie Izraelowi

Pod imieniem Mesjasza.

Tak miała nadejść jego godzina.

Godzina nadejścia Królestwa Niebieskiego,

Bardzo piękna godzina ostateczna,

To czas był wyznaczony dla niego.

Nie, Bóg go nie opuści.

W tym czasie w Jerozolimie Sanhedryn

zwołał nadzwyczajne zgromadzenie.

Arcykapłan Kajfasz tak przemówił:

„Czy nie rozumiecie, że to jest właściwe,

Że lepiej widzieć, jak umiera za lud jeden człowiek niż cały naród?”.

I postanowiono skazać Jezusa na śmierć. A on o tym wiedział,

Bo jego przyjaciel Jan,

Najbardziej umiłowany z jego uczniów,

Jego przyjaciel i gospodarz,

Jego tajny sojusznik, jego szpieg

Był kapłanem w Sanhedrynie

I wiedział o wszystkim, co się tam działo,

I wszystko powtórzył swemu nauczycielowi, Jezusowi.

Wtedy Jezus wyszedł z Betanii

I schronił się w mieście Efraim

Na skraju pustyni.

Potem wrócił do Galilei,

Aby odbyć paschalną pielgrzymkę

Współ z Galilejczykami.

Potem przybył na przedmieścia Jerozolimy

Do wioski Betfage. Łazarzowi powierzono troskę o to,

Aby wszystko odbywało się zgodnie z planem

Przygotowanym przez esseńczyków.

Przy wjeździe do miasta Betania Miał stać uwiązany osiołek.

Ale nikt z Dwunastu o tym nie wiedział.

Został wydany rozkaz, aby pozwolono mu odejść wraz z słańcami,

Którzy powiedzą:

„Potrzebuje go Nauczyciel”.

Wysłańcy wrócili z osiołkiem,

Byli uszczęśliwieni,

Bo zgodnie z proroctwem

Mesjasz miał przybyć na osiołku.

Na drodze, którą jechał, rozkładano szaty,

Wykładano ją ściętą trzcina,

A w Betanii Marta przygotowała kolację.

Namaściła jego stopy olejkiem nardowym

I wytarła je swymi włosami.

W ten sposób uperfumowała

Swego brata esseńczyka..

Jezus poprosił ją,

By przyniosła święty olej,

Aby zdradził go jeden z jego uczniów

I aby wypełniło się proroctwo:

„Ten, z którym żyłem w pokoju,

Który miał moje zaufanie,

Który spożywał mój chleb,

Podniesie na mnie rękę”.

Taki był plan esseńczyków.

**I tak wjechał do Jerozolimy Jak król. Śpiewano mu Alleluja, Wołano Hosanna!
Błogosławiony, który przychodzi w imię Pańskie! Niektórzy oburzeni tym faryzeusze
prosilili go, aby kazał im zamilknąć, Aby go nie zabito, Aby go ocalić. Ale on odrzekł:**

„Powiadam wam, jeśli zamilkną, kamienie będą wołać!”.

Pozwolił, aby tłumnie zgromadzeni Żydzi

Wiwatowali na jego cześć,

A było to oznaką buntu.

Oznaką zdrady wobec cezara.

Odprowadzał go tłum galilejskich pielgrzymów.

***Kittim* dostali rozkaz, aby pozwolić Żydom śpiewać**

I dojść do najważniejszego miejsca dla innych religii.

Na dziedzińcu Pogan,

Dostępnej dla wszystkich części Świątyni,

Jezus wyrzucił kupców.

Batem zrobionym ze sznurów,

Służących do związywania sprzedawanych na ofiarę zwierząt,

Rozdawał razy,

Wywracał stoły rozmieniających pieniądze na zakup zwierząt

ofiarnych, Ławki sprzedawców gołębi.

I rzekł im:

„Mój dom będzie nazywany domem modlitwy

A wy czynicie z niego jaskinię zbójów”.

I dodał:

„Zburzę tę Świątynię wzniesioną ludzką ręką

I po trzech dniach zbuduję drugą,

Która nie będzie dziełem rąk człowieka".

Było to proroctwo o zburzeniu Świątyni.

Tak przewidziane było w planie,

Aby zapobiec katastrofie.

Bo saduceusze mogli się schronić tylko w Świątyni,

A oto on zapowiedział koniec kapłanów saduceuszy

I koniec ich Świątyni.

Albowiem Świątynia została zbrukana

Przez obecność niegodnych kapłanów,

Przez stosowanie sprzecznego z prawem kalendarza,

Ustanawiającego na ich sposób

Dni świąteczne i dni zwykłe.

Była to wojna

Synów Światła przeciw Synom Ciemności,

Synów rodu Lewitów,

Synów rodu Judy,

Synów rodu Beniamina,

Wygnańców z pustyni

Przeciw zastępom Beliala,

Mieszkańcom Filistii,

Bandom *Kittim* z Assur

I tym, którzy im pomagali, zdrajcom.

Wtedy Synowie Ciemności, chcąc złapać go w pułapkę, Zapytali go:

„W imieniu jakiej władzy przemawiasz?”.

„Czy wasz Jan dokonał chrztu z Boskiej inspiracji czy nie?” –

odrzekł. „Tego nie wiemy”.

„W takim razie – rzekł Jezus – nie powiem wam, na mocy

jakiej władzy Zrobiłem to, co zrobiłem”.

Inne osoby rozproszone w tłumie

Stawiały mu pytania, Żeby złapać go w pułapkę.

Ale on był przygotowany za dobrze,

Żeby dać się podejść.

„Czy należy płacić podatek cesarowi?” – zapytali.

Albowiem podatek

Naruszał prawo, które zakazywało

Obliczania stanu ludności.

„Czemu wystawiacie mnie na próbę?

Pokażcie mi denara”.

Pokazali mu monetę,

Ale on nie chciał jej dotykać,

By nie rozgniewać zelotów,

Którzy byli po jego stronie.

„Czyj to wizerunek?”

„Cezara”

„Oddajcie więc cesarowi, co jest należne cesarowi,

A Bogu to, co należne jest Bogu.

Bo Bóg jest jedynym Panem”.

Jezus obchodził święto Pesach

We wtorek, zgodnie ze słonecznym kalendarzem z Qumran,

A nie według nieczystego kalendarza Świątyni.

Tak, jak to zazwyczaj czynił

Współ z członkami swojej wspólnoty.

Pod koniec dnia

Wyszedł ze Świątyni po raz ostatni,

Czwarty dzień spędził w Betanii,

A wieczorem był u trędowatego Szymona.

Piątego dnia zaczęło się święto Matszot,

Kiedy zabijano baranka paschalnego. Tego wieczoru był nim Jezus.

Potem udał się do Jerozolimy

Na ostatnią wieczerzę,

Którą była wieczerza paschalna.

Zebrał swoich uczniów,

Aby spożyć z nimi tradycyjny posiłek,

Upamiętniający wyzwolenie z Egiptu.

Jednak ta noc nie była taka jak wszystkie inne noce,

Ta noc miała być ostatnią w jego życiu na tym świecie.

Nadeszła jego godzina,

Spodziewał się tego,

Wiedział o tym.

Może była to ostatnia noc w jego życiu na tym świecie?

Postanowił zebrać uczniów po raz ostatni.

Było ich trzynastu przy stole

Nakrytym do wieczerzy sederowej.

Był wśród nich Judasz Iskariota,

Umiłowany uczeń Jezusa.

Dwunastu uczniów zasiadło przy stole

Wokół Jezusa, który wstał,

Zdjął płaszcz

I wziął płócienny ręcznik, którym się przepasał.

Nalał wody do miski

I zaczął obmywać nogi swoich uczniów

A potem wycierał je ręcznikiem, którym był przewiązany.

Taki był bowiem rytuał u eszeńczyków,

Aby nikt nie uważał się za lepszego,

Aby wszyscy byli równi sobie.

Nadeszła kolej na Szymona Piotra,

Ale on nie chciał dać sobie obmyć nóg.

Albowiem Piotr nie należał do sekty

I nie chciał brać udziału w spisku.

„Jeśli nie umyję ci nóg,

Nie będziesz mógł pójść ze mną” – odrzekł na to Jezus,

Ponieważ uważał, że to eszeńczycy posiadali klucze do Królestwa Niebieskiego.

„Umyj mi więc nie tylko nogi, Ale także ręce i głowę” –

Odrzekł Szymon Piotr

I tym sposobem przyjął chrzest

Eszeńczyków,

Bo wierzył w Jezusa.

„Teraz jesteście czyści – powiedział Jezus –

Ale nie wszyscy”.

Bo był wśród nich Judasz.

A Jezus wiedział, że będzie wydany.

Bo Judasz, syn Szymona Zeloty,

Był najsilniejszy wśród eszeńczyków,

Najmocniej wierzył w Jezusa,

Do tego stopnia, że był gotów stracić swą czystość..

Judasz bardziej niż Piotr,

Bardziej niż wszyscy pozostali

Wierzył, że Jezus był Mesjaszem

I wierzył w Boga.

Judasz wiedział,

Że Bóg mu tego nie wybaczy.

Judasz miał go wydać,

Aby mogło przyjść Królestwo Niebieskie,

Królestwo Króla-Mesjasza,

Królestwo Jezusa.

Musiał więc być silny,

By znieść tę niegodziwość,

I musiał być zelotą,

Aby znieść taką ofiarę,

Ofiarę wieczności, Ofiarę ze swojej ofiary.

Gdy Jezus skończył, Włożył płaszcz,

Zasiadł znowu przy stole I powiedział:

„Czy pojmujecie, co uczyniłem?

Nazywacie mnie Nauczycielem Sprawiedliwości,

I słusznie mówicie,

Bo nim jestem.

Jeśli ja wam umyłem nogi,

Ja, Pan i Nauczyciel,

Wy także powinniście myć nogi innym,

Bo taki wam dałem przykład,

I to, co ja wam uczyniłem,

Wy czyńcie innym.

Zaprawdę powiadam wam,

Sługa nie jest większy od swego pana,

Ani posłaniec nie jest większy od tego, kto go posyła.

Wiedząc o tym, będziecie szczęśliwi,

Jeśli zastosujecie to w praktyce.

I nie mówię tego ze względu na was,

Bo znam tych, których wybrałem,

Ale żeby wypełniło się Pismo.

Ten, który spożywał ze mną chleb,

Podniesie przeciw mnie rękę.

Mówię to wam,

Zanim się to wydarzy,

Abyście w momencie kiedy to się stanie,

Uwierzyli, kim jestem.

Zaprawdę powiadam wam,

Przyjmując tego, którego poślę,

Przyjmiecie mnie samego,

A przyjąć mnie,

To przyjąć Tego, który mnie posłał".

Pragnął, aby nadal utrwalali oni braterstwo

Esseńczyków, biedaków,

Gdyby on nie miał już nigdy wrócić.

Wszak wiedział, że podjął ryzyko,

Godząc się na ich plan,

Wiedział, że ryzykuje swoje życie.

Zasiedli więc do wieczerzy,

Podobnej do wieczerzy u esseńczyków.

I Jezus rzekł:

„Zaprawdę, powiadam wam,

Nie będę już pił tego wina aż do Królestwa Bożego”.

W ten sposób ujawnił się przed swymi uczniami Jako Mesjasz,

Wyjawiał swoim uczniom,

Że nie będzie już brał udziału w świętym posiłku

Jako ten, który przyjmuje komunię,

Ale jako Mesjasz,

W odróżnieniu od kapłanów.

Bo według esseńczyków

Zostało napisane, iż Mesjasz Izraela

Powinien złożyć ręce nad chlebem

I po odmówieniu modlitwy

Podzielić go między całą wspólnotę.

I Jezus postąpił według tego rytuału,

Jak miał zwyczaj to czynić,

Gdy świętował dzień Paschy

Razem z esseńczykami.

Gdy jego uczniowie jedli,

Wziął chleb,

I pobłogosławił go,

I połamał

I rozdzielił pomiędzy nich.

Począł, aż zaczęła jeść,

Żeby dokonać sakramentu,

Jak czynił to

Gdy świętował dzień Paschy z esseńczykami.

A potem Jezus tak powiedział do swych dwunastu uczniów:

„Gorąco pragnęłam spożyć z wami tego paschalnego baranka,

Bo powiadam wam,

Będę go jadł dopiero w Królestwie Bożym”.

Następnie wziął kielich z winem, Pobłogosławił je i rzekł:

„Powiadam wam, że Ten owoc winnicy

Będę pił znowu dopiero w Królestwie Bożym”.

Myślał bowiem, że Królestwo Boże

Nastąpi już wkrótce.

Potem zrobił gest błogosławiący, Gest Mesjasza. Wziął chleb, Pobłogosławił go i rzekł: „Oto ciało moje”.

Tak wypowiedział ostatnie słowa tej wieczerzy, Utożsamiając chleb ze swym ciałem i wino ze swoją krwią.

Jednak tego wieczoru nie powtórzył modlitwy esseńczyków, Zgodnie z którą pożywienie to symbolizowało nieobecny Mesjasz. Albowiem chleb był poświęcony i stanowił symbol pożywienia. Sam siebie utożsamiał z chlebem,

Który symbolizował Mesjasza w świętym posiłku. Nie powiedział, Jak miał zwyczaj mówić:

„Ten chleb symbolizuje Mesjasza Izraela”, Ale rzekł

„To jest ciało moje”. Tak oto ujawnił się przed nimi, Bo sądził,

Że Królestwo Boże było już bliskie

I że wkrótce wszyscy zostaną zbawieni.

Potem powiedział:

„Zaprawdę powiadam wam –

Jeden z was zaraz mnie wyda”.

Wtedy spojrzeli po sobie

I zastanawiali się, o kim mówi.

Jeden z nich, Jan, kapłan,

Którego Jezus umiłował,

Siedział obok niego.

Szymon Piotr dał mu znak:

„Zapytaj, o kim mówi”.

Bo tylko Janowi

Jezus mówił,

Co miał na sercu.

Jemu

Mówił wszystko, Bo był on kapłanem, Bliskim esseńczykom,

Który widział wszystko, co działo się w Sanhedrynie.

Uczeń ten nachylił się do Jezusa I zapytał:

„Panie, który to?”. Wtedy Jezus rzekł:

„To ten, któremu podam kawałek chleba,

Wcześniej umoczony przeze mnie w misie”.

Wziął więc kawałek chleba

I podał go Judaszowi Iskariocie,

Synowi Szymona zeloty.

I odezwał się do niego Jezus słowami przyzwolenia,

Bo w ten sposób potwierdzał ich wspólną umowę:

„Czyń szybko, co masz czynić”.

A ponieważ Jezus trzymał sakiewkę wspólnoty esseńczyków,

Niektórzy pomyśleli, że poleca Judaszowi kupić

Coś potrzebnego na święto,

Albo że daje pieniądze na biednych.

Ale uzgodnione było pomiędzy nimi, że po tych słowach

Judasz go wyda,

A pieniądze, które otrzymał,

Przekáže do skarbu wspólnoty esseńczyków.

Judasz wziął podany mu kawałek chleba

I natychmiast wyszedł.

A gdy tylko wyszedł,

Jezus poczuł ulgę,

Że obaj nie okazali słabości,

Że Judasz uczynił, jak było uzgodnione,

Bo oni go wybrali, Realizując plan.

Rzekł do pozostałych:

„Teraz Syn Człowieczy zaznał chwały

I Bóg zaznał chwały w sobie samym.

Zanim was opuszczę,

Daję wam nowe przykazanie:

Miłujcie się nawzajem.

Jak ja was umiłowałem,

Tak wy kochajcie się wzajemnie.

Jeśli będziecie mieć miłość jeden do drugiego,

Wszyscy poznają, że jesteście moimi uczniami".

Taki właśnie był plan esseńczyków.

Pragnęli bowiem, aby był on konfrontowany

Z prawdą

I żeby przez niego

Ich prawda zatriumfowała.

Myśleli, że Bóg go ocali,

Jak ocalił Izaaka.

Pragnęli objawienia

I sądzili,

Że należy przyspieszyć bieg wypadków,

Wziąć Boga na świadka,

Zmusić go do interwencji,

Zmusić do ujawnienia Mesjasza.

Taki był ich plan,

Taka była ich umowa.

To był spisek na rzecz Boga.

To był spisek przeciw Bogu.

Wydać Jezusa, jego wysłannika,

Kittim

I niegodziwemu kapłanowi.

Miał zostać złożony w ofierze nie jak baranek na ołtarzu.

Jak Izaak miał być ocalony w ostatnim momencie.

I Jezus zgodził się na tę umowę,

Albowiem ufał im, Jak oni ufali jemu.

Po wieczerzy

Jezus i jego uczniowie

Wyszli z miasta

I poszli na Górę Oliwną.

Wspięli się do miejsca zwanego Getsemani.

Poprosił uczniów, aby tu zostali

I modlili się.

Potem położył się na ziemi I modlił się:

„Ojcze, jeśli tego chcesz,

Oddań ode mnie ten kielich,

Ale niech się dzieje nie moja wola,

Lecz twoja”.

Nie robił niczego dla siebie,

Czekał na znak od Boga,

Czekał, że Bóg go ocali.

Potem wrócił do uczniów, Którzy już spali.

I rzekł do nich: „Dlaczego śpicie?

Wstańcie,

I módlcie się, bym podołał próbie”.

Lękał się bowiem, że nie wypełni swej misji,

Że ucieknie.

Ale udało mu się oprzeć pokusie,

Która nim zawładnęła,

Przemożnej pokusie nazywanej strachem,

Aby korzystając z ciemności,

Uciec z ogrodów Getsemani.

Potem Jezus udał się ze swymi uczniami do ogrodu

Za potokiem Cedron.

A Judasz, który miał go wydać,

Przyszedł tam na czele oddziału żołnierzy

I strażników, niosących pochodnie i broń.

Tak oto przybyła straż ze Świątyni

Wraz z *Kittim*

I synem zeloty,

Który podszedł do Jezusa.

Uściskali się,

By dodać sobie otuchy

I żeby się pożegnać.

Jezus wysunął się do przodu

I rzekł:

„Kogo szukacie?”

„Szukamy Jezusa”.

Wtedy oni zawahali się przez chwilę.

Jezus mógłby jeszcze uciec,

Ale wytrwał i ponownie zapytał: „Kogo szukacie?”. A tamci odrzekli: „Jezusa z Nazaretu”. „Ja nim jestem”.

Wtedy Szymon Piotr, Który nosił miecz, Wydobył go,

Zamierzył się na sługę niegodziwego kapłana

I odciął mu prawe ucho.

W końcu zrozumiał, co się dzieje,

Chciał ratować Jezusa,

Ale Jezus rzekł do Piotra:

„Schowaj miecz do pochwy!

Czyż miałbym nie wypić czary, którą podał mi Ojciec?”.

Wówczas Piotr pojął. Bo między Piotrem i esseńczykami,

Między Piotrem i Janem, Uczniem, którego Jezus umiłował, Byli oni.

I to oni zwyciężyli.

Mieczu, uderz w mego pasterza

I w człowieka, który jest moim towarzyszem!

Żołnierze i żydowscy strażnicy chwycili Jezusa

I go związali.

Tego wieczoru

Judasz nie był zdrajcą,

Był najczystszy synem zeloty,

Tym, który najmocniej wierzył w ostateczne Wyzwolenie,

Tym, który najmocniej ufał w mesjanistyczne zwycięstwo

Jezusa w walce

Z Synami Ciemności,

Tym, który był najgłębiej przekonany,

Że był on Mesjaszem.

Nawet Piotr

Wyparł się go trzy razy tego wieczoru.

A Judasz był bratem Jezusa,

I to jemu esseńczycy nakazali go wydać,

Aby mogła wyjść na światło dzienne Prawda,

Że był Mesjaszem,

Że nadeszło już Królestwo Niebieskie.

Synowie Światła pragnęli pokonać

Synów Ciemności.

Chcieli przyspieszyć koniec świata W wojnie

Synów Światła przeciw Synom Ciemności.

I Jezus to wiedział.

Stojąc przed arcykapłanami,

Rzekł im, że właściciel winnic

Wysłał sługę do zarządców,

By odebrać należną mu część,

Ale zarządcy pobili go

I wyrzucili.

Wysłał więc drugiego sługę,

Ale i tego pobito,

Obrzucono złymi słowami. Posłał więc jeszcze jednego,

Ale poranili go I wyrzucili.

Wtedy wysłał do nich swego syna,

Myśląc, że będą mieli dla niego względy.

Ale zarządcy winnic szeptali między sobą:

„Oto spadkobierca, Zabijmy go,

A spadek przypadnie nam!”.

Wywlekli go więc poza winnicę I zabili.

Co zrobił z nimi właściciel winnicy?

Przyszedł sam,

Kazał ich zabić,

A winnice oddał innym.

Arcykapłani pojęli,

Że tymi zarządcami, zabójcami Są właśnie oni,

Niegodziwi kapłani, Którzy rządzą całym ludem Bożym,

A winnica to lud Izraela.

Tamtego wieczoru Było ich trzynastu,

Siedzących wokół stołu z wieczerzą paschalną.

Był Jezus, Dwunastu, I honorowe miejsce

Dla pana domu, Jana, Ukochanego ucznia,

Esseńczyka, należącego do domu kapłanów,

Kapłan, który stał się esseńczykiem.

A kiedy Jezusa aresztowano,

Pobiegł do domu kapłana Annasza, Syna Sena, dawnego arcykapłana.

Bo wiedział, dokąd zaprowadzą Jezusa.

A tymczasem Jezusa zaprowadzono przed kapłana

I ten go zapytał, Czego nauczał.

„Dlaczego mnie o to pytasz? – rzekł Jezus.

–Zapytaj tych, którzy słuchali tego, co do nich mówiłem”

Wtedy Annasz odesłał Jezusa do Wysokiej Rady.

Zebrali się wszyscy członkowie Sanhedrynu

I patrzyli na niego w milczeniu. Jak nieme jagnię, Stojące przed tym, który je strzyże, Nie otworzył ust.

„Nie masz nic do powiedzenia na swoją obronę?” – Zapytał arcykapłan Kajfasz. Ale Jezus nadal milczał. „Czy jesteś Mesjaszem?” „Tak, jestem nim.

Wkrótce ujrzycie Syna Człowieczego, Siedzącego po prawicy Wszechmocnego”. Wtedy kapłan rzekł:

„Czy potrzeba nam innych świadków? Usłyszeliście jego przyznanie się do zdrady. Co postanowicie?”. Był niegodziwym kapłanem

I rada uznała, że Jezus zasłużył na śmierć. Bluźnił

Nie tylko przeciw Bogu,

Lecz także przeciw cesarowi Tyberiuszowi. Stali się donosicielami,

Oskarżyli Jezusa przed urzędnikiem cezara. Jezus nie bluźnił przeciw Prawu, Nie wymówił świętego imienia Boga I dlatego nie mógł zostać ukamienowany. Nazajutrz rano

Zaprowadzili go przed oblicze Poncjusza Piłata. Oświadczyli, że buntował lud,

Że zabronił płacenia podatku należnego cesarowi, Że ogłosił, iż jest Mesjaszem, Królem. Piłat wyszedł na taras i zapytał: „Czego chcecie?”.

„Ten człowiek jest przestępcą”. „Weźcie go więc i osądźcie sami Według waszego prawa”. „To nie jest przestępstwo religijne”. „Czy jesteś żydowskim królem?” „Sam to rzekłeś,

Czy inni ci to podpowiedzieli?” „Najwyżsi kapłani żydowscy Wydali cię mnie. Co takiego uczyniłeś?”

„Królestwo moje nie jest z tego świata”. „Jesteś więc królem?” „Tak, jestem królem. Narodziłem się

I przyszedłem na ten świat, by dać świadectwo prawdzie.

Komu zależy na prawdzie, ten mnie słucha”.

„Nie mam nic przeciwko niemu” – powiedział Piłat.

„Buntuje lud – odparli kapłani – ucząc

Po całej Judei,

Od Galilei,

Skąd przybył,

Aż tutaj”.

„Jest Galilejczykiem?

Podlega więc sądom Heroda Antypasa,

Tetrarchy Galilei.

Przedstawcie wasze zarzuty Herodowi”.

Wtedy niegodziwy kapłan zawiódł go przed oblicze Heroda

I przedstawił swoje zarzuty przeciw niemu.

Herod odesłał więźnia do Piłata.

Niegodziwy kapłan zebrał swoich ludzi

I ich przyjaciół na dziedzińcu pretorium.

Piłat orzekł, że trzeba wychłostać Jezusa,

A potem odesłał go,

Bo było to święto Paschy.

Wtedy tłum, podżegany przez podłego kapłana,

Zakrzyknął, iż chce uwolnić Barabasz, A nie Jezusa.

Zażądał, aby biczować Jezusa. Przebrano Jezusa,

Zarzucono mu na ramiona czerwoną pelerynę

I założono na głowę koronę cierniową. Tłum wołał,

Że trzeba go ukrzyżować.

Tak więc Barabasz został uwolniony,

A Jezus został skazany,

Przybity do krzyża z napisem:

„Jezus Nazarejczyk, Król Żydowski”.

Bo Jezus był nazarejczykiem,

Podobnie jak esseńczycy, którzy sami siebie nazywali

Nozerei Haberith-

Stróżami Umowy,

Nazarejczykami.

Jezus został zabrany przez rzymskich strażników.

Przeszedł przez zachodnią bramę miasta.

Ale nikt o tym nie wiedział,

Co się stało na Wzgórzu Władzy.

Święta dopiero się zaczęły.

Wszystkie wydarzenia zostały przyspieszone I otoczone tajemnicą I nikt nie wiedział

o spisku, który uknuto.

Pod krzyżem

Stała jego matka

1 Jan, umiłowany jego uczeń, Maria Magdalena,

Maria, matka Jakuba,

Salome, matka Jakuba,

Jan, syn Zebedeusza.

Żołnierze grali w kości o szaty Jezusa,

Jak było to napisane.

Przebili jego dłonie i stopy,

Jak było napisane.

Kapłani składający ofiary i skrybowie drwili z niego,

Jak było napisane.

Krzyczeli:

„Zawierzył Panu, no to

Niech Pan go ocali, jeśli go kocha”.

Tak było napisane.

Potem podali mu ocet,

Jak było napisane.

Jego bok przebito włócznią,

Jak było napisane u Zachariasza.

Wszystko to wydarzyło się

Zgodnie z przewidzianym planem po to,

Aby wypełniło się Pismo.

Tłum, podjudzany przez kapłanów,

Żądał śmierci Jezusa.

Podły kapłan wołał o jego nienawiści do Pana.

Nie widziano faryzeuszy,

Którzy byli nieobecni,

Albowiem byli bliscy esseńczykom.

Nie widziano Judasza,

Złożonego w ofierze, Wiernego,

Silnego i szlachetnego,

Który wierzył w Jezusa i w Boga,

Który zrozumiał,

Który oddał pieniądze

Nie esseńczykom,

Ale kapłanom,

Który zadał sobie śmierć.

Bo było już za późno, Nadszedł czas próby sił

I nikt na tym świecie

Nie mógł nic na to poradzić.

W ten wieczór Esseńczycy pościli

I modlili się całą noc, Błagając o pomoc.

Zaciągnięto go na ponurą Golgotę,

Przybito do krzyża,

Jego szaty rozdzielono,

Rzuciwszy o nie losy.

Razem z nim było dwóch bandytów,

Jeden po jego prawej stronie, Drugi po lewej.

Odsłonił plecy tym,

Którzy zadawali mu ciosy.

Nadstawił policzki tym,

Którzy wrywali mu włosy z brody.

Nadstawił twarz tym,

Którzy go opluwali.

Ale nie otworzył ust w obecności tych,

Którzy doprowadzili go na ołtarz.

Przechodnie lżyli go i mówili:

„Ty, który burzysz Świątynię

I odbudowujesz ją w trzy dni,

Ocal siebie samego,

Schodząc z krzyża”.

Tak samo niegodziwy kapłan

I skrybowie

Drwili:

„Ratował innych,

A nie umie uratować siebie samego.

Mesjasz,

Król Izraela,

Niech zejdzie teraz z krzyża, Abyśmy to ujrzeli!”.

A i ci, którzy byli wraz z nim ukrzyżowani, Także go lżyli.

„Schowaj miecz – Powiedział do Piotra –

Czy sądzisz, że nie mógłbym odwołać się do mego Ojca,

Który natychmiast przysłałby

Kilkanaście hufców anielskich? Jak miałyby się wypełnić Pismo, Według którego właśnie tak ma być?".

Wierzył, że zostanie ocalony.

Ufał do ostatniej chwili,

Kiedy zrozumiał, że nic się nie wydarzy,

Że Bóg go opuścił.

W dniu, kiedy Mesjasz oddał ducha,

Niebo nie było ani więcej,

Ani mniej ponure niż w inne dni.

Nie pojawił się na nim żaden Świetlisty cudowny znak.

Słońce przesłaniała gęsta mgła,

Ale jego promienie przebijały się przez grubą powłokę.

Był to taki dzień jak każdy inny.

Jego agonia była powolna, trudna.

Jego oddech przeszedł w długi jęk bezbrzeżnej rozpacz.

Jego siwe włosy i broda nie wyrażały już

Tej mądrości,

Którą emanował, niosąc uzdrowienie.

Jego spojrzenie nie miało już tego płomienia,

Który zawsze w nim gorzał,

Gdy namiętnie głosił wszystkim dobre słowo

I proroctwa,

Gdy zapowiadał nadejście nowego świata.

Jego wyniszczone, udręczone ciało

Wyrażało tylko cierpienie.

Sterczące kości tworzyły makabryczny widok.

Jego zwiotczała skóra,

Przywodząca na myśl poszarpane na strzępy ubranie,

Podarty całun,

Była niczym rozwinięty,

A potem sprofanowany stary pergamin,

Zapisany krwawymi literami.

Nogi, przebite gwoździami,

Były posiniaczone,

Z przedziurawionych,

Skurczonych z bólu dłoni Ciekła krew. Wyszły usta

Niezdolne już były do słów miłości.

Jego pierś, niczym jagnię schwywane podstępnie przez wilka,

Nagle zafalowała,

Jakby serce chciało wyskoczyć

Z tego nagiego umęczonego ciała.

Potem znieruchomiał,

Upojony własną krwią jak winem,

Z omdlałymi oczyma,

Półotwartymi ustami.

Czy odchodził do Ducha Świętego?

Ale przecież Duch Święty go opuścił,

Nawet wtedy, gdy w przebłytku ostatniej nadziei

Zwrócił się do niego,

Przywołując jego imię:

„Boże zbaw,

Boże bądź z nami,

Boże ocal mnie”

Żaden znak nie został dany jemu,

Rabbiemu, cudotwórcy,

Odkupicielowi, pocieszycielowi ubogich,

Uzdrowicielowi chorych, obłąkanych i sparaliżowanych.

Nikt nie mógł go ocalić,

Nikt, nawet on sam.

Dano mu trochę wody.

Zwilżono usta gąbką.

0 trzeciej godzinie

Zdał sobie sprawę, że wszystko jest skończone.

W rozpacz,

W samotności,

Rozczarowany,

Jezus zawołał:

Eli, Eli, lenta sabachthani?

Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?

1 tak Jezus oddał ducha.

Kto wspiął się na niebiosa,

I kto z nich zszedł?

Kto złapał wiatr w swoje ręce?

Kto przywołał ostatnie chwile ziemi?

Jakie jest jego imię

I jakie jest imię jego syna?

Czy wiesz?

Powiedzieli mu,

Że Bóg go nie opuści.

Dla dobra misji, którą obmyślili,

Chcieli, aby wytrwał do końca,

Tak święcie wierzyli, iż był Mesjaszem,

Tak ufali, że wygrają tę bitwę.

Pragnęli wywołać wojnę.

Starcie z kapłanami,

Z *Kittim*,

Pokazać wszystkim

W tym piekielnym zmaganiu,

Że Jezus był Mesjaszem, na którego czekali.

Miał to być początek ostatniej wojny,

Poprzedzającej nadejście Królestwa Bożego.

Zmęczyli się już czekaniem na tę wojnę,

Pragnęli działać

I czuli się wystarczająco silni, by przyspieszyć bieg wypadków.

Ich emisariusz miał na imię Jezus,

Nie chcieli, aby umarł,

Wierzyli, że zwyciężą.

Skąd to zamieszanie między narodami,

Dlaczego buntują się ziemscy królowie?

A książęta sprzymierzają się z nimi

Przeciw Panu,

Przeciw Jego Pomazańcowi?

Tuż przed końcem świata Bezbożni sprzymierzą się

Przeciw Nauczycielowi Sprawiedliwości, aby go zniszczyć,

Ale ich zamiary się nie powiodą.

***Kittim* panują nad wieloma narodami.**

Książęta,

Starszyzna

I kapłani z Jerozolimy, którzy rządzą Izraelem,

Ich Wysoka Rada – wszyscy im pomagali.

Wiedział, jaki czeka go los, Jak również i to, że wróci w chwale, By objąć rządy nad narodami – I wydać na nie sąd.

Tak więc namówili go

I przyczynili się do jego śmierci.

Odczuwali z tego powodu tak wielki wstyd,

Iż złożyli uroczystą przysięgę, Że zachowają dla siebie Prawdziwą historię Jezusa.

Niektórzy oczekiwali, Że stanie się cud,

Że zmartwychwstanie on w blasku chwały,

Albo że na ziemię spadnie kataklizm,

Który zniszczy wszystko, jak w ich prorocत्वach.

Inni ujrzeli na niebie jasną błyskawicę.

Jeszcze inni mówili,

Że widzieli go we śnie.

Ale tu, na ziemi,

Na tym świecie, nie stało się nic.

Przybędzie któregoś dnia, Będzie z rodu Dawida

Z rodu esseńczyków,

Będzie wielkim na tej ziemi,

Wszyscy będą go wielbili i mu służyli.

Będzie nazywany Synem Człowieczym

I nazwą go synem Najwyższego.

Jak spadająca gwiazda,

Jak piękna wizja, takie będzie jego królestwo.

Będą władali wiele lat Na ziemi

I zniszczą wszystko.

Jeden naród zniszczy drugi naród,

Jedna prowincja zniszczy drugą prowincję,

Aż lud Boży odrzuci miecze.

Przez człowieka

Sprawiedliwego, złożonego w ofierze,

Zostanie namaszczoney, W swoim czasie

Wystąpi przeciw Synom Ciemności,

Przeciw bezbożnemu kapłanowi, I pokona ich.

Spisane w 3787 roku przez Jana,
esseńczyka, ukrytego kapłana,
ucznią, którego Jezus umiłował.

Bo ten, który widział musi dać świadectwo. Prawdziwe świadectwo, Bo on wie, że mówi prawdę.

ZWÓJ ÓSMY Zwój Mesjasza

Powróci ten, którego nazwano Jeszua,

Jahwe pomocą,

Albowiem Bóg nie ocali go

Za pierwszym razem. Był synem

I stał się Duchem Świętym.

Zostanie ojcem.

Tak wróci.

I będzie związany

Jak baranek,

I zbawiony,

Albowiem Bóg zbawia,

Aby wypełniło się jego słowo.

I pęd wyrośnie z jego korzeni.

I duch Wiekuistego spocznie na nim,

Duch mądrości i rozumu,

Duch rozwagi i siły,

Duch wiedzy i lęku przed Panem

Spocznie na swym synu.

I nic nie wydarzy się,

Zanim nie wybuchnie wojna

Synów Światła z Synami Ciemności,

Synów Lewiego,

Synów Judy,

Synów Beniamina,

Wygnańców z pustyni

Przeciw zastępom Beliala,

Mieszkańcom Filistii,

Kittim z Assuru

I tym zdrajcom, którzy im pomagają.

I Synowie Światła zawładną na nowo Jerozolimą,

I Świątynią,

I wojna ta przeciw siedmiu krajom

Trwać będzie czterdzieści lat.

I stanie się to

Po wieku zniszczenia,

Katastrof,

Nienawiści,

Chorób,

Wojny plemiennej, Wojny etnicznej,

Wojny ludobójczej.

I stanie się to,

Gdy przybędzie Syn Człowieczy

Z rodu Dawida,

Z rodu synów pustyni.

Będzie pomazańcem,

Wyleją na jego głowę

Olejek balsamiczny.

Przez człowieka narodów

Sprawiedliwego przybitego na krzyżu,

Wskrzyszonych Eliasza i Jana,

Przez niego będzie zapowiedziany.

I przez diabła w lesie

Będzie kuszony

Trzy razy.

Będzie zwycięzcą

On, Król Chwały, który przybywa na obłokach,

Pęd, który wyrasta z wyschłej ziemi,

Król pokorny, dosiadający osła,

I sługa cierpiący.

Będzie tak, jak powiedział Ozeasz:

„Wrócę do mego domu,

Aż oni wyznają swe winy,

Spoglądając w moje oblicze.

Ręka Wiekuistego spoczęła na mnie".

I wszyscy, którzy jedzą jego chleb,

Podniosą na niego rękę.

Będą mówić o nim źle,

Złośliwymi językami.

Ci, którzy przyłączyli się do jego zgromadzenia,

Będą go szkalowali przed synami zła,

A wszystko po to, aby było sławione Jego słowo.

Z powodu ich winy

Ukrył źródło rozumu,

Tajemnicę prawdy.

A inni jeszcze powiększą jego nieszczęście,

Zamkną go w ciemnościach

I jego chlebem będzie udręka,

Napojem płynące bez końca łzy.

Albowiem jego oczy przesłoni żal,

Jego dusza utonie w codziennej goryczy.

Owładną nim lęk i smutek.

Potem zacznie się wojna

Na całym świecie.

Będzie walczył bez wytchnienia

Z Synami Ciemności, Przepędzi ich,

Będzie walczył z bezbożnym kapłanem I pokona go,

I zabije niegodziwego kapłana Zgodnie z Prawem.

W tym czasie wszystko będzie gotowe na przyjście Mesjasza,

Wszystko będzie gotowe na pustyni.

Będzie skarb-

Cenne klejnoty i święte przedmioty,

Pochodzące z dawnej Świątyni,

Aby mógł wrócić do Jerozolimy

Okryły chwałą,

Aby odbudował Świątynię

I on odbuduje Świątynię,

Którą widział w snach.

Syn Człowieczy stanie na czele armii,

Która wyjdzie z doliny pełnej kości.

Kości będzie mnóstwo,

A wtedy Pan Zastępów zapyta:

„Synu Człowieczy, czy te kości mogą ożyć?”.

A on odpowie:

„Panie, ty wiesz lepiej”.

Pan Zastępów rzecze na to:

„Przekaż kościom, które są suche,

że Pan Wiekuisty tak powiedział:

«Kości, tchnę w was ducha

I ożyjecie.

Dam wam mięśnie,

Dam wam ciało,

Obciągnę je skórą,

Potem tchnę w was ducha

I ożyjecie,

Dowiecie się, że jestem wieczny".

A więc powie prorocstwo,

Tak jak mu będzie nakazane.

A gdy tylko je wypowie,

Wybuchnie wielka wrzawa.

Kości połączą się ze sobą,

Zaczną formować się na nich mięśnie,

Przyrastać ciało,

Zaczną je pokrywać skóra.

Wejdzie w nie duch,

Ożyją,

Staną na nogi,

Utworzą wielką armię.

A on stanie na czele tej armii

I uda się do Jerozolimy,

Wkroczy przez Złotą Bramę,

Odbuduje Świątynię

Tak, jak ją widział w swych wizjach,

A Królestwo Niebieskie,

Tak długo oczekiwane,

Przyjdzie wraz z nim,

Zbawicielem,

Który otrzyma imię

Lew.

A wszystko to wydarzy się W 5760 roku.

SŁOWNICZEK

Ashkenazyjczycy - Żydzi pochodzący z Niemiec i Europy Wschodniej. **Baal teszuwa**

-
niereligijny Żyd, który zaczął praktykować. **Bachur** - nieżonaci uczniowie jesziwy. **Bar miewa** - ceremonia religijna, w trakcie której trzynastoletni chłopiec odczytuje fragment

Tory, co jest oznaką, iż wchodzi w wiek dorosły. **Bełżec** - niewielki odłam chasydów, propagujących pokój. **Cimcum** - bardzo ważny termin kabały, który oznacza samowycofanie się Boga w niego

samego, umożliwiające zaistnienie skończonego świata drogą emanacji. **Chabad** - misyjny i mesjanistyczny nurt w łonie chasydyzmu, istniejący na całym świecie,

według którego Mesjasz może zjawić się dopiero wtedy, gdy wszyscy niewierzący

Żydzi staną się wierzący. **Chanuka** - święto żydowskie upamiętniające zwycięstwo Machabeuszów nad hellenistyczną

dynastią Seleucydów ok. 165 r. p.n.e. **Cinasyd** - dosłowne znaczenie tego słowa – „pobożny”. Oznacza człowieka mistycznej i

podniosłej wiary, dla którego autorytetem najwyższym jest cadyk, nauczyciel mądrości

i duchowy przywódca, uważany niekiedy za Mojżesza i Mesjasza w jednej osobie. **Devekut**-według chasydów najwyższy stopień uduchowienia, dzięki któremu nawiązuje się

mistyczne zjednoczenie z Bogiem. **Gabaj** - skarbnik zbierający fundusze na rzecz wspólnoty. **Galut** - dosłowne znaczenie – „wygnanie”, diaspora. **Gemara** - rabiniczny komentarz do *Miszny*.

Gertl - długa szarfa z czarnego jedwabiu oddzielająca górną i dolną część ciała. **Gur** - główni przedstawiciele chasydyzmu polskiego, którzy poświęcają życie studiom

talmudycznym. **Goj** - początkowo słowo to znaczyło – „lud”, potem „nie-Żyd”, „innowierca”. **Haganah** - podziemna żydowska organizacja, walcząca w obronie narodu żydowskiego i o niepodległość Izraela. **Halot** - chleb szabatowy. **Hołot** - rodzaj ciemnego płaszcza z zaokrąglonymi krótkimi klapami, wykończonymi czarną jedwabną wstążką. **Jesziwa** - uczelnia dla nieżonatych mężczyzn, gdzie

studiuje się Talmud. *Jidysz* - potoczny język Żydów aszkenazyjskich, powstały około 1000 roku w dolinie Renu i

Mozeli z mieszaniny języka hebrajskiego, niemieckiego i aramejskiego. *Kadisz* - modlitwa za zmarłych.

Kidusz - modlitwa odmawiana przed wypiciem wina. *Kipa* - jarmułka, płaska czapeczka.

Kittim - „Synowie Ciemności” – Rzymianie i wszyscy dawni wrogowie Izraela. *Kolei* -

jesziwa dla mężczyzn żonatych. *Koszer* - nadający się do spożycia. W sensie szerszym – zgodny z przepisami na temat rytualnej czystości. *Kwtitl* - pisemna prośba skierowana do rabina. *Lag*

ba-Omer - dzień pielgrzymek do grobu rabiego Szymona

w Meronie..

Machiah - Mesjasz.

Macot (maca) - przaśny chleb, który jada się w dzień święta Pesach (Paschy).

Mezuza - małe pudełeczka, przymocowane do framugi drzwi, zawierające wersety z Tory.

Miewa - przykazanie, prawo. *Midrasz* - żydowska metoda interpretacji biblijnej za pomocą obrazów i przenośni. *Minjan* - quorum dziesięciu Żydów płci męskiej, nieodzowne do odprawienia wszelkich nabożeństw publicznych. *Miszna* - najstarsze zachowane dzieło

literatury rabinicznej, kodeks praw, zredagowany przez rabiego Yehudę ha-Nasi pod koniec II wieku, stanowiące jądro Tory. *Mykwa* - basen z wodą bieżącą do rytualnej kąpieli. *Parnas* -

wybieralny urzędnik synagogi, należący do starszyny gminy.

Pesach (Pascha) - święto upamiętniające wyjście Hebrajczyków pod wodzą Mojżesza z Egiptu. *Pidjon* - drobna opłata dawana rabbiemu po uzyskaniu od niego rady. *Pilpul* - talmudyczna metoda interpretacji rabinicznej, polegająca na subtelnych i

wyrafinowanych rozważaniach. *Rosz Haszana* - żydowski Nowy Rok. *Sabra* - człowiek urodzony w Izraelu.

Sanhedryn - najwyższa rada religijna, sąd rabiniczny. *Satmar* - ekstremistyczne

chasydzkie ugrupowanie religijne, antysyjonistyczne, działające

przede wszystkim w Stanach Zjednoczonych, przeciwne istnieniu państwa Izrael, zmierzające do jego zniweczenia. *Seder* - rytualny posiłek, spożywany w domu pierwszego wieczoru świąt Pesach. *Sefardyjczycy* - Żydzi pochodzący z Hiszpanii i Portugalii. *Sofer* - skryba, pisarz. *Strudel* - ciasto z jabłkami, popularne w Europie Środkowej. *Sukot* - święto plonów. *Szabat* - siódmy dzień tygodnia, przeznaczony na odpoczynek, życie rodzinne i duchowe. *Szawuot* - święto upamiętniające przekazanie Tory na górze Synaj. *Sziksa*

–w języku jidysz pejoratywne określenie kobiety nie-Żydówki. *Szofar* - instrument dęty z rogu baraniego, w który dmie się w pewne dni świąteczne. *Sztrajmel* (sztrajmł, sztrejmł) – lisiura, męska czapa, czarna, z szerokim rondem z trzynastu brązowych sobolich skórek, noszona przez chasydów w szabat. *Taref* - niekoszerne. *Talit* - modlitewny szal.

Talmud - najważniejsze opracowanie ustnej Tory, spisane w formie komentarza do działów *Miszny* i *Gemary*. *Teszuwa* - powrót do czynnego życia religijnego. *Tefilin* - filakterie przywiązywane do lewego ramienia i czoła, noszone przez mężczyzn podczas nabożeństw w dni powszednie. *Teku* - skrót oznaczający problemy, które zostaną rozwiązane dopiero na końcu świata. *Tikkun* - kabalistyczna nauka o konieczności dokonania przez człowieka naprawy świata, polegająca na zstąpieniu w głąbiny zła, aby w nich odnaleźć i odzyskać dla boskości uwięzione tam iskielki światła. *Tisz* - uroczysty posiłek na koniec szabat. *Tora* (hebr. - nauka) - jedno z kluczowych pojęć judaizmu, odnoszące się zarówno do żydowskiej nauki Pięcioksięgu lub ogólnie hebrajskiej Biblii, jak i w najszerszym rozumieniu – pod nazwą Nauka, Zakon, Prawo – do całokształtu tradycji żydowskiej. *Wiśnicz Nowy* (koło Tarnowa) - miejscowość, z której wywodzi się odłam chasydyzmu o

umiarkowanym nastawieniem politycznym. *Zahal* - armia izraelska. *Zohar* - główne dzieło kabały, opublikowane pod koniec XIII wieku przez Mojżesza z Leonu w Kastylii.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-02-15

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/